

WYDANIE JUBILEUSZOWE.

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.

ŁASEŁKA.

Wyciąg z pamiętników Kłosa.

CZĘŚĆ I.

TOM IV.

Wydawnictwo na korzyść Jubilat.

WARSZAWA.

W KSIĘGARNI JÓZEFA UNGRA

ulica Nowolipki, Nr. 3.

1878.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Декабря 1877 г.

JASEŁKA.

WYCIĄG

Z PAMIĘTNIKÓW KTOSIA.

886-3



KRA
WYB

259

Heraldycy nasi i historycy rodzin szlacheckich często niedarowane popełniają błędy, i grzeszą nieświadomością najgrubszą, która na nich zżymać się i ramionami ruszać każe, choć najmłodszy z nich przeszło od stu lat spoczywa w grobie, i te oznaki niezadowolenia wcale go już nie obchodzą. Ale dobrze jednak choć tém sobie ulżyć nieco i nagderać na nieboszczyków, bo żywi ani słowa na siebie nie dają powiedzieć.

Mijam już to, że wielu bardzo słusznych i zacnych obywateli, prawdziwych karmazynów i najpotężniejszych herbownych (bo nawet lokaje i stangreci ich na kołnierzach, guzikach i kamizelkach rodowód familijny noszą) nie znajduję ani w Paprockim, ani w Okolskim, ani w Niesieckim, ani nawet w Kuropatnickim i Wielądku; ale, co daleko gorsza, książęcy rodzinom, hrabiowskim gniazdom dostało się po tebkach jakby prostej zagonowej szlachcie. Jużciż to być nie może, aby kłamały papiery, rodowody i tytuły na tysiącu kopert od wieku powtarzane: kłamią więc heraldycy — a temu wszystkiemu zawiść tylko winna.

Tak na przykład otworzywszy folianty, widzę z nich,

że rodzina hrabiów z Górki wygasła, a wiem z pewnością, że była familia, która się od nich wiodła, i właśnie mi tu o nią mówić przychodzi: nie mogę więc pominąć prozapii.

Wedle statecznego podania, które przy ognisku domowém powtarzało się lat kilkaset, jeden z Górków emigrował dla jakichś familijnych niesnasek na Litwę, i tu się osiedlił, ożeniwszy się z córką kniazia Kapusty.

Wiadomo zaś całemu światu, a przynajmniej tym, co w papierach grzebią, że ród kniazów Kapustów był bardzo znamienity, że się wiedli od książąt Perejasławskich i pieczętowali czémś nakształt Odrowąża, że w Kijowskiém, w Owruckiém i na Podolu z dawna byli ojczycami, szerokie posiadali ziemie, na zamku w Owruczu *horodnie* swoje mieli jeszcze za króla Zygmunta Starego, a ogromny paludament z czapką książęcą nosili na pieczęciach.

Czy to była ostatnia z rodu kniazów Kapustów, która znaczne mienie wniosła w dom owego Górki, na Litwie przezwanego Górą, nie wiem; ale Niesiecki mało co napisawszy o téj familii, uciął nagle. jakby za jego czasów już ich na świecie nie było. Są, czy nie ma, o tém wam nie powiem lepiej od Niesieckiego—bo nie wiem; ale że niebardzo dawno jednego autentycznego kniazia widywałem chodzącego po świecie w dziurawych butach, w postaci nader skromnego kancelisty, gotowem przypuszczać, że i ci Kapustowie tylko się przyczaili. Wszystko się trafia: i książęta czasem w piecu palą, i stróże na aksamitnych wylegają się poduszkach.

Ale wracajmy do rzeczy. Ów tedy hrabia Góra na Litwie osiadły, żonaty, dziedzic znacznych włości,

już do Wielkopolski nie tęsknił, i został tu nowój gałęzi rodu swojego protoplastą. Ile pokoleń przeważnemi dzieły wsławiło się do ostatnich szczepu latorośli, o których tu wam chcę coś powiedzieć—nie widzę potrzeby wyliczać. Dosyć, że najbliższemi nas czasy żyli sobie dwaj rodzeni bracia, dziedzice imienia i mienia pradziadów, hrabiowie Górowie: Herman hrabia z Góry i Rajmund.

Starszy Herman mieszkał w tym zakątku bajecznym i mało znanym, który oddziela Wołyń od Pińszczyzny. Prawią o nim dziwy, lecz nie tak to straszne jak się zdaje z daleka. Wątpię, czy czytelnik zna dobrze ten kraj ogadany i spotwarzony przez tych, którzy mieli nieszczęście być w przejeździe pokąsanymi od komarów, lub w niedość wygodnej przespać się tam karczmie.

Niedobre drogi, któremi się sławi ten zakątek kraju naszego, mocno wpływają na famę, jaką mu uczyniono: strząślny się na nich podróżny, widzi potem wszystko w najczarniejszych kolorach.

Tymczasem kraj ten poleski ma swój wdzięk, a kto się w nim urodził, tak go kocha i tak go widzi pięknym, że go na żadnąby Arkadę, nawet sochaczewską, nie pomieniał.

I ci, co w nim pomieszkali trochę tylko, i choć odrobinę się w nim kochali, co kilka lat młodych przeblądzili po tutejszych lasach, przepolowali po błotach—wspominają i błota z uczuciem, i lasy z uśmiechem, i kraj z westchnieniem...

Nie powiem, żeby tu mieszkało wesele; ale nad temi płaszczynami drzemiącemi, otoczonymi lasy, wśród tych błot, na których krzykliwe ptactwo dzikie w szumiących odzywa się wiszarach, na żółtych piaskach

i polkach zielonych, nad które z gaju wychylone brzozy zwieszają płaczące gałęzie, taka wieje tęsknota luba, taki smutek porywający za serce, że kto go raz tu skosztował, wiecznie musi wspominać i przyśni mu się w godzinę śmierci.

Na około zamknięty świat wstęga borów sinych, ale dusza wylatuje zań i marzy swobodna. Tam, gdzie wiele widać, serce już nic nie pragnie i tęskni; ale tu inaczej: jak w więzieniu szerokiem buja fantazyja, gdzieś za światy lecąc daleko.

Często spotkasz w takich zakątkach na starym spróchniałym pniu dziecię lub starca, który zadumał się z oczyma wlepionemi w bory, i marząc trawi godzinę.

Cisza głucha, której nawet wiatr, wstrzymany ścianami lasów, nie śmie przerywać; szum powolny i jednostajny drzew, które drzemać się zdają kołysząc; szelest traw bujnych, trzcin szemrzących; mruczenie wody sączącej się ospale; krzyk ptactwa żałobny i przejmujący, jak skarga istoty, coby coś chciała przemówić do człowieka: wszystko to do tęsknoty uspasabia i zasiewa ją w duszy za rana.

To też i lud tutejszy zda się rozespany, rozmarzony, powolny, jakby całe życie o innym dumał świecie. Chodzi po mału, odpoczywa długo, a o jutro niewiele się troszczy. I natura jego łagodna, i serce miękkie, i myśl, bylebyś jej cugli rozpuścił, dziwnie poetycznemi ukraszona farbami. Nie panuje jej wesele: każda piosnka i powieść kończy się mogiłą, śmiercią lub łzą; przecież zaprawdę piękniejsze to od karczemnego śpiewku szalonego, który się dziką w ustach wieśniaka wydaje ironią życia.

Herman hrabia Góra mieszkał w jednym z naj-

zapadlejszych krańców Polesia, w Horycy, której lasy i pola przytykały już do niezmiernych błot pińskich, przerzniętych mnóstwem rzek i strumieni. Horyca, na małej piaszczystej stojąca wyniosłości, miała tylko jedną drogę, którą się do niej przybywało i wracało, z kądkolwiek jechać przyszło, z Rzymu czy z Laponii; była bowiem z téj tylko jednej strony dostępna. Zimą porą, gdy błota stały, drugi gościniec przez trzęsawiska i rzeki ku Pińskowi otwierał się chwilowo, a w razie pilnej potrzeby były obijaniki, dęby i czółna, któremi posyłano i jeżdżono do miasta.

Żył się tu jak u Pana Boga za piecem, wedle pospolitego przysłowia; niełatwo dostał się natręt, groble zarastały trawą, twarz cudzą rzadko kto zobaczył.

Przez niezmiernie długą groblę, złożoną z nakotów, to jest w poprzek pokładzionych dylów, polan i chróstów, przejeżdżało się najprzód przez odnogi błot otaczające Horycę; potem już brnąć po osie w piasku, trzeba było dążyć do miasteczka.

Było to bowiem miasteczko i sześć ogromnych karczem drewnianych, przez których nieszczelne ściany wróble na wylot przelatywały, świadczyło o jego przywilejach. Oprócz tego z dala nawet widać już było kopuły cerkwi, srebrzystą pokryte blachą, i dach gentami pobity wysokiej synagogi. Dalej czarne dranicami kryte chaty ciągnęły się długimi sznurami na wszystkie strony, wśród palisad i płotów, z po za których wyglądały stare grusze, jodły i brzozy.

Po za mieściną dopiero, znowu za drugą groblą, stał tak zwany zamek. Musiał też to być niegdyś gródek obronny, bo szczątki zielonego, trawą i bzami dzikimi porośłego wału, jeszcze go dotąd otaczały.

Ale naprzeciw wjazdu szeroko wyszczerbiły się nasypy, fossa była zarzucona tak, że przebyć ją było można bez pomocy mostu, i wprost widać było domowstwo, które zastąpiło dawne zamczysko.

Z kawału muru prastarych czasów zrobiono dworzec obszerny,—a że nowy dziedzic nie kochał się widać w ceglach i musiał wierzyć, że drewniany dom zdrowszy, więc na téj budowie oparł piętro sosnowe, nietynkowane nawet, które wyglądało jak stare pudelko. Wysoki łamany dach, z wielkimi oknami, fantastycznie dopełniał gmachu, z po za którego wierzchołki starych świerków ogrodowych, lip i grabów wyglądały.

Dziedziniec zamkowy był pusty. W prawo za parkanem kryły się oficyny i kuchnia, wstydząc się, że były do prostych chat podobne; w lewo wysunęła się stajnia z tartego drzewa, ale i téj się nie udało, bo słupy się pogięły i stała koślawo, a z jednego boku aż się musiała podeprzeć.

Przedé dworem ani ganku, ani słupów, ani daszku, któryby wniósł osłaniań; ścieżka prowadziła do progu i ogromnych drzwi sieni zawsze zamkniętych. Z drugiej jednak drożyny mocniej wydeptanej z prawego boku, między kuchnią a dworem, wnosić było można, że nią życie płynęło zeń i odpływało... U bocznego wniścia był i ganeczek na dwóch słupkach z ławkami.

Gdy od opisu miejsca przychodzi mi do gospodarza i pana przystąpić, nie małą w tém czuję trudność. Charakteru jego, obyczajów, życia, nie tak łatwo dam wam wizerunek; z musu jednak podjąć się go jestem obowiązany.

Przejdźmy więc pośpiesznie smutne drzwi główne, dzień cały zaryglowane, sień wielką z leżącemi w jej

podłozie ogromnemi drzwiami do lochu; przesuńmy się przez cały szereg izb, staremi i biednemi zastawionych sprzętami, i wnijdźmy do pokoju pana, po którym najłatwiej nam będzie poznać jego samego.

Wszystkie stare izby, sklepione niegdyś zamkowe komnaty, z małemi w grubych murach okienkami, były dosyć wilgotne i zapach stęchlizny mocno się w nich czuć dawał; w jednym tylko pokoju dziedzica, do którego po dwóch wschodkach do góry wchodzić było potrzeba przez kilkołokciową framugę muru, powietrze było suche i zdrowe. Na kominie starożytnych rozmiarów, dzień i noc palił się tu znicz niewygasły, kłoda olchowa lub dębowa, której pacholek, na straży będący niedaleko, doglądał.

Izba ta miała jedno okno w murze wysoko umieszczone, do którego, jak do pokoju, wchodziło się po wschodach; a że ściana była niezmiernie gruba, więc po obu bokach wgłębienia stały do siedzenia ławy. Z okna tego widok przez parkan wychodził na jedyną drogę, wiodącą z toku i do toku, tak, że gospodarz ze swojej ławki każdą postać, z podejrzanym workiem plewy kroczącą po cichu, mógł dostrzedz i w potrzebie głosem przeważnym zatrzymać w pochodzie.

Niewiele zresztą i ten pokój miał sprzętów: kanapę białą niegdyś lakierowaną i spłowiałym rypsem pokrytą przy ścianie; stół w pośrodku z kilku krzesłami; w głębi łóżko wąskie, we framudze starą mąkatą obitej; przy niem komódkę wyginaną, na której była para szkatulek różnej wielkości.

Miedzy kominkiem a drugimi drzwiami gdał zegar gdański pozłocisty, owym głosem przeszłego wieku, którego już nowe nasze cichutko szepczące nie mają: powolnym, poważnym i wyrazistym, aż do uprzyk-

zenia. Wielka skrzynia, także gdańska, po staremu sepet, skórą cielęcą morską obita, zajmowała miejsce między komodą a drzewczkami, które dalej wiodły.

Dodajmy, że w ścianach kilka jeszcze wgłębień kryło w sobie szafy ciemno malowane i zamczyste, a kilka czerniałych obrazów krzywo wiszących, twarzami jakichś pradziadów, niewiele smutną postać mieszkania rozweselały.

W pośrodku stał właśnie mężczyzna wysokiego wzrostu, chudy, ale barczysty i muskularnej budowy, w bardzo prostej odzieży: kapocie szaraczkowej, butach z koźlej skóry do kolan, podpasany pasem rzemieennym, w czapeczce na łysiej głowie, zatłuszczonej i niepewnej barwy. Twarz miał bladą, zwiędłą, pomarszczoną, ale wzrok bystry, przeszywający i śmiały wąs spuścisty. Zresztą nie dawał dostrzedz wyrazu ust, które się zdawały uśmiechać czasem szydersko czy złośliwie.

Z pod czapeczki kilka kołtunów nieposłusznych spadało na kołnierz kapoty. Choroba ta, której znakiem były zwinięte resztki włosów, dawała mu się zapewne czuć i w nogach, bo chwilami chwytął się za nie z wyrazem cierpienia i dziwnym grymasem w twarzy.

Naprzeciw niego stał pokornie we drzwiach wchodowych od pokojów, wyraźnie rezydent, nieszczęśliwa ofiara, która dla próżnowania i chleba skazana była na znośnię kaprysów i fantazyi hrabiego i cierpienie jego złych humorów.

Wprawdzie trochę był kulawy na jedną nogę i o kiżu nawet stać musiał, co go poniekąd uniewinniało, że na powszednią strawę i swobodę zapracować nie mógł; ale twarz miał tak rumianą, może do zbytku, taki wyraz zdrowia na niej, że się go chciało do innéj

zapędzić roboty. Nie był to już młody człowiek, lat mógł mieć do pięćdziesięciu; trzymał się na bok z powodu krótszej nogi, ale wąs miał wyszwarcowany i nastrożony do góry, czub zaczesany paradnie i kolczyk w uchu, co, przy mocno zadartym nosie i wysoko związanéj chustce, dosyć pocieszną czyniło facyatę.

Fizyognomia rezydenta mówiła dowodnie o małej słabostce do wódki lub nalewki; inaczéj bowiem rozlanéj po niéj barwy rubinowéj trudno sobie było wytłómaczyć. Oczy jednak czyste, wejrzenie śmiałe, mowa przytomna, zbijały to przypuszczenie. I nikt pono jeszcze regentowicza Lacyny pijanym nie widział, a w towarzystwie, mimo usilnych nalegań, nigdy wódki ani żadnego nie powąchał trunku. Chłopiec jednak, który mu posługiwał, niecnota jakiś, może z gniewu czy przez płochość, ogadał go na folwarku, że butelczynę miał zawsze w łóżku, i dopiero zgasiwszy świecę, do poduszki się zakrapiał. Potwierdzało nieco tę plotkę, że pana Lacyny w nocy w żaden sposób dobudzić się nigdy nie było można, tak miał sen nie-słuchanie twardy; i to także, że butelki śmierdzące kotłówką znajdowano u jego wezgłowia. Ale on dowodził, że od bólu zębów płókał tylko usta wódką z imbirzem, a składał się tém, że go oko ludzkie nigdy pijanym nie widziało.

Zresztą jak tam było w istocie, Bóg jeden raczy wiedzieć; dosyć, że regentowicz był okrutnie czerwony.

— Gdzieżeś aspan był dzisiaj? zapytał hrabia, rzucając nań bystre spojrzenie.

— Wszędzie, jaśnie panie: od kołka do kołka.

— Ale ja cię nie o to pytam, czyś liczył kołki w płocie, bo mnie licho potem.

— Na oborze, jaśnie panie, u owiec, w stodole,

w stajni: *expresse* wszędzie... dokończył śpiesznie Lacyna.

— O którejże WPan wstałeś?

— A o piątą, jak zawsze.

— O piątą powiadasz! to więc na oględziny wyjść musiałeś o którą?

— O pół do szóstą.

— Wówczas już i ja nie spałem, tobym był słyszał skrzypnięcie drzwiami, a nie słyszałem.

Lacyna pokręcił tylko węża.

— Nie sposób mi wiedzieć przyczyny.

— No, to ja będę wiedział — odparł sucho gospodarz.

Zamilkli.

— Cożes WPan widział? spytał po chwili.

— A wszystko, jaśnie panie: parobkowi Iwanowi dałem w ucho... bo jeszcze spał, gdym przyszedł.

— Dobrze, to nigdy nie zawadził!

— Ekonomowi się *expresse* powiedziało szczerą prawdę, bo na skrzypcach tylko gra, a gospodarstwa nie pilnuje.

— Jak to! na skrzypcach gra? podchwycił hrabia; to on taki ekonom? Jeszcze mi będzie ogony końskie na smyczki obcinał! To taki ekonom! A no! to go zaraz odprawić. Już ja wiem, co to z artystami mieć do czynienia...

Pan Lacyna zapłonił się i zafrasował; trzeba bowiem wiedzieć, że ekonom ów miał bardzo ładną siostrę, przy której krosienkach kulawy przesiadywać lubił, a wyrwała mu się ta nieszczęśliwa denuncyacya tylko dla okazania gorliwości.

— Już to żeby go odprawiać, nie zasłużył — prze-rwał regentowicz: bo aczkolwiek gra, i nawet nieźle

gra na skrzypcach, ale tylko w chwilach wolnych od obowiązków, a rolnik dobry...

— I siostrę ma niczego? podchwycił mrugając nosem stary, poprawiwszy czapeczki, — a waćpan zawsze jeszcze choć stary, to głupi... i w starym piecu dyabeł pali...

Lacyna odgadnięty okrutnie się oburzył, stuknął kijem, ruszył ramionami, poskoczył, nastrzępił czuba.

— Albo mnie ona tam w głowie! tfu! *expresse* panu powiadam, że to dworskie plotki.

— Regentowiczu kochanie, to nie są plotki, to święta prawda! Zawsze ci w głowie miłostki, a patrzaj, że już ci zęby wypadają, choć płócesz wódką z imbierem.

Na to Lacyna, choć stojąc na miejscu, takie zaczął okazywać znaki niecierpliwości, że hrabia wreszcie dał mu pokój.

— O tém potem — rzekł — a co dalej? Siwa krowa?

— Zdechła, jasnie panie.

— Skórę kazałeś zdjąć?

— Zdjęli.

— A gdzie powiesili? he? Pewnie na wyżkach w oborze; toż to bydłu szkodzi i choroby może na prowadzić.

— Ale nie, nie: w starym śpichrzu.

— Nieprawda *bałku*, ty nie wiesz, a kłamiesz; to ci z oczu widać. Każżę mi ją zdjąć z wyżek i przenieść do starego śpichrza. Dalej co?

— Nic: wszystko *expresse* dobrze.

— Owce kaszlą?

— Bardzo mało.

— Przyznaj się, żeś u owiec nie był, bo gdybyś zająztał, byłbyś kaszel słyszał, a tu już rano po lekarstwo przychodził Owsiej, i powiadał, że okrutnie kaszlą.

Lacyna przygryzł usta.

— Daléjże co? ciągnął siadając przed ogniem nieubłagany spowiednik,—a szpaczek jak się ma?

— Zdrow, pił wodę, je siano, nic mu nie będzie.

— A popatrzalżeś jak szedł do wody? Wszak nogi jak w dybach; jeszcze się ochwatu nie pozbył.

— To zwyczajnie, jasnie panie, póki osłabiony po krwi puszczeniu.

Hrabia pokiwał głową, zamilkł. Lacyna tymczasem wąsy wywoskowane do góry podkręcił, przypominając im obowiązek sterczenia ku oczom, i czuba za jednym razem zatarł zręcznie.

— Regentowiczu kochanie, żebyś ty mi też jedną łaskę zrobił, rzekł po chwili hrabia Herman.

— Ale co jasnie pan rozkaże?

— Tak to ty mówisz, a mnie nie słuchasz. Ileż to ja cię razy proszę, żebyś ty nigdy przedemną nie kłamał; ty taki zawsze swoje! Najprzód, że się to zupełnie na nic nie zdało, bo ja wszysciuteńko wiem co się we dworze dzieje, choć z izby nie wychodzę; powtóre, ty się tém dławisz, bo ci to niełatwo przychodzi; a naostatek i wstyd, gdy się wyda. Otoż, serdeńko, czy nie lepiejby to było, jak zaśpisz, a nie zobaczysz tam czego, przyznać się po prostu i kwita? Ja ci przecię oczu nie wydrapię. Masz lat pięćdziesiąt...

— Czterdzieści ośm, *expresse*, na N. Pannę Zielną skończę, to jest skończyłem, przerwał żywo Lacyna.

— A rozum jest na dwadzieścia pięć.
Regentowicz znów począł stukać łaską i strasznie się perzyć, ale milczał.

— Indycz się nie indycz, a ja ci prawdę powiem — ciągnął dalej spokojnie Herman. Najprzód długo śpisz, to i niezdrowo, i nieprzyzwoicie, a dla ludzi zły przykład; powtóre, chodzisz zamiast do gospodarstwa, na folwark do pauny Petronelli, która z ciebie drwi, bo ona ma lat dwadzieścia, tysiąc złotych w kuferku i buziaka nieszpętnego; potrzebie... ale temu dam pokój. Idź serdecznie, każ sobie dać śniadanie; ja dziś nie jem, nogi bołą, głód najlepszy lekarz: będę pościł na klejku...

I syknął biorąc się za kolana. Lacyna spojrzał, nachmurzył czoło i wyniósł się po krótkim ukłonie, stukając kijem i mruczając pod nosem.

Ledwie wyszedł i drzwi się za nim zamknęły, gdy drugie mniejsze otwarły się powoli, i ukazał się chłopak w szaraczkowej kurtce, pokorny i mizerny.

— Proszę jaśnie pana, tam ktoś czeka.

— Kto? gdzie?

— Przyjechał i prosi się z panem widzieć.

— Gdzie stanął? Czy przede drzwiami, czy koło folwarku, czy przy bramie?

— Koło folwarku.

— A cżem przyjechał?

— Kałamaszką, parą koni; chłopak go przywiózł.

— Stary? młody?

— Ei ni stary, ni młody.

— Jak się nazywa, nie wiesz?

— Na folwarku mówili, że Porciakiewicz.

Hrabia pokiwał głową jakby dał do zrozumienia, że się już sprawy i człowieka domyślił.

— Przyrowadź go tu.

— A którejdy?

— Jużciż kiedy parą koni przyjechał, to wiesz, trutniu, że nie przez pokoje, ale przez tył domu i kredens...

Chłopak zniknął, a hrabia chwilkę siedział, patrząc na niebieski płomyk olchowej kłody, pogrążony w bezmyślném odrętwieniu.

Wkrótce znowu skrzypnęły drzwiczki i wsunął się mały człowieczek w surducie opiętym, niegdyś brązowym, bardziej zleżałym niż znoszonym; ubrany ubogo, ale chędogo i w stroju widać sobie niezwyčajnym, bo mu w nim było niezręcznie, co po ruchach rąk poznać można łatwo. Miał nawet rękawiczki obszerne, z których jedna już spoczywała, a druga jeszcze opaloną okrywała mu rękę.

Był to szlachcic z sąsiedztwa, zapewne posiadacz małej części we wsi, gospodarz rzadko wychylający się z domu, bo wszedłszy po wschodach do pokoju, mało nie upadłszy w progu, przy pierwszém powitaniu nie wiedział co począć, tak był pomieszany.

Hrabia wstał trochę, przywitał go zimno i wskazał mu krzesło, na którego on brzeżku przysiadł się ostrożnie, nieśmiało rozglądając się po smutnej izbie.

— Dawnośmy się tu nie widzieli, panie Eufrazy.

— Kopę lat, panie hrabio.

— Kopę jak kopę, z dziesiątek pewnie.

— Tak coś koło tego.

— Jużciż nie z grzeczności do mnie przyjechałeś. Lubię prawdę i otwartość: masz interes, powiedz mi szczerze co cię sprowadza?

Zagadniony tak nagle Porciakiewicz, zmieszał się tylko i westchnął.

— Ej! czy nie bieda jaka?

— Pan dziwnie zgadywać umiesz...

— A cóż? z ochoty nikt do mnie nie zawita.

Pan Eufrazy spuścił głowę i zaczął miać w rękach czapkę i rękawiczki; zimny pot oblewał mu czoło; westchnął. Gospodarz przypatrywał mu się ciekawie; zdawał się odgadywać wewnętrzny jego niepokój i boleść, zimno je jakoś badając.

— To cała historia! westchnął nareszcie Porciekiewicz.

— Mów historję całą, ja mam czas, posłucham.

— Pan hrabia, któremu Bóg dał tak znaczny majątek...

— Bóg zapewne, ale przytém praca i oszczędność, panie Eufrazy.

— Jedno przy drugim, panie hrabio; ale pan dziś i nie pojmiesz może, i nie uwierzysz, jak drudzy żyją. A! ciężkie to życie ubogich!

— Nie trzeba być ubogim...

— A jeśli kto bogatym być nie może?

— To przesąd, panie Eufrazy; każdy może kto chce: trzeba tylko chcieć mocno pieniędzy, mocniej niż czego innego, a będzie się je miało. Ale wy myślicie, że one przyjdą jak pieczone gołąbki: w tém błąd. Czekając, nie doczekasz się: potrzeba je zdobyć.

— Człek też, Bóg widzi, całe życie pracuje ciężko ale żona, dzieci...

— Kto chce pieniędzy, żeni się ze szkatułką, a ruble mu służą za dzieci.

— Jakże żyć samemu?

— W takim razie wolisz dzieci i żonę niż pieniądze.

— A możnaż o to pytać? przerwał szlachcic przestraszony prawie.

— No! to masz więc co wolisz! odparł ruszając ramionami hrabia, który tarł bolące nogi swoje.

— Po ojcu dostałem częśćkę w Zabłotowie, mówił dalej Porciakiewicz: dwóch chłopków, panie hrabio i trzy włoki gruntu, bo mi to obcięli z eksdywizyi. Byłbym się jakoś może wygrzebał, gdyby nie jedno po drugiem nieszczęście. Pierwszego roku grad, potem mi się stodoła ze zbożem spaliła, trzeciego lata wymokło, ludziska się pochorowali, przyszedł rekrut i spłat, podatki, a trzebać żyć i jeść, z żoną i ośmiorgiem dzieci...

— Ośmioro dzieci! chwytając się za czapeczkę, zawołał hrabia; ośmioro dzieci! a to kara boża!

Porciakiewicz osłupiał, załamał ręce i spojrzał mu w oczy przerażony.

— Panie hrabio, my to biedni błogosławieństwem bożem nazywamy...

— Malthusie, cóżbyś na to powiedział! uśmiechnął się gospodarz. Ale to dziwna, że dotąd jeszcze nie poumieraliście z głodu!

— Pracujemy wszyscy, odpowiedział uspakajając się Eufrazy. Ja sam nie wstydzę się chodzić za pługiem, żonisko robi w ogrodzie i około przedziwa, dzieci także pomagają, choć do starszych już potrzeba było wziąć człowieka, coby je choć czytać uczył. Dorosłszy pójdą służyć, kiedy ich Bóg nie stworzył do panowania. Ale w tej chwili—dodał—jestem w bardzo ciężkiem położeniu: tyle mnie wypadków nawiedziło, podatki zaległy, spłat, procent do kościoła, trochę i żydowskich dłużków... Już nie mogę wystarczyć, gło-

wę tracę, zabiorą mi chatę—zawołał wybuchając z rozpaczą—zabiorą mi dach mój! A gdzie ja się podzieję z dziećmi? A! panie hrabio, miej litość nademną! miej litość, dopomóż nieszczęśliwemu!

To mówiąc wstał Porciakiewicz i przypadł z ręką do kolan pana Hermana.

Hrabia pokiwał głową zamyślony.

— Najprzód kochanie moje, szanowny panie Eufrazy—rzekł powoli—powinieneś to wiedzieć, znając mnie trochę choć z języków ludzkich, że ja litości nie mam. Litość jest rzecz głupia, człowiek się przez nią robi ślamazarny, i potem sam jój od drugih potrzebuje. Musisz i to wiedzieć także, że ja się sam prawie dorobiłem tego co mam. Było tam coś, ale obdłużone, a dziś i majątek niczego, i w szkatułce zapas jest; alem i pracował i skąpił od gęby sobie ujmując... już cić, pozwól, nie dla tego pewnie, aby potem między ludzi rozdawać.

— Ale pan masz serce...

— Nie, nie, kochanku! zupełnie się mylisz; serca nie mam, litości nie znam. Nikomu pomocy nie odmawiam; że pieniądze są, nie taję, tylko mi zaraz potrzeba pokazać, że nie stracę, a zyszczę, bo do ofiar wcale nie mam ochoty i tychby się darmo odemnie spodziewać.

— Ależ ja jałmużny nie proszę! zawołał Eufrazy—datkubym nie przyjął, póki są ręce, co pracować mogą; ja proszę pożyczki, a jak się dźwignę, to zwrócę...

— Jakż tedy pewność, panie Eufrazy?

— Praca moja i uczciwość...

— Uczciwość to jeszcze nie ewikcyja, a pracal...

A nuż WPan umrzesz, ja cię na tamtym świecie szu-

kać nie będę! dzieci i żony nie skonfiskuję, bobym jeszcze musiał je karmić...

Mówił to niezupełnie chłodno, ale wysilając się na obojętność, która oszukała Porciakiewicza. Szlachcic zapomniawszy o biedzie, słuchał go z podziwieniem, jakby aktora na teatrze: nie mógł pojąć tego człowieka.

— Mylisz się grubo—dodał hrabia powoli,—tak rozumując, rachujesz na gruszki wierzbowe... Ile Wpan masz dusz na te trzy włóki gruntu?

— Pięć dusz męzkich, a trzy kobiece.

— A ile na tém razem wszystkiego długu?

— Al panie, już z górą dwa tysiące złotych.

— Widzisz! twoja częśćka, gdyby była najlepiej zagospodarowana i z remanentami, których ty niewiele mieć musisz, warta, przypuśćmy, trzy tysiące..

— Cztery mi dawano.

— Gdyby i pięć nawet — dług rośnie niepłacony, i zjada coś powoli: wyleźć z tego nie możesz.

Porciakiewicz zbladł, łzy mu się zakręciły w oczach, ale je szybko otarł rękawiczką.

— Gdybym ci pożyczył pieniędzy, musiałbym potem niepotrzebną mi częśćkę zabierać, i to jeszcze w wysokiej cenie, bo takie części wy zawsze sobie daleko drożej szacujecie. Jeszcze w dodatku ludzieby krzyczeli, żeś was z ośmiorgiem dzieci nielitościwie na bruk wyrzucił... a mnie to na co?

— Al żebyś tylko dług mógł spłacić!

— Jakimże sposobem? Przypuśćmy, żebyś ci dał pieniądze, a odbierał kapaninę: jakże z żoną i dziećmi na dziesięciu morgach i siebie wyżywić, i ciężar ten spłacić? To niepodobna!

Szlachcic padł na krzeselko wzdychając. W téj

chwili znikł mu z oczu hrabia, gościna, — żal taki ucisnął serce, że o wszystkiém, co go otaczało, zapomniał; osłupiałemi oczyma wpatrzył się w ogień, a łzy potoczyły się po bladej twarzy. Milczał, myśląc gdzie się podzieje z towarzyszką życia, z drobnemi dziećmi, gdy go z pod dachu ojcowskiego wypędzą.

Hrabia przypatrywał mu się ciekawie.

— Wyście tak wszyscy—rzekł po cichu gderając—nie ma kawałka chleba dla dzieci, a zenicie się zaraz ledwie was, i w chacie tego jak maku... A po-tém całe życie pokutujecie za wesoły dzionek.

Porciakiewicz mimo zaprzątnięcia posłyszał te słowa, i żywo podniósł głowę.

— Al! panie—rzekł—jedno tylko ubogiemu zostało serce. Możnaż żyć tak samemu, nie mieć do kogo przemówić słowa, skazać się na wiekuiłą tęsknotę dla tego, aby nie pracować i nie myśleć o przyszłości? Nędza nie byłaby mi straszna, gdybym przy niej nie miał doskwierających długów — głodubyśmy się nie zlekli. Wolę czarny chleb, byle go było z kim podzielić. Moje dzieci! moje dzieci!... dodał ze łzami.

Hrabia ruszył ramionami.

— Gdybym miał tę głupią, jak ją WPan nazywasz litość, poszedłbym dawno z torbami, odezwał się powoli. Tu trzeba w czém inném rady szukać.

— Sprzedać chyba i pójść służyć.

— Ale ba! z żoną i ośmiorgiem dzieci niełatwo kto WPana weźmie: ordynaryi strasznej będziesz potrzebował.

Ta uwaga musiała do reszty zniecierpliwieć Porciakiewicza, który wstał nagle, i nic nie mówiąc, zabierał się odchodzić. Hrabia nań spojrział.

— Harda dusza w ubogiem ciele! rzekł do siebie.
Ośmioro dzieci! ośmioro dzieci!

— Żegnam pana hrabiego—odezwał się sucho Porciakiewicz.

— Zaczekaj-no, może znajdziemy jaką radę; nie przez litość, bo to głupia rzecz, ale przez rozumny rachunek... uczciwy.

Mimowolnie Eufrazemu wyrwało się z ust z podziwieniem, powtórzone;—*Uczciwy!*

— Cóż to WPan mnie już masz za takiego łajdaka—przerwał zupełnie spokojnie hrabia—że się dziwisz gdy mówię, uczciwy? Nie znasz WPan ludzi. Nikt mi nie zarzuci, żebym co popełnił niepoczciwego; rachuję tylko ściśle, najściślej, nic więcej, i żadnymi próżnemi fantazyami siebie i drugih nie bałamucę.

Porciakiewicz zatrzymał się zmieszany.

— A kto nie rachuje, lituje się i serce ma miękkie, nie zajedzie daleko. Dla czego ja mam pieniądze? bo rachuję, bo się nie zwodzę: bom skąpy.

— A jestżeś WPan szczęśliwy? ośmielając się nagle przerwał szlachcic, który stanął naprzeciw niego.

— Porozumiejmy się: co WPan nazywasz szczęściem? zapytał hrabia.

— Kochasz kogo? przerwał Eufrazy.

— Nikogo: to głupstwo! rzekł gospodarz; ale mam takie szczęście, jakiego chciałem, bo każdy ma to czego chce: WPan ośmioro piszczących dzieci, a ja worki i folwarki.

— I tego ci dosyć?

— Nie, nie dość: ja chcę mieć więcej pieniędzy, a WPan może jeszcze więcej dzieci?

I uśmiechnął się szydersko.

— Gdyby mi Bóg dał jeszcze jedno, nie narzekałbym pewnie, rzekł Porciakiewicz.

— Toś szalony, pozwól sobie powiedzieć.

— Toś nie człowiek, kiedy nie pojmujesz tego! dorzucił gorąco, do ostatka przywiedziony szlachcic. I możesz wyżyć wśród tych czterech ścian czarnych, sam jeden, otoczony płatnymi sługami, nie słysząc nigdy czulszego słowa i dzieciennego głosu, uśmiechu, bez przymilenia, bez pieśszcot, rodziny, bez...

Tu wstrzymał się miarkując w zapędzie, chociaż na błędnej twarzy gospodarza nie postrzegł najmniejszego znaku nieukontentowania.

— Widzisz WPan, że mogę—odpowiedział hrabia. Gdy mi nudno, wołam Lacyny i kpię sobie z niego; posyłam po Radwanowicza, który mnie śmieszy; kłócę się ze starym Pawłem.. liczę pieniądze, gderam i straszę ludzi... ciągnę kabałę, czytam, chodzę po pokojach i świszczę.

— No! toś nie człowiek! toś nie człowiek! zawołał zniecierpliwiony tym spokojem Eufrazy.

— A w tém cała sztuka, żeby nie być człowiekiem! uśmiechając się dokończył hrabia. Wszystkie biedy z tego pochodzą, że nadto ludźmi jesteśmy... To sobie i dzieciom najprzód potrzeba wbić w głowę: człowiek z natury jest słaby, a słabości gubią.

— Tak! tak! rzekł nie wstrzymując się i krocząc do drzwi Eufrazy—ale gdybyś ty mi swoje skarby, worki, zamek i majątki dał za moje piszczące dzieci i żonę, a wyrzec się ich kazał, plunąłbym na to wszystko, i poszedł klepać moją biedę. Nikt jeszcze z głodu nie umarł.

— I to, kochanie, fałsz! przerwał, zimno gospodarz. Ludzie i puchną, i umierają z głodu, prawda, że

chłopi; a co się tycze szlachcica, ten choć może nie umiera z głodu, umiera ze strachu głodnej śmierci, z mozołu, z utrapienia, z kłopotów... wszystko to jedno.

Eufrazy nic już nie odpowiadając, uklonił się i szedł do drzwi, jakby mu pilno było wyjść z tej atmosfery lodowatej.

— Ale zaczekajże WPan! odezwał się hrabia.

— Szkoda czasu.

— Kto wie? może co zrobimy, jeśli nie sercem, bo ja nie choruję na nie, to głową i rachunkiem.

Porciakiewicz stanął, z wyrazem ciekawości raczej niż nadziei.

— WPan jesteś uczciwy człowiek i dobry gospodarz, mnie ludzi braknie; gdybyś się nie wstydził z dziedzica pójść na ekonoma... ha! ktoś wie!

— Ale ja żadnej pracy nie wstydzę się, byle uczciwój! rzekł szlachcic.

— U mnie w Sienném bardzo źle idzie, ekonom pijak, lata po jarmarkach, chłopci robią co łaska; muszę go wypędzić... Dam WPanu jego miejsce. Twoja częśćka tuż, mógłbyś... Tylko żebyś mi tam więcej swojego niż mojego nie patrzył, i żeby cię nie wzięła pokusa pomagać sobie moimi siennickimi.

— Jeśli mnie hrabio masz od razu posądzać, daj. myż temu pokój! zawołał Eufrazy żywo. Ja znowu nie dam się męczyć jak Lacyna.

— No! no! wiem, wiem, i gdyby nie wiara, jaką mam w tobie, nie brałbym cię do Siennego.

— Na cóż pan to mówisz?

— Wolałbyś, żebym milczał a myślał?

Porciakiewicz zamilkł; chwilę tak patrzali na siebie.

— W Sienném daję ekonomowi trzysta złotych i ordynaryę, zawsze to coś znaczy.

— Wiesz WPan co, panie hrabio? przerwał szlachcic: ja ci uczciwie i gorliwie pracować będę... zrób trochę wigcój. Przepędzę bydło moje do Siennego dla hypoteki, jeżeli słowa szlacheckiego nie dosyć... zalicz mi teraz tysiąc złotych: wyratujesz i mnie, i dzieci.

— Czekaj, ileż masz sztuk bydła? zapytał hrabia zimno.

— Zawsze się wbijałem w remanent, bo to całe bogactwo szlachcica i podpora gospodarstwa — rzekł Porciakiewicz. Mam krów dziesięć, pięć jałówek, ośm wołów i kilkoro cieląt.

— Daj go katu! a czemużbyś nie sprzedał?

— A! panie! toż to się wyhodowało w domu: to to wszystko nas zna, głosu słucha, do ręki idzie.

Hrabia wzięwszy się wprzód za boki, zaczął się śmiać ogromnie.

— Dalipan—rzekł—ten się i w bydle kocha, tak mu tego kochania potrzeba!

Porciakiewicz milczał zmieszany tym śmiechem.

— No! no! nie gniewaj się; wolno tobie romansować z cielętami, wolno mnie się z tego śmiać: kwita. Ekonomowi z Siennego daję zaraz abszyt, bydło przypędzisz do mnie, i dam WPanu tysiąc złotych na sześć od sta.

Po licu gościa prześliznął się jasny promyk radości, i zapomniawszy poprzedzającej nadto żywej rozmowy, znowu z ręką do kolan przypadł hrabiemu.

— A! niech ci Bóg płaci! Nie! nie! darmo się ty kryjesz i udajesz: i ty masz serce! Całe życie pracowałeś, aby się go pozbyć, ale nie potrafisz: i ty ko-

chasz, i ty zlitować się musisz! Odzywa ci się w piersi człowieczeństwo... i tyś człowiek!

Hrabia spojrzał nań ponuro, wstał powoli od stołika, i w milczeniu poszedł do szkatułki stojącej na komodzie przy łóżku, a otworzywszy ją kluczami dobytymi z kieszeni kapoty, począł liczyć pieniądze.

— Skrypt na prostym papierze z wolnością przeniesienia na herbowy, ewikcyja na nieruchomym i ruchomym majątku... i świadka nam potrzeba dla formy.

— Héj! krzyknął na chłopca, który ze swą bladą twarzyczką zjawił się zaraz we drzwiach: prosić regentowicza... jeżeli już nie na folwarku.

— Tylko co poszedł, to ja go jeszcze dopędzę.

— Natura ciągnie wilka do lasu—mruknął hrabia. Oto WPan masz pieniądze, pisz skrypt, znasz formę?

Położywszy czapkę i drżąc ze wzruszenia, Porciakiewicz umoczył pióro i pisać począł, gdy wszedł Lacyna, ale kwaśny i widoczne noszący na twarzy ślady rannéj z panem rozmowy.

— Podpiszesz mi się za świadka na skrypcie, i dasz wiedzieć do Siennego, ażeby mi się ztamtąd ekonom wybierał. Pan Porciakiewicz będzie gospodarował w tym majątku.

Regentowicz w milczeniu pokręcił węża, nie lubił bowiem tamtego ekonomy, który czasem do zbytku się przy pannie Petronelli przysiadł.

— Spełni się, jasnie panie.

Hrabia najprzód sam skrypt odczytał, potem go dał Lacynie do podpisu; wyliczył pieniądze na stole i schował rewers do szkatułki, odprawiając skinieniem regentowicza, który pośpieszył na folwark.

— Teraz, panie Eufrazy—rzekł zimno gospodarz—

zmieniają się nasze stosunki: wszedłeś WPan jako równy do równego, szlachcic do szlachcica—wychodzisz moim sługą, musisz o tém pamiętać. Praca i gorliwość W Pana całe do mnie należą; za to jego rozum całkiem mu zostawiam, bo go nie potrzebuję. Mam ten zły zwyczaj, że tylko swojego używam; proszę więc z rozumem do kieszeni, przyda się na własny użytek, a tylko to robić, co ja każę.

— Bardzo dobrze, odpowiedział szlachcic; ale też ja za skutki cudzego rozumu odpowiadać nie będę.

— Logicznie! logicznie! podobasz mi się!.. No, tak: za niedozór W Pana, za dyspozycję ja płacę. Obejmuj gospodarstwo natychmiast: jak się ekonom dowie, że go foruje, gotów sobie pozwolić. Klucze wziąć natychmiast, dyspozycję przysługę. Do widzenia!

Na tém skończyła się rozmowa.

Po wyjściu Porciakiewicza, hrabia długo siedział w krześle nieruchomy i zamyślony. Znać było, że niezwykle jakieś przyszły mu dumania, że się coś odezwało w zaschlém sercu starego, co już za zmarłe i pogrzebione uważał. Ze schyloną głową, z brwią nawisłą marzył spoglądając na ogień; westchnął potem, wstał, poszedł do okna, w którym dla szpiegowania gospodarstwa zwykł był siadać, i przypadłszy na ławeczce, znowu długo spoglądał na pustą drożynę wiodącą ku tokom.

Chociaż od lat bardzo dawnych jednostajnym trybem szło to życie, któregośmy próbkę widzieli, i można było sądzić, że hrabia przywykł już do niego,—nie

zupełnie jednak zapomniał innéj przeszłości. Krótka ona była, ale w niej najgłówniejsze życia jego mieściły się wypadki: pierwsza miłość młodzieńcza, pierwsze walki ze światem i jego sprawami, pierwszy rozwój charakteru i poświęcenie uczucia dla rachuby. Na dnie tych wspomnień, jak sucha żółta wydma piaszczysta zalegających dziś serce, były gdzieniegdzie prószynki złota świejące. Przebiegając mimowolnie swą przeszłość, Herman zdawał się czegoś żałować, czy śmiać się z czegoś może. Na twarzy jego zawsze jednym okrytém wyrazem, smutek i wesele podobném malowały się skrzywieniem.

Myślał o młodości, która dla niego skończyła się tak nagle, o wszystkiém czego doznał i nie uczuł w życiu, co przeszedł i czego nie kosztował.

Szczery względem ludzi, nielitościwy był też dla siebie, i spowiadał się, gorzkimi poił prawdami.

— Starcze! szeptał w duchu, może miał słuszość ten biedak: jesteś ty szczęśliwy? Znalazłeś ty życie? Czy to, czego pragnąłeś, coś wybrał dla siebie, wystarczyło na zapełnienie piersi, na uspokojenie tęsknoty i pragnień? Spytaj siebie, przebież swą przeszłość, i daj odpowiedź tak surową, jak dajesz obcym, co do ciebie przychodzą żądać pociechy, a ty ich poisz goryczą.

Nie! nie jesteś szczęśliwy; ale któż się szczęśliwym śmie nazwać?

Ten biedak może, który słyszy co wieczór modlitwę swych dzieci, którego wita uznojonego głos żony na progu, który kocha, i powracając do domu, znajduje tyle rąk, co mu się u szyi uwieszają, który ma z kim płakać, przed kim się poskarżyć... A ja?... nikogo nie mam, nikogo!

Rozśmiał się dziwnie.

— Głupstwo! rzekł do siebie. Mam pieniądze, nie mi panuję nad całym światem; sumienie spokojne, żadnych złudzeń. Widzę czyste wszystko, nie oszukuję się niczém, mam czegom pragnął... to dosyć! Życie nie może dać więcej.

A jednak? Dla czegoż mi tak tęskno? czemu gderanie na Lacynę, kłótnie z Pawłem i rachunki i książki nie uspokoją, nie nasycą? Dla czego patrząc na dzieci, zazdroszczę tym, co je mają, i kobiecy uśmiech wprawia mnie w rozdrażnienie jakieś, i niepokoję się, jak gdybym czegoś nie spełnił?

To głupi instynkt zwierzęcy; to słabość, z której się otrząsnąć potrzeba.

Mam czegom chciał—powtórzył—bo wszyscy mają to czego pragną gorąco. Wola jest dźwignią ogromną, i chcieć potrzeba tylko. Chciałem, zrobiłem majątek; odsunąłem się od ludzi, wyrzekłem słabostek, na które oni chorują, uchwyciłem treść życia, wycisnąłem z niego essencję. Napilem się: gorzko mi w ustach.

I zamyślił się biegnąc znowu ku młodości swojej. W życiu jego niewiele było wypadków; wszystkie wszakże przeważnie wpłynęły na nie.

Syn rodziców, którzy, by wytrwać na stanowisku, na jakim ich imię stawilo, znacznie nadszargali majątności, Herman zawczasu napatrzył się walki próżności z niedostatkiem. Komedia ta wstręt w nim rozbudziła i ohydę; postanowił czynnie i śmiało wziąć się do życia. Ale widząc jak boli upadek, co kosztuje fałsz, całą nadzieję położył w dostatku i życie zdobyć go poświęcił.

Wychowany na swój czas starannie, nie bez talentów i zdolności, gdy go odumarli rodzice i przyszło

do podziału majątku z bratem Rajmundem, począł od wyboru schedy, która na pozór była gorsza, trafnie przewidując, że oceniona nisko, da mu sposobność łatwiejszego dorobku.

Zostawił bratu Zarubińce wołyńskie, w pięknej glebie położone, ale mniejszego obszaru, a sam wziął Horycę z przyległościami, które za lichotę uważano.

Wszyscy się śmieli z niego, że dobrowolnie skazał się na grzebanie w piasku; posądzano go nawet o bezinteresowną ofiarę dla brata. Ale gdy objął Horycę, okazało się, że albo on, albo traf za niego doskonale rachować umiał.

Majątność osławiona, w lichój ziemi, była oceniona zbyt nisko; lasy uważano za zupełnie zniszczone i nie już dać nie mogące, bo w nich starzy hrabiowstwo kilkanaście lat belki i klepki wyrabiali.

Tymczasem Herman zaraz po odebraniu majątku wyprzedał jeszcze za przeszło sto tysięcy złotych sosen, spławił do Pińska trochę opałowego drzewa, i dwakroć sto tysięcy długów w przeciągu roku spłacił. Potem hermetycznie las zamknął na lat dwadzieścia, nie dając nikomu z siekierą wjechać do niego, a sam wziął się do gospodarstwa.

Na ziemię niewiele w istocie można było rachować; chowem więc bydła w ogromnej ilości, gorzelniami, smołą z pniów starych, z których oczyszczał bory, powoli dorobił się grosza, i wkrótce stanął na tej stopie, że się długów przywiązanych do schedy pozbył zupełnie, a nawet kapitały składać począł.

Wyszedłszy na swobodę, młody jeszcze, osamotniony, znalazł trafem w sąsiedztwie dom, który go przyciągał. Hrabia nie miał myśli bliżej się z nim łączyć, ale tam znalazł przyjemną rozrywkę; bawił

się i po swojemu rachując tylko co mu da zabawkę nic niekosztującą, stał się w domu państwa Moroszków prawie codziennym gościem.

O milę od Horycy stary pan Morosz, niegdyś pełnomocnik Radziwiłłowski i sławny patron trybunalski, podupadłszy dziwną losu koleją, wziął był dzierżawę, na której mu się zmarło, zostawiając żonę i córkę w bardzo ciężkich interesach.

Był to dzieciak ośmnastego wieku, otarty w świecie, bywalec wielki, światowiec, nienazbyt delikatnego sumienia, żartujący nawet ze zbytnej uczciwości, hulaka, wesoły koleżka, ze wszystkimi wadami i przymiotami swojej epoki. Do pojedynku stanął zawsze; ale biednego oszukać, popierając złą sprawę, z sumieniem się pokłócić dla pieniędzy, nieustannie potrzebnych i ciągle odpływających na huczne zabawy, zrobić coś podejrzanego—nic go nie kosztowało. Nie zebrał jednak grosza, choć zmarnotrawił miliony; przyzwyczaił tylko żonę i dzieci do zbytów, a umierając zostawił je prawie bez żadnego mienia.

Żona jego, wychowanka niegdyś Radziwiłłowskiego dworu, jak ludzie szeptali, chwilowo podobno ulubienica książęca, płoża, zalotna, żywa, dobrze dlań była dobraną parą. Lubili oboje żyć, wiele sobie nawzajem wybaczała, i dotrwali do końca w serdecznej zgodzie, opartej na wzajemnej płożości.

Gdy Morosz umarł, wdowa, obrachowawszy się, postrzegła, że z wielką biedą potrafi się ledwie utrzymać przy dzierżawie.

A choć to była possessya, dom wszakże na cale pańskiej stał stopie i zejść się z niej nie chciało. Córka dorastała, była i wychowana starannie, i cudnie

piękna, a umysł jój obiecywał, że na świecie wielkie ją czeka powodzenie.

Pani Moroszowa więc przyszłość budując na czarnych oczach Izabeli, na jój talencie do muzyki, dowcipie i francuzczyźnie, nie zmieniała trybu życia po śmierci ex-mecenasa. Żałoba jakoś nie była bardzo smutna; do domu, w którym sama pani ożywała wszystkich wesołością i dowcipem, a oprócz panny Izabelli, dwie były krewniaczki bardzo piękne, cisnęła się młodzież tłumnie. Panna zasługiwała na hołdy, które odbierała; gasiła wszystkie równiennice śmiałością, żywością, wdziękiem, umysłem nad wiek rozwiniętym. Szczególniejszym jednak zbiegiem okoliczności, choć kochali się w niej na zabój kto żył, nikt jakoś nie posuwał się do jój ręki. Hrabia Herman, który przybył do tego domu już po śmierci mecenasa i często w nim przesiadywał dla pięknych oczek panny Izabelli, zwrócił zaraz na siebie uwagę matki i całą jój przebiegłość macierzyńską i kobiecą. Posiadacz znacznego majątku, rozsądny, dobrze wychowany, był dla panny świetną partya, dla pani Moroszwój portem spoczynku, kotwicą wybawienia; zwróciła się też ku niemu może zbyt natarczywie, nadto zapobiegliwie, pracując na zawód, który ją miał spotkać.

Kobieta rachowała na młodość, na serce, a panna Izabella uczciwie i dobrze wyuczona, zręcznie jój w tém dopomagała. Na nieszczęście obie kobiety widziały w nim pospolitego młodzieńca, używały środków zwyczajnych i niemi odstręczały go tylko.

Gdy hrabia przybywał, zostawiano go sam na sam z panną po całych dniach. Izabella śpiewała dlań i grała, starała się zastosować do jego charakteru,

upodobań, fantazyi... I ostatecznie pokochała się w nim szalenie, gdy on pozostał sobie zimnym i obojętnym ak był.

Zręczny i ostrożny, ze swój strony nie wygadał się nigdy za nadto, nie obiecywał nic, bawił się, odjeżdżał, powracał, zwlekał, aż wreszcie pani Moroszowa musiała z największą grzecznością zwrócić jego uwagę na to, że powinienby już odkryć się z zamiarami, jeśli jakie ma, bo inaczej zaloty widoczne przyszłości tej córki szkodziłyby mogły.

Zagadniony w ten sposób hrabia, odpowiedział bardzo grzecznie, że dotąd żadnych nie miał zamiarów, ukłonił się nisko i zupełnie bywać zaprzestał.

Panna Izabella się rozchorowała, dom cały okrył żalobą; musiano przez sąsiadów, przyjaciół, krewnych ściągnąć hrabiego nazad do domu pani Moroszwów, co nie łatwo przyszło.

Zostawiono rzeczy naturalnemu biegowi, a panna Izabella silna wolą, miłością, wdziękiem, była prawie pewna, że zmusi w końcu hrabiego do ożenienia. Być może, iż mu to kiedy przeszło przez głowę, ale się jak trzymał na wodzy, tak był przywykł do rachunku, iż się z tém wcale nie wydawał.

Kilka lat rzeczy były w jednym stanie, na jednym stopniu: Herman przyjeżdżał, bawił się, śmiał, żartował, słuchał muzyki, bywał czasami czulszy, zdawał się podbity; potem stękał znowu i znowu powracał; aż panna Izabella, która go szczerze kochała, po młodemu, wpadła w rodzaj melancholii. Że ję z nią było bardzo pięknie, hrabia częściej tylko przyjeżdżał, wdychał z nią nawet, ale to nie wpłynęło na żadne z jego strony wyraźniejsze oświadczenie.

O mil pięć od Horycy ku Wołyniowi, mieszkali niejacy państwo Burakowscy. Sam pan nie wiedzieć zkąd był przyszedł do ogromnego majątku. Przybył z za świata; ze swojej przeszłości wcale się nie tłómacząc, kupił dobra znaczne, i osiadł w nich. Powierzchność jego zdradzała ledwie oskrobanego dobrokowicza, żona nie była pokaźniejszą, oboje niezmiernie śmieszyli świeżem państwem swoim i zbytkiem złego smaku. Mieli oni córkę tylko, jedynaczkę, którą, jak słyhać było, chcieli koniecznie wydać za utytułowanego księcia jakiego lub grafa.

Typy tego rodzaju są u nas pospolite, a dochodzą do niesłychanych śmieszności rozmiarów. Trafiają się one i gdzieindziej, nigdzie im tak jednak może słońce i powietrze ku bujnemu rozwinięciu nie sprzyja. Burakowscy, których *origo* całkiem była mgłą okryta, zdali się nieledwie jakąś odgrzebaną z pod sukmany rodziną, co nagle skarb znalazłszy, przebrała się w aksamity, a chodzić w nich nie umiała, niedołężnem naśladowaniem tego, co ją otaczało, pobudzającym do śmiechu. Przy najlepszych chęciach brania ich na seryo i wynalezienia jakiegóż dobrej strony, niepodobna było jęj odszukać. Sam Burakowski, tłusty, czerwony, krzykliwy i gestykulujący niebezpiecznie, tak, że w czasie rozmowy, z nosem opodal trzymać się było potrzeba, prosty człek, mówić nie umiał, choć hałasował. Żadnego języka, nawet tego, którym się tłómaczyć usiłował, nie znał; skąpy był, chciwy, podejrzliwy i łatwowierny razem; dosyć ograniczony a najpoczwarniej nadęty, piął się do panów, uważając się za jednego z nich.

Zdawało mu się, że odkrył tajemnicę państwa, która podług niego zależała: najprzód na pieniądzech;

powtórę na śmiałości w postępowaniu, ruchach i mowie, potrzebie na oddzieleniu się od tego, co nie jest panem. Postępował też ściśle według swojej teorii, jak chcącemu uchodzić za pana przystało. Z pieniędzmi się przechwalał co chwila, starając się okazać, że ich ma wiele; krzyczał, rzucał się i łażał śmiało; a żył tylko z tymi, których za równych sobie uważał, resztę mając za motłoch, na który jeśli z łaski spojrział, jeśli przemówił z potrzeby, dawał zaraz czuć, aby się trzymali daleko i pokornie.

Za to z tymi, którzy wedle niego byli mu równi, starał się w czułej, a często przykrój dla nich zostawiać poufałości. Plagą też był Burakowski, i gdzie się ukazał uciekano od niego jak od powietrza (czego on nigdy nie chciał widzieć i nie brał do siebie).

Mały, bryłowaty, na krótkich grubych nóżkach, z otyłą wygoloną twarzą i nastrzępionym do góry czubem siwiejącym, dosyć brudny i zaniedbany, wyglądał jak karykatura porcelanowa, niedobrej fabryki.

Szanowna jego małżonka, równie jak on niemłoda, słusznego wzrostu jejmość, niegdyś piękna, co jeszcze dla archeologa łatwe było do poznania, wyglądała jak dobrze zachowana mumia egipska. Była milcząca, sztywna, i miała dwa tylko nałogi: zbyt częstego spoglądania w lustro, i zbyt częstego mówienia o sobie i o swój piękności. Wyszedłszy z tego zajmującego przedmiotu, niewiele miała do powiedzenia, słuchała nawet z roztargnieniem, gdy jój co opowiadano, i patrzyła milcząca w zwierciadło, naprzeciw którego zawsze starała się usiąść.

Mowa jój nie dowodziła bardzo starannego wychowania; za to ruchy przesadne, wymuszone dla nada-

nia im niby dobrego tonu, były do najwyższego stopnia śmieszne, bo niesłychanej pełne pretensyi. Strój dziwny przyczyniał się jeszcze do uczynienia jęj odpowiednią mężowi karykaturą. Przybyli jakoś z daleka z pieniędzmi znacznymi Burakowscy, okupili zadłużony klucz, według rachuby pospolitej tysiąc kilkaset dusz liczący, i wyrestaurowawszy stare domowstwo, poczęli się bawić swojem państwem.

Z nadzwyczajnem staraniem ukrywali swoją przeszłość; wymykały się im jednak pół-słówka dowodzące, że musieli majątek zebrać na ekonomstwie, dzierżawach i jakichś nieczystych frymarkach. Wśród rozmowy, ilekroć pan odezwał się z jakimś niefortunnem słowem, pani pokaszliwała; ile razy pani mówiąca o swojej piękności wspomniała jakiś kompromitujący stosunek, pan chrząkał. Natychmiast potem, spojrzawszy sobie w oczy, zwracali się na drogę przywoitszą.

Przyjęcie państwa Burakowskich wśród obywatelstwa możeby było doznało niejakić trudności i uległo zwykłym boleściom i upokorzeniom wszelkiej naturalizacyi, gdyby nie ta okoliczność, że z nimi razem przybyła już piętnastoletnia dorastająca córka, jedy-naczka, panna Eliza Burakowska, która świetne wychowanie odebrała na pensyi we Lwowie, była już piękną jak niegdyś matka, a w przyszłości obiecywała być dziedziczką owych tysiąca kilkuset dusz i kilku tysięcy włók lasu. Pan Burakowski w chwilach, w których do otwartszego wynurzenia się był skłonny, mru-gając jednem ckiem powiadał:

— Kochany panie... moja Eliza może sobie i księ-cia ułoić: to pański kąsek! milioniczek! milionik i z czubem! z dobrym czubem! A sama caca, niech ją Bóg ma, i główka nielada, i buziak niczego!

Buziak był w istocie śliczniuchny, oczy czarne cho niewielkie jak dwa węgielki, buzia malinowa, okrągłuchna, noszek odrobineczkę zadarty, ale malutki i zręczny, a uśmieszek i wejrzenie przejmujące; tylko rączkę, choć białą, miała dość dużą, a nóżek jakoś nigdy nie pokazywała, więc o nich nikt nie wiedział.

Wychowanie jój w istocie było świetne, bo grała przepysznie i hałaśliwie a prędko, śpiewała wdzięcznie piosenki włoskie i francuskie, których charakteru miłosnego rodzice nie podejrzewali, czytała romanse francuskie, i umiała śmiało dawać sobie radę na świecie, choć rodzice często jój zawadzali, a za ojca i matkę czerwienić się musiała po łokcie. Eliza była żywa, lubiła wesołość i uśmiechy, zresztą dobre dziecko, trochę roztrzępotań, o którego przyszłości wyrokować było trudno; bo choć dużo złego z pensyi wyniosła, dużo też dobrego ma w sobie każde serce kobiece, a nie można nigdy wiedzieć co wnijdzie na bujnym gruncie: pierwsze czy ostatnie, żyto czy kąkole.

Nie wiem, trafem czy umyślnie Herman dojechał aż do Burakowskich; a że był wówczas młody, uchodził już za bogatego, miał tytuł choć go nie lubił używać, i rozumem swym a oryginalnością od razu podbił rodziców,—natychmiast osnuto projekt ożenienia go z Elizą, czemu i ona nie okazała się przeciwną. Hrabstwo z majątkiem przy zupełnej karystyti książąt w okolicy, wydało się Burakowskim dostatecznym.

Po dwóch czy trzech odwiedzinach, Burakowski powiedział sobie: „Trzeba dobijać!” i za czwartymi wręcz oświadczył Hermanowi, że życzyłby go sobie za zięcia. Herman odpowiedział ni to, ni owo, rozśmiał się, uściskał Burakowskiego, który napróżno chciał go wyciągnąć na więcej znaczące słówko, siadł i odjechał.

Odprawiony tak z niczém ojciec, z razu bardzo się zmieszał, bo to wyglądało, jakby z córką na targ wyjechał i kupca nie znalazł; nie wiedział co robić, zafrasował się mocno, zaczął się obawiać, że hrabia może zaprzestać bywać u niego, i byłby schudł nawet, gdyby w kilka dni potém Herman się nie zjawił znowu, jak gdyby nigdy nic. Nie wspominając wcale o propozycji, milcząc jak zwykle, uważniej zaczynał przypatrywać się pannie Elizie. Burakowski poczuł, że go trzyma, ale zrażony pierwszą próbą, zasnurował usta.

Tymczasem pani Moroszowa i panna Izabella, dla których deską wybrnięcia był hrabia, przerażone zostały natychmiast przyniesioną im wieścią o wizytach Hermana u Burakowskich. Domyśliły się łatwo grożącego im niebezpieczeństwa; córka płakała łamiąc ręce, matka się rozchorowała: długo napróżno oczekiwano niewiernego, który nie przybywał. Zjawił się nareszcie jednego wieczoru.

Przybycie jego zwiastowane jak wielki wypadek, o mdłości przyprawiło matkę, a córce ostatkiem nadziei wypalony rumieniec wypędziło na twarz zbladłą i spłakaną.

Herman powrócił nic nie zmieniony; sądzono, że bajki chyba rozniesiono o Burakowskich, a wówczas już było po słowie, po zaręczynach z Elizą.

Zwlekła się pani Moroszowa z łóżka do saloniku, i z gorączkowym niepokojem choroby i macierzyństwa, na chwilę sam na sam zostawszy z hrabią, zagadnęła go o córkę.

Hrabia wstał z kanapy z surowym wyrazem na twarzy.

— Nigdy nie bywając u pani—rzekł poważnie—ani słowem, ani półsłówkiem nie dał do zrozumienia, że-

bym się miał starać o pannę Izabellę; owszem usiłowałem panią wyprowadzić z błędu.

— Ale trzeba było być ślepym, żeby nie widzieć, żeś się jój starał podobać, pozyskać jój przychyłność, zrobić jój nadzieję.

— Nadziei! nadziei nie robiłem żadnej! odparł hrabia. Lubiłem towarzystwo córki pani, do tego się przyznaję, i dla tego u niej bywałem.

— Ale WPan ją kochasz! zawołała matka przywiedziona do rozpacz.

— Gdybym kochał pannę Izabellę, odpowiedział zimno: byłby to powód właśnie, dla którego ożeniłbym się z nią nie mógł.

— Jak to! łamiąc ręce, spytała pani Moroszowa.

— Bo w życiu miłość jest przeszkodą, jak wszelka słabość, a małżeństwo jest spólką, w której więcej zimnej krwi potrzeba i rachuby niż uczucia.

Całej tej rozmowy, którą hrabia kończył wdziękając rękawiczki, nie dosłuchała matka, gdyż osłabła; córka zaś, która za blizkimi drzwiami stała, weszła żywo w tę chwilę, z zaciśnionymi ustami, płomieniącymi oczyma i tak piękną wzruszeniem, które jój z razu mówić nie dawało, że nawet hrabia panując nad sobą, uczuł się zmieszany jój widokiem.

— Panie hrabio, rzekła mu dumnie; nie potrzeba słów i przyrzeczeń, żeby zawinąć przed kobietą: jest mowa, którą rozumiemy wszyscy, a ta choć śladów nie zostawia po sobie, może być zbrodnią i oszukaństwem. Byłam szalona, bom wierzyła w serce, gdzie go nie było nigdy, gdzie go nie ma i nie będzie. Idź pan z tego domu, który okryłeś żałobą, któremu wydarłeś pokój i szczęście; a jeśli kiedy w życiu pomyślisz

o młodości, niech ci ona na czoło i piersi padnie zgryzotą popełnionej zbrodni.

To mówiąc i nie dając mu czasu na odpowiedź, wskazała drzwi dumnie, a sama pobiegła do zemdłonej matki. Takie było ostatnie widzenie się hrabiego z panną Izabellą. Pani Moroszowa wkrótce potem umarła; prawie równocześnie hrabia Herman ożenił się z panną Burakowską.

Dramat wszakże na tém się jeszcze nie skończył. Panna Izabella zmieniła miłość na nienawiść, i tę poprzysiężoną nieprzyjacielowi na całe zachowała życie. Niewidzialna, oddalona ciężyla nad tym, który tak chłodno, tak nielitościwie z jęj serca zrobił igraszkę.

Pozostawszy zupełną sierotą, wyprzedala skrzętnie odziedziczone resztki po matce, i zbierała się stale walczyć z ubóstwem, gdy śmierć stryja sławnego skąpca zamieszkałego i zapomnianego gdzieś w kącie Owrucza, przyniosła jęj pomoc niespodzianą. Z tém panna Izabella, o której rękę znowu niejeden się zgłaszał, odepchnąwszy wszystkich, poczęła wieść dziwne jak na pannę życie, nieustanną wypełnione pracą. Umysłu bystrego, wyuczona przy ojcu ostrożności, jaką w stosunkach z ludźmi zachowywać potrzeba, nabyła sama wioskę w sąsiedztwie i gospodarzyć w nięj zaczęła. Jeszcze bardzo piękna, przebrała się w suknie proste, zamknęła dom, zerwała stosunki, i wzięwszy tylko starą ciotkę do siebie, aby nie być samą, jęła się robienia majątku z zażartością do żywego dotkniętej kobiety silnej woli.

Sąsiedzi przypatrywali się jęj ze zdumieniem, w małym jednym konnym wózku obieżdżającej pola, stojącej w słomianym kapeluszu na głowie przy robotni-

kach, licząc kopy, doglądając drobnotek z nie-
znużoną cierpliwością. Twarz jęj stała się surową, oko
groźném, usta zamknęła. Nie była złą panią, bo nie do-
puściła niesprawiedliwości u siebie, ale litości nie mia-
ła dla nikogo, jak los nie miał litości dla nięj. Jedyną
rozrywką po całych dniach takiego trudu była dla
nięj muzyka, której nie porzuciła nigdy; namiętnie się
nią jako antidotum przeciwko cierpieniu wewnętrznemu
zajmowała, najczęściej po nocach. Dźwięk jęj for-
tepianu w pustym domu często rozlegał się do dnia
białego, a stróże nocni chodząc pod oknami i przysłu-
chując się tęg dzikięj muzyce, nieledwie skłonni byli
poczytać ją za czarownicę.

Raz obrawszy sobie stały tryb życia, i założywszy
cel, szła do niego panna Izabella zacięcie, wytrwale,
z wolą niezłomną. Nic jęj nie kosztowało co tylko wio-
dło do celu: oszczędność, osamotnienie, praca, zapar-
cie się serca, o które najtrudnięj kobiecie.

Skutkiem tego poświęcenia się było, że nie do-
szedłszy starości, panna Izabella dorobiła się majątku,
którego u nas każdy dopracować się może, kto chce
i wytrwać umie.

Tymczasem hrabia ożeniony z panną Burakowską,
wystawiony został na ciężką i niespodziewaną walkę,
której nie przewidywał. Naturalnie, państwo Bura-
kowscy chcieli się zięciem chlubić, chcieli losem córki
popisywać, pragnęli otwartego domu, rozgłosu, wysta-
wy, a tego wszystkiego hrabia po szumném weselu
odmówił im, zamykając się jak najhermetycznięj w Ho-
rycy. Tego pan Burakowski znieść nie mógł, a hra-
bia innego życia nie chciał. Młoda żona poczęła pła-
kać, młody mąż śmiał się: położenie było krytyczne,
ale charakter hrabiego nieugięty. Wkrótce po ślubie

wynikły kwasy, nieporozumienia, boje nawet z Burakowskim, który na Horycę napadał; nieprzyjmowany szturmował do drzwi, robił skandale i nareszcie córkę porwaną uwiózł do domu.

Po niejakiem czasie, gdy się po nią nie odzywał, powróciła do nieugiętego męża, który raz danego dotrzymał słowa, i zmusił ją do cichego ustronnego życia. Eliza poddała mu się, ale Burakowski zaczął chudnąć nagle, kaszlał, chorował i umarł; po nim w sześć miesięcy wierna małżonka, piękna niegdyś pani Burakowska, poszła na wiejski cmentarz.

Objąwszy po nich dobra, wkrótce potem hrabia doczekał się syna; a że mu szło o to, aby go na godnego następcę wychował, począł się nim z niezmierną troskliwością od pieluch zajmować.

To było powodem nowych nieporozumień z żoną najczulszą, ale najniedorzeczniejszą z matek, i ludzie nieprzyjaźni hrabiemu (na których nie zbywało) utrzymywali, że ją zbyt surowém obchodzeniem się z dzieciną do grobu wpędził. Po niedługim pożyciu, biedna Eliza dostała suchot i umarła, ostatnią łzą żegnając syna i przyciskając go do piersi, jakby pragnęła pochwycić i unieść z sobą, przeczuwając dla niego ciężkie na świecie losy.

Chłopiec więc pozostał sam z ojcem, a ojciec nieubłagany w raz powziętój myśli, niezrażony tém, że walcząc nieustannie z żoną zdrowia a może i życia ją pozbawił, jął się sam wychowania Jurasia, na sposób Russa, najprzód usiłując z niego uczynić silne dziecko natury.

Miedzy innemi przekonaniami hrabiego było i to, że u nas braknie najwięcej hartu charakteru i wytrwania we wszystkiém: pragnął więc, by syn jego

pod wszystkiemi względami był żelazny. Mniejsza o to, że go codzień kąpał w zimnej wodzie, że najprostszymi karmił potrawami, że czasem głodem morzył, że mu się często sprzeciwiał, wypróbowując ile w nim znajdzie stałości, że go zmuszał do jednostajnych zabaw i zajęć od dziecka; ale tak był dla niego surowy, jakby już miał ze starym do czynienia, więcej od niego nad wiek wymagając, dręcząc nieustannem szpiegowaniem i dozorem. Dziecię to stało się istotnie męczennikiem.

Mogło to w przyszłości wyrobić w nim charakter, siłę, energię, ale w pierwszych chwilach zbyt silnie może nim targając, tamowało swobodny rozwój sił duszy. Walka, do której go zmuszano, była za wczesna. Dziecię prócz tego przyniosło z sobą zaród dziwnego uporu, nieugiętości, i to, co ojciec chciał w nim wyrobić drażniąc, już do zbytku znalazł wyrobione przez samą naturę. Juraś więc zepsuł się raczej niż poprawił takim prowadzeniem, bo do tego żelaznego charakteru potrzeba było koniecznie łagodniejszej ręki.

Ztąd od lat niemowlęcych prawie, zwłaszcza gdy mu matki zabrakło, chłopak począł z ojcem bój strasznie zawzięty, milczący, ale nieustanny. Burzył się, uczył w ostatku kłamać, by swą miłość własną ocalić, a ilekroć złapany był na winie, zacinał usta, coraz większą ku ojcu nabierając nienawiści.

Było także w systemie hrabiego, który myśli miał rozsądne, choć w wykonaniu ich chybiał, aby dziecko wychowywać starannie, ale trybem takim, żeby się w kraj wzięło i na tej ziemi kształciło, •od której w przyszłości oderwać się nie mogło. Przygotowawszy więc do klass syna w domu bardzo troskliwie, choć niemal co pół roku zmieniał i wypędzał nauczy-

cieli, oddał go do szkół do Pińska, postawił jak ubo-
giego na kwaterze, gdzie jak najgorzej karmiono, a na
lekcyje tylko nie żałował. Zmuszał go także chodzić
w jak najgrubszém suknie, w jak najbardziej podartych
bótach: to należało do systemu. Juraś z ochotą poje-
chał do szkół, gdzie się spodziewał cokolwiek wolniej
odetchnąć; ale i tu oko ojca, szpiegowie ojcowscy czu-
wali nad nim. W te żelazne okowy wzięty młody
chłopak temperamentu ognistego, nieugięty, rozjątrzo-
ny, wił się w męczarniach, z których jeszcze hrabia
czasem naśmiewał się, nielitościwie dając mu nauki.

Herman kochał to dziecię pomimo obejścia się
z niem tak tyrańskiego, ale kochał jak to ludzkie umie-
ję, po swojemu, miłością egoistyczną, która najprzód
sвій przedmiot urobić chciała wedle myśli własnej;
przekonany był bowiem, że to wszystko miało jak naj-
świetniejszą przyszołość synowi zapewnić.

Gdy Juraś przyjechał do Pińska, a miał naówczas
lat około piętnastu i był ślicznym chłopakiem, prze-
niosła się tam właśnie na mieszkanie podstarzała już
panna Izabella Moroszówna, która naówczas jak rozpo-
wiadano, była milionową panią, a żyła jeszcze jakby nic
nie miała. Kupiła ona dom w miasteczku, a summy
pozostające jej od gospodarstwa i obrotów miejscowych,
obracała na handel, który dla niej był rodzajem lo-
teryi, żywo ją zajmującej. Wszyscy kupcy znali ją,
pożyczali u niej, mieli z nią interesa i spółki, i sza-
nowali ją wielce, przekonawszy się, że oszukać jej
nie było podobna.

Panna Izabella już miała lat około czterdziestu,
ale życie hartowne, brak uczuć gwałtownych i niszczą-
cych najwięcej człowieka namiętności, przeciągnęły jej
młodość nad zwykłe granice. Była jeszcze piękna,

poważnej postaci, a choć gdzieniegdzie srebrny już włos przerzucał się na skroni, oko błyszczało jeszcze ogniem młodym i pleć nie straciła świeżości, jednej zmarszczki nie miała na twarzy. Dawne jęj zamiłowanie muzyki pozostało i teraz jedyną jęj zabawą i zajęciem; a choć się nigdy nie popisywała przed nikim i nie grywała przy ludziach, fortepiany swe trzymając w pokoju, z któregooby ich dźwięk na ulicę nawet wyjść nie mógł,—wiedziało całe miasto, że pół dnia spędzała przy nich. Zwykle, gdy ją ten paroksyzm muzyczny napadał, zamykała się na klucz, i w obszernej sali, do której nikt wchodzić nie miał prawa, zarzuconej pyłem przysutemi nótami, spędzała po kilka godzin sama jedna. Fortepian dla nięj był z razu tém, czém koń dziki dla Araba, który leci w pustynię, aby pozbyć się ludzi, aby się znużyć śmiertelnie; potém gdy uczucia ostygły, stał się nałogiem, potrzebą, przyjacielem, wypełnieniem życia jakimiś dumaniami i marzeniami melodyi innego lepszego świata.

Myliłby się ktoby sądził, że te kilkanaście lat pracy wytarły w jęj duszy pamięć wypadków przeszłości i osób, które na nią wpłynęły. Zamknięta w sobie, żyjąc jednostajném życiem upływającym bardzo szybko, choć zdawało się wlec powolnie, panna Izabella pozostała w duszy ową panienką, którą była chowając matkę. Poprzysięgła sobie zemstę nad człowiekiem, który ją zdradził, i karmiła ją choć w głębi. Obok tego uczucia kryła się jeszcze niedogasła miłość.

Przypadek, jeśli są na świecie przypadki, w co nie wierzę, bo wszystko aż do najmniejszego kroku najprzód się zdaje obmyślane i znaczenia pełne,—ukazał jęj na ulicy Jurasia, który podobieństwem rysów nie-

zmiernie jój ojca swego przypominał. Juraś w podartój, grubój surducinie, w dziurawych bótach, w czapeczce starój, kroczył z książkami pod pachą do szkoły. Zrazu to widmo wzięła za przypadkowe zjawisko; ale gdy mając usłużnych szpiegów na zawołanie, dowiedziała się, że dziecię to jest synem nieprzyjaciela,—oko jój zapaliło się uczuciem jakimś, które trudno było odgadnąć.

Wkrótce potem zwabiono Jurasia do jednej wdowy, mającej w szkołach syna, gdzie go widzieć i bliżej poznać starała się panna Moroszówna.

Zadziwił ją w dziecku już wybitnie malujący się charakter nieugięty, gwałtowny, którego chłopak utaić nie umiał. Nie śmiała go do siebie pociągnąć, ale często bardzo widywała u wdowy, której tajemnie wyznała, że to jest daleki jój krewny, przez srogiego uciemniony ojca.

Tu ciemno dosyć w tych dziejach, i dojść nie można, czy panna Moroszówna miała jaki udział w dziwnym wypadku, który w rok potém nastąpił. To pewna, że gdy Juraś zniknął bez wieści z Pińska, gdy po niego rozesłano na wszystkie strony świata, niebo i ziemię poruszając, aby go wynaleźć, bo rzuconym u brzegu rzeki sukniom nie wierzono,—przyszedł jakiś list z Pińska do Horycy od panny Izabelli, który Herman w kawałki podarł i zdeptał nogami. Trzy dni potém nikomu się nie ukazując siedział zamknięty, a gdy wyszedł z pokoju, tak strasznie był zestarzały, wychudły, tak zdawał się obłąkany, że ludzie otaczający go przemówić doń nie śmieli.

Odtąd szukano wszędzie Jurasia przez lat kilka, ale dzieciak wpadł jak w wodę; niektórzy nawet z sukień znalezionych utrzymywali, że się istotnie utopił,

i słychu już o nim nie było, śladu nie zostało. Zaraz po jego zniknięciu i odszukaniu sukien, na trzech szlakach znaleziono ślady prawdopodobne uciekającego, ale zwodnicze te tropy do niczego nie doprowadziły.

Na miejscu poprowadzone badania dowiodły, że suknie dziecka przez kogoś innego u rzeki były rzucone. Herman więc robił co mógł, aby odkryć co się z Jurasiem stało: obiecywał nagrody, rozsyłał ludzi, używał policyi, ale wkrótce przekonał się, że to tylko ogromnie kosztowało, że go szukano daremnie i żadnej pewniejszej nie znaleziono poszlaki. Porzucił więc zrozpaczony starania o dziecko, które miał za stracone.

Śmierć żony, później ten straszny wypadek, pograżyły go w smutku i jeszcze dzikszym zrobiły. Zamknął się w Horycy z Lacyną i kilku domownikami, wiodąc życie jakiegoś próbkę widzieli: skąpe, nudne, przerwane tylko drobiazgowym staraniem o gospodarstwo i połykaniem książek, gdy go do nich napadła fantazja.

One stanowiły jedyną prawie rozrywkę starzejącego się człowieka, który wszakże, jak te zwierzęta co karmiąc się różnego rodzaju roślinami, jedną z nich zawsze nie przęda, wyrabiał ze wszelkiego pokarmu jeden sarkazm chłodny, szyderstwo i niewiarę, niezblaganą ucząc się logiki, do której sfałszowania nigdy i w żadnym razie nie chciał serca przypuścić.

Utrzymywał on stale, choć życie mogło go inaczej przekonać, że ze wszystkich żywiołów uczucie było najniebezpieczniejszym, że dalej zaprowadzić na większe narazić mogło głupstwa, niż najsroższe cierpienie zadane prawidłami rozumu. Starał się też uczucia nie

mieć wcale, choć chwilami gwałtownie odzywało się o prawa swoje.

O synu, gdy zaprzestał poszukiwań, zakazane zostało nawet wspomnianie w domu; unikano wszelkiej i najdalszej alluzji do dziecięcia tak dziwnie straconego. Herman wstrzymywał się sam od wyrażen, któreby tego wypadku dotyczyć mogły, a nieposłusznych w tym względzie karał oddaleniem.

Wszakże stary Paweł Siermieżki, niegdyś Paweł Siermiega, dawny sługa domu, którego wiek był zagadką, utrzymywał po cichu, że pozostałe po Jurasiu rupiecie, złożone w osobnej izdebce, czasem tajemnie odwiedzał ojciec i na klucz się z niemi zamykał, a wychodził potem z czerwonymi oczyma.

Oryginalna to była postać tego Pawła Siermieżkiego, który przez dodanie szlacheckiego zakończenia swojemu nazwisku chciał je udostojnić, choć rodzonych synowców miał na wsi, i jawnie a oczywiście pochodził z wieśniaczej rodziny.

Tak to u nas często bywało, i nikt się temu nie dziwił, że ktoś zrzuciwszy sukmanę, wdział surdut, i szarawary spuściwszy na buty, już trochę zostawał szlachcicem; a im dłużej chustkę na szyi nosił, tém się mocniej sam o tém przekonywał, iż musiało w nim istotnie coś być szlacheckiego; aż nareszcie gdy się pochodzenia zapomniało, w drugim, trzecim pokoleniu czepiał się herbu jakiegoś z małą nazwiska przemianą, i już tak dalej familia jego nobilitowana pra-

wem surduta, wędrowała w świat ze szlacheństwem najautentyczniejszym.

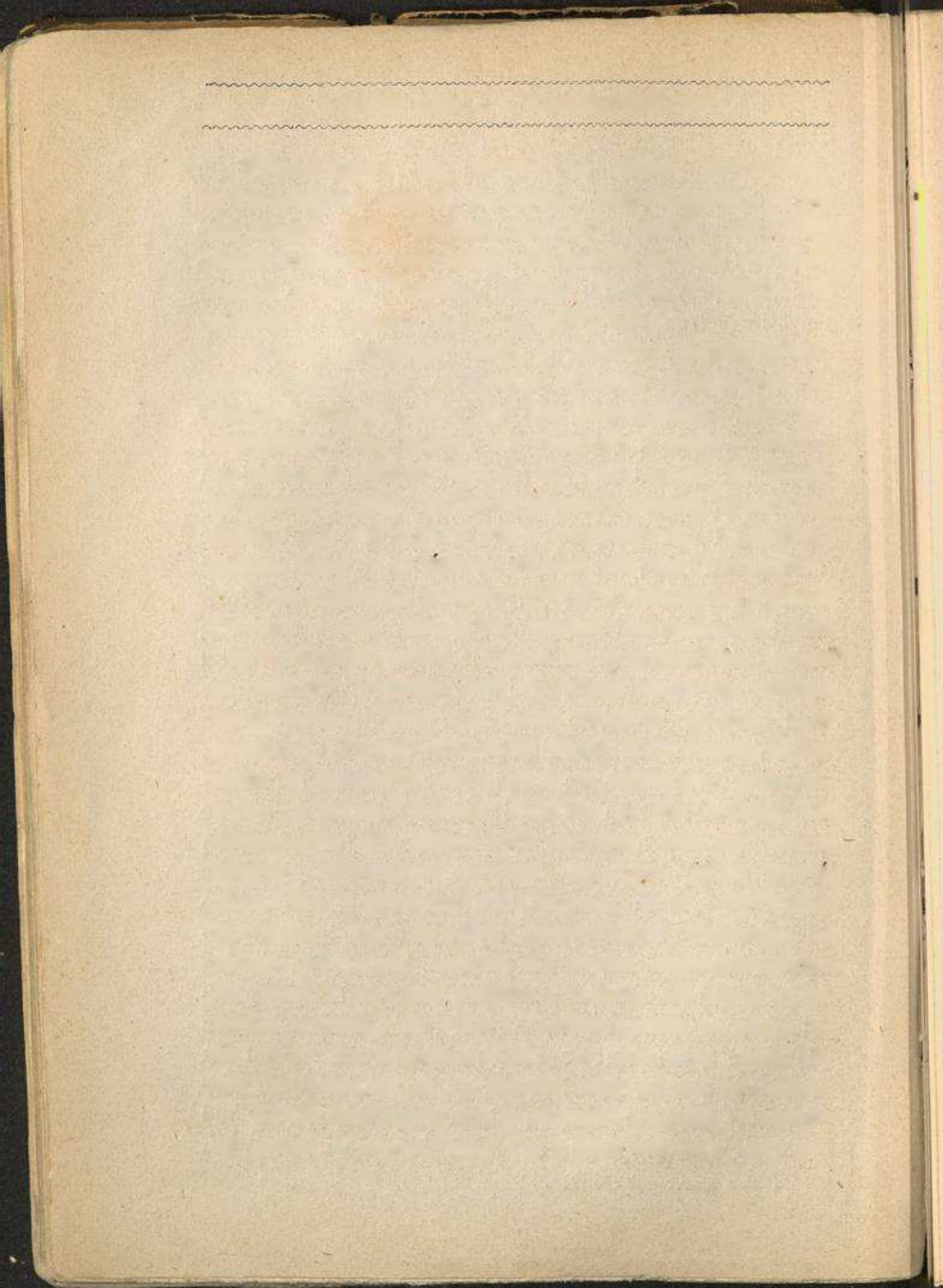
Mnóstwo tego mamy przykładów, a niekiedy działa się to tak gwałtownie, przez przenosiny z miejsca na miejsce przyjmowało tak dobrze, iż ani się było domyślić podrobienia, zwłaszcza gdy nowy szlachcic gęste miał wąsy i minę.

Jedno tylko uderzało zawsze w tego rodzaju rodzinach, że o ojcach swych unikały rozmowy i nie puszczały się w kollygacye; a gdy o tém u drugich była mowa, po twarzy i minie poznawałeś, że to im nie smakowało.

Otoż Paweł Siermieżki był to człek tak stary, że nikt wieku jego nie wiedział, a siwi dziś ludzie już go w dzieciństwie zwiedłym pamiętali staruszkciem. Mógł mieć lat dziewięćdziesiąt lub sto, może więcej; mógł siedmdziesiąt kilka, ale nigdy o swym wieku nie mówił, a gdy inni o nim wspominali, uparcie milczał zażywając tabakę.

To pewna, że hrabia Herman nie był młodym, a Paweł na rękach go nosił i służył mu od dzieciństwa: jeździł z nim do szkół, pamiętał wszystkie figle panicza, był z nim potem ciągle, i sam jeden niejaką nad nim uzyskał władzę.

Prawda, że się często kłócili, owszem stara przyjaźń pana i sługi zdawała się najmocniej krzepić nieustannemi sporami; ale się też kochali obaj, i jedną miłością widoczną, jaką Herman okazywał, było przywiązanie jego do Pawła. Kochał go też Paweł, i z tém się nie taił, a bronił zapalczywie przeciwko wszystkim i zawsze, utrzymując, że pan jego jest najlepszy w świecie człowiek, serce złote, dusza bez skazy, a udaje tylko czasem srogiego, aby go ludzie nie nadużywali.



wodu do kłótni nie było, zamykał się u siebie na modlitwę, potem prowadził zażartą fabrykację tabaki, a gdy się ta sprzykrzyła, wiązał niewód.

Ile utarł tabaki, której ani on sam, ani nikt zażywać nie mógł, ile niewodów do dóbr hrabiego przysposobił, trudnoby wyliczyć. Tabaka leżała pakami; niewody zapaśne, latami oznaczone, wisiały wszędzie po strychach. Pracowitszego nad niego nie znalazłeś człowieka.

Tego dnia właśnie schodził z góry Paweł, gdy w sieni spotkał Porciakiewicza, z którym dawno się znał, bo go małym chłopakiem pamiętał Siermieżki.

— O to! a co tu pan u nas robisz? zapytał Paweł uśmiechając się.

— A co! jak myślicie panie Pawle? Bieda mnie przygnała.

— Zaś bieda! a jakaż? niech Bóg broni! Czyżby już bieda do tak gospodarnego zawitała człowieka?

Porciakiewicz głową pokiwał.

— Nie dość to gospodarstwa, szczęścia jeszcze potrzeba... Ot co! na starość sługą zostałem.

I łzę otarł, pokazując pieniądze, które jeszcze trzymał w ręku.

— No! no! może u nas zostaniecie? spytał Paweł wesoło.

— Będę ekonomował w Sienném.

— A co złego? żywo chwytając go za rękę, dodał staruszek. U takiego pana służyć, nie wstyd i nie żal, mospanie; to człek złoty!

A widząc na twarzy Porciakiewicza jakiś uśmiech dwuznaczny, dorzucił:

— Et! wy bo go nie znacie... On ma taką passyę udawać nieużytego i srogięgo; ale serce pocziwe,

człowiek anioł, mospanie! To ja wiem co go od pieluch znam. Coś mu się tylko przyplątało grać tę rolę dziwną... a co z nim zrobisz? uparty! To cała bieda! Już wierzcie, że ja go znam. I dobrzeście zrobili, pannie Porciakiewicz, żeście go sobie wybrali; bo kto mu się powierzył, nikogo on nie opuścił.

Po tych wyrazach rozstali się, a Paweł zastukał do drzwi Lacyny, którego zastał chodzącego kulawo po pokoju w wielkim ferworze. Przyczyną rozdrażnienia było ranne obejście pana. Regentowicz gniewał się na niego niepomału. Poznał to od razu Paweł, bo nie pierwszy raz widział.

— Ho! ho! co tu u waści słyhać? spytał.

— A nic! rzekł Lacyna, chodząc i żymając się.

— Cóż to, waść jak środa na piątek?

— Albo to nowina! Kto to wytrwa z takim człowiekiem! to kat nie człowiek!

— Ot znowu! gadajże z nim!

— Ja go taki porzucę! zawołał Lacyna.

Paweł ruszył ramionami.

— Pluń na to! rzekł spokojnie: a gdzie ci lepij będzie?

— Wszędzie.

— Co tam znowu nowego?

— A stare rzeczy! stare! rzekł rozjątrzony Lacyna. Temu pankowi się zdaje, że jak u niego szlachcic chleb je, to wolno mu już nim pomiatać jak zechce, i krzywdzić, i znęcać się; ale ja mu pokażę, że tak nie jest! Ja mu pokażę! Nie, nie, ja mu pokazać muszę! Człek przecię ma swój honor, którego nie sprze dał... a on mi powiada w oczy, że ja kłamię, że miano nie wstał... rzuca mi przekąsy, że chodzę na fol-

wark do panny Petronelli! A gdyby i tak było? kto mi tego zabroni... kto? kto?

O wódce nie nie wspomniał Lacyna, ale chodził nachmurzony.

— A jeśli ci powie prawdę, to cóż? spytał siadając Siermieżki. Korona z głowy nie spadnie.

— Ja tego nie lubię! tego nadto!

— Oj! oj! dałbyś już pokój, a Pana Boga chwalił, kiedy ci dobrze. Cóż ty tak wielkiego robisz? a masz wszystko, i pensyjka dochodzi regularnie.

— Jakaż pensyjka? wielkie mi rzeczy!

— No, i chleba kawał.

— Jaki chleb? jaki?

— I dalipan ci dobrze, tobyś nie wydziwiał.

— A! bardzo dobrze! ironicznie rzekł Lacyna.

Paweł spostrzegł, że regentowicza nie ukołysz, i wstawać miał, aby sobie ta burza sama przez się minęła, gdy się wsunęła trzecia postać, także dworak horycki, niejaki pan Radwanowicz.

Był on niegdyś nauczycielem w jakichś szkołach, i zwał się od téj pory „panem professorem;“ rzecz jednak była wątpliwa, kiedy, jak i gdzie ten obowiązek spełniał, gdyż silnie przyparty, wykręcał się żarcikami z oznaczenia miejsca i daty.

Radwanowicz był potężny mężczyzna, podobny silną budową do gospodarza, ale i otyły w dodatku; na twarzy jego malowało się zdrowie żelazne, i gdyby nie łysa głowa, która świeciła jak kolano, poświadczając pewne zużycie człowieka, mógłby za młodszego niż był w istocie uchodzić. Był to ów łykacz książek, *bellua librorum*, typ znany w świecie, co czyta z nałogu i z czytania niewielką korzyść wyciąga, a raczej do reszty się niem obalamuca. Nie mając począt-

kowego wychowania gruntownego, któreby go na drogę wprowadziło i doradziło wybierać co złe a co dobre, Radwanowicz chwycił, pożerał, ale nie trawił.

W głowie jego powstała ztąd mieszanina najosobliwsza rzeczy i myśli, a skutkiem jakiejś osobliwszej operacji mózgowej, było dla niego zupełnem niepodobieństwem trzymać się przy jednym jakimkolwiek założeniu i wypowiedzieć myśl jakąś porządnie.

Zacznął coś najprostszego, przechodził do rzeczy najniespodziwianszych, wpadał w coraz nowe, i kończył odskoczywszy o sto mil od przedmiotu; to go czyniło pociesznym niekiedy, czasem, gdy umyślnie bredził, dowcipnym nawet, ale do niczego niezdatnym. Niedorzeczność jego wielce zabawiała hrabiego, który go więcéj trzymał dla rozrywki niż do biblioteki. Na dole w kilku pokojach był znaczny zbiór książek, które Radwanowicz rozrzucał pod pozorem układania, wśród których sam jeden tylko mógł się znaleźć, i z powodu tych zajęć przybierał szumny tytuł bibliotekarza.

Próżniak znakomity, gaduła niewyczerpany, Radwanowicz gdyby nie ten przytułek, nigdzieby kawałka chleba może nie znalazł, bo do żadnej roboty się nie zdał, a miał się za geniusz i żalił się, że niepoznany umiera, że dla tak głupiego świata pracować nie warto. Głowa bez rozwagi żadnej, jak podniebienie żarłoka bez smaku, pożerał co napadł: złe, dobre, twarde i delikatne pakując bez różnicy, i ostatecznie po tém obżarstwie nie mu prócz niestrawności umysłowej nie zostawało.

Ogromny ów kolos zaledwie się wcisnął do Lacyny dysząc i sapiąc, bo zawsze był zmęczony byle kilka kroków zrobił; siadł zaraz we drzwiach na krześle,

które pod nim jęknęło, i ocierając pot z czoła, wyciągnął rękę do tabakierki Pawła.

Miał on się za bardzo, za nieskończenie wyższego od Lacyny, który rzadko czytywał i nie miał żadnej pretensyi do uczoności; wszakże często do niego na gawędkę zachodził, bo ta ekspektoracya była dla niego taką potrzebą, że czasem kazania prawił do rąbiących drwa stróżów. Z Pawłem byli w stosunkach przyjaznych, ale mu się czasem czuć dawało co ex-professor, a co stary lokaj!

Paweł na to ruszał ramionami. Radwanowicz jednak, gdy miał prośbę do pana, nie powierzał jej nikomu, tylko Siermieżkiemu.

— Oj! oj! wracam od ciężkiej pracy, muszę też tu choć chwilkę odetchnąć—rzekł Radwanowicz;—gdyż jak mówi filozof, którego czytałem siedząc w oknie, a przez okno widziałem Porciakiewicza: *szlachcic benenatus et possessionatus*, ośmioro dzieci. Pewnie po pekunię nawrócił do Horycy. Miałem i ja niegdyś grosza. Ale to nie dla filozofa. W młodości co innego się śniło... Sen... *vigilantium somnia*, jak ów powiada—kto powiada? Nie wiesz Lacyno? Nie wie!... Kasztelanic... a trzeba wiedzieć, że matka jego z udławienia kością umarła. Kości służą do gry, to wiecie, i Lacyna też... Z kości gotuje się klój... robi się arba czarna... *exempli gratia* szuwaks, *szuwaxum*... Zkąd czarność oznacza żałobę... chociaż nie u wszystkich narodów...

— Otoż plecie! rzekł Lacyna.

— Ale coś mi regentowicz zwarzony? spytał professor: widzę po twarzy... Wiadomo, że Janus miał dwie twarze, jeśli nie więcej; zkąd *Januarius*, styczeń

od stykania. Otoż daj tabaki, panie Pawle, kiedyśmy się zetknęli.

Wyciągnął rękę do Pawła.

— Cóż Lacynie?

Regentowicz pokręcił wąsa czupurnie, zatarł czuba, poprawił kołnierzyków i rzekł:

— Ot co... że ten dom opuszczę.

— Nie słuchaj! rzekł Paweł: bredzi.

— Ale cóż się stało?

— To kat nie człowiek! powtórzył Lacyna.

— Hm! kat, *carnifex*, mistrz, czerwony płaszcz, wielki miecz; zkąd gilotyna, o której różne są zdania co do jój wynalazku. Wynalazł i Kolumb Amerykę; zkąd Wespucyusz nazwany został Amerykiem... wszak tak? A to dowodzi, że pan Lacyna gniewać się nie powinien. No! to jasno!

— A to bieda z tymi mądrymi, nigdy z nimi do ładu nie trafisz, tak im się w głowie pomiesza—szepnął Paweł. Widzisz, że chce opuścić Horycę.

— O! strachy na Lachy! odparł Radwanowicz: zkąd zaraz Lech i Leszki. I jabym mógł być profesorem *ex professo*, a nie myślę, bo mi tu dobrze... Chociaż dobre, filozoficznie mówiąc, zawsze jest względne, ale hrabia bezwzględnie dobry bardzo człowiek; prawda panie Pawle?

Paweł pośpieszył z radosném potakiwaniem; Lacyna z pogardą ruszył ramionami.

— To się wyszumi! dodał Radwanowicz... to się wyszumi, chociaż szumowiny, ściśle biorąc, jest to lichota... szum, piana, nicość, *pulvis es et in pulverem reverteris*, proch!... Dajże waćpan proszku, panie Pawle!

Lacyna wciąż chodził poruszony. Wtém drzwi się otworzyły na wpół, i głowa chłopaka od hrabiego, któregośmy widzieli w przedpokoju, wsunęła się przez nie niespodzianie.

— Aj! po całym domu szukam jegomości! zawołał zdyszany Wicek. Pan prosi pana Pawła, ale pilno.

— Mnie!...

I zerwał się Siermieżki biedz, a dwaj towarzysze umilkli nagle. Professor tylko po cichu coś szeptał, żeby usta nie próżnowały.

Kwadrans tak upłynął może, w ciągu którego regentowicz sapał, a Radwanowicz po cichu mówił sam do siebie bardzo ciekawe rzeczy, gdy Paweł powrócił zbłądły i widocznie zmieszany.

Obu uderzyła ta zmiana malująca się na jego twarzy, ale że często miewali spory z Hermanem, domyślali się tylko, że i teraz coś zająć musiało.

Paweł stał zadumany.

Trzeba wiedzieć, że hrabia od bardzo już dawna nie wyjeżdżał z domu, długie lata przesiedział w Horycy, nawet w bliższych nie bywając miasteczkach, jak najmniej wszystkiemu udzielając się światu. Osamotnienie, choroba, zresztą systematyczne lekceważenie ludzi, przywiodły go do tego.

Przestrach Pawła wywołany był niespodziewaném oznajmieniem, że Herman chce jechać do Pińska. Zdziwiło to niezmiernie Siermieżkiego, który silnie przeciwko temu w imieniu zdrowia hrabiego zaprotestował; otrzymał odpowiedź ostrą i stanowczą, i wrócił cały pomieszany. Tymczasem przybory do téj drogi robić kazano niezwłocznie.

— Co to jest? co to jest? spytali razem Radwanowicz i Lacyna: co się WPanu stało, panie Pawle? To jakiś dzień feralny.

— Ale nic! Tylko mu się przywidziało znowu jechać do Pińska!.. Jechać! po co jemu jechać?

Wieść ta wpadła między nich jak piorun.

Lacyna i Radwanowicz spojrzeli na siebie znacząco; wychodziło to tak dalece ze wszelkich prawdopodobieństw i trybu życia zwykłego, żeby po latach zasiedzenia miał hrabia gdzie wyjechać, iż nie pojmowano, co mogło to nagłe postanowienie spowodować.

— Jemu jechać? po co? zawołał, machając rękami staruszek: do czego to się zdało? Chory, kolana go bolą, zaziębi się; ani powozu, ani porządnego poklatu nawet i czółna, ani odzieży stosownej! Noce chłodne... Gdzież? odzwyczaił się: rozchoruje. Staremu wyjść tylko ze zwyczajów, to śmierć.

Lacyna pokiwał głową.

— Zwyczaj, nałóg, druga natura, dodał Radwanowicz... nic pewniejszego. *Natura naturans* i *natura naturata*; zkąd Linneusz i Buffon naturaliści, a nie daleko zaraz świat przedpotopowy, zęby słoniów i mamutów; Afryka słoniowym zębem handlująca, która była śpichlerzem Rzymu. *Roma aeterna*, i *limina apostolorum*....

— I po co jemu jechać?

— Po co jemu jechać?

— Po co jechać? z oburzeniem wtórowali wszyscy.

— WPan, panie Pawle, powinienesz mu to przecież wybić z głowy: bo po co jedzie?

— Czy ja mu mogę co wybić albo wbić! zawołał Paweł. To uparty jak... (ale tu się pomiarkował)—choć

najlepszy w gruncie człowiek, nic w świecie przekonać go nie potrafi, gdy sobie co powie.

— Już od razu uważałem, rzekł Lacyna, że w jakimś dziwnym był humorze.

— Czy wypadł jaki interes? dumał głośno Paweł.

— Był u niego Porciakiewicz, to może on.

Na twarzach dworaków Hermana malowało się podziwienie niezmierne i pomieszanie. Każdy miał do tego jakiś powód:—Paweł czuł swe przywiązanie do pana i troskliwość o jego zdrowie. Lacyna powoli rachował, że przez ten czas odetchnąłby na folwarku przy paninie Petronelli, ale z drugiej strony jadłby gorzej i po powrocie ścisłyby musiał zdać rachunek z gospodarstwa. Radwanowiczowi nudziło się samemu, przywykł był już nawet do żartów, które sobie z niego stroił pan hrabia.

Wszyscy zresztą od lat tylu jednostajne i solidarne wiodąc życie, z przerażeniem widzieli nagle mogącą w niem zajść zmianę, niewyrachowane następstwa, i obawiali się ich instynktowo.

Przyczyna téj podróży zagadkowa niepokoiła ich wszystkich. Po co i dla czego miał się z domu oddalać? Domyślali się ważnej, bardzo ważnej przyczyny, gdy go z téj ciszy i nałogowego zadomowienia wyrwała.

W duszy człowieka dziwne się czasem dzieją rzeczy, i gdyby nam przyszło wytłómaczyć co było przyczyną tego nagłego postanowienia hrabiego Hermana, nie umielibyśmy zdać sprawy,—tak jak on sam nie wiedział może dobrze, dla czego to czynił.

Od bardzo dawna nie widzieli się z bratem Rajmundem, pisując tylko kiedy niekiedy do siebie. Zadrzała jakaś struna, dawno zardzewiała, od wyrazów

może wyrzeczonych przez Porciakiewicza: stary chciał się zobaczyć z rodziną, przypominał sobie węzły, które go z nią łączyły; postanowił więc jako próbę odbyć najprzód przejażdżkę do Pińska dla przygotowania się i oporządzenia do tej drogi na Wołyń. Któż wie, czy nie chciał się rozerwać?

W domu całym wieść o tém niezmiernie sprawiła zaburzenie; wychodziło to ze zwyczajów, z domysłów, z możliwych wypadków. Więc gdy po dłuższej naraździe i stękanii w izdebce Lacyny, puszczone odgłos po dworze o wyjeździe dziedzica do Pińska, wszystko aż do ostatniego we dworze parobka, w największym zadziwieniu i niepokoju rozbiegło się z wielką nowiną: „Pan jedzie!!!“

Nawet klucznica, pani Seredowiczowa, kobiecina pokorna i milcząca, która całe życie narzekała, że ją Pan Bóg tą służbą pokarał, a jednak już lat piętnaście wdowieństwa swego przetrwała w Horycy, ruszyła ogromnie ramionami i zaczęła kiwać głową w sposób znaczący.

Wszyscy jednak ochłonawszy z pierwszego wrażenia, poczęli po ludzku rachować, czy im to w jaki sposób dogodne nie będzie? Lacyna miał przed sobą kilka dni spokoju i odpoczynku; Radwanowicz myślał, że mu nic czytania i mruczenia przerywać nie będzie; pani Seredowiczowa przypuszczała, że mogłaby przez ten czas nie wstawać tak rano, ani tak osobiście fatygować się do dojenia krów i robienia serów. Paweł tylko nieborak chciał panu sam towarzyszyć, obawiając się o jego zdrowie, nie zważając, że i w jego wieku podróż mogła być trudna i niebezpieczna.

Z tą myślą poszedł w kilka chwil do hrabiego. Herman przechadzał się po swoim pokoju wolnym

crokiem, a gdy Paweł stanął we drzwiach cicho, zatrzymał się z ledwie dostrzeżonym uśmiechem na przeciw niego.

Paweł czekał milczący.

— No! gadajże stary, boś darmo nie przyszedł.

— Pewnie, że nie darmo! rzekł Siermieżki: pewnie że nie darmo; ale człowiek głowę traci. Trzebaż pogadać o téj drodze, bo to nie jest mała rzecz.

— Cóż tak strasznego?

— Ale... panie hrabio...

Trzeba wiedzieć, że Herman hrabią tytułować się nie lubił, zwłaszcza w chwilach złego humoru. Tupnął więc nogą.

— Co to! ty nie wiesz, że mi ten tytuł nic potém? rzekł oburzony. Czy ci to znowu mówić potrzeba? To tylko ciężar i śmieszność; bronię się nim od policyi, a w domu kat mi po nim.

— Toć ja wiem, ale ta podróż...

— I tego się już boisz?

— Pewnie! kto dziesięć lat z domu się nie ruszył, nogi ma pobrzękle, stary, niezdrowszy, odwykły, albo to mała rzecz?

Ruszył ramionami.

— Daléjże co? już się wygadaj stary gdero.

— I po co jechać?

— Żeby się przejechać.

— Niby to pan tak rozrywki potrzebujesz! gadaj zdrów! No, ale jakże jechać? Cóż, obijanikiem? u nas porządnego nie ma, tylko ten, co jeździ Lacyna; potém nawet, żeby do dnia wyjechać, w Pińsku na noc być trudno, a noc na wodzie to choroba pewna, jeszcze dla jegomości! Powozem? to u nas także porządnego nie znaleźć; wszystko pordzewiało i poopadało.

Stary kocz, wstyd wyciągać, resor pękły i sznurkiem związany, a buksy słyszę tak powycierane, jak papierki; poduszki już trzy lata temu szczury pojadły... pan sobie przypomina, że Jankowi dali za to dziesięć, że nie dozorował.

— Ale żółty koczyk, żółty; toć się nim jeździ?

— A tak! na spacer do Siennego o milę! zapewne! Ale do Pińska po tych drogach, a jeszcze opakowawszy! czy to wytrzyma? Ani myśleć! Trzeba rzeczy wziąć! Pan, ja...

— Jak to, ty?

— A toż ja przecię jadę! rzekł Paweł stanowczo.

— Ty? ze mną?

— No! a myślisz jegomość, że ja się zostanę?

Herman parsknął śmiechem. Paweł się oburzył.

— O! już że pojedę i tak jegomości nie puszcze samego, to nie puszcze... Z kimże! czy z głupim Mateuszem, co wszystko tłucze? czy z Wickiem, którego robaki męczą? Żaden łóżka nawet posłać nie potrafi, ani kawy zgotować. Nie! już ja na to nie pozwolę, żebyś jegomość sam jechał.

— Mnie się coś zdaje, że zostaniesz.

— Nie zostanę. Albo jegomość nie pojedziesz, albo mnie z sobą zabierzesz.

— Ale mój Pawle, toć przecię powinienś mieć choć tyle sensu, żeby wiedzieć, że mi będziesz ciężarem nie pomocą. Toż nie ty mnie, ale ja ciebie będę musiał pilnować.

Paweł ruszył ramionami.

— Nie wiem kto z nas gorszy niedołęga, czy jegomość, co tam masz jakie pięćdziesiąt, czy ja, com już był stary, gdyś się rodził! No! no!

— Dajże mi pokój!

Milczeli chwilę. Paweł poczynął mruczeć.

— Choć to wiosna i powietrze ciepłe niby, ale w cóż się jegomość ubierzesz? Do domu, to tam masz cokolwiek, ale na drogę, do ludzi, to nawet pocziwěj sukni...

— Myślisz, że ja do ludzi będę się stroił inaczej niż do tych czterech ścian i do was? odparł hrabia... po co? dla czego? Mam nową kapotę szaraczkową.

Paweł się oburzył.

— Wszyscy wiedzą, że mam pieniądze, będą mnie i w sukmanie szanowali: zobaczysz. Kapota siwa przy worku nabitym, za sajotę stanie.

— Co to gadać! Jegomość i czapki nawet porządnej nie masz — rzekł Paweł; a potem gderał dalej:— Toć to w drodze trzeba porzucić swój obyczaj. I co jeść? i jak spać? Do czego jegomości ta podróż? Jegomość to tak jak stary zegar, co póki stoi na miejscu, a nakręca się o jednej godzinie, to jeszcze idzie; ale go tylko rusz, a poczniěj w różne czasy podkręcać, zobaczysz, że go żaden zegarmistrz nie wyreparuje.

— Czasby też odpocząć wagom! rzekł jakoś smutno Herman. No, dość tego—dodał—Wicek pojedzie ze mną i koniec.

— Ha! będziesz jegomość widział! zawołał Paweł wychodząc: niby to ja tak puszczę starego niedołęgę! Tenby i o podeldoku zapomniał, i smarować nie umiał. Gadał sobie zdrów, a ja pojedę!

I wyszedł.

Na dzień następny naznaczony był ów straszliwy wyjazd do Pińską, a po naradzie z Lacyną, uczczonym tēm, że go wezwano do konsylium, i rachującym, że częściej będzie mógł do panny Petronelli zaglądać, postanowiono, że ładem choć dalej, jechać będzie do-

godniej i bezpieczniej. Tegoż dnia opatrzone żółty koczyk, którego skóry wysmarowano tranem, bo się fartuch stwardniały nie zapinał, i na budzie pościągane było nakrycie; kowal wezwany podorabiał urońione szrubki, pozaszywano poduszki, z których włosy się wydobywały, i kompetentni utrzymywali, że powóz nietylko do Pińska, ale do Ameryki dojść może.

Miał jednak ów żółty koczyk tyle do przebycia grobel i nakotów, że to było niemałą zagadką. Furmani, kowal, stelmach, ekonom, długo tę kwestyę rozbięrali, i pani Seredowiczowa stała pół godziny z oczyma wlepionemi w resory. Wieczorem już dobyto tłomoki, ale okazało się razem tyle rzeczy potrzebnych do drogi, a przywyknienie do domu tak w wyborze ich Pawła trudnym czyniło, że postanowiono oprócz koczyka wziąć na pakunki, i stary Paweł miał się na nim zabrać.

Nie będziemy opisywali wyjazdu, który miał w sobie coś uroczystego, ani wyboru, który po prostu był śmieszny, bo Paweł po trosze chciał cały dom zabierać. Godzina wyruszenia oznaczona była na ósmą, od siódmęj zaś gromady ludzi stały w dziedzińcu, i wszystko co żyło wezwane do pakowania, utrudniało ostateczną robotę, gdyż coraz z nowęj porady, wyjmowano i na nowo kładziono manatki. Każdy starał się przypomnieć coś niezbędnego: butelki ze śmietanką, z kawą, z octem, z musztardą, słoik z chrzanem, wędliny, faskę bigosu, wszystko to pochłonęła furka, na której jeszcze Paweł jechać się wybierał, bo nic nie było w stanie przekonać go, by pozostał.

A gdy przyszło siadać do starego koczyka, zaprężonego czterema staremi także szkapami gniademi, o których równie powątpiewano, czy dojdą do Pińska,

bo jeden miał ułogę i kulał silnie, a żaden od dawna dalej dwóch mil nie chodził; gdy przez drzwi boczne wyszedł pan Herman,—wszystko co żyło w domu i na folwarku wysypało się z zakątów: parobcy, stróże, ekonom, nawet panna Petronella, zasłaniając twarz od wiatru wiosennego... i ugruppowali się malowniczo w pewném oddaleniu.

Herman rzuciwszy okiem, ruszył potężnie ramionami z niecierpliwości, i zawołał:

— Zdaje mi się, że mnie już na cmentarz prowadzi. Słuchajno, Łacynol! żebyś mi rano wstawał! żebyś wszystko zastał w porządku! Choć mnie tu nie ma, ale oko moje zostanie: będę wiedział o wszystkiém...

I tak żółty koczyk długo ścigany oczyma, gdyż jedno koło nie zupełnie szło w koleję, co wszystkich niepokoiło, ruszył przez miasteczko, gdzie na niego dużo jeszcze po drodze ciekawych oczekiwało, i dalej w drogę ku Pińskowi.

Jak Herman dwa dni jechał i na popasach, i na noclegu musiał cierpliwie słuchać gderania Pawła; jak z trudnością dobrano mu dom w Pińsku, w którymby nie było ani wilgoci, ani przewiewu, ani swędu, ani hałasu; jak Paweł w tym względzie był drobnostkowy do śmieszności, a im pilniej baczył, by panu było wygodnie, tém pan Herman sprzeciwiając mu się, mniej zdawał dbać o to: pominąć musimy.

Paweł, jakkolwiek nie ciekawy, rad był przecie wiedzieć, co go sprowadziło do Pińska; ale mu trudno było dosledzić.

Hrabia posłał po kupców, z którymi miał interesa, ażeby się z nimi rozmówić i obrachować; przywołał krawca dla zamówienia sobie nowego ubrania; zresztą siedział przy kominie, przerzucał książki, które przywiozł z sobą, i zdawał się nie mieć żadnego pilnego celu podróży.

Drugiego dnia jednak napisał list i posłał z nim do miasteczka. Paweł dopatrzył tylko, że był adresowany do panny Izabelli Moroszwówny. Znał on tę całą historję przedwieczną, i odnowienie znajomości niezmiernie go sturbowowało; że zaś nie przywykł był taić się z tém co myślał, nim odpowiedź przyszła, pobiegł do Hermana pod pozorem poprawienia na kominku. Hrabia chodził żywo po izbie i myślał, oczy mu się pwieciły, widocznie był w jakimś stanie niezwykłym podbudzony, niespokojny.

— Co tam pan pono pisał do panny Izabelli?

— Co ci do tego! oburzył się hrabia.

— O! do tego mi, do tego! mruknął Paweł — i bardzo, i bardzo! A któż ciebie na rękach nosił? Gdybym ja milczał, patrząc jak się głupstwo robi, grzech bym miał na sumieniu.

— Pawle, dajże mi pokój!

— Gniewaj się nie gniewaj, ja ci pokoju nie dam. Niby to ja nie rozumiem pisma nosem! Ha! ha! zachciało się jegomości głupstwo zrobić, i to jeszcze na wiarę starych lat z babą się żenić....

— Ja! żenić! krzyknął Herman: czyś oszalał!

— A po cóżeś pisał? po co?

— Pawle, ty mnie doprawdy męczysz!

— Pan się sam męczysz! Jeżeli chce się już tobie do licha żenić, to czy sobie czegoś młodego nie znajdziesz? ...

Kiedy już ma być głupstwo, niech będzie jak się należy; a toć baba! przypomnij jegomość, ile to lat!

— Ale oszalałeś, Pawle!

— Oszalał ktoś, ale nie ja! nie ja!

Hrabia się rozśmiał.

— Daję ci słowo, że się mylisz. Daj mi pokój!

— Ja ci tego głupstwa zrobić nie dopuszczę!

— No! cicho, stary! tupnął nogą zniecierpliwiony hrabia. Cicho, i dosyć tego....

— A po cożes do niej pisać?

Chwilę milczeli obaj. Paweł wyszedł pomrukując. Posłaniec jednak powrócił od panny Izabelli bez żadnej odpowiedzi, i dzień przeszedł jak poprzedni. Paweł począł się dowiadywać kiedy powrócą do Horycy, ale hrabia milczał.

Kłócili się tak kilka razy na dzień i kończyli zgodą, choć Siermieżki miał zawsze trochę urazy o to, iż nie rozumiał dobrze co w Pińsku robią.

Nazajutrz drugi list wyprawił hrabia do panny Moroszówny, ale i na ten nie było odpowiedzi.

Dzień znowu zszedł na niczém. Zmiany humoru na twarzy hrabiego dostrzedz było trudno, ale późno w noc paląc ogień na kominie, chodził i myślał nie mogąc usnąć. Paweł śledził każdy krok jego. Gdy następnego dnia wyprawiony po jakieś pilne sprawunki, wróciwszy nie zastał pana w domu, poruszyło go to nadzwyczajnie. Hrabia widocznie mu się wykradł; Siermieżki oburzony i wzruszony wrzał niepokojem, naprzemiany płacząc i łajac.

— A już mu dam też jak powróci! wołał stojąc w bramie domowstwa i rozglądając się na wszystkie strony. Powłókł się, to nie bez kozery; po co? do

kogo? nic mnie nie powiedziałwszy! Umyślnie tak, że-
bym ja nie wiedział!

Gdy Siermieżki utyskuje tak i w prawo a w lewo
rzuca niespokojnym wzrokiem w ulicę, pan jego wy-
mknąwszy się z Żydkiem przewodnikiem, pociągnął do
domu panny Izabelli Moroszówny.

Z jakim uczuciem, nie wiem; nie znać nic było
na twarzy, prócz surowego wyrazu silnej woli.

Dom panny Izabelli, choć bardzo porządny i jeden
z niewielkiej liczby murowanych w Pińsku, stał w uliczce
ustronnej, wśród lichych kletek, budek i straganów,
nieopodal od brzegu. Jedną nawet stronę wychodził
na mały plac, na którym wyładowywano towary,
gdzie leżały stopy beczek smoły, worów zboża, a rano
przybyli pławiczkami kobiety i mężczyźni, zasiadali
z drobnymi wiejskimi zapasami, żywiącemi miasteczko.
Z okien jego widać było w jedną stronę ten rynek
niemalowniczy, w całym nieładzie żywota powszednie-
go, który nawet na niedziele i święta przystrajać się
nie myślał; z drugiej po za lichymi daszkami bud ota-
czających, sterczały maszty berlinek jak las drzew wy-
palonych i wyschłych; w dali po za niemi wielka
płaszczyna wód, trzciny i zarośli, ciągnęła się gdzieś
w nieskończoność.

Dom choć porządny, nie odznaczał się niczem. Dół
był najęty na sklepiki; osobne obok nich wniście pro-
wadziło na piętro zajmowane przez pannę Moroszównę.
Po staremu nie było tu ani dzwonka, ani sługi; wschody
stały otworem aż do drzwi mieszkania, zamkniętych
na rygiel ze środka. Było już około południa, gdy
Herman wsunął się wskazaną sobie drogą i zapukał
do drzwi na górze. Po chwili ukazała się głowa sta-

rego człowieka, dość niepocześnie odzianego, który dla roboty zrzucił był z siebie zwierzchnią suknię, i począł przymrużonemi oczyma wpatrywać się w przybyłego.

— Panna Moroszówna? spytał Herman.

Nie było we zwyczaju meldować.

— A no, jest! a gdzieżby się podziać miała? rzekł sługa. Czego pan chcesz?

— Chcę się z nią widzieć.

Popatrzawszy znowu, zawyrokował snadź sługa, że to jest ktoś, kogo wpuścić należy, i otworzył drzwi całe, sam dybając powoli za Hermanem, aby pani o nim oznajmić.

Gość przeszedłszy ciałniutki przedpokój, w którym była komoda, całą jego zajmująca szerokość, oraz kilka krzeseł z wytartą na jedném poduszką skórzaną przed piecem, którego bok świadczył, że się przy nim często wygrzewano, gdyż pobiała żółtego natrała połysku, — znalazł się zaraz w saloniku niewielkim i niepoczesnym. Oko nieprzywykłe nawet do rozbierania i poszukiwania cech, po których mieszkańca charakteru i stanu duszy domyślałby się można, uderzone być musiało zaniedbaniem i smutkiem, jaki tu panował. Kobięcie potrzeba przecięż jakiegoś żywiołu poetyczniejszego, czegoś coby mówiło do duszy i serca; w najbiedniejszej izdebce znajdziesz jeszcze kanarka, pieska, kwiatek, coś co potrzebne jest tylko dla oka, tylko dla fantazyi: tu nic nawet nie dawało się domyślać mieszkania kobiety. Okna pokoju wychodziły na ten rynek wrzawliwy, na beczki smoły, na roztargane bryki frachtowe, na cały rząd budek, w których sprzedawano żelaztvo, skóry, powrozy i śledzie. W tych oknach, oprócz zielonych z czarném storów, w téj chwili pod-

niesionych, nic nie było: ani wazonika, ani firanki. Kije tylko opylone w górze świadczyły, że kiedyś może wisiały tam jakieś zasłony. Trochę mebli czarnym włosieniem pokrytych, stół nieprzypadający do nich; na ścianie dwa portrety: mecenasa ubranego po francuzku z fryzurą, i pani w stroju bardzo wyszukanym, wiszące krzywo i niedbale; etażerka z kilku filiżankami,—nic więcej.

Do drugiego pokoju drzwi były nawpół otwarte, ale tam w ciemnej głębinie nie nie dostrzegało oko. Sługa nakładając surdut, powlókł się przez pokoje, a pan Herman sam pozostał rozpatrując się niespokojnie. Uderzyło go to przykre opuszczenie, zaniedbanie, pustki w mieszkaniu kobiety, której już widocznie nie obchodziło, na jakim tle miała się ludziom i światu ukazać.

Był rodzaj rozpacz i zastygnięcia w tém zapyłonym mieszkaniu, którego ręka troskliwa nie tknęła od dawna.

Długa chwila upłynęła w tém smutném rozpatrywaniu gołych ścian i pokrzywionój posadzki, która dawno nie była wycierana i przybrała matową barwę pyłu. Z dalszych pokojów żaden głos i szelest nie dochodził; oczekiwanie było przykre i nużące; p. Herman nie usiadł nawet.

Służący długo nie powracał. Cisza ogarnęła mieszkanie, przerywana tylko wołaniem wieśniaków z ulicy i przeciągłymi krzyki, które przykro ucho drażniły.

Po chwili przesunęła się niemłoda już służąca, obojętnie przemyskając się przez salonik. Rzuciła tylko okiem na gościa napozór roztargnioném i obojętném, i znikła w drugich drzwiach, nie zwracając na niego uwagi.

Jakim sposobem w koło dom obszedłszy, ukazała się w kilka minut później znowu we drzwiach od pokojów wiodących, z kwaśną i niechętną miną, hrabia nie rozumiał.

Była to już niemłoda kobieta, zwiedła, smutna chora, niepozornie ubrana, która mówiąc do przybyłego, oczu na niego nawet nie podniosła; wsparła się tylko na poręczy krzesła niedbale, i patrząc na ścianę, odezwała się:

— Pani chora, widzieć się nie może.

— Proszę powiedzieć, że mam bardzo pilny interes

— To nic nie pomoże; pani chora, a jak jest interes, można się zobaczyć z panem Żerebą, który mieszka w oficynie; to do niego z interesami.

— Ale interes osobisty.

— Kiedy pani chora.

— Tylko kilka słów.

Herman tak nieprzywykły był prosić, że w nowém zupełnie położeniu dla siebie, mimo przymusu, jaki sobie czynił, aby być łagodnym, przebijał się w jego mowie gniew i niecierpliwość.

— Ale kiedy nie można, to nie można! z przyciskiem odpowiedziała kobieta, chcąc odejść.

— A kiedy ja widzieć się muszę!.. stanowczo już rzekł gość poruszony. Proszę powiedzieć, że nie ustąpię, póki się nie zobaczę.

Służąca popatrzała, pomruczała i odeszła, a głucho milczenie znowu zaległo pokoje. Herman pozostał sam; słyszał tylko w sionce krzątanie się sługi, który krzesła posurwał i kłął głośno natrętów, wcale się nie tając, jak mu zawadzali nieproszeni goście.

— Dyabli ich tu przynoszą! mówił. Chce się widzieć? Zapewne pieniędzy pożyczyć! Radaby dusza do

raju: tak! Licho wie zkąd się wyrwie, i zaraz chce się widzieć z samą panią...

Ten monolog, który cały doszedł do uszu hrabiego, przerwany został otwarciem drzwi od wschodów, i szeptem, który trwał minutkę. Późem do salonu wszedł człowieczek niepoczesny w zielonej wyszarżanej taratatie, łysy, z wąsami, w którego oczkach tylko, do bladłej wstawionych twarzy, trochę życia niedogasłego świeciło. Był bardzo grzeczny, uklonił się bowiem raz przy progu, w środku pokoju drugi, przystąpiwszy bliżej trzeci, i choć go dumnie okiem mierzył pan Herman, uśmiechając się słodziutko i zacierając ręce, odezwał się:

— Mam honor się przedstawić w charakterze, to jest jako pełnomocnik panny Izabelli Moroszówny: Ignacy Żereba.

Pan Herman popatrzał na niego tylko.

— Panna Izabella Moroszówna—mówił dalej pełnomocnik — zaszczycająca mnie ufnością swoją, przez organ mój, czyli raczej przez usta moje prosi, abyś Wpan Dobrodziej raczył w interesie, jakiby był lub mógł być, traktować ze mną; gdyż smutny stan jęj zdrowia nie dopuszcza, czyli nie dozwala w tęg chwili samęj trudzić się rzeczoną rzeczą, czyli interesem.

Te wyszukane i dość nieszczęśliwie spreparowane słowa plenipotentą, który idąc za tradycją swady staręj, nawet w najprostszých rzeczach czuł się obowiązany do wytwornego wyrażania swęj myśli, nie inny sprawiły skutek na Hermanie, prócz wielkiego zniecierpliwienia. Zżytnął ramionami.

— Ale mój panie, ja mam interes czysto osobisty, który pośredników nie znosi.

Żereba rzucił na niego okiem podejrzliwém.

— W takim razie—odezwał się—już nie wiem, czyli nie mogę wyrzec; albowiem stan zdrowia...

— Ja potrzebuję się z nią widzieć, i widzieć się muszę! zawołał Herman. Racj jęj to powiedzieć ode mnie. Dziś, jutro, za tydzień — poczekam; ale przecię kiedyś ją znajdę zdrowszą,—to rzecz nieunikniona — będę chodził rok. Nie wszystkoż jedno skończyć to od razu?...

— Prawdziwie, nie jestem w stanie nic w tym względzie orzec pewnego; lecz spełnię polecenie czyli posłannictwo... odparł wymowny Żereba.

Zakręcił się i wyszedł.

Znowu dobra upłynęła chwila, po której nagle we drzwiach otwartych ukazała się postać niewieścia.

Była to panna Moroszówna.

Oboje stanęli przeciw sobie i patrzali długo w milczeniu, po latach dwudziestu przeszło szukając śladów, jakie życie zostawiło na ich twarzach. Herman poblądł, panna Izabella ani drgnęła.

Pomimo cierpień przebytych, ona nie postarzała tak bardzo. Była to jeszcze taż sama piękność porwijająca urokiem, taż sama postawa wspaniała i szlachetna, ale jakby odarta ze świeżości pierwotnej, jakby widziana w matowanym zwierciadle. Strój jęj czarny, prosty, niestarannie narzucony, surowość oblicza i postaci podwajał.

Na twarzy miała wyraz powagi i głębokiego, ale już przyrosłego smutku. Jak wyrzut i widmo występku chwilę nieruchoma stała przed Hermanem i patrzała na niego; aż usta jęj wreszcie przebiegł uśmiech zadowolonej, uspokojonej zemsty, i postąpiła krok naprzd ku niemu. On stał wryty w miejscu; milczeli oboje.

— Chciałeś pan widzieć, czym oczy wypłakała? czy jeszcze boleję i narzekam?... rzekła cichym, ale pewnym głosem. Masz mnie pan na rozkazy. Z nas dwojga, panie hrabio, tyś jeszcze więcej zestarzały, złamany i zmieniony. Cóż dziś po latach tylu możemy sobie powiedzieć?

— Ale, pani! rzekł na chwilę nieco zmieszany Herman: jeśli sobie mamy co do wyrzucenia, to zdaje mi się, wzajemnie.

— Ja? panu? nic a nic! odparła z godnością kobieta. Ja? panu? cóżbym mu mogła wyrzucać? Żeś mnie niby kochając opuścił? Mówmy szczerze. Lepiejżebym była wyszła, gdybyś się był ze mną ożenił i uczynił mnie niewolnicą? Dziś jestem wolną, niezależną, bogatą, panią méj woli; a młodości marzenia daleko, i za nic nie dałabym jednej godziny tego chłodnego życia, w którym spokojnie czekam końca. Cóż pan do mnie mieć możesz?

Herman szukał w umyśle co miał powiedzieć; mimo pewności siebie czuł się splątany, ciężko mu było.

— Pani mi sama dajesz przykład chwalebnej otwartości. Mówmy otwarcie—rzekł wreszcie.

Panna Izabella ze drzwi przeszła powoli do pokoju. Krok jéj nie był pewny, uczucie jakieś zdradzało się wahaniem; usiadła żywo, a raczej padła na krzesło, starając się nie dać poznać, że cierpi.

— Mówmy otwarcie! powtórzyła z goryczą: otwarcie! O! tak najlepiej!

— Jeśli pani masz mi co do wyrzucenia, ja może więcej pani.

— Pan, mnie? a to wybornie! błyskając czarnemi oczyma zawołała panna Izabella. Radabym się dowiedzieć? Musisz mi pan chyba mieć do wyrzucenia, mże

nie umarła, że żyję, że nie dość jestem nieszczęśliwa, że śmiem dziś stanąć spokojna i obojętna w obec panna, którego zgryzoty i lata złamały?

— Mój syn! mój syn! odezwał się porywczo Herman. Pytam cię jak Kaina, coś z nim zrobiła?

Izabella wstała, rumieniec oblał jej twarz.

— Ja i syn twój? ja? cóż jest wspólnego między mną a twojém dzieckiem?

— Ja wiem wszystko! wiem wszystko! zawołał Herman. Jam ci odebrał nadzieję, której nie dawałem nigdy; tyś mi pochwyciła własność, ukradła dziecko jedyne i zostawiła na starość samotnym, osieroconym. Chcę wiedzieć, co się z nim stało?

— Co do mnie należy twój syn?

— A czyjaż sprawą to dziecko mnie odbiegło? czyją? Myślisz, że nie wiem gdzie i jak go widywałaś?

— Nie taję; alboż to grzech, że biedne, opuszczone, zamężone przez własnego ojca dziecię, starałam się widzieć, pocieszyć, i przez litość chwilę mu jakąś osłodzić! Tak jest, widywałam go; nie taję, że gdybym miała siłę, byłabym ci go z rąk wyrwała, boś je chciał przeciw Bogu i wszelkiemu prawu uczynić taką bryłą lodu czy kamienia, jaką zrobiłeś z siebie. Ale mogłażem ci je wziąć? Któż śmie powiedzieć, że byłam przyczyną jego ucieczki?

— Ja to powiadam: chciałaś się pomścić nademną.

— Bóg sam podjął się zemsty... odpowiedziała spokojnie panna Izabella.

— A ludzie Mu pomogli! dorzucił Herman. Tak! i pomściliście się! pomścili! Dla tego przychodzę tu i mówię do twego serca kobiecego. Oddaj mi dziecię! ty jedna wiesz co się z niém stało... Dziecko nie byłoby śmiało uciekać samo, i skryć się tak, by go nikt

odszukać nie potrafił, nawet ojciec. Ty tylko mogłaś mu dopomóc: ty go musiałaś przechować!

— Gdybym była mogła, byłabym to uczyniła, rzekła powstając znowu panna Izabella, której twarz zarumieniała się krwawo; alem nie zrobiła tego co mi przypisujesz.

— A list twój?

— List oznajmił ci karę bożą, o której ja wiedziałam pierwsza: bom syna twojego widywała codzień, bo często karmiłam go, gdyś ty morzył głodem hartując do życia; bom go okrywała, gdy chodził jak żebrak odarty.

— Na co te próżne słowa! zawołał Herman. Wiem, że ci współnictwa występku nie dowiodę, że cię nie przekonam; wiem, że jestem na twojej łasce: przyszedłem prosić i proszę o litość—oddaj mi dziecko.

— Ja o niém nie wiem.

— To fałsz!

— Moich ust—zawołała gorąco panna Izabella, zrywając się z krzesła—moich ust fałsz nigdy nie zmazał: ani fałsz słowa, ani milczenie kłamstwa, ani uśmiech zdrady. Życiem zapłaciłam to, że nie umiała kłamać.

— Nie powiesz mi, że i ja skaził się fałszem.

— Tak! nie kłamałeś słowy, panie hrabio, ale sercem! Byłeś ostrożny, gdym ja była nieopatrna. Ale po cóż te wymówki? kiedy dziś dziękuję Bogu, że się gorzej nie stało, że swobodna, a nie twoja niewolnica, lub zabita, jak matka tego dziecięcia-sieroty, męczarnią powolną złamana. Tamta cię nie kochała nigdy, a padła od despotyzmu twojego; cóżbym ja poradziła, nimby mi się otwarły oczy? Ja nic ci nie wyrzucam, nie chcę; jesteśmy sobie obcy.

— Słuchaj mnie pani! rzekł powolnie Herman namyślając się: mnie nie przekonać nie potrafi, że nie wiesz o mojem dziecku, żeś ty mi go nie wydarła; ale cię proszę, ale cię błagam, oddaj mi je! Przychodzę po długich latach męki oddać ci wszystko co mam: mienie, imię, wolę nawet; zostań żoną moją i matką tego dziecięcia!

Zimny śmiech szyderski przerwał mowę hrabiemu, który stanął osłupiały.

— A! doprawdy hrabio! nie spodziewałam się, byś do tego stopnia śmieszności posunął się na starość. Po cóż mi twoje mienie? jam bogata i nie nie potrzebuję. Myślisz, że imienia pragnę: co znaczy to imię?— ruinę! W tobie starcu, kalece schorzałym, nawet wspomnieniabym przeszłości znaleźć nie mogła. Ta ofiara, to ostatnie szyderstwo!

Hrabia stał wryty ciągle, ale wzrok mu się zapalał.

— Głupim! rzekł jakby do siebie: tyś już nie kobieta, ale harpia bez serca, panno Moroszówno! istota żyjąca zemstą, jak szakale trupami! Głupim, że chciałam przemówić do serca, gdzie go nie ma, do kobiety, gdy jej już w tobie ani śladu... Mówże, czego chcesz?

— Byś mnie WPan od napaści uwolnił.

— To ostatnie twe słowo?

— Pierwsze i ostatnie.

Nie odszedł jednak.

— Byćże to może, żebyś i ty nie miała litości nademną? rzekł po chwili.

— Litości! mylisz się WPan! Lituję się nad nim i bardzo, czuję i wiem, że cierpisz; ale nie w moich rękach na to lekarstwo.

Na chwilę głos jej zadrżał jakoś łzawo.

— Mylisz się pan, rzekła zimniej. Za świadectwo biorę Boga, w którego nie wierzysz, że w ucieczce twojego syna żadnego nie miałam udziału, że nie winna. Całą winą moją ten list, grzech ostatka zemsty, którego żałowałam i żałuję najmocniej!

— Przysiężesz?

— W Pan nie wierzysz słowu?

— Ja w nic już nie wierzę, prócz tego, czego dotykam i widzę.

Spuścił głowę na piersi. Panna Izabella wstała poważna i dumna.

— Na miłość twój matki dla ciebie, na twoją miłość dla niej, zaklinam cię jeszcze raz, powiedz mi: co się z nim stało?

— Ja nie wiem! Znikł... i ja żałowałam dziecięcia. Kto wie, czy ty, czy też ja więcej na tém straciłam? Kochałam to chłopię lepiej może niż ty, coś je chciał jak bezwładny kamień wyciosać podług swój myśli, choć z żywego człowieka łąły się żyły i krew.

— Więc mi nie powiesz?

— Nic nie wiem.

— I możesz z ręką na sercu wyrzec, żeś się nie przyczyniła do tego? żeś mi nie odebrała resztki jego przywiązania i wiary? żeś nie rozdmuchała w nim nieposłuszeństwa i pragnienia swobody? że w tém dziele nie było twój ręki? I na to także przysiężesz?

— Nie!.. stanowczo odparła panna Moroszówna. Litowałam się nad dziecięciem umęczoném dla fantazyi człowieka, co nie miał serca: mozem obudzić w niem uczucie swobody, mozem mu ukazać możność innego życia; ale nie moja pchnęła go ręka, nie!...

— Poznałem w tém przemyślną zemstę kobiety— rzekł Herman, z usty skrzywionemi uśmiechem,—ale

wiedz pani, że to występki, a żaden nie uchodzi bezkarnie!

— Jak to? pan to mówisz?

— Ja! bo wierzę w jedno: w prawo niezłomne, co rządzi światem; w prawo, które stanowi, że grzech niesie z sobą nasienie kary, zaród odpłaty za nią; że w naturze złego jest trucizna, która się obraca przeciwko temu, co ją wytworzył. Jesteś więc skazana cierpieć jak ja, i jak ja nie doznać litości, lub umrzeć osieroconą. Między nami rachunek skończony; między tobą a twym sercem jeszcze nie: w tej chwili pocznie ono mścić się za mnie, a siła niewidoma reszty dokona.

To mówiąc, poszedł szybko ku drzwiom, i zwrócił się. Panna Izabella stała nieruchoma.

— Panno Izabello! w imię wspomnień młodości, w imię winy mojej, proszę miłosierdzia, dopomóż mi, poratuj!...

— Dla mnie nie ma wspomnień, nie ma winy, nie było miłosierdzia; ja pana ratować nie mogę.

Skinęła głową i znikła. Herman został sam. Szybko rzucił się ku drzwiom, i w upojeniu rozdrażniony zbiegł ku domowstwu, na progu już wołając na Pawła, aby kazał pakować i zaprzęgać.

Paweł już miał na ustach wymówki, i chciał długi swar z panem rozpocząć, gdy wejrzawszy na twarz jego, taką uczuł litość, że ust nie śmiał otworzyć. Pierwszy raz może w życiu widział hrabiego tak zmienionym, poruszonym i straszliwie gniewnym.

— Gdzie on to mógł chodzić i po co? co mu się stało? Już kiedy przedemną się tai, rzecz być musi wielka i straszna! Ale z czasem ja tego dojdę.. Nie może być—rzekł Paweł—teraz do niego nie przystąpić

nawet. Albo gruby pieniądz stracił, albo... już nie wiem; dosyć, że bieda, a jak bieda, nie czas swoje do niej dodawać. Jak się wysapie, nie daruję, że chce mieć przedemną sekreta.

Paweł gadał tak sam do siebie urządzając się na powrót do drogi, gdy postać nieznajoma i dziwna wsunęła się do gospody, nieśmiało dopytując o JW. hrabiego Hermana.

Był to człowiek już niemłody, wysoki, chudy, nieco przygarbiony, którego strój zdradzał ostateczne ubóstwo. Starał się przecie ów pan ukryć je jako tako, choć napróżno; ale w ostatniej walce z pozorem został zwyciężony: nędza wyszła na wierzch i zdawała się z niego naśmiewać.

Ubrany w stary wice-mundur wytarty i połatany, ale szczelnie zapięty, z medalikiem jakimś w pętlicy, w oszarpanej chustce na szyi, za którą nie było śladu koszuli, miał czapkę utłuszczoną na głowie, resztę stroju bardzo zbłoconą i brudną, a na nogach dziwnie odbijające od fraka łapcie z kory lipowej. Laska sękata i plik papierów wystający mu z zanadru dopełniały smutnego obrazu, który przedstawiał. Twarz także była zbiedzona i nosiła ślady przecierpianej biedy, oczy wpadłe i czerwono okolone, broda zarosła od dawna, pofałdowana skóra, plamami czerwonymi okryte policzki, dawały się domyślać nałogowego pijaka, który dawno nie jadł może, ale ostatni kieliszek gorzałki wypił przed chwilą w blizkim szynku.

— Nie mógłbym się widzieć na minuteczkę z JW. hrabią?... spytał pokornie i cicho, zdejmując czapkę przed Pawłem.

— Wątpię! rzekł spoglądając zbyt wyraźnie na jego łapcie i nędzną minę Siermieżki.

— Ale proszę mnie nie posądzać, podchwycił łykając ślinę, aby pokryć czkawkę. Ze stroju możesz WPan wnosić, że przyszedłem... o co prosić! To byłoby niesłusznie! Ja mam po części osobisty, a po części publiczny interes. Jestem byłym urzędnik, naczelnik stołu kancelaryi ziemiańskiej, Jan Piotr Mąkiewicz. JW. hrabia pewnie mnie przyjąć raczy. A gdzież jest?..

I korzystając z wrażenia, jakie na Pawle wywodził, uczynił, posunął się do drzwi izby, otworzył, i nim Siermieżki podążył mu przeszkodzić, wsunął się do hrabiego z ukłonem.

Spojrzawszy na tę postać, hrabia zmarszczył się i chciał ofuknąć, ale Mąkiewicz przewidując wybuch, nie dał mu na to czasu.

— Mam honor przedstawić się—rzekł odchrząkując—JW. hrabiemu, którego całą rodzinę znałem... i proszę nie uważać na to, że mnie JW. Pan widzisz w tym stanie, co się tyczy obowiązków, z powodu po części nagiotków, jako też innych okoliczności. Jan Piotr Mąkiewicz, byłym urzędnik, mam kilka słów poufnych. Nie we własnym, uchowaj Boże, interesie, jakby to wnosić można z powierzchownego zaniedbania, ale w interesie kraju i dobra ogółu dotyczącym...

Nim hrabia znowu się zebrał na odpowiedź, Mąkiewicz korzystając z podziwienia, szedł dalej:

— Jan Piotr Mąkiewicz, tak jest JW. hrabio!.. Miałem honor jeszcze JW. ojca JW. Pana znać i szczerzyć się jego łaską i protekcją, jako też całej familii, która dla ciężkich czasów z głowy mi wyleciała. Rzecz jest taka...

— Ale czegoż chcesz? spytał hrabia.

— Zaraz, JW. hrabia pozwoli, bym powoli wyluszczył: to sprawa publiczna, okoliczności nieszczęśliwe, los okrutny, szlachcica i urzędnika niegdyś przywiodły do tego stanu, w jakim mnie JWPan oglądać raczysz; ale tu nie o moje łapcie, że tak rzekę, chodzi... Rzecz wielkiej wagi! rzecz dobro ogółu obchodząca! Mówię i rozumiuję tak: Jest-li przyzwoicie i godnie, aby szlachcic Mąkiewicz i urzędnik Mąkiewicz, niegdyś zaszczycony zaufaniem ogółu, przyjaźnią poważnych ludzi, chodził bez bótów? Tu nie o te miżerne bóty w istocie chodzi, JWPanie, gdyż w łapciach jest wygodniej nawet, a co się tyczy pozorów, przesądów i pośmiewiska, mniejsza o to! gardzę!... ale chodzi o zasadę, o *principium*... Chodziłem JWPanie *olim* do szkół pijarskich. Więc nie idzie o bóty, których sprawić nie jestem w stanie, ale o zasadę, którą tak określam: Może-li szlachcic i były urzędnik, zaszczycony zaufaniem ogółu, chodzić boso, bez wielkiego w tém uszczerbku całego społeczeństwa, na które wino jego nędzy spada całkowicie, ogromném brzemieniem!... Zarządziły tedy, przejęte wielkością téj myśli, osoby znakomite, składkę na bóty, albo jeśli się źle wyrażam, na odwrócenie od społeczności naszej zarzutu, któryby ją potępił; a ja ośmielam się tu listę łaskawych obywateli dla ogólnego dobra poświęcających się, złożyć przed oczy JW. hrabiego.

To mówiąc, wyjął z pliku brudny papier i położył go na stole. Herman patrzył na niego osłupiały i dobrze zrozumieć nie mógł.

— Widzę zdumienie na twarzy JW Pana — rzekł Mąkiewicz — i nie próżne JW Panie; albowiem jest-li co smutniejszego, niż widzieć w poniewierce imię szlacheckie i godność urzędnika? Widzę łyżę wkrótce do-

być się i zrosić mające jego oczy! Mam nadzieję, że szczodroblliwość JW Pana raczy mnie, albo raczej zasadę żywotną dla dobra ogółu, podeprzeć.

Nie dokończył, bo mu splunięcie i tupnięcie nogą przerwało.

— Co waćpan tu pleciesz, przyszedłszy po jałmużnę?...

— Za pozwoleniem JW Pana: nie po jałmużnę, nie!... podchwycił z flegmą Mąkiewicz. *Distinguo*: tu nie o bóty idzie, ale o wyższą ideę, której bóty moje są doczesnym symbolem, o *principium*, o zasadę, o ideę, o całą przeszłość naszą i o przyszłość naszą... Bo że ja, mając nagniotki, chodzę w łapciach, które przesąd potępia, rzecz to niewielkiej wagi, zwłaszcza, że mi z tém wygodniej i dogadza fantazyi; ale że Jan Piotr Mąkiewicz z kancelaryi ziemiańskiej, niegdyś zaszczycony zaufaniem ogółu, jest przywiedziony do téj ostateczności: to spada już na cały nasz naród, jakoby nie umiał poszanować pamiątek przodków i zasług ludzi poświęcających się dla dobra ogólnego. Nie o parę więc podeszew, ale o *principium* rzecz!

Tu czkawka przerwała mu mowę.

Hrabia osłupiał, a Mąkiewicz listę i pióro z kałamarzem podsunął mu natarczywie.

— Tfu! do licha, nie plółbyś stary opojul zawołał hrabia, rzucając mu dwa złote z pogardą: wszak cię znam dobrze.

— Wolne żarty tak zacnej osobiel porywając dwa złote, podchwycił z uśmiechem i ukłonem Jan Piotr Mąkiewicz. Przyjmuję to od JW. hrabiego, jako od starego znajomego i ze wszech miar godnego obywatela, w sposobie igraszki słów niewinnéj; ale stoję przy swojém, że ta składka jest dziełem publiczném.

Dwuzłotówka tymczasem zniknęła w jego kieszeni.

— Na takiej wagi dzieło—podchwycił—dwa złote jest mało, jest nic, ośmielał się powiedzieć. JW-ny hrabia raczy rozpatrzyć moją odezwę do serc obywatelskich, i przeczytać imiona dawców, którzy poświadczili, że ideę moją podzielają.

Na liście w istocie stały wzdłuż ogromne imiona i jeszcze dziwniejsze przy nich ofiary, różnym atramentem i charakterem, ale widocznie jedną pisaną ręką.

Jan Piotr Mąkiewicz spełniając swe wielkie posłannictwo, nie wahał się, dla zachęcenia drugich do dzieła, użyć niewinnego fortelu, i pofabrykował nieco podpisy, kołacząc do miłości własnej, która gdy o nią idzie, wyprzedzić się nie daje.

— Jakżebyś JW. hrabia, który jesteś starożytną familii hrabiowskiej potomkiem, dał mniejsz od pana Skirmunta, od księcia Lubeckiego, od pp. Butrymowiczów i innych? byćże to może? Nie wierzę oczom moim! Dwa złote jest dla Mąkiewicza na śniadanie, ale cóż dla idei? dla zasady na téj liście położonej?

— Dajże mi pokój!

— Gotów jestem, ale mi tu idzie przedewszystkiém o dostojne imię JW. hrabiego, którego pospolitować nie mogę dopuścić, nie dozwolę, aby niżej stało od innych.

— Ani niżej, ani wyżej stać nie będzie, bo go nie zapiszę.

— JW. hrabio, ja te dary uważam za fideikomisą powierzone mi w sprawie idei wielkiej; ja tego nie używam nawet na bóty; a jeśli używam, przyciśniony potrzebą, staram się ewinkować na sumieniu, uczciwości i pracy mojej przyszłej, gdyż od lat piętna-

stu podaję prośby o przyjęcie mnie na nowo do służby, z której intrygą i podłą zawiścią wytracony zostałem. A gdy pomyślniejsza zaświeci gwiazda....

Tu przerwał.

— Nie bredźże, proszę cię, mój Mąkiewicz! zawołał hrabia, poglądając na niego. Mój Boże! co to się z tobą stało: odarty! goły i żebrak! Jak ci nie wstyd! Pamiętam, byłeś dosyć zdatnym kancelistą: wódka cię do tego stanu przywiodła.

Mąkiewicz silnie się oburzył.

— Przypuściwszy, żeby i tak było, odezwał się bijąc się w piersi: widzisz pan we mnie ofiarę na ołtarzu dobra publicznego zamordowaną. Gdyby i tak było... służba ogółu! Jój poświęcając się, byłem poniekąd zmuszony prawością mojego charakteru do picia wódki. Tak jest, wydaje się to śmieszném, a jednak jest świętą prawdą. Nigdy rąk moich nie zmazało przekupstwo, grosza nie brałem od nikogo; klienci więc, okazując mi wdzięczność swoją, żądali po mnie często, bym ich grzeczności akceptował, wyrażające się gorzałką, jako najdobitniejszym uznaniem gorliwości mojej. Ztąd nieustanne libacje, ztąd całej natury mojej zmiana, i po wstępie do gorących napojów, niejaka ich potrzeba. Tak padłem ofiarą mojej bezinteresowności.

Hrabia mimo smutku nie mógł się nie rozśmiać.

— JWPan się śmiesz, a ja płacząc łzami krwawemi, — rzekł Mąkiewicz; tu go czkawka porwała. — Ofiara cnoty! poświęcenia, zawiści, aż do ostatka dla dobra publicznego poświęcający się! I bez bótów, chociaż więcej z okoliczności nagniotków.

— Nie mógłżebyś pracować?

— Alboż nie pracuję! Oto właśnie zbieram w pocie czoła tę listę obywateli krajowi zasłużonych, co samo, rzec można, będzie monumentem dla potomności. Gdy zostanie zamknięta, złożę ją albo do akt, jeśli moi prześladowcy zechcą ten dowód sympatii ogólnej do nich przyjąć, lub w zakrystyi kks. Franciszkanów.

Mąkiewicz mówił to z miną tak przejętą, że trudno było nie podziwiać tej doskonałej komedyi, która się często na świecie w inny sposób powtarza, ale tu odegrywała się z całą naiwnością czasów pierwotnych.

— Znałem—dodał—dostojną familię JWPana, nawet nieboszczyka syna jego.

Hrabia zadrżał, ale zamilkł spuszczać oczy.

— W rysach twarzy nosił już znamię tego wysokiego rodu, z którego pochodził, chociaż skromna odzież po spartańsku utrzymywanego chłopca, nie dozwalała z razu domyślać się przyszłego dziedzica Horycy...

— Wiesz, rzekł chmurno i gwałtownie hrabia: że o tém wspominać nie lubię. Dla czegoż powiedziałeś *nieboszczyka*?

— Zmarł bowiem dla świata i nikt nie wie co się z nim stało—rzekł Mąkiewicz z westchnieniem i powtórzoną czkawką. Ale ośmielę się, nie rozdzierając serca ojcowskiego powiedzieć jeszcze, że gdybym był z razu użyty do poszukiwania śladów jego, które niedołężni urzędnicy zatarli, byłbym może więcej coś od nich uczynił.

— Jak to! wiedziałeś co o nim?

— JW. hrabia nie uwierzysz mi, gdy powiem: jeśli kto w świecie zna tę sprawę, to ja.

— Ty?

— A ja!

— Zkądże?

-- Ale co to dziś mówić! Chłopiec przepadł: dziś go za nieboszczyka lepiej uważać.

— Wiedziałżebyś o czém mnie nie wiadomo? gorąco spytał ojciec.

— Dziś te szczegóły, *lapsu temporis*, i z powodu nieszczęść i przewrotów fortuny, jakich doznałem, trochę mi się w pamięci zatarły; ale okoliczności chciały, bym lepiej był tego świadomy niż inny, gdyż zawsze poświęcając się dla dobra ogółu, wówczas jeszcze jako kopiista pracowałem u pana Targowilskiego w tym domu, zkąd to nieszczęście wyszło.

— A on co miał z tém wspólnego?

— On nic, ale inny lokator tego domu.

Hrabia przybliżył się ciekawie.

— Jak? kto?

— O ile słaba dziś i skołatana pamięć może mi przywieść te szczegóły, opowiem JW Panu. JW Pan dozwolisz, by utrudzone nogi trochę odpoczęły; usiądę z daleka, albowiem skutkiem okoliczności, doświadczam przykrego drgania w łydkach.

Hrabia skinął, aby usiadł, i Mąkiewicz przyczepił się na brzeżku krzesła, czapkę kładąc na kolanach.

— O ile tedy wiem—rzekł—i *meminisse* mogę... ot jako rzeczy stały... A proszę JW Pana wierzyć, gdyż nigdy usta moje nie skały się kłamstwem; i jeśli jestem dziś w tym upadku i chodzę w tém apostołskiem obówie, to nie dla czego innego, tylko że zawsze mówiłem prawdę. Tak to na świecie!

Tu Mąkiewicz westchnął, i z westchnieniem razem wywołana wróciła czkawka.

— To z osłabienia JW Panie—rzekł—sił mam już mało. Gdybyś JW Pan raczył kazać dać kroplę czegośkolwiek, extra wody, której dla słabego żołądka znośić nie mogę: byle co do pokrzepienia...

Uczuł to pan Mąkiewicz, że mając mówić mu o synu, mógł zażądać czego chciał; a gdy hrabia zawołał na Pawła, aby kazał podać wódki, skłonił się z uśmiechem...

— Rzadko kiedy pić mogę—dodał skromnie—i to w niewielkiej ilości; ale nie będąc w stanie przyjmować pokarmów dla zniszczonego zdrowia, muszę się posilać wódką z rady doktorów.

Hrabia wrzucił ramionami, aż i wódka nadeszła. Oczy Mąkiewicza błysnęły: wstał, zbliżył się, nalał kieliszek i chciwie go wychylił z pośpiechem, zakaszlując się, a nie chcąc utracić przywileju siedzenia, zaraz znowu padł na krzesło. Wzrok jego jednak pobiegł za fiaszką, którą rad był zatrzymać dla dłuższego z nią obcowania, ale nielitościwy Paweł wyszedł z nią co najprędzej.

— Otoż jak rzeczy stały: — mówił wychnawszy i otarłszy usta Mąkiewicz: — Kiedy tu syn JW Pana przybył, wszystkich oczy zwrócone były na niego; ale mało było ludzi, którzyby wielką myśl i prawdziwie wzniosły plan edukacji hartownej, jaką JW Pan powziął, pojbowali. Ztąd pospolity gmin widząc go w ubogim odzieniu, na lichą strawie, bo tam ich gryczaną kaszą *principaliter* karmiono, a wiedząc o dostatkach ojca, niesłusznie ubolewał nad losem dziecka.

— Co komu było do tego, jak ja syna wychowywałem?

— Ludzie tacy są JW Panie, rzekł Mąkiewicz. Nic ich więc nie obchodzi nad to, co do nich nie

należy. Ja, mogę to sobie przyznać bez pochlebstwa, sam jeden wniknąłem w głębokie myśli i prawdziwie ojcowską JW Pana pieczołowitość dla tego dziecięcia. A chłopak był wielkich nadziei. Uważałem, że i zamieszkała tu niejaka panna Izabella Morosówna, osoba milionowa, mocno się nim zajmowała. Nawet sprowadzali go, gdy chodził do szkoły i ze szkoły, do kolegi jednego przy matce wdowie, żyjącego w tym domu co Targowilski, gdzie go psuli łakociami i pieścili, co zupełnie było wstecz planu JW Pana. Chciałem być nawet donieść mu o tém, ale pomyślawszy, ażebym za denuncyatora nie uchodził, wstrzymałem się. Tymczasem chłopiec się bałamucił widocznie, a jak raz potajemnie znajomości robić zaczął, poszło to dalej. Obok w drugim domu stał Tatar z Wilna, tu zamieszkały, niejaki Azulewicz, którego syn w jednej klassie z synem JW Pana się znajdował.

— Cóż tu ma Azulewicz? przerwał hrabia niespokojnie.

— Na oko nic, ale w rzeczy, pewien jestem, tu tkwi tajemnica. Azulewicz był bardzo uczciwy człowiek, jak to oni wszyscy; ale taki Tatar, to tam dziwne wyobrażenia. Kiełbasy, słyszę, nie jedzą, a po sto pigędziesiąt żon chowają, kiedy u nas z jedną wytrzymać trudno. Jednakże ów Azulewicz miał tylko jedną żonę, i nawet po jej śmierci drugiej nie wziął, a syna bardzo kochał i edukował tak, jak ci, co kiełbasę jedzą. Ale mu się samemu tęskniło w pośród obcych, bo był hussyt wielki i w książkach siedział; a choć go za Polaka można było wziąć, tak mówił po naszymu czysto i w obcowaniu był przyzwoity, korciło go do ojczyzny jakoś. Sam widziałem, choć nie lubię cudzych tajemnic podpatrywać, że listy jakieś do

Krymu na pocztę nosił, do swoich. Otoż między młodym Azulewiczem a pańskim synem wzięła się jedna z tych studenckich przyjaźni gorących, co to chłopcy żyć bez siebie nie mogą. I dzień w dzień młody wykradał się do Azulewiczów. Stary syna kochał i był miękkiego serca, choć Tatar; więc i to dziecko polubił dla syna. Przyszło mi na myśl, że go mogą na mahometańską wiarę nawrócić, że może się jeszcze do kata zbisurmanić; ale co tu było począć? nie wiedziałem... A! myślę sobie: Co tobie do tego stary? jeszczebyś znowu po tebinkach oberwał; milcz i swojego patrz!... I tak chłopaka żałując a pieszcząc, wbili mu w głowę, że jest nieszczęśliwy; z drugiej zaś strony Azulewiczowie podbałamucili czy coś, i chłopiec znikł!... Ale w tém moja głowa, że ja doszedłem co się z nim stało....

— Ale mówże, mów!

— Czuje się osłabionym, ocierając pot z czoła rzekł Mąkiewicz. Gdybyś mi JWPań raczył kazać dać jaką kropelkę, gdyż mówienie nadzwyczaj mnie wysila...

Hrabia zżymał się z niecierpliwości.

— Pawle— rzekł— postaw karafkę wódki przed tym bibułą. Już nawet wstydu nie masz, panie Mąkiewicz.

— Wstydu!!! ja! JWPań! przerwał narrator.... A! JWPań! widzę jak trudno być w świecie uznanym wedle wartości! Jeżeli piję, to smutek i słabość zdrowia tylko; brak mi sił, i wódka chwilowo pamięć oczyszcza.... Dla tego w interesie własnym JWPań, chciałbym sobie co najlepiej wszystko przypomnieć, a JWPań mi tę gorliwość wyrzucasz! Ja sam czuję to, że wódka mi szkodzi; ale pamięć utraciłem i czynię

ofiare ze zdrowia i życia mego dla JW Pana, a JW Pan naigrawasz się z tego! O mój Boże!

Hrabia uśmiechnął się wzgardliwie.

— Pij i gadaj! rzekł krótko.

— Azulewicz tedy tęsknił do tego swojego Krymu i płaskich twarzy, aż tu sobie naprowadzając Tatarów, gdy sam do nich dojechać nie mógł. Co roku prawie słyszę z tabunem koni tatarskich, o które młodzież się rozbijała, przybywał do Berdyczowa i na Wołyni niejaki Mustafa Seferowicz, z długą białą brodą, w krymce i szlafroku; konie swoje zostawiał gdzieś tam na Wołyniu, a sam tu na kilka dni do Azulewicza zawsze ściągał. Chodził poważnie odziany, figura niczego; chłopcy tu za nim po ulicach biegali, gdy się jeno pokazał, bo to była osobliwość. Nawet wódki ani żadnego gorącego trunku nie pijał, kwaśném mlekiem się żywiąc pryncypalnie, o czém wiem pewnie, że hładysz zjadał. I to wiem, że ten Seferowicz z synem pańskim widział się u Azulewicza, że tam mu nagał o swobodném życiu w Krymie i o kraju tym jak o raj. Bóg wie czém tam go kusił: może obiecał piętnaście Tatarów za żony dać, ale jestem pewien, że on z tym Tatarem umknął.

— Co ci się śni! zawołał hrabia.

— E! e! ja to mówię na pewnym fundamencie. Bo, że policya znalazła jego stary mundur na śmieciisku niedaleko rzeki, to wcale nie dowodzi, żeby się utopił. Chłopiec z sensem byłby się topił w mundurze, zwłaszcza że był chłodny czas; ale to znaczy tylko, że chciano zmyślić i zająć dał susa.... Seferowicz właśnie pod ten czas tu był i razem jakoś zniknął, a na Wołyniu już mówiono mi, że z sobą miał w po-

wrocie swojego syna, ładnego chłopca, którego wprzód nie było, a potem mu się nie wiedzieć z kąd wziął.

— Dla czegożby na tę myśl nikt nie trafił? spytał hrabia.

— Dla tego JW Panie, że na myśl słuszną nigdy ludzie nie trafiają, aż dopiero na ostatku, gdy wprzód najniedorzeczniejszych wypróbują... To tak jak gdy kto omackiem otwiera zamek: wprzód wymaca caluteńką szufladkę, póki nie trafi na otwór.

— A cóż się stało z Azulewiczami? zapytał hrabia.

Ale Mąkiewicz nie był w stanie odpowiedzieć, gdy skorzystawszy z chwili roztargnienia, poszedł do wódki i nalał trzeci kieliszek. Spotkawszy wejrzenie hrabiego, nieco się zarumienił.

— Wzruszenie, jakiego doznaję, tę bolesną opowiadając historię—rzekł—zmusza mnie do podtrzymywania starganych sił moich na usłudze krajowej. Ale tylko odwilżyłem usta, słowo daję; nigdy kłamstwem się nie zmazałem. Jan Piotr Mąkiewicz... wszyscy to wiedzą.

— Ale cóż się stało z Azulewiczami? powtórzył hrabia natarczywie.

— Azulewicz ciężko został dotknięty stratą syna, którego nad życie kochał, odpowiedział Mąkiewicz. Po śmierci jego, gdy go już nie w kraju nie trzymało, jedni mówią, że się wyniósł do Waki, gdzie miał włość i chatę; drudzy, że pojechał umierać do Krymu; inni, że się udał do Mekki, gdzie oni wszyscy jeżdżą z okoliczności jakiegoś czarnego kamienia wiszącego w powietrzu, o czém dawniej czytałem, póki człowiek był ciekawy, ale dobrze nie pamiętam.

— A gdzieżby się o nim dowiedzieć można?

— O kamieniu, JW Panie?

— O Azulewiczu! krzyknął hrabia.

— Nigdzie JW Panie, chyba między rzeszą tatarską, a tu ich nie ma, aż pod Wilnem. Ale gdybyś JW Pan chciał starego bywalca użyć, mimo sił starganych i dokuczliwych nagniotków, jeszczebym się podjął pojechać do Waki, i jako to ja, potrafię dobyć z nich prawdy. Rozumie się, gdybym miał na ekspens podróży i cośkolwiek za trud i pracę.

Hrabia ruszył ramionami.

— Bajkęś mi waćpan splótł, aby się wódki napić, rzekł pogardliwie.

Mąkiewicz powstał z godnością, gdyż uzyskawszy dwa złote i trzy kieliszki wódki, więcej się już nie spodziewał i nie potrzebował grać komedyi.

— JW Pan lekceważysz we mnie dostojność męczennika, człowieka, który się dobru ogólnemu poświęcił. Nigdy usta moje nie skalają się fałszem: to jest obelga niesłychana, to jest...

— Ze mną, kochanku, nie masz potrzeby tych deklamacyj—odrzekł spokojnie hrabia—na mnie to nie robi wrażenia.

— Zawsze! rzekł Mąkiewicz... wiecznie, przeznaczeniem mojem być niepojętym i pokrzywdzonym.

To mówiąc, z miną tragiczną przystąpił do karefki, i machając ręką jakby zdesperowany i nieprzytomny, prędko, rozpaczliwie wychylił kieliszek wódki.

— Zaślepienie! rzekł odetchnąwszy. JW Pan odpychasz jedyny ślad mogący go naprowadzić na tego, którego nazwałem nieboszczykiem. A jednak tu klucz! i Mąkiewicz na coś zasłużył odkryciem wielkiej tajemnicy. Dwa złote? na składkę w imię tak wielkiej idei przedsięwziętą!

— Słuchaj— rzekł Herman —jeśli masz cokolwiek sumienia, powiedz prawdę: nie kłamiesz? nie uwodzisz mnie? dam ci co zechcesz!

— Co zechce! notuję! podchwycił Mąkiewicz. Słowo! *verbum!* co zechcesz!

— Tak jest, dam ci co tylko dać mogę—poprawił się hrabia—powiedz szczerze, nie uwódź mnie, plotłeś mi baję?

— Tak mi Boże dopomóż! prawda szczerą! jasna! Usta moje nigdy się nie zmazały...

— Panna Moroszówna nie miała w tém udziału?

— To jest, o ile ja, z blizka na te rzeczy zapatrujący się, wiedzieć mogę, chyba nie więcej nad to, że chłopca żałowała, pieściła, bałamuciła. Głowę mu jego mniemaném nieszczęściem nabili, nie pojmując spartańskich planów JW. ojca.

— Ale wiedziała o tém może?

— Tego nie wiem, a czego nie wiem, nie powiem, bo usta Jana Piotra Mąkiewicza nie zmazały się nigdy.

Hrabia głęboko się zamyślił. Mąkiewicz znowu zajął do karafki.

— Gdy słowo JWPana jest, jak nie wątpię, rzeczą świętą i nienaruszoną, a rzekłeś pan, że dasz mi co zechcę, lub inaczej co możesz, gdyż obie wersje choć nierówniej wagi stały tu na jednej szali, — śmiem się odwołać do własnych słów skaleczonego serca ojcowskiego, w które wlałem trochę balsamu...

Tu sięgnął jeszcze do butelki, ale groźne wejrzenie go powstrzymało.

— Nie miałem intencji pić, chciałem tylko zatknąć karafkę... Wietrzeje... obawiałem się, aby ta woń nie szkodziła JWPanu... A wracając do słowa, które mam, gdy powiem, że JW. hrabia, dziedzic Horycy, Siennego

i przyległości może mi dać dwieście złotych, nie przesadzę. Summa ta może mnie i zasadę, którą popieram, postawić na nogi.

— Albo cię zwalić z nóg, bobyś ją przepił od razu — przerwał zniecierpliwiony hrabia.

— Cóż, jeśli nieszczęścia krajowe postawiły mnie w tym stanie opłakanym! rzekł tragicznie Mąkiewicz. Ale gdybym miał dwieście złotych, okazałbym światu, że jeszcze uczucia w prawych synach kraju nie wygasły... że są jeszcze ludzie pełni poświęcenia...

— Dwóchset złotych dać ci nie mogę, nie dla tego, żebym nie miał, nie dla tego nawet, żebym nie chciał; ale dla tego, że zapilibyś się na śmierć i dorznął nie-mi. Gdy jednak słowo się rzekło...

— A aniołowie słyszeli je w niebiosach — rzekł podnosząc do góry rękę Mąkiewicz.

— Dajże pokój choć aniołom, którzy z tobą i ze mną nic wspólnego nie mają...

— Więc cóż JW. hrabia postanawiasz w rzeczy święcie należącego mi się długu?

— Długu! uśmiechnął się hrabia — a no, będę ci go wypłacał ratami przez gospodarza tego domu, po pięć złotych na raz, i to nie inaczej tylko na odzież, strawę, nie zaś na tę wódkę którą się dobijasz.

— Przez gospodarza domul zawołał Mąkiewicz śmiejąc się ironicznie. Chciejże JW. pan posłuchać, jak ja rozumiuję. Gospodarz tego domu jako porządny człowiek ma szynk u siebie, nawet mamy z sobą małe rachunki; pójdzie więc żywy grosz za tę należność, którą mu winien za papier i obwarzanki. Przytém on nie zna Jana Piotra Mąkiewicza i jego wysokich celów, i da mu się zapić właśnie, byleby co na tém zarobił; środek więc chybia celu. Gdybyś JW. pan

spróbował i samemu mnie to powierzyć raczył, mógłbym dać słowo honoru, którego nigdy nie złamałem (prócz kiedy *necessitas transit legem*), albo zobowiązanie na piśmie przy świadkach, pod pieczęcią, która jest zastawiona... że ich na wódkę nie użyję...

Byłaby się ta scena przeciągnęła do zbytku, gdyby Paweł niespokojny nie dał znać, że konie stoją gotowe. Pilno mu już było do domu. Mąkiewicz więc zaspokoić się musiał pięcioletówką, którą łącznie z całemi w przyszłości obiecanemi dwustu złotemi, wpisał na listę i odszedł natychmiast do najbliższego szynku, obierając sobie taki, w którym nic nie był winien.

Na wyjeźdném z Pińska, konie hrabiego miały się zawrócić ku Horycy, gdy z wielkiém podziwieniem Pawła, hrabia kazał jechać drogą wcale odmienną, wiodącą ku Wołyniowi na Kuźeliczyn i Lubieszów.

Piękny jest ten nasz Wołyń! a gdy po piaskach i borach Polesia podróżny wjedzie w ten kraj tak żyzny, tak wesoły, urozmaicony wzgórzami, przezroczystymi ubrany stawy, dębowemi lasy malowniczo zarosły; gdy z pierwszego pagórka oko jego pobieży daleko i obejmie razem kilkadziesiąt wsi, ogromną świata dzielnicę,—jakoś ochoczo robi się w sercu i w oczach weselój.

Ale tak jest tylko póki poglądamy z daleka; inaczej gdy się zbliżymy do tych uroczych widoków. Tu wszystko znajdziesz w ruinie lub grożące ruiną; smutek cię przejmie przy pierwszej wiosce i dworze. Na-

wet tam, gdzie z gruzów podniosły się już wspaniałe gmachy frontem do gościńca, aby się sobą pochwalić, nie czujesz, żeby to było na trwałych oparte posadach; nie masz przekonania, żeby piękny i okazały dwór miał wiekować.

Przyjrząwszy się bliżej, dojrzysz, że wieś rozpada się cała, porozłamywane płoty, porozwalane chaty, poprzeginane krzyże, kościółek w części słomą pokryty, dwór tylko od przodu wybielony. Dalej zamek pustką stojący, i klasztor bez dachu, i miasteczko napół spalone, i całe murów gromady okopcone, czarne, opleśniałe i omszone. Na polach buja i faluje zboże, ale obok starannie uprawnej ziemi lub zagona, który wypiełgnowało słońce i rosa bez pomocy człowieka, szmat rzadkiego żyta, cienkiej i niskiej pszenicy, lub nikłego owsa. Groblę zahacono na prędce gnojem i słomą, młyn pochylony ze starości, na dachu chaty porosły trawy i osty.

Z dala majaczeję białe mury; gdy się zbliżysz, postrzegasz tylko ściany gołe. Z dala błyszczą stawy, ale pół ich zabrały trzciny i sitowia. Z dala i dwór w topolowym wianku jak narzeczona w kwicistój opasce ci się śmieje, ale pół okien zabito deskami. Ni z nich ludziom wyjrzeć, ani w nie zaglądać słońcu, a droga wśród topoli jak łąka zarosła.

Nasz podróżny, który od wieków nie wyglądał ze swój Horycy i znał tylko Wołyń ze wspomnień, takiego prawie doznał wrażenia, jakie tu opisujemy, gdy przebywszy Lubieszowskie lasy i piaski, zbliżył się w okolice Łucka.

Tu Styr, jedna z najpiękniejszych rzek wołyńskich, ale płynąca dotąd jak nią Bóg raz pierwszy pokiero-

wał i jak ją ludzie groblami i pływakami popsuli, dzieli od siebie różne wielce dwie prowincyi połowy.

Od Polesia jeszcze bory i piaski; na drugiej stronie żyzne łąny wołyńskie, i wzgórza zielone, i dębowe gaje, a w pośrodku ów Łuck, wielka ruina, zbiegowisko murów pokruszonych, jakby jaki kataklizm straszny, jaka burza niszcząca przeszła po nad jego zgruchotanemi szczytami.

Ślady dawniej świetności otoczone nędzą i resztkami życia; na dawnych cmentarzyskach liche karczmy drewniane; w murach świątyń składy i magazyny; na ulicach drewniane bruki, a wzdłuż ulic domowstwa, na których ścianach bryzgi błota rysują hieroglify brudu i zaniedbania.

Ztąd nieopodal już było do celu podróży Hermana, który, jak się już nawet Paweł domyślał, po długiem niewidzeniu jechał do dawno zapomnianego brata.

Stosunki ich nie były zerwane, ale uległy dziwnemu zubożeniu i chładowi. Hrabia Rajmund w dziale wzięwszy daleko na oko piękniejszy majątek wołyński, obciążony również długami, zamieszkał w nim tak daleko od brata, że trudno im było ściślejsze zachować stosunki.

Młodość też wcale ich do miłości wzajemnej nie uspasabiała: charaktery tak były różne, że się nigdy zrozumieć nie mogli, a przy każdym spotkaniu walczyć z sobą musieli.

Znany już z nich jednego: trudniej może będzie dać poznać drugiego brata, którego charakter nie tak wydatny, daleko z większej ilości składający się pierwiastków, nawet dla bliższych był często zagadką.

Herman nigdy nie kłamał: mówił co myślał, aż do

zbytku będąc otwartym, aż do szorstkości prawdopodobnym, z przyjemnością prawie staczał walki o swe przekonania. Rajmund więcéj światowy, układniejszy, choć może czuł toż samo, nie zadawał sobie pracy walczyć i spierać się: ruszał ramionami, i ludzi przy ich przekonaniach z niejaką pogardą zostawiał.

Wiek mało ich różnił od siebie. Rajmund był również żonaty i jedno miał tylko dziecię; lecz nim poznamy go bliżej, potrzeba, byśmy w jego przeszłość wtajemniczyli czytelnika.

Rajmund więcéj był panem i hrabią. Gdy tamten swego tytułu nierad używał, znajdując, że często mu był ciężarem; ten nosił go zawsze i wszędzie, nie uważając za rzecz przyzwoitą wypierać się pamiątki i zaszczytu. Na nieszczęście stan majątkowy niebardzo mu dozwalał, stosownie do niego pokazywać się w świecie; żył więc może właśnie dla tego na wsi, bo tam łatwiej zawsze pozostać długo hrabią i wielkim panem.

W pierwszych chwilach po objęciu majątku, hrabia Rajmund byłby może jak brat potrafił wyjść pracą i oszczędnością z długów ciążących na dobrach, ale miał inne całkiem pojęcie swojego stanu majątkowego. Dobra, które objął, były pozornie wielkie dla oka, które długów jego nie dostrzegało, dawały prawo żyć po pańsku. Rajmund wziął jeszcze z niemi wspaniały niegdyś pałac dziadowski, i do tego szerokiego gniazda stosować umiał swe życie, ku któremu z natury czuł skłonność.

Z twarzy był nieco podobny do brata, ale rysy jego daleko spokojniejsze i poważniejsze, nosiły na sobie piętno dystynkeyi, o którą bardzo się starał.

W sposobie obejścia był zimny, grzeczny, pański, przyzwoity.

Po odziedziczeniu majątku, nie zdawał sobie sprawy z jego stanu: był pewien, że nie mając nałogów rujnujących, łatwo wyjdzie z długów i ciężary powoli pospłaca. Ale zamiast się brać do tego, począł od postawienia domu na stopie nazwisku odpowiedniej. Trudno to jasno określić, do czego obowiązuje tytuł i imię; miarę w tém znaleźć jeszcze trudniej. Gdy raz wpadnie się na tę drogę, zatrzymać się ciężko; dzieje się jak z pantoflami Diderot'a: do pięknych pantofli potrzeba odpowiedniego szlafroka, do szlafroka krzesła, do krzesła mebli, do mebli pokoju—i pantofle przywieść mogą do ruiny. Tak się i tu po trosze stało.

Hrabia Rajmund począł od pewnego rodzaju pantofli: wyrestaurował najprzód dom; do domu mnóstwo rzeczy nowych a pięknych było potrzeba; potem powozów, koni, usługi, liberyi, dworu, marszałka—i tak się weszło w życie nad skalę.

A gdy już życie jego opowiadamy, powiedzmy od razu, jak się ożenił i czemu oddał się cały. Dosyć długo upatrywał sobie towarzyszkę, od której wymagał wiele, bo imienia i majątku i wdzięku; serce go nie unosiło, rachuby też przedewszystkiém nie miał na celu. Swoboda stanu kawalerskiego dosyć mu się uśmiechała, a ożenienie, do którego nie wiedzieć jak przyszło, było raczej skutkiem tego, co dawniej nazywano przeznaczeniem, niżeli dziełem silnej woli lub uczucia. Przyszło do tego nie wiedzieć jak, złożyło się niespodzianie. Jeżdżąc w odwiedzin, trochę przyjmując u siebie, pańsko spędzając długie wolne życia godziny, Rajmund

był spokojny i nie miał gwałtownego pragnienia zmiany stanu. Traf najprzód zaprowadził go do domu sąsiada, który miał dwie córki i majątek znaczny wcale, ale szlachcica sobie prostego, i co dziwniejsza, mimo bogactwa, żadnej do państwa niemającego pretensyi.

Pan Dynamiński był człowiekiem uczciwym, rządym, spokojnego charakteru, a miał tę jedną stronę tylko oryginalną, że się uważał za najlepszego w świecie gospodarza. Miłość własna, która jakkolwiek szparą musi wyjść z człowieka, wychodziła mu tym bokiem, i byle mu się w tém nikt nie sprzeciwiał, powolny był dla wszystkich cudzych słabostek, więcój od otaczających dla siebie nie wymagając. Dynamiński mocno stał o to, by pierwszy zasiał, pierwszy zebrał, najlepiej zorał i mógł zająć przednie miejsce wśród gospodarzy; nie czynił jednak nadzwyczajnych na gospodarstwo nakładów, nie wierzył w agronomię, zasadzał się na doświadczeniu, rutynie, tradycji, a jako środki najlepsze, uważał wielki dozór i pilność. Szło też u niego nieświeźnie, ale dobrze, a sąsiedzi trochę zazdrośni mówili po cichu, że pozwalał sobie w opisach swojego gospodarstwa trochę przesady. Nie wierzono, żeby mu kopa owsa pięć korcy dużej miary dawać mogła, choć co rok najmocniej za to zaręczał i w razie sporu ofiarował się do stodoły dla przeświadczenia prowadzić. Żyto powszechnie dawało mu trzy korce, pszenica dwa i t. p. To pewna, że Dynamiński miał się dobrze, żył skromnie, córki wychował starannie, ale po szlachecku, choć nie bez francuzczyzny, guwernantek i fortepianu. Gdy hrabia zaczął bywać w tym domu, starsza córka Dynamińskiego Marya poczyniała rok dziewiętnasty: było to dziewczę skromne, ciche, bardzo pobożne, istny typ

naszych Polek, które są ideałem żon i matek. Skłonięsza do cichego, głębokiego uczucia i poświęcenia, niż do tęsknoty ku światu, Marya marzyła dla siebie zagrodę wiejską, życie ustronne. Hrabia z początku zrobił na niej wrażenie jakieś przerażające. Jego wielki ton, wspaniała postawa, pewność siebie, podobały się jej może, ale taką olśniły wyższością, że ilekroć przyjeżdżał, nie śmiała wyjść do salonu bez drżenia i bicia serca, rumieniła się nie mogąc wymówić słowa.

Z Dynamińskim nie wiedzieć dla czego bardzo się pokochali: może z powodu, że Rajmund od razu w pięć korcy z kopy uwierzył i gospodarstwo bardzo pochwalał; ze swojej strony szlachcic, szanując imię historyczne, niezmiernie był grzeczny dla gościa. Rajmundowi było tu dobrze, wygodniej, swobodniej niż gdzieindziej.

Zaczął bywać bez myśli i zaraził się od Dynamińskiego namiętnością gospodarską, ale wcale inaczej na tę chorobę zabrał.

Dynamiński nic innego i inaczej nie robił nad to, co sąsiad jego chłop, tylko lepiej, wcześniej, dokładniej; hrabia chcąc go przesadzić, rzucił się w gospodarstwo poprawne, ulepszone, postępowe.

Piękna to jest rzecz, pożyteczna i zacna, gdy kto do niej bierze się ze stosownym zasobem nauki i ukształceniem właściwem; ale niebezpieczna przy nieumiejętności i zarozumiałości. Hrabia sądził, że nic nie ma prostszego nad agronomię; brak zajęcia uczynił go najprzód gospodarzem, ale nie na tém koniec. Od razu chciał sąsiada we wszystkiém wyprzedzić, i był pewien, że pokaże światu co może geniusz na polu nawet najbardziej opuszczoném i wzgardzoném. Gdyby był chciał pojechać za granicę, uczyć się wytrwale,

byłby zapewne sobie i krajowi użytecznym; ale hrabia Rajmund wierzył w idee wrodzone i wyższość umysłową ras uprzywilejowanych.

Przeczytał kilka książek, przekonał się, że ma geniusz wynalazków, i jął się najfantastyczniejszych innowacyj.

Pan Dynamiński patrzył na to ze zgrozą i podziwem; ale potem, przez uszanowanie dla tytułu, w samo dzieło począł wierzyć, i choć go naśladować nie myślał, admirował. A że Rajmund potrzebował kogoś, coby go pojmował, a niełatwo mu było znaleźć, wziął Dynamińskiego za powiernika i powolnego słuchacza. Ztąd ciągle obu sąsiadów u siebie przebywanie, odwiedziny, narady. Hrabia szczególnież uwiązał myślą w narzędziach i machinach, będąc pewien, że choć mechaniki nie umie wcale, musi z pomocą geniuszu wrodzonego, zadziwiające poczynić odkrycia. Zaczęto zaraz z jego rozkazu budować wzory i robić próby, a jakkolwiek te były niefortunne, wcale go to nie zrażało od nowych.

Tymczasem jeździł do Dynamińskiego, a panna Marya z takiem go współczuciem słuchała, takie mu okazywała uszanowanie i zajęcie, że powoli do téj cichéj istoty przywiązywać się zaczął. W jego przekonaniu była ona ze wszech względów niższą od niego daleko; ale lubimy stać wyżej i w duszy czuć się czyjś bóstwem i opatrnością.

Temu uczuciu hrabia winien był żonę. Nigdy Dynamińskiemu na myśl nie przyszło córkę swatać sąsiadowi, ani jęj wyjść za tak wielkiego człowieka; ale hrabia począł się nudzić wśród swych prób machin gospodarskich, gdzieindziej spotykał uśmiechy niedowierzania, na kobietach zaś, które jego szukały i sta-

rały się usidlić, poznał się instynktowo: i tak jakoś, nie wiedzieć z kąd i jakim sposobem, gdy Dynamińskiemu i Maryi ani się śniło o połączeniu z domem Górów, on jednego wieczora poważnie i patetycznie, bo z tego tonu nigdy nie schodził, oświadczyć się raczył o rękę panny.

Stał się popłoch ogromny, zdziwienie, uszczęśliwienie, które może aż nadto dano mu poznać, co go jeszcze bardziej przywiązało do Dynamińskich. Szlachcic i jego córka mieli to sobie za coś tak wielkiego, tak pomyślnego, jak gdyby starożytny Jupiter pod ich dach zstąpić raczył. Dynamiński o mało nie popełnił głupstwa wielkiego, dziękując za ten zaszczyt hrabiemu; panna Marya rozplakała się. Naturalnie, że trudności nie czyniono żadnych, i hrabia sam sobie warunki, czas i wszystko co należało do wesela, oznaczył.

Marya nie kochała go może ową miłością gorącą i romansową, która się rzadko w świecie spotyka, która nie w każde życie się wplata; ale miała dlań szacunek, poważała go, lubiła, admiirowała. Przyszłość obiecywała się być świetną i szczęśliwą. Po ludzku sądząc robiła partyę, która namnożyła zazdrości wiele i podziwem napełniła kraj na trzydzieści mil w około.

W istocie inaczej rzeczy stały, niż się na pozór zdawały. Najprzód co do majątku Dynamiński był wcale bogaty, choć się za pana nie miał, i córka jego wnosząc pićkroć, więcej już mu dawała niż czysta hrabiego wynosiła majątność; ale dobra jego były znaczne, tytuł świetny, pałac ogromny, i sądzono, że pan robił szlachciance łaskę, żeniąc się z nią.

Co do panny Maryi, ona też daleko więcej warta była od hrabiego, choć mniej o sobie trzymała, mając się za wielce uszczęśliwioną i podniesioną wysoko-

Dawał jęj wprawdzie imię piękne pan hrabia, ale zarazem złoconą niewolę, którą wprędce uczuła. Musiała przyjąć jego obyczaje i zastosować się do idei często jęj przeciwnych, skromność swą ubrać w powagę, która ją uciskała, wyrzec się swobody, zostać niewolnicą, poddanką. Nigdy straszniejszego, choć łagodniejszego na oko tyrana nad hrabiego Rajmunda nie było na świecie. Nie był on ani popędliwy, ani gniewny, ani srogi, ale jak żelazo uparty. Wolę swą spełniał nie zważając na nic, nie pojmując, by się jęj kto w świecie mógł sprzeciwić, nie rozumiejąc poświęcenia nawet fantazyi przechodnięj dla czyjegós uczucia lub boleści. Ta tyrania niezłomna tém była cięższa, że nie miała form ostrych, któreby oburzać się na nią dozwalały, że była obleczone łagodnością, pozorną, chłodną krwią zupełną, i odbywała się z wyższością, niedozwalającą przystępu słowu, zamrażającą wszelki wybuch uczucia.

Jak się to bardzo często trafia na świecie, w małżeństwie tém role były zmienione na oko i oszukiwały pozorem. Geniusz, rozum, wyższość zdawały się po stronie hrabiego, który żonę swą za dobrą, ale niewielkich zdolności kobiecinę uważał i ludzie ją za taką mieli; w rzeczy zaś samęj ona posiadała daleko więcej rozsądku, uczucia, przymiotów duszy i serca nad niego.

Ale to wszystko pokrywała skromność nadzwyczajna, niezmierna nieśmiałość, przekonanie nawet o swęj niższości.

W takich warunkach zawarte małżeństwo poszło koleją łatwo przewidzianą: dobroczyńcą i panem był mąż, niewolnicą pokorną i zawstydzoną swém niesłychaném szczęściem kobieta. Dynamiński umarł wkrótce

po wydaniu córki za mąż, zaziębiwszy się przy posiewie owsa wczesną wiosną; druga córka wyszła daleko na Podole, za niedostatniego szlachcica, i w inną zupełnie dostawszy się sferę, oddaliła się od Maryni. Hrabia szwagra miał za bardzo małą rzecz, i wcale stosunków z nim utrzymywać nie myślał.

Po ożenieniu, mania mechanicznych wynalazków owładnęła jeszcze silniej umysłem hrabiego, który wziął się do olbrzymiego pługa, mającego od razu wyorywać rowy, do nowej młockarni poruszanej wiatrakiem, do młyna nowej inwencji i mnóstwa innych prac ważnych, tracąc na nie czas, pieniądze i resztę rozsądku. Im bardziej mu się to nie udawało, tém zapalczywiej się zajmował. Tymczasem interesa na chwilę dźwignięte posagiem żony, poczęły się gmatwać znowu.

Diwnym skutkiem moralnej ślepoty, hrabia miał do najwyższego stopnia posuniętą władzę niewidzenia tego, czego nie chciał zobaczyć. Oczu jego nie otworzyć nie mogło, a cyfry i rachunki mniej niż cokolwiek bądź.

Sofista niezręczny, ale wymowny, zawsze sobie malował świetnie, co chciał widzieć jasno. Rady od nikogo nie przyjmował, a szedł raz wytkniętą drogą z wolą niepokonaną. Żona, która daleko zdrowiej sądziła wszystko, musiała milczeć, uważana za istotę wątlą i niedaleko widzącą. Ani z radą, ani ze szczerem wyznaniem wystąpić nie mogła: hrabia łagodnie, ale z góry odsyłał ją do książek pobożnych i ogródka.

Były to dwa ulubione zajęcia hrabiny, która wprędce poznała, jak pozorne jój szczęście wątłe było i tylko dla oka ludzi mamiące, bo przekonała się, że człowiek, którego miała za świętość i ideał,

był bez serca i uczucia. Bez narzekań i oporu, z rezygnacją, zwróciła się ku Bogu, do pracy cichęj, i przyjęła los swój w pokorze. Widziała ona groźby przyszłości, ale jej odwrócić nie mogła; musiała milczeć, płakać i raz przyjętą rolę szczęśliwój i ubłogosławionój nosić mężnie do końca.

Dla świata miała uśmiech i wesele, była zawsze ową szczęśliwą; dla siebie schowała łyzy swoje, strachy i boleść.

Życie jej upływało na modlitwie, w kościele, w ogródku.

Szczęściem, Bóg, który zawsze wejrzy na tak dźwiganą brzemię, dał jej choć jedno dziecko, przy którego kołysce była panią: była to córka. Ojciec mało się mieszał do jej wychowania; wyrosła więc tak wykochana i wypieszczona na łonie macierzyńskiego, tak śliczna i miła, jak niegdyś była jej matka. Podobna do niej z twarzy jak dwie wody krople, Lola (gdyż tym imieniem poufale ją nazywano) w charakterze nieco ojcowskiej miała energii, która się u niej zmieniła w żywość i śmiałość.

Była też równie łagodna jak matka, równie dobra, ale odważniejsza od niej; nie umiała tak kryć w sobie wszystkiego: boleść i radość z rumieńcem razem na twarzyczkę i usta jej wybiegały.

W chwili gdy powieść poczynamy, Lola miała już około lat dziewiętnastu; matka jej zbliżała się do czterdziestu, ale zachowała jeszcze ślady wielkiej piękności, która dłużej często jasnowłose, niż czarnobrewne twarze przysstraja. Oswojenie się z cierpieniem, obycie ze swoim losem, wielka pobożność, okupioną pokój duszy, odbiły się na licu zacnej niewiasty, której twarz przypominała typy matron dawnych, obla-

ne nieziemskim pokojem. Marya dawno już poznała swego męża, jego słabość i upór, jego nieudolność w sprawach życia i zaślepienie w dziwactwach; ale świat nigdy nie postrzegł w niej zmiany: pozostała tą samą służebnicą pokorną i pełną dla męża poszanowania, jak gdyby w wyższość jego wierzyła niezłomnie. Usiłowała nieraz wstrzymać go od fantazji kosztownych i rujnujących, po cichu, ostrożnie; ale gdy się to jej nie udawało, a majątek powoli do coraz gorszego przychodził stanu, przyjęła to jako karę bożą, z pokorą. Dla jednego dziecięcia i to co mogło pozostać dostateczne było zawsze; nauczyła się nie żądać wiele; chodziło jej tylko o to, by mąż w pokoju i bez ciężkich zawodów dożył w złudzeniu do końca. Była cichą jego szczęścia piastunką.

Hrabia Herman, choć bardzo już dawno u brata nie był, a stosunki ich ograniczały się kilku do roku listami z powodu świąt Nowego Roku i imienin, dobrze znał brata, jego życie, stan nawet jego interesów. Kilkakroć Rajmund uciekał się z właściwym sobie tonem protekcyjnalnym o pożyczki pieniężne do brata, których tamten zawsze grzecznie odmawiał; nie psuło to harmonii, ale oziębiło stosunki.

Dobra Rajmunda piękne i rozległe, ale najdziwniej rządzone, zadłużone już były niezmiernie, i długi te rosły corocznie pomnażane nowemi.

Raz w rok, około kontraktów dubieńskich, wychodziły na wierzch gwałtownie wszystkie rany tego groźnego stanu i dawały się czuć silniej; ale gdy tę chwilę krytyczną przebyto, rok potem spali wszyscy, zapominając o niebezpieczeństwie.

Przed kontraktami był niepokój, odwiedziny, szukanie grosza, sprowadzanie Żydków z sąsiednich mias-

teczek; ale gdy chorobę peryodycznie wracającą zakurowano w jakikolwiek sposób, już się o nią nie troszczono więcej: hrabia powracał do swojego pługa i młynów, hrabina wyplakawszy się, modliła.

Wszystkie troski leżały na plenipotencie, najuczciwszym z ludzi, starym już panu Kacprze Żółtowski, który często nie miał sobie za co tabaki kupić, choć tysiącami obracał. Oddany duszą i sercem domowi, a szczególnie hrabinie, człowiek wielkiego serca i rozsądku niepospolitego, umiejący tę kobietę ocenić, Żółtowski pracował do potu i łez, ale nic nie mógł poradzić przeciw despotyzmowi hrabiego, który mu nie dawał użyć środków zbawiennych. Rajmund tak się na nim poznał jak na żonie: miał go za pocziwego, ale mało udogodnego sługę, szczególnie dla tego, że na jego wynalazki pozwolił sobie raz ruszyć ramionami i wcale ich nie wychwalał. Nie wolno mu nic było zrobić własną głową, a gdy istotnie trzeba co było przedsiębrać ważnego, musiał się z hrabiną naradziwszy tajemnie, niemal fałszem dobijać się możliwości ratowania pana.

Swój grosz jaki miał Żółtowski, włożył cały w majątek hrabiów; a uważało się to przez hrabiego jako łaska dla niego uczyniona, że jego fundusik przyjęto chociaż ani prawnego zapewnienia, ani procentu nie miał, a tak się musiał tać z poświęceniem, jak drugi z niepocziwością. Czasem grosz jakiś wziął na rachunek procentu, by go hrabinie na jej pilne potrzeby podsunąć.

Dochód z dóbr pożerały procenta i fantazy hrabiego, który uśmiechał się z politowaniem, jeśli mu kto jaką względem nich uwagę uczynić się ośmielił,

mając za niedołęgów i głupców tych, co mu nie wierzyli. Marzył on, że jego wynalazki dadzą mu niezmierne bogactwa i sławę nieśmiertelną.

Dom więc hrabiego składał się: z cichój, pobożnej i niewiele w nim miejsca zajmującej żony; z córki Loli, dziewczęcia łagodnego, dobrego, ale żywszego od matki; z samego gospodarza, zawsze zatopionego w swych wynalazkach, z których ani jednego jeszcze nie uwieńczyło powodzenie; z milczącego poczciwego Żółtowskiego, ofiary cichój, staruszka, który się kłaniał tylko i uśmiechał, a zamiast odpowiedzi najczęściej tylko ruszał brwiami i ramiony.

Cały w sobie, Żółtowski był jedną z istot najuparciej zamkniętych; pochodziło to z obawy słowa, które uważał za rzecz tak straszną, że gdy mu go użyć przyszło, ust otworzyć nie umiał. Słuchał uważnie, ale mówił pół wyrazami tylko, cicho, bojaźliwie, choć w głębi tej piersi wiekiem zgniecionej, biło serce najpoczciwsze, najgorętszą miłością ludzi ożywione. Oddany hrabiemu, którego kochał, choć więcej jeszcze cenił i cenił hrabinę, Żółtowski nie miał żadnej słabostki nawet: zażywał tabakę tylko gdy ją miał, lubił kominek i książkę. Pracował jak galernik, nie skarżył się nigdy, silny był na swój wiek nadzwyczajnie, a zdrowie zawdzięczał życiu skromnemu anachorety.

Zarubińce hrabiego Rajmunda leżały między Łuckiem a Dubnem, w części kraju jednej z najżyźniejszych, a choć nieco wzgórkowatej, w glebie pszennej i wszystkich warunkach gospodarstwa najpomyślniejszych. Ale pomimo starań Żółtowskiego nie szło tam gospodarstwo jak było powinno. Co rok inny folwark wystawiany był na próby. W jednym z nich nawet

przestano raz orać i gnoić, wedle jakiegoś nowego systemu. Brak kapitału istotnych ulepszeń nie dozwalał, majętność upadała.

Stary pałac zarubiniecki, z zamku przez dziada hrabiów przerobiony, dosyć był wspaniały. Otaczał go ogród z alei i lipowych szpalerów odwiecznych. Z dala miało to pozór pański i bardzo poważny.

Gmach piętrowy wznosił się na wzgórzu osłoniętym ogrodem i lasem, u którego stop błyszczał staw wielki; szeroka ulica starych klonów i sokorów prowadziła do zamku. Na wstępie w dziedzińcu była brama wysoka murowana z galeryą, dziś opustoszała, na której piętrze z pozabijanemi oknami składano stare rupiecie i skazane na wygnanie maszyny wynalazku pańskiego. Dawniej stać tu musiała na straży dworu milicya; dziś na dole mieściło się dwóch starych gracyalistów i ogrodnik. W bramie wrot od dawna nie było; sama pani obsadziła ją powojami i krzewami, tak, że na dosyć piękną wyglądała ruina.

W głębi obszernego dziedzińca stał pałac, którego nie było komu zamieszkać; ale obszerne jego sale, odnowione i przybrane przed kilkunastu laty, utrzymywały się jeszcze w stanie mieszkalnym, choć już nie tak świetnie jak niegdyś. Było znać usiłowanie zachowania tego co przeszłość przekazała, ale zarazem niemożność oparcia się cicho wkraczającemu upadkowi i ruinie.

Gdziekolwiek na tych murach malowanych w przeszłym wieku, głęboka rysa lub smuga wilgoci smutnie budziła przeczucie zniszczenia. Drzwi, okna, posadzki zużyte były, nadpróchniałe, nieschodzące się z sobą; tam zaś gdzie je zastąpiono nowemi, poprawki nie odpowiadały ani wyrobem, ani materiałem temu, co zastę-

pować miały. Nie było to jeszcze ruiną, ale co chwila nią być mogło. Szczególniej część pałacu zamieszkana przez hrabiego, który wcale o utrzymanie jój nie dbał, pokoje paradne, gdzie rzadko kogo przyjmowano, część dolnego piętra, pustką już pachniały. Kątek tylko od ogrodu samój pani i jój córki, świeżej nieco wyglądał. W ogóle gmach był smutny, niezamieszkały, a ludzie po nim snujący się starzy, zwiedli, zmęczeni, jakby pod ciężarem jakiegoś złowrogiego przeczucia chodzący.

W ogrodzie hrabiny było nieco weselój, ale ten krył się głębiej za pałacowemi mury, i w miarę oddalenia coraz był puścieszyszy. Po za klombami drzew starych krył się tam domek małej, w którym prze-mieszkiwał Żółtowski, w miejscu osamotnioném i posęp-ném. Sama budowa mimo swój wielkości błyszczą-ła tylko z daleka; z blizka zdradzał się stan jój pół-ruiny połatanym białemi gontami dachem, kilku już zamkniętymi na wieki okiennicami zastępującymi okna, porysowanemi murami i tynkiem dawno nieodświe-żanym.

Dodajmy, że droga wiodąca do ganku była nie oczyszczona i chudą zieloną porastała trawką, a jesz-cze chudsze chwastami. Na widoku, z boku u wnij-ścia w sieni, stał szkielet drewniany jakiejś ogromnej projektowanej maszyny hrabiego, z mnóstwem kółek, pałek, walców i bloków okrytych pyłem od dawna. Było to coś tak mądrze skomplikowanego, że na pierwszy rzut oka niepodobna domyślić się było, do czego by to kiedy służyć mogło.

Stosunki hrabiego z sąsiedztwem były bardzo zimne i wcale nierozgałęzione: gość rzadki, życie niby pań-skie i wystawne, ale ubogie i niewygodne w istocie.

Hrabia nie dbał o to wcale, a hrabina mniej jeszcze troszczyła się o wygodę. Pierwszemu chodziło tylko pozór, żeby go nikt nigdy nieostosownie do imienia i pozycji socyalnej nieznalazł. Były więc liberye na codzien, choć niezawsze całe buty u służby, lokajów dosyć ziewających w przedpokoju lub biegających po cieślów i ślusarzy dla hrabiego, ale usługi nie było. Tak we wszystkim.

Jedną jeszcze postaci ważną na dworze zarubinieckim odgrywającą rolę, nie narysowaliśmy tutaj, ale tę na później zostawić musimy.

Gdy żółty kocyk hrabiego Hermana, powiązany sznurkami w zagrażających miejscach, gdziegdzie znowu połatany, z tłomokiem uczepionym z tyłu za pomocą niedyskretnie opasujących go powrozów, z furmanem bardzo niepocześnie odzianym, a za nim wóz z Pawłem i tłomokami wtoczyły się przed pałac zarubiniecki, choć i tu niebardzo było wytwornie, zdumienie ogarnęło ludzi na widok tak niepozornie wykupowanego gościa, który śmiał sobie z furą w dodatku poufale zajeżdżać przed sam ganek. Bo choć trafiało się, że w Zarabińcach niezawsze powozy i konie błyszczały, uchodziło to panu jako panu, a ci, co mieli honor zajeżdżać przed jego wrota, musieli występować jeśli nie paradnie, to przynajmniej przyzwoicie,

Wybiegła więc służba zdziwiona, a że nikt nie znał brata pańskiego, który tu długie lata nie bywał, ledwie śmiechem nie parsknęli lokaje, widząc starego Pawła w szarej kapocie i czapce zatłuszczonej, pośpieszającego od drzwi żółtego koczka, a konie zdyszane, robiące bokami, jakby w ganku popadać miały.

Stali tak z założonemi rękami w usposobieniu drwiącém, gdy poważna postać Hermana wydobyła się z powozu, i rzuciwszy okiem po gawiedzi, przybyły zapytał surowo:

— Jest pan?

— A jest! rzekł nie ruszając się z miejsca jeden z młodszych; tylko ja tam nie wiem...

— Czego nie wiesz?

— Czy przyjmie.

— A to już do ciebie nie należy! Hej! jest tam kto starszy! zawołał hrabia.

Gawiedź się jakoś nie ruszała; liczba jęj tylko zwiększyła się jeszcze kilku z różnych stron zbiegłymi próżniakami. Stać tak wystawionemu na pogardliwe wejrzenia tój dworszczyzny, nie było bardzo przyjemnie; lecz Herman w szczęśliwém jakoś usposobieniu, czuł się tylko tém rozśmieszony. Paweł ruszał ramionami i burzył się.

— Kto to taki? spytał wreszcie młodszy sługa Siermięzkiego.

— No! brat waszego pana, jeśli chcesz wiedzieć, trutniu! rzucił im groźnie Paweł.

Ten wyraz jak iskra elektryczna przebiegł zebranych ludzi. W jednej chwili zmieniła się postać rzeczy; twarze się pomieszały, tchórzliwsi pierzchnęli, jeden tylko pozostał z wielce zafrasowaną miną. Trzeba bowiem wiedzieć, że chociaż Herman tu nie bywał, ale sława dziwactw jego, bogactw i charakteru nawiadziła Zarubińce, i jak zwykle, pomnożona fantazyjnymi dodatkami, czyniła z niego złotem świecące straszdyło. Jak tylko służba dowiedziała się, że to jest brat pański, rozbiegła się po dworze, oznajmiono Żółtowskie-

mu, poczęło się krzątać, goniec jakiś dobiegł i do hrabiego.

Hrabia Rajmund, któremu w jego ważnych zajęciach nie wolno było przeszkadzać, siedział zamknięty w tak zwaném laboratorium. Był to pokój na dole, obszerny, mieszczący w sobie wszystko, co do jego dziwacznych robot zdawało mu się potrzebném: trochę starych książek, papier, ołówki i mnóstwo porzeczanych wzorów, drewnianych narzędzi, wyglądających poczwarnie. Nikt tu zwykle nie wchodził, i skoro pan zamknął się w laboratorium, nie wazono się pracy dla najpilniejszego w świecie interesu przerywać. Choć nigdy w życiu nic mu się nie udało zbudować takiego, coby miało pozór użyteczności, hrabia jednak miał się za geniusza, i zawsze się karmił nadzieją, że trafi na coś olbrzymiego lada chwila. Otaczający go dobrze widzieli śmieszność tych przywidzeń, ale nikt nie śmiał dać mu do zrozumienia, że to było rujnąjącą go manią, i słuchano go bardzo na seryo. Na ten raz przyjazd zupełnie niespodzianego a tak wielkiego gościa, złamał zwyczaj, i służący puknąwszy do drzwi, otworzył je nieco, wołając:

— Brat jw. grafa... przyjechał!

Hrabia stał nad stołem w długim surducie, mycce, okularach i przypatrywał się uważnie modelowi miy-na, który w żaden sposób mleć nie chciał, usiłując dojść gdzie mu chybiono w wykonaniu téj myśli, która wedle jego rachuby miała nową erę w mechanice stosowanej stanowić — gdy głos złowrogi dał się słyszeć niespodzianie. W pierwszej chwili oburzył się mocno, ale oznajmienie o bracie wzruszyło go tak jak lokajów i służbę; stanął niepewien co począć. Pierwszą myślą jego było, że już miał odgadnąć czego

brakło młynowi i byłby tego dnia ważne uzupełnił odkrycie, gdyby nie odwiedziny.

— To pewna, rzekł uśmiechając się do siebie, że nie mam szczęścia, że jest coś szatańskiego w przeznaczeniu, co mi zawsze w chwili stanowczej przeszkodzi. A no... brat! cóż robić! Ludzie nigdy nie pojmą takiego jak ja człowieka; potrzeba milczeć.

Ruszył ramionami, i powoli, z powagą zwykłą, wyszedł przeciw Hermanowi, który się w sieniach, nie spiesząc także, rozbierał z podróżnych sukien.

Dwaj bracia spotkali się, podając sobie ręce w milczeniu, które się wzruszeniem równie jak obojętnością tłómaczyć mogło. Herman pilnie się wpatrywał w Rajmunda, Rajmund myślał trochę o bracie, a więcéj o młynie. Twarz jego zimna, woskowa, nie zadrzała na widok rodzonego.

— Ależ dawno już, dawno nie widzieliśmy się! przebąknął gospodarz. Mnie moje zajęcia, ciebie twoja dzikość i pokochanie pustyni, wstrzymywały w domu.. Tyle lat, Hermanie... tyle lat!

— Prawda! nie kopa, ale czy nie ćwierć kopy? odparł Herman ze smutnym uśmiechem. Widzisz, to nie dziw: jam stary, mnie się ruszyć trudno, przyrosłem do kąta; ale tym razem przemogłem lenistwo, aby cię jeszcze przed śmiercią zobaczyć.

Rajmund uśmiechnął się, ale zawsze z wielką dostojnością i powagą.

— Nie wtrącajmyż tak smutnych myśli. Wejdz, proszę — i wskazał drzwi salonu, które lokaj w téj chwili bardzo pompatycznie otwierał. Weszli razem.

Salon był niegdyś wspaniały, ale ze staroświecka przybrany; czasy jego świetności przypadły na ów smak cesarstwa grecko-francuzki, gdy meble, sprzęty, malo-

wania naśladowały dość chudo i niezgrabnie zabytki Herkulanum i Pompei. Wszystko tu nosiło tę cechę. Salon był zimny, niepiękny, od razu czuleś, że w nim nigdy nie było życia. Sama pani przyjmowała w swoim saloniku, a ten urzędowy i paradny stał pustką całe miesiące i okrywał się pyłem.

— Dać znać pani hrabinie! zawołał gospodarz— pannie hrabiance!

Ale zaledwie tych słów domówił, obie panie ukazały się we drzwiach bocznych, z pośpiechem idąc powitać Hermana, który długo w nie uważnie wpatrywać się począł z uczuciem jakby tęsknego politowania nad ich losem.

Hrabina uczuła na sobie ten wzrok badawczy, i zarumieniała się od niego. Herman nie znał prawie Loli, której nie widział od dziecka; zdziwił się zastając ją śliczną, wyrosłą panienką.

— Już też się temu ani dziwuj, ani nam wyrzucaj, odezwała się swobodnie Lola. Myśmy do ciebie, stryjasku, przyjechać nie mogły, ty do nas nie chciałeś, a ja musiałam rosnać. Ale ja trochę ciebie stryju pamiętam.

Hrabia, który powagę posuwał do śmieszności i drobnostek, zgorszył się tą żywą apostrofą córki, i ruszył nieznacznie ramionami, mówiąc w duchu:

— Zawsze ta krew szlachecka! co pomyśli, to i powie!

Hrabina i Lola zajęły się zaraz przyjęciem gościa, który po chwili poprosił, aby mu dano pokój na spoczynek, i przemówiwszy jeszcze słów kilka do kobiet i brata, wymknął się z nim razem do naznaczonego sobie mieszkania. Ponieważ goście rzadko tu bywali, i o pomieszczenie wygodne nie było łatwo, bo

niezamieszkane pokoje, utrzymane niestarannie, wszystkie się jakimiś odznaczały brakami,—więc Żółtowski, którego zaraz wezwano do narady z domku ogrodowego, starszy sługa i Paweł wybrali po długich rozmyślach parę pokoiów mniej opuszczonych na dole, w których drzwi się zamykały prawie wszystkie, okna przystawały i komin dymił tylko z początku. W nich już podróżne rzeczy hrabiego rozłożone były.

Paweł znając nawykniecie pańskie, już drewka nośić kazał, aby mu ulubionego ognia rozłożyć; ale surowe wołyńskie polanka dębowe, na których jeszcze się gdzieśniedzie zielony liść błakał, nie robiły nadziei, by z nich płomień miał powstać: dym tylko wydawały obficie.

Herman obejrzał się szybko, nie spodziewając się wielkich wygod w domu brata, gdzie wszystko było dla oka, a nic do użycia, i mrugnawszy na Pawła, wyciągnął się na starój kanapie.

Hrabia Rajmund stał naprzeciw nieruchomy, spoglądając przez okulary na niepozorny tłomok i skromne przybory podróżne, które właśnie wnoszono.

Ludzie się jakoś przenieśli do przyległych pokoiów, i gdy gospodarz usiadł nareszcie, po długim milczeniu, poczęła się rozmowa od powtórnego podania ręki.

— No, postarzelśmy się oba, postarzeli... rzekł Herman. Oba bratuniu, wyglądamy jak gdybyśmy się raz ostatni żegnali. Powiedźże mi, a raczej wypowiadajmy się wzajem przed sobą: jesteścież szczęśliwi?

Rajmund uśmiechnął się dziwnie, nie dając wyrazu żadnego temu ust skrzywieniu, które mogło zarówno ból jak wesołość oznaczać; jego fizyognomia spętana ciąglą pilnością i czuwaniem nie okazywała nigdy uczuć we-

wewnętrznych, bo Rajmund uważał za brak powagi wydawanie się z tém, co miał w duszy.

— Ludzie jesteście, po ludzku idzie życie; nie więcéj wymagać niepotrzeba nad to, co możliwe. Gdyby nie szczególne warunki mojej egzystencji i ten geniusz wynalazków, którym podobało się obdarzyć mnie naturze, gdyby nie świat, wśród którego żyjemy, a który mnie pojąć ani ocenić nie potrafi... nie wieleby mi brakło.

Herman nieznacznie się uśmiechnął.

— A ty? zapytał Rajmund.

— Ja, to już powinienes wiedzieć: znasz przecie smutną historję.

— A tak! odparł zakłopotany Rajmund: coś sły-
szałem w istocie.

— Miałem syna i straciłem.

— Umarł więc! wykrzyknął Rajmund.

— Nie wiem nawet czy żyje, ale cokolwiek się z nim stało, przestałem mieć syna.—Spuścił głowę.—Na starość zostałem sam, zupełnie sam, zrobić się musiałem egoistą. Życie mi się przykrzy, niepokój jakiś ogarnia. Oto masz jego skutki, kiedym szukając rodziny, aż tu do was po nią przyjechał.

— Bardzom ci wdzięczny, kochany bracie, odezwał się Rajmund. Będziemy się starali zająć cię, uprzyjemnić ci te chwile, choć zaprawdę nie wiem już, od lat tylu straciwszy cię z oczu, co lubisz...

— Ja? nic... ogień na kominie, pieniądze w kieszeni, spokój w domu, a czasem kogo pociesznego, żeby sobie podrwić z niego.

Rajmund spojrzał z podziwem i uśmiechnął się.

— Mówią—rzekł—żeś tam coś dużo zebrał, żeś bardzo bogaty. Mnie to szczęście nie spotkało, nie mo-

gę jakoś przyjść do majątku, chociaż gdybym choć jedną z mych myśli przywiódł do skutku, jestem pewien milionów... Mam jeden tartak..

— A prawda! przerwał Herman: to ty chorujesz na mechanikę.

Zaczerwienił się Rajmund urażony tém słowem; a widząc uśmiech na ustach brata, stał się zimniejszy i sztywniejszy jeszcze.

— Tak pospolicie wyrażają się ludzie, dla których wszystko to, czego nie rozumieją, jest chorobą, dziwactwem i szaleństwem. Być zapoznanym jest dołą wszystkich pracowników na świecie; alem się tego nie spodziewał od ciebie usłyszeć.

— I ja bym ci też tego nie powiedział, gdybyś choć nowe grabie lub młynek do kawy przez lat tyle wynalazł; ale podobno nie! No, to już wyznaj, na chorobę zakrawa taka nieszczęśliwa passya.

Od kogo innego nie zniósłby pewnie tak chłodno objawionej otwarcie niewiary, témbardziej, że w domu przywykły był do pęłazania, potakiwania żony, córki i domowników, do milczenia sług i przyjaciół; ale znając brata, wstrzymał się z mającym wybuchnąć gniewem i ruszył tylko ramionami.

— To nic nie dowodzi, rzekł. Znamy wielkich wynalazców i dobroczyńców ludzkości, którzy po lat kilkadziesiąt pracowali nad wykonaniem swęj myśli. Żartuj sobie zdrów: ja mam przekonanie, że praca moja bezowocna nie będzie. Dotąd wprowadzie jakaś fatalność ciążyła nad nią, bo mi zawsze coś przeszkodziło w chwili, gdy myśl moja najbliżej była trafienia na to jedno nic, co ma być duszą wynalazku... ale cierpliwość i wytrwałość przemogą.

Herman ruszył ramionami.

— Jakże interesa twoje?—zapytał.

— No! idą tam sobie, nie zawsze najlepiej; bo i w tém jest fatalność. Nasz Wołyń często chybia; z ziarna jednego ciągnąc intraty, często jesteśmy bez grosza, a nie tak to jeszcze źle... Gdyby Żółtowski mnie słuchał, ja zdrowo widzę interesa; ale z tymi ludźmi...

— Przynajmniej szczęśliwy jesteś w domowém życiu? spytał Herman.

Tu hrabia Rajmund spojrzał na brata z powagą wielką, poszedł ku drzwiom, aby się przekonać, że ich nikt nie słucha, i stanął naprzeciw niego odziany majestatem swojej wielkości.

— Jestem szczęśliwy! tak! — odparł—jednak... Jesteśmy braćmi, nie powinniśmy mieć dla siebie tajemnic. Żonę mam anioła, ale anioł ten nie jest w stanie podnieść się na wyżyny, z którychby mnie pojął, dorównał mi i pomógł do dźwigania brzemienia. Najświętsza, najzaczniejsza kobieta; ale umysł jój nie był stworzony na towarzysza mojemu. Przytém szlachcianka, obyczajów pocziwych, szlacheckich, ale gminnych. Nietylko sama je zachowała, ale córkę napoiła niemi. Walczyłem z tém, przestałem: to darmo. Lola miła, piękna, ale mówi ci co myśli odrazu jak garderobiana: na to już nie ma rady. Lepszej, zacniejszej istoty nad żonę moją nie znajdziesz; cóż, kiedy pospolita, zatopiona w pobożności, a gdy mój geniusz potrzebuje współczucia, podtrzymania skrzydeł, ona go troską powszednią ściąga na ziemię! Jakkolwiek posłuszna mi i robi co ja chcę, ale, czy uwierzysz temu, że często mi się zdaje, jakby ją moje zajęcia, mój tryb życia nie zadawały? Delikatna, nie dała mi tego uczuć, ale ją zgaduje.

Herman milczał; widział on jaśniej te sprawy, ale nie miał odwagi w tej chwili i nie widział potrzeby przeciwieć się bratu; uśmiechał się dwuznacznie, pocierał nogi, kiwał głową.

— A! rzekł: mieniałbym się jednak na twoje życie. U mnie pustki w sercu, w domu; a choć zawsze myślałem, że człowiek sobie nadaremnie rodzi te potrzeby sercowe, że mu je wmawiają i narzucają... wiesz! na starość, brak rodziny, smutno samemu!

— Ale bo bardzobyś się jeszcze mógł ożenić! zawołał Rajmund.

Herman wstał powoli i uklonił mu się z żartobliwą mimiką.

— Dobra rada! rzekł. Patrzajże na mnie: w nogach kołtun, kołtun na łbie, starość za pasem, zęby powoli wyjeżdżają po jednemu, lat przez grzeczność dla ciebie liczyć nie będę, nigdy wielkiej zdolności do małżeństwa nie miałem... co ci jest! Dałabym szczęście tej kobiecie, któraby dla przyszłych, mających się odziedziczyć groszy, poszła za mnie? Tu dylemat łatwy do rozwiązania: ta, któraby się za mnie wybrała, ja bym jej nie chciał pewnie, bo bym nią gardził, a którejbym ja chciał, mnie nie przyjmie. Zakochać się w takiej figurce trudno, dzika myśl zaprawdę, a co by mi przyszło w domu z baby, któraby m tylko myła głowę?

I począł się śmiać serdecznie.

Rajmund ruszył ramionami.

— Przyznasz jednak, że są małżeństwa w podobnych warunkach zawarte a dosyć szczęśliwe. Jedna rzecz: potrzeba tylko, aby się ktoś z dwojga poświęcił. Naturalnie kobieta: jej samą poświęcenie robi przyjem-

ność; nam gdy je przyjmujemy, dobrze z niém, a więc obu stronom dzieje się zadość.

Herman śmiał się bardziej jeszcze.

— Ale tybyś chciał spocząć, rzekł gospodarz. Nie będę ci przeszkadzał; wytchniej po drodze... Ja pobiegnę do swojego młyna, bo miałem, a raczej byłem blizki mienia wielkiej myśli. Zaraz ci będę służył; zrobię tylko rachunek, ile razy obróci się to koło...

Przybyły otworzył wielkie oczy, popatrzał na brata, który mu zmykał tak żywo, i usiadł na kanapie, słowa nie mówiąc, pogrążony w myślach.

Ledwie za Rajmundem drzwi się zamknęły, gdy do nich natychmiast zapukano, i ukazał się stary Żółtowski, dawny znajomy Hermana, przychodzący mu się pokłonić. Milczący jak zawsze starowina, ukloniwszy się raz i drugi we drzwiach, z uśmiechem przybliżył się powitać gościa, obejrzał się po pokoju i westchnął tylko.

— Siadajże mój Żółtosiu, i praw co tu u was słysząc.

Żółtowski ruszył brwiami i ramionami wedle zwyczaju, znów głową potrząsnął na obie strony, westchnął raz jeszcze, zażył tabaki i milczał.

— Czy ty zawsze jeszcze taki jesteś milczący? spytał hrabia.

— Zawsze.

— Myślałem, żeś się gadać nauczył?

— O! nie.

— A to i od ciebie niewiele się dowiem; odparł gość. Brat mi mówi tak jak widzi; bratowej nie pytam, i znowu nie nauczę się co się tu u was dzieje. Cóż? jak tam wasze interesa?

— Żle! cicho bardzo rzekł Żółtowski.

— No! ale przecię nie zdeperowane?

— Tak źle, że gdyby hrabina po cichu nie włożyła w to co miała, gdyby... ale to nie ma co mówić!— przerwał.— JW. pan domyślisz się: ruina! ruina!

Herman wstał i począł chodzić po pokoju.

— Co tu kto pomoże! zawołał. Gdyby dziś miliony dać temu człowiekowi, da je zjeść próżniakom i poprzerać na maszyny... Otoż to... we dworze pięćdziesiąt dusz darmozjadów, a musi być liberya. Już tego roku za granicę tylko na różne kółka i śrubki poszło zaległych i nowych ze dwadzieścia tysięcy... Cóż pan chce?

— Choroba...

— A choroba...

— Przecięby mu żona czy powinna otworzyć...

Żółtowski się zżymnął.

— To! to! ona! ależ ona odezwać się nie śmie. Wie ona i rozumie wszystko, płacze po kątach, i tyle tego...

Zamilkł.

— Żle! rzekł Herman.

— Żle! powtórzył Żółtowski.

Chwilę jeszcze przebąkiwali coś do siebie, ale niewiele więcej z pocziwego starca wyciągnąć było można nad to utyskiwanie urywane. Herman odprawivszy go, podróżną kapotę zmienił tylko na niedzielną i kazał się zaprowadzić do bratowej.

Rajmund zaszedłszy do laboratorium, tak zapomniał o gościu dla dwóch kół, które miał trybem połączyć, że zupełnie swobodnym go zostawił.

Mieszkanie hrabiny było od strony ogrodu, oddalone od części zajmowanej przez męża i przytulone do zielonych drzew, w których się kryła ta część pa-

łacu. Wchodząc, zaraz czuć tu było życie, rozlewające wokoło siebie ciepło i promienie,—życie, w którym jest serce i uczucie. Gdy w reszcie pałacu chłodno było, pusto i smutno, tu coś uśmiechało się weselem pokoju chrześcijańskiego, wdziękiem kobiecym.

Hrabina wybrała sobie najmniejsze pokoje, przyozdobiła je bardzo skromnie, ale mieszkała wygodnie i miło. Salonik jój nie błyszczał niczém wytworném; zielenił się kwiatami, ściany jego zawieszane były portretami i pamiątkami lat ubiegłych.

W jedném oknie stały krosienka z poczetą robotą do kościoła, w drugiem stoliczek z otwartą książką.

W sprzętach ledwie prostota nie graniczyła z ubóstwem, tak były skromne i niewykwintne; ale daleko z niemi przecie ładniej tu było niż w wielkich salach na dole ze starymi brązowymi fotelami, u których i poręczy i ozdób miejscami brakło, a sięść na nich zdawało się straszno.

Jedném wejrzeniem objął Herman ogromną różnicę charakterów tych dwojga ludzi, o których głośno mówiły ich mieszkania. Tu było ciche zamięłowanie domowego życia, praca skromna, prostota, prawda; tam, po stronie hrabiego, obnażone a pańskie salony, laboratorium, na które patrząc rumienić się było potrzeba, pustki zajęte przez gawiedź uliberyowaną a bosą, próżnującą dla tego tylko w przedpokojach, by staremu obyczajowi dogodzić.

U hrabiny był jeden tylko stary sługa jeszcze ojcowski, szlachecka dziewczeczka, więcej przyjaciółka niż garderobiana, i wyrostek sierota ze wsi wzięty. Rajmund napróżno jój wyrzucał, że tak mało ludzi trzyma: dowodziła, że ją to męczy i zamiast posługi obarcza niewolą. Nigdy się w tój mierze zrozumieć

nie mogli. Gusta ich i w innych rzeczach były sprzeczne; ale gdy pani swoje zastosowywała do mężowskich, mąż przeciwnie na jej upodobania wcale nie zważał lub żartował z nich nawet.

Hrabina wszystko to przyjmowała z uśmiechem; rada była, że jej życie w tym cichym zakątku płynie prawie tak jak chciała, gdyż Rajmund zajęty swojemi wynalazkami, niewiele się wdawał w to co robiła, czasem tylko na zbytnią skromność gustów się obruszał, zapominając, że jego fantazyje zmuszały często do wyrzekania się wszelkich przyjemności. W sąsiedztwie, u ludzi, którzy zawsze biorą za słowo, hrabia uchodził za potężną choć trochę niepraktyczną głowę; pani sama za pospolitą kobietę, niedaleko widzącą, prostą sobie szlachcianceczkę.

Mówiono o niej z uszanowaniem, gdyż życie czyste i święte do niego zmuszało; ale powszechny sąd za niższą ją umysłowo od hrabiego uznawał, gdy w rzeczy wcale było przeciwnie. Ale Marya nie przechwalała się z sobą; owszem przyczyniała się do jak najkorzystniejszego wystawienia męża, który był karykaturą monomana, osłaniała i kryła jego śmieszności.

Bystre oko Hermana, który tak jak na nowo rodzinę swą poznawał, od razu tu przejrzało jasno: uczuł większy pociąg do bratowej niż do brata, i z lepszym humorem przestąpił próg jej cichego zakątka.

— Otoż tu—rzekł siadając—przynajmniej nie czuć pustki, którą się ja brzydzę, bo jej dość mam u siebie... Na dole aż straszno! tak jak u mnie! Tu drzwi się zamykają, okna jasne, chędogo, miło, zielono.

— To mój kąteczek mały i skromny, odpowiedziała hrabina. Jam przywykła do małego i ubogiego: tak mi z tém dobrze! Mój mąż pocziwy radby mnie

przepychem otoczył, ledwie mu się obronić moge; jam prosta szlachcianka, i taką pozostałam dziś jeszcze. Jakoś mi ze starym sprzętem swobodniej i w skromniejszym mieszkaniu lepiej.

— A, to też tu i każdemu wygodniej i lepiej! odparł Herman: tam już pachnie ruiną.

— Tak ci się bracie zdało na pierwszy rzut oka. Są pamiątki, których się tknąć nie godzi... trochę zmieszana odparła bratowa—tam przecie wspaniałej... Ale ja proste mam upodobania, i może trochę dziwaczę, że nie umiem gustu pocziwego Rajmunda dzielić. Nałóg!

— A! wpani go jeszcze tłómaczysz!

— Ale proszę cię, on tego potrzebuje: możnażby go o cokolwiek obwiniać?

— Zapewne—rzekł Herman—nic w tém złego nie ma, ale nedorzecznosci dużo, a w życiu rodzą się z nich potem przykre następstwa.

Hrabina spuściła oczy.

— Nie mówmy o tém, pani bratowo.

— Tak, nie mówmy, przerwała żywo hrabina, starając się pokryć pomieszanie. Widzę z radością—dodała—że brat zdrow, i kiedy do nas przybyłeś, więc swobodny i dobrej myśli.

— Jam zawsze jeden—rzekł Herman—jak mnie dawniej trochę znaliście: stary, nudny egoista, nic więcej. Sam nie wiem, jakie uczucie mnie do was przynęcało, może nudy. Chciałem zobaczyć, jak też wy we dwojgu żyjecie, kiedy mnie samemu tak ciężko.

— O! nam tu bardzo dobrze!

Ale jakaś łezka niedojrzana zakręciła się jój w oku.

— Tak, ale to we dwoje tak wygląda, jakbyście po jednemu żyli: ty tu, on gdzieindziej.

— Schodzimy się przecię, widzujemy.

— I jest węzeł co was łączy, Lola—westchnął hrabia.

Milczenie na chwilę przerwało rozmowę; hrabina obawiała się wspomnieć mu o synu.

— O! Lolą to się pochwalić mogę, żywo dodała po chwili: dziecię miłe, kochane, śliczne, ideał dzieweczki. Zobaczysz ją, poznasz: roztropna, żywa, pracowita.

— Ale to córka; uleci to wam z domu jak ptaszę, rzekł Herman.

— I synby także nie siedział! odpowiedziała Marya.

— Tak! syn... odezwał się chmurno hrabia—syn, to jeszcze gorzej!

I znowu umilkli.

Wtém wbiegła Lola, świeża a piękna młodością, weselem i szczęściem swoim, wpadając zaraz na starego stryjaszka, któremu zaczęła się przypatrywać z ciekawością nieskrywaną.

On także nie taił, że go zajmuje to dziecię, dalekim jakimś węzłem z nim połączone. Piękna blondyna zaczęła się niby krzątać około krosien, potem skoczyła uściskać matkę, potem zatrzymała się przed gościem i zaszczebotała śmiejąc się, aż oboje starzy umilkli, bo im ten srebrny wesoły głoszek mile brzmiał w uszach, i zamyślili się jakoś, może nad przyszłością, której nikt tём młodém weselem nie wyszczebotał.

Stary nawet Herman uśmiechnął się, matka rozjaśniła, bo trzpiotowatość dziecięcia Loli była zaraźliwa, jedna z tych co za serce biorą, i trzeba chyba niedob-

rego człowieka, żeby od nich zazdrościwie posmutniał.

Wtém drzwi się otworzyły, i sztywny gospodarz wszedł w nowym surducie, u którego klapki nawet jakaś orderowa uwiązana była wstążeczka, w białym krawacie, w lakierowanych bótach. Ukazanie się jego jak mrozem przejęło wszystkich, zamilkli, posmutnieli, i Lola nawet szczebiotać dłużej przy nim nie śmiała.

Taki był ten człowiek, nie zupełnie zły, ale sucho samolubny; wrażenie, jakie uczynił na ludziach, zimnem się objawiało i trwogą: było to przecucie, że i z siebie dla niego przyjdzie zrobić ofiarę.

Tym razem hrabia słodszy niż zwykle okazał się na przybycie brata, przynajmniej miał do tego ochotę, chciał mu okazać swe szczęście domowe, i wystawiał je w świetle, w jakim nigdy nie było. Czule przybliżył się do żony, troskliwie do córki, ale na obu ich twarzach odmalowało się zakłopotanie i zdziwienie. On też w tej roli nie swojej długo nie wytrzymał, i począł zaraz prawić o sobie i swych wielkich projektach.

— A! rzekł nareszcie: zdaje mi się, że dziś, jutro, będę u celu. Jeszcze mi czegoś małego brakuje, a spodziewam się wynaleźć siłę, której nic nie wyczerpie.

— Cóż, *perpetuum mobile*? rzekł śmiejąc się Herman.

— Wszystko jest śmieszne dla ludzi, co nic zrozumieć nie chcą, odparł hrabia Rajmund, prostując się poważnie. Więc najprzód powiadam: że kiedy umysł ludzki uparcie czego całemi wiekami szuka, tak bardzo błędzić nie może; już to dowód, że rzecz

możliwa, że nawet konieczna, gdy przez wieki myśl do niej kołacze nieustannie, niestrwożona ani szyderstw, ani zawodami. Ja jestem pewien, że trafiłem na dobrą drogę; o jedno tylko chodzi: o zniesienie tarcia. To tarcie wszystko psuje, siłę pożera i unieważnia, a jest rzeczą niezrozumiałą, więc powiem, nielogiczną. Bo gdzież się ta siła podziewa, która przepada przez tarcie? musi gdzieś iść? Gdyby ją więc pochwycić tylko, zwrócić do źródła, ot i cała tajemnica, której ja dojść muszę. Często cała kwestya zależy na tém, aby ją jasno postawić.

Herman ruszył ramionami, Marya spuściła oczy, Lola szukała czegoś na krosienkach.

— Pan brat rozumiesz cokolwiek mechaniki? spytał Rajmund.

— Tak mało, że jak nic.

— Szkoda, pokazałbym wpanu niektóre ciekawe moje wynalazki i pomysły. Wzory posyłałem nawet do paryzkiej Akademii Nauk, ale to gromada zazdrośników, nigdy mi nawet nie odpowiedzieli, choć posądzam, że tam jedną myśl mi ukradli. Zawsze też sama historia: *sic vos non vobis*...—Westchnął.

Wtém kamerdyner w białych choć dziurawych rękawiczkach, z serwetą nieco podartą na ręku, wszedł oznajmić, że dano do stołu. A że nakryto w sali jadalnej czyli portretowej na dole, musiano zejść do niej przez dosyć niewygodne korytarze.

Sala ta opuszczona jak inne, z podłogą naksztalt posadzki Św. Marka powychylaną i nierówną, z porysowanemi ścianami, dość była, szczerze powiedziawszy, brudna, choć wielce pompatyczna.

Ściany zajmowały portrety przodków, zawieszone krzywo i nieforemnie.

Stół w pośrodku zastawiony, był jak na codzień może trochę staranniej, z wazą srebrną w pośrodku, z koszem kwiatów i kandelabrami, ale w solniczках brakło soli, w widelcach niektórych zębów, noże były starte do szczytu ostrzeniem na cegle, a serwety datowały od zamążpójścia gospodyni. Na półmiskach srebrnych podano obiad zimny, niesmaczny, i w bardzo szczupłych rozmiarach. Żółtowski, który z państwem siadał do stołu, i panna Hersylia rezydentka, daleka jakaś kuzynka pani, często przez grzeczność wzajem sobie ostatniego ustępując kawałka, nie jedli wcale.

Mówiono mało, jedzono niewiele, bo Rajmund zimną swą powierzchownością odejmował mowę i apetyt. Liberya w wielkim komplecie otaczała stół, na który Herman, jakkolwiek do bardzo skromnego życia przywykły, poglądał ze smutkiem i podziwieniem. Pomimo srebra i wystawy, upadek domu i tu był bardzo widoczny.

Na kawę wszyscy przeszli do smutnego wielkiego salonu, na którego meblach i ścianach długie nudy wisieć się zdawały razem z pajęczynami. Panna Hersylia uciekła zaraz, Żółtowski nie czekał swojej filiżanki, i rodzina została sam na sam. Po chwilce i Lola, otwórzszy drzwi do ogrodu, wymknęła się przez nie.

Gospodarz przechadzał się niespokojny; trzeba bowiem wiedzieć, że po obiedzie jaśniejsze miewał myśli, skutkiem zapewne jakiegoś fenomenu dygestyjnego i zwykły był udawać się zaraz do laboratorium, a nie śmiał tak brata porzucić.

Kręcił się trochę usiłując pozostać, ale po chwili nie mógł przemódz nałogu, przeprosił Hermana, szepnął kilka słów żonie, zawrócił się i wyszedł. Gdy się

drzwi za nim zamknęły, Herman ramionami ruszył, bratowa udała, że nie widzi. Chwilę milczeli.

— Musisz się, kochana bratowo — rzekł po przestanku Herman — domyslać, że ja tu darmo nie przybyłem do was, po tylu latach niewidzenia. Jestem otwarty i szczery, nie lubię komplementów, i nie mówię ich nigdy: powiem ci od razu, że się nie mylisz. Miałem powód do téj podróży. Człek starzeje, upada, nie wie co go czeka; im starszy, tém robi się nudniejszy dla drugih i samemu ciężej na świecie. Szczególniej od niejakiego czasu źle mi bardzo. Pomyślałem, że trzeba by rozruszać machinę, podkurować się. Doktor mi radzi morskie kąpiele; pojedą do Odessy, może i do Krymu: mówią, że to ładny kraj. Ale znowu tyle znam życia i siebie, że wiem, jak to niebezpiecznie, sił mając mało, starać się o zdrowie, wychodząc ze swoich obyczajów. Albo starosta, albo kapucyn: mogę powrócić zdrowszy, a mogę tam gdzie i zostać. Nie chciałbym po sobie ludziom kłopotu zostawiać. Słyszałaś pewnie, wiesz, że miałem dziecię. Zdarzyło mi się, co się nikomu nie trafia, że nie śmierć mi je porwała, nie Bóg, ale ludzie. Nie szczęście dla mnie, głupstwo dla tego biedaka. Dziś sam nie wiem czy mam syna....

Wtém postrzegłszy na twarzy hrabiny pomieszanie, wywołane głosem, jakim to mówił, przerwał nagle.

— Powiem ci krótko: zrobiłem testament, chcę go w twoich rękach zostawić.

— W moich?

— Tak jest. Widzisz sama, że bratu nie mogę, boby w papier jakąś machinę obwinął, gdyby mu pilno było...

— A! i ty się z niego śmiesz! rzekła hrabina z wyrzutem,

— Nie, ja się lituję nad nim, choć to ta bieda mieści z sobą razem i pociechę: nikt się tak nie bawi jak monomani tego rodzaju. Ale niemniej to choroba..

— Mój bracie, przerwała Marya: zawsze to wyższy umysł oznacza...

— Jeśli nie zdziennienie umysłu... odparł nieubłagany Herman. Darmo go uniewinniać. Kiedy człowiek byt swój, żony i dziecka takim głupim fantazyom poświęca, trudno w bawełnę obwijać jego fiksy...

— Jesteś uprzedzony! żywo zawołała hrabina— a dla mnie to boleśnie słyszeć. Ludzie sądzą z daleka niesłusznie. Nie ma troskliwszego męża, lepszego ojca, czulszego nadeń człowieka; ale to człek ciężkiej pracy i głębokiej myśli, w drobnostki wchodzić nie może, nie ma na to czasu. Jeśliśmy trochę na interesach podupadli, to wina tylko mojej nieudolności, bracie, mojej nieumiejętności zajęcia się tém, mego dzieciństwa...

Herman ruszył ramionami.

— Ale to tak jest! powtórzyła Marya gorąco.

— Czyżby ci się czém zająć pozwolił?

— On! mnie! ale to najlepszy, najpowolniejszy z ludzi!

— No, niech będzie najlepszy i najpowolniejszy, rzekł Herman; ja, choć go kilkanaście lat nie widziałem, znam dobrze. Wracam do mojego. Przywiozłem ci testament i w twoje złożę go ręce; sam pojedę spokojny do Krymu: oto cały mój interes.

Myśl ścigania syna, do której przyznać się nie chciał, przyszła mu nagle; żywo ją wziął do serca,

okrył tylko pozorem choroby, a choć się tał sam prawie przed sobą, jakaś nadzieja znalezienia utraczonego dziecięcia podtrzymywała go trochę.

— Jadę do domu, dodał. Muszę się wybierać w podróż; a to dla takiego jak ja piecucha nie mała rzecz... potem ruszać w świat, ludzi śmieszyć.

Tak się skończyła pierwsza rozmowa Hermana z bratową; a że zwyczaj był rozchodzenia się po obiedzie, i gość też pożegnawszy panie, odszedł do swego pokoju. Schodzono się dopiero na herbatę; ale że czasu do wieczoru nie miał czém zająć hrabia i nudził się wyszedłszy ze swych obyczajów, wziął wkrótce laskę i ruszył przez ogród do mieszkania Żółtowskiego, z którym chciał jeszcze pomówić o interesach brata.

Stary Żółtowski mieszkał w domku ogrodowym, który przed laty dla jakiegoś paradnego ogrodnika był postawiony, a dziś wcale nieparadnemu rządcy wystarczał. Miał w nim parę izdebek, kancelaryę naprzeciwno, a że nadzwyczaj mało potrzebował, w téj zieleni i ciszy ogrodowej wcale mu było dobrze; nałóg zresztą przywiązał go do téj skromnej chaty.

Powiedzieliśmy już kilka słów o starym rządcy, który dla pani swój kochanej musiał męki znosić z hrabią, panem absolutnym, posadzającym, niekryjącym się z tém, że w rozum jego nie wierzy, a nawet pocziwość podejrzewa. Dla niej to Żółtowski i pracę, i mienie uciulane pocziwie, rzucił w tę otchłań nieładu po cichu, lekceważony, poniewierany, dźwigając ciężar nad siły, aby ulżyć choć trochę biednej kobiecie.

Domek, w którym mieszkał, tak był ubożuchny jak on; a że go się pański ogród wstydził, schowany był

w klomby i krzaki. Herman, który z czasów młodości pamiętał Zarubińce, łatwo wydeptaną przez trawniki ścieżyną trafił do niego.

Faworyt pudel Iżet, przewany tak od cyfry Żółtowskiego, staruszek już podżyły, ale którego władze wiek niebardzo osłabił, roztropne i wierne zwierzę, którego posłannictwem było nosić latarkę w zębach, gdy Żółtowski nocą do domku powracał, a klucze na rzemyku we dnie; chłopak młody ze wsi, którego Żółtowski psuł i coraz brał innego na próbę, nie chcąc się przekonać, że metoda jakiej używał do wychowania sługi, wcale nie była dobra: składali cały dwór rządcy. Na dzień do pracy przychodził do kancelaryi pisarz, młody człowiek, który po stolikach imię swój ulubionej kreślił, nie mając wielkich rzeczy do roboty.

Żółtowski pracowity nie bardzo go potrzebował, sam robiąc za wszystkich, w papierach grzebiąc się nieustannie. Pomocnik, prawdę rzekłszy, więcej mu przeszkadzał niż pomagał.

Ale darmo nadrabiał głowę, bo z tych interesów hrabiego Rajmunda nic dobrego zrobić nie było można, chyba podstępem i mimo samego pana. Wysilali się często z hrabiną na to, żeby coś korzystniejszego dla Przyszłości, dla majątku wymyślić; ale fantazje pana, jego upór, mieszały im wszystkie szyki. Hrabinie jawnie nie wolno było się w nic wtrącać, Żółtowskiemu nic swoją głowę robić; ratowali go tylko kradziwym sposobem. Z dzieckiem inaczej postępować nie było można.

Troskliwy o swoje mienie, przywykły go bronić otwarcie, Herman nie bez myśli szedł do Żółtowskiego,

chcąc się czegoś więcej nad to, czego się domyślał, dowiedzieć o majątkowem położeniu brata.

Zastał Żółtowskiego odpoczywającego w starym wysiedzianym fotelu, u kominka z książką w ręku.

Pokoik był biedny, ale schludny, i wygodniejszy może od pałacowych. Było w nim troszkę życia, coś co człowieka z uczuciem oznajmowało, choć zubożniałego dla świata. Na oknie para wazonów, na stole kilka książek, na ścianie z porwanemi strunami gitara z lepszych czasów, kilka sztychów, na które był przywykł patrzeć.

A ciepło było, zacisznie i słowik w bzach przyspiewywał pod oknem. Zerwał się Żółtowski, tak dostojnego obaczywszy gościa, rzucił książkę, ustąpił fotelu u komina, a małowowny zawsze, począł się tylko krzątać, by jak najlepiej przyjąć Hermana. Chłopaka jak zwykle nie było; Izet tylko stał we drzwiach, patrząc na skłopotanie pana i nieznana sobie postać, ku której nie wiedział czy się łąścić, czy mrużyć.

Trzeba zaś wiedzieć, że choć Żółtowski z dawien dawna znał Hermana, choć z daleka dziwy mu o nim prawiono, z nienajlepszej wystawując go strony,—miał przecie dla niego szacunek wielki z powodu fortuny, jaką zrobił, i rozumu, którego w utrzymaniu majątku dał dowody. Dla Żółtowskiego, który nieustannie z kłopotami pieniężnemi miał do czynienia, wielkim wydawał się ten człowiek, mający taką do interesów głowę, że go nikt jeszcze nigdy nie oszukał, a z krociów dorobił się milionów.

— No! i ty tu sobie eremita, eremita, mój Żółto-siu! rzekł siadając w jego fotelu bez ceremonii hrabia. Ale ci tu w pustelni téj dobrze, cicho, miło, a ja myślę, że dużo do roboty nie masz?

Żółtowski zawsze w strachu, żeby się z czém nie wygadać—gdyż niczego tak się nie obawiał, jak języka i paplarstwa,—zaczął rękami i ramionami gestykować swoim obyczajem, na okazanie, że wcale miało się inaczej.

— Ale cóż ty robisz, kiedy tu widzę u was wszystko po staremu, i po staremu golizna?

— A co golizna, to golizna! westchnął Żółtowski lakonicznie—i ztąd właśnie robota.

— Otoż, że mi téj waszój hrabiny żal, powiedz-no mi, jak stoicie?

Żółtowski zaciął usta.

— Mam mówić? rzekł.

— A juściż nie wątpisz, że wam dobrze życzę, żem dla was bratem.

— Ale sekret stanu.

— Dla mnie?

— A co się dzieje w szkole...? spytał urywając po swojemu Żółtowski—nauka... całe życie.

— Żebyś ty jak chciał trzymać język za zębami, dodał Herman—nie trudno się tu domyślić, żeście w złych sosach.

Stary oczy spuścił tylko.

— O brata, to ci się przyznam, nie tak mi idzie, kończył przybyły: sam nawarzył, niech pije.

— Nigdy nie pije kto nawarzył—przerwał gospodarz—to wiadomo; warzą to zawsze dla drugih.

— A no! to prawda.

— Ale to dobre panisko, poprawił się Żółtowski.

— E! bo figlujesz stary ze mną! pogroził Herman. To na nic: gadaj jak jest.

Żółtowski zażył tabaki.

— Hrabina to kobieta! zawołał na pozór bez związku, unikając jaśniejszego tłumaczenia.

— Dalejże, dalej; to i ja wiem. Czy już i jej posagowe summy wsiąkły w tę gąbkę mechaniczną?

Żółtowski ruszył ramionami.

— Daleko tam jeszcze pociągnięcie?

Stary podniósł oczy ku niebu i ruszył ramionami znowu, jakby chciał wyrazić, że nie wie co Opatrzność gotuje.

— Żle! he? no, gadajże!

— A no, to niedobrze! wybuchnął Żółtowski. Już ostatkami gonimy.

— Cóż będzie dalej?

— Sprzedadzą.

— Hm! rzekł Herman: może to i lepiej. Nie będzie marnował, a przekona się raz, że mu we łbie całe życie świeciło.

Żółtowski rozśmiał się i zaczął ogromnie machać rękami, bojąc się odezwać i objawić co myśli; ręce można sobie było jak chcąc tłumaczyć.

Nareszcie jakby zmuszony, rzekł prędko:

— E! tacy ludzie nigdy się nie przekonywają. Wi-na spadnie zawsze na mnie, com go słuchał, na żonę, na los, na Pana Boga, ale nigdy na niego...

— I w tém masz słuszość, Żółtowski; ale trzebaby pomyśleć, aby niewinnych od biedy ocalić. Zostanież tam co, gdyby im Zarubińce sprzedano?

— A! jużciż—odparł Żółtowski—zapewniony jest posag pani choć niecały, i ona taki ma swoją wioskę. Ocaliła to od długów nie wiem jak; hrabia rusza ramionami na nieufność, gniewa się, ale nic nie mówi. Okroi się coś, okroi i nam, ale nietyle ile po-

trzeba, by żyć naszym obyczajem, bo my lubimy po pańsku.

Zapędził się Żółtowski nad wszelkie swoje spodziewanie daleko, i przeląkł się ogromnie, gdy w tej chwili ktoś stuknął w szybę. Stary pobladł ze strachu.

W oknie od ogrodu ukazała się twarz, która zdawała się szukać ciekawemi oczyma gospodarza domu.

Herman spojrzał ciekawie; Żółtowski stał drżąc jak winowajca; przybysz ciągle w szybę stukał, a głos z za okna dał się słyszeć:

— Panie Janie! przyjmujesz?

— Odpowiedzże mi! zawołał hrabia. Kto to taki?

— E! to... to... rzekł skłopotany rządca — to sąsiad nasz, ale dziwak...

— Sąsiad? który?

— Sąsiad! krótko z niecierpliwością odezwał się Żółtowski, posuwając ku ku drzwiom — dziwak, ale pocziwe człeczysko. Ja go zaraz odprawię.

Ruszył ku drzwiom, ale Herman złapał go za rękę.

— Jeżeli dziwak, to chwała Bogu! rzekł — na co go masz odprawiać? Z dziwakami tylko żyć, bo pospolitych ludzi jest aż do zbytku; tego kleiku mamy codzień do sytu. To przynajmniej nieco pieprzna potrawa. Dawaj mi go tu, nie odprawiaj.

— Ale, proszę hrabiego...

— Nie ma „ale“, dawaj go tu; przynajmniej się rozruszam: ja lubię dziwaków.

Jeszcze się targowali, gdy drzwi się otworzyły, i ów zapowiedziany oryginał najprzód głowę przez nie wsunął, aby obejrzeć co się tam dzieje.

A głowa to była, którą Michał Anioł mógł za wzór wziąć sobie: wyrazista, energiczna, niepiękna, ale z takim stylem i majestatem przez naturę wy-

rzeźbiona, że gdyś na nią spojrział, oczu od niej oderwać nie mogłeś. Panowało jój czoło wysokie, pogarbione, połamane sterczącemi z pod skóry kośćmi i guzami, narysowane twardo, jakby natura ostatniej do niego nie przyłożyła ręki i rzuciła w świat zaledwie pocztą robotę. Po nad oczyma czarnemi, łuki brwi jak dwa sklepienia cień rzucały na te dwa duszy okienka; nos rzymski kantowaty, spuścisty, przypominał typy starych medalów cesarów; usta były małe, ale pełne charakteru. Po nad czaszką włos gęsty i obfity w nieładzie, w puklach ciemnych posrebrzanych rozrzucony, wyglądał jak las po burzy, z połamanemi gałęzmi i powyginanemi drzew ławami.

Ogół fizyognomii téj energiczny, znamionował wytrwałość i spokój, i dawał na raz pojęcie człowieka, którego świat i ludzie tyle nie obchodzili, by się chciał do nich stosować; który nosił w sobie dość zapewne życia i siły, by ich nie potrzebować od nikogo, nie troszczyć się i o to co wkoło szemrano.

Żółtowski ujrawszy tę głowę, zrobił minę zafrasowaną, która się przybyłemu wytłómaczyła, gdy ujrzał obok siedzącego Hermana, ale go obca postać nie zmieszała wcale.

— Przyjmujesz czy nie, stary? spytał gość. No, gadaj! bo sobie pójdę. Zwykłą sobie odbywając przechadzkę, zaszedłem do waszeczki, a jeśli nie masz czasu, idę dalej.

— Ja nie przeszkadzam, przerwał odwracając się Herman; nie mamy interesu. A że Żółtowski języka w gębie, zobaczywszy pana, zapomniał, temu, spodziewam się, dziwować się nie będziesz.

Żółtowski rękami machał i śmiał się.

Drzwi otworzyły się całkowicie, i wszedł barczysty,

słuszny mężczyzna, w siwój, krojem sukmanki zrobionej kapocie, z kijem w ręku. Był to człowiek uderzającej piękności postawy, lat średnich, ale zdrów, silny i wielce poważny. Głowa, którąśmy wprzód widzieli, doskonale harmonizowała z resztą osoby, mimo ubioru bardzo prostego, wspaniałej wyrazem siły i spokoju.

Żółtowski choć niebardzo chętnie, musiał go prezentować.

— Mój przyjaciel, nasz sąsiad: Otto Marzycki... Hrabia Herman.

— Otto Marzycki! zawołał hrabia.

— Hermanek! wyrwało się z ust przybyłemu.

Popatrzała na siebie, lekkim pozdrawiając się ukłonem

— Ale my się dobrze i dawno znamy! przerwał Herman, — jeżeli to za znajomość liczyć można, żeśmy do szkół chodzili razem, w trzech klassach wspólnie zbijali baki, i choć w ciągłej kłótni, w ciągłych byliśmy stosunkach. O! o! ależ to lat temu... chyba nie liczymy! Co się to z nami zrobiło? Inni dziś ludzie, tylko starzy szyld, nazwisko zostało toż samo.

Otto szeroką dłoń wyciągnął ku hrabiemu.

— A to dla mnie ciekawe spotkanie! Imię brzmi po staremu, człek nowy. Został w was tam co starego kolegi?

— Złe wszystko, co do odrobiny, jak smoła przywrzało i nie puszcza; jeśli było co dobrego, nie wiem czy dziś już znajdziesz.

— Patrzcie! rzekł siadając Otto: ktoby był powiedział, że się zetkniemy znowu! Jam się o was dowiadywał nieraz: mówili mi, że żyjesz jak pustelnik, żeś się ogromnej dorobił fortuny z grzybów poleskich.

— No, a ty Ottonie? bo po staremu mówmy do siebie...

— Ani myślę inaczej. No! jam także pustelnik, tylko ubogi, ale mi z tém dobrze.

— Ja zawsze powtarzam: każdy ma to, czego chce.

— I masz słuszność, nawet kiedy tego chce, czego żądać nie powinien. Miło mi was spotkać!

Podali sobie dłonie raz jeszcze; hrabia westchnął.

— Niedaleko ztąd mieszkasz? spytał.

— Tuż za górą, domek w sadzie i chat kilka: wioszczyna po ojcu. Nicem się nie dorobił, nic nie straciłem też.

— Żonaty jesteś? nie?

— Nie! Bóg nie chciał!

— A ty?

— Ja chciałem, ale mi ją wydarła śmierć, a mogile poślubiwszy wiarę, dotrzymuję jęj. A ty?

— Jam żonę stracił.

— Masz dzieci?

— Nikogo! odparł chmurno hrabia.

Zamilkli znowu.

— Dziwnie! dziwnie! rzekł Otto: — na jednej ławie siedzieliśmy kolegami, dziś jeden prawie los dzielimy, obaj starzy, pustelnicy, samotni, skołatani; tylko jeden wlecze za sobą złoty łańcuch majątku, a drugi jak ptak — swobodny.

Spojrzał z góry na hrabiego, który w istocie przy nim się smutno i biednie wydawał, takim pokojem i swobodą jaśniała energiczna twarz Ottona.

— Nie jestże to sen dziwny, po latach tylu, z chłopaków starymi się spotkać na drugim życia końcu, przynosząc z sobą wspomnienia dzieciństwa?

Żółtowski przytomny rozmowie, rad, że mu już mówić nie było potrzeba, stał i patrzył uśmiechając się.

Dwaj dawni koledzy z ciekawością zbliżali się ku sobie.

— Czy życie ci dotrzymało, co obiecywało? zapytał otwarcie Otto—rad jesteś z niego i z siebie?

— Ja życie miałem zawsze za jakieś zagadkowe szyderstwo; nie myliłem się: cięży mi.

— W tém się różnimy: nie powiem, bym się do niego przywiązał, ale się z niem godzę zupełnie. Nie takie jest, jakiem je marzyły głowy młode, ale takie, jak wiek dojrzałszy zbudował.

— Sam jeden jesteś? spytał hrabia.

— Jeśli o rodzinę pytasz—sam; jeśli o przyjaciół—nie tak bardzo. Człowiek stworzony jest do ludzi; w odosobnieniu zupełném się psuje.

— Cóż robisz?

— Żyję, a życie urządziłem sobie wybornie. Chleb mam; spokój, o ile go świat dać może i rozum wyrobić... słabostkę wreszcie, którą żyję, bo na coś chorować potrzeba... Twój brat, hrabio, ma, jak wiesz, kosztowną febrę machin i inwencji; ja także po ludzku choruję, tylko nie na tak drogą i uciążliwą słabość jak tamta. Według stawu grobla. Przypomnisz sobie zapewne, że w szkołach grywałem sobie na fleciku; pamiętasz może ów czarny, hebanowy, ze słoniową kością, który nieustannie miałem w kieszeni? Było w nim nasionko przyszłej choroby. Później zacząłem się uczyć na skrzypcach, na wiolonczelli, na fortepianie, potem muzyki w ogóle, potem stałem się nie wiedzieć jak — *fanatico per la musica!*

— A! a! zawołał szydersko hrabia: i jeździłeś za-

pewne po Europie, dając koncerta, zbierając laury, kleiłeś w pugilarzesie drukowane pochwały dziennikarzy, opłacane śniadaniami, *pro aeterna rei memoria!* Winszuję!

Otto aż się porwał.

— Hrabiol! dajże mi pokój! Wziąłeś mnie, widzę, sądząc z czupryny, za długowłosego kuglarza, który nie na to jest muzykiem, aby siebie poił melodyą, ale żeby nią drugich durzył. Nie cierpię popisów, nienawidzę szarlatanów, nie lubię fanfaronady w niczém. Muzykę jak kochankę mam dla siebie: nie wożę się z nią wcale po świecie.

— Przepraszam cię, alem myślał...

— Wiem, mogłeś myśleć, że i ja chciałem z niej kręcić ów bicz z piasku, który się innym tak dobrze udaje. Ale tamci nie są muzycy: są spekulatorowie, którzy tak samoby jeździli po świecie z olejkami, z pomadą, menażeryą lub kosmoramą. Talent u nich być może, ale pojęcia, poszanowania sztuki nie ma; bo prawdziwy artysta woli mrzeć z głodu, niż świętością frymarczyć.

— Masz słuszność, ale wszyscy oni...

— Nie wszyscy! przerwał Otto. Są tacy, którzy wolą na życie zarabiać nauką, po cichu, którzy w ostateczności chyba, z rumieńcem na czole, słyszeć się dają, gdy ich głód lub natręctwo zmusi do tego; są tacy, co czcząc muzykę, kochając ją, kryją się z nią jak ze skarbem... i to są tylko prawdziwi artyści! Jeżeli przepełni ich uczucie, które wylać potrzebują, nie patrzą jak i przed kim, byle sympatyczne ucho i duszę znaleźli, nie targują się o cenę biletów. Grają tak drzewom i lasom i prostemu chłopkowi, jakby ich królowie słuchali. To są artyści tylko; a ci, o których myś-

laleś, rzemieślnicy muzyczni, kupczący w kościele, technicy i wirtuozy, sprzedający uczucie, którego nie mają, jak fabrykowane assygnaty.

— A no! bardzo się cieszę, że nie jesteś jednym z tysiąca tych, którzy zalewają Europę, dobijając sztukę.

— Tak! tak! kończył Otto: mogłeś myśleć po tylu latach, że i ja ze świętości zrobiłem frymark jak inni; ale chleb mam, a muzyka jest dla mnie skarbem, który za tak drogi uważam, że nie mogę nim handlować.

— A cóż na wsi robisz z muzyką?

— To, co słowiki w krzakach: gram sobie. A że sam jeden wystarczyć nie mogę, zwykle dom mam pełen młodych wypustków muzycznych, którzy się około mnie snują, dylettantów i ubogich biedaków, co nie grając, nie wygrali. Tak życie płynie mi strumieniem dźwięków i brzęków, aby dalej: do żałobnego marszu Chopin'a. Hrabia zbierasz pieniądze, ja nóty; spodziewam się, żeśmy równo szczęśliwi.

Hrabia ruszył ramionami.

— Dość, że do szczęścia, choćby bardzo umiarkowanej dozy, na ziemi—dodał—potrzeba zawsze jakiego bzika lub choroby; a kto się starał utrzymać zdrowym na umyśle i ciele, i odarł życie umyślnie z tych fraшек, nigdy nie dosięgnie nawet cienia szczęścia. Aby być trochę szczęśliwym, potrzeba być i śmiesznym, i nieco szalonym.

— Niezawodnie — rzekł Otto — tak jest: trzeba w coś wierzyć i coś kochać. Chlebem razowym powszedniego życia nikt się nie przekarmi; a to, co ty nazywasz bzikiem, jest po prostu wyjściem ze szranków życia codziennego, wychyleniem się w kraj ma-

rzeń i ideałów; tylko że jedni, jak ja, szukają ich w czystej krainie snów melodyjnych, inni po ziemskich ścieżynach, [na oko pnących się ku niebiosom—i niknących w chmurach.

— I nie ma szczęścia, bez trochę bałamuctwa?

— Bo szczęście to nadzieja i marzenie — rzekł Otto — trzeba o tém z góry wiedzieć... nigdy rzeczywistość. Im sobie kto wyżej je postawił, tém mu lepiej, bo go nigdy nie dosięgnie i wiecznie wspinać się, marzyć i spodziewać będzie.

Dwaj starzy towarzysze wymieniwszy te słowa, usiedli jeszcze bliżej siebie.

— Z bratem moim znasz się, spodziewam? spytał Herman.

— Mało bardzo, jak nic; on dla mnie za wielki pan, bo i na to choruje trochę, i zdaje mu się, że może wyżej głowę nosić dla tego, że idzie od starzej porcelany, gdy my się więdziemy z nowego fajansu.

— Ale szanujże mi brata i nie śmiej się z niego! sam śmiejąc się rzekł Herman.

— A, to nic! Najzacniejszy człowiek! ale gdyby ze mną żył, zdałoby mu się, że mi wielką robi łaskę, przyjmując ubogiego szlachetkę, a w istocie jabym się z nim nudził, nie wiedzieć dla czego. Ja wolę starego Żółtowskiego, i kwita.

— No, to i ja wolę starego pana Jana — odparł hrabia — choć i Żółtowskiemu brak piątój klepki... rzekł uśmiechając się. Wyobraź sobie starego tego tchórza, który się boi gadać, i całe swe mienie po ciachu wpakował w fantazyje pana na to, by od niego cierpieć przymówek! A gdyby pan hrabia wszystko stracił i w dodatku winę ruiny zwałił na grzbiet plenipotentą, chlebaby kawałka nie miał na starość!

Żółtowski ręką machnął z góry na dół.

— Już gdyby to nieszczęście hrabiego spotkać miało—rzekł nagle—jabym go nie przeżył. Stary, nikogo nie mam; co mi tam!

— Truteń jesteś, powiadam ci — przerwał hrabia. Jedno szczęście twoje, że i ja mam bzika, który ci może posłużyć; lubię ludzi, co mają jakąś wadę lub śmieszność dobrze wydatną. Im grubsza narośl, tém lepij. Kocham Lacynę, że się upija w nocy, w dzień uanizga i myśli, że mnie okpiwa; kocham Radwanowicza, prawiącego jak na mękach; kocham mego Pawła, który mnie łąje i fuka. Otoż do téj kolekcji oryginałów, jakby Żółtowski nie miał się gdzie podziać, zapraszam do siebie: dalipan nieźle ci będzie.

Stary pan Jan obiema na to machnął rękoma, otarł łzę i poszedł do okna; Marzycki śmiać się począł.

— A no—rzekł—do tego twojego zbioru to i ja się kwalifikuję.

— Nie, bo muzyki nie lubię! rzekł hrabia.

— Jak to! ty muzyki nie lubisz?

— Nie cierpię!

— Więc można nie czuć! nie lubić muzyki! zawołał z zapalem Otto, łamiąc ręce—i przyznawać się do tego! Braknie ci więc jednego zmysłu, jednej władzy, jednej idei, któraby nowe otworzyła światy. Jesteś ułomny, nieboraku.

— Ha! na to nic nie poradzę: kaleką już zostanę na wieki! rzekł uśmiechając się hrabia.

Gdy tak rozprawiali, hrabia Rajmund nacieszywszy się machinami swemi, pomyślał nareszcie o bracie, i pogonił za nim aż do Żółtowskiego, niespodzianie nachodząc ich wśród swobodnej gawędy.

Ukazanie się jego było jak chłodny powiew na

rozgrzanych. Herman pierwszy umilkł; Otto wstał na powitanie zimny i prawie dumny; Żółtowski, który był wyszedł ze swój roli pokornego sługi, zmieszał się, stanął wyprostowany i poczerwieniał jak złapany na grzechu.

Gospodarz bardzo zimno powitał Ottona, obejrzał się kwaśno po kątkach tego biednego domowstwa, czując się w nieswoim żywiole, i przystąpił do brata, który dźwignął się z fotelu, jakby znudzony i znępany.

— Przychodzę po ciebie: hrabina czeka nas z herbatą.

— A ja tu ze starym kolegą gwarzyłem — odparł trochę złośliwie Herman; — wszak i ty musisz pamiętać Ottona?

— A jakże! tak jest! rzekł zimno kłaniając się hrabia. Mam przyjemność sąsiadować, chociaż nie raczy mnie odwiedzać.

Otto się uśmiechnął.

— Może choć dziś na herbatę pójdziesz z nami? dorzucił Herman.

Rajmund dodał:

— Gdybym mógł uprosić!

— Nie: mam u siebie spodziewanych gości — przerwał Otto — nie mogę: przepraszam bardzo.

Na tém stanęło.

— Mam jednak nadzieję — dodał po chwili Marzycki — że będąc o kilka kroków, hrabio Hermanie, odwiedzisz starego kolegę.

— A! jak ty nie, to i ja nie! Zresztą ja jutro jadę; śpieszę, bo mam podróż do kąpieli przed sobą.

— Więc znowu chyba za jakie lat dwadzieścia lub trzydzieści... do widzenia! — dodał Otto.

I milczący zasiadł w krześle. Hrabia Rajmund dał znak bratu, że na niego czeka, i obaj wyszli, zostawując Żółtowskiego z Ottonem.

Po wyjściu braci, spojrzeli na siebie przyjaciele. Otto odetchnął swobodnie; Żółtowski, który był spotniał, otarł czoło chustką i siadł zamyślony.

— Niespodziane spotkanie—rzekł Otto.—Co się to z tego człowieka zrobiło?

Żółtowski ruszył ramionami, wstrzymując silnie język za zębami; ale w końcu przywykły z Ottonem być szczerzej, wybuchnął:

— Oj to prawda! zawołał: człowiek ten to ogromna zagadka: egoista, samolub, skąpiec, zimny, jeszcze gorzej się spotwarza sam niż jest; a nie wiadomo: czujesz jednak, że w nim coś niezłego siedzi. Musisz wiedzieć jego historię? Kochał się i nie ożenił dla tego, że kochał; potem ożenił się nie kochając; żonę, mówią, zamęczył swoim despotyzmem; syn mu gdzieś uciekł, bo go także chciał podług swojej idei wychowywać, aż nie wytrzymał. Serce może i dobre, ale w głowie dzikie rzeczy.

Tu postrzegłszy się, że za daleko wędrował, Żółtowski urwał nagle.

— Kończel! dodał Otto.

— Co tam! nie ma co gadać! Głowie się jego zdaje, że ona panować powinna; w tém bieda cała. Sercu nie wierzy, a jednak jest to co ma najlepszego; walczy z niem. Przysięgnęłbym, że w gruncie najpocziwszy, choć na oko tyran i sknera.

— Czasem się to trafia, że człowiek tak się omyli, i to co ma najlepszego zmarnuje, aby w sobie dyabła wyhodować. Ręczę, że gdyby był muzykiem, wszyst-

koby poszło inaczej: serceby mu się otworzyło szerzej. Cała bieda, że nie lubi muzyki.

Żółtowski parsknął ze śmiechu.

— A no! powiesz, że to éwieczek, niech i tak będzie: już mi go ze łba i obcęgami nie wyciągniesz; nie ma na to rady.

Stary rządcą przelekł, że mógł być niedelikatnym, zrobił minę pełną powagi i skruchy.

W chwilę potém Otto szedł zamyślony do swego Robowa.

Tymczasem w salonie już nakryto do herbaty, i towarzystwo całe poważnie około okrągłego stolika zasiadało. Podwieczorek był trochę paradny dla gościa, z ciastkami widocznie umyślnie pieczonemi, z owocami, na saskiej porcelanie, i ze wszystkimi lokajami w liberyi. Ale mimo to herbatę dano zimną, owoce niedojrzałe, w bułkach był zakalec, masło wyglądało nieświeżo.

Hrabiemu wystarczała piękna fizygnomia stołu, Herman też dbał o to niewiele, gdyż był z systemu wstrzemięzliwy bardzo i nie obchodziły go wcale żadne gastronomiczne wymysły.

Hrabina nigdy w życiu nie wiedziała co jadła, Lola była wesoła i młoda; nie postrzegli więc nawet, czy gdzie czego nie brakło.

Skutkiem usposobienia wszystkich, podwieczorek przeszedł na rozmowie urywanój i ledwie dającój się posztukować, tak chłodnej i zimnej, jak hrabia był ponury i kwaśny.

Herman wspomniał, że nazajutrz odjechać musi.

— Jak to? jutro? ale to być nie może! zawołała Marya.

— U mnie co musi to może, kochana bratowo— rzekł Herman.

— I nie zechcesz nic widzieć? nie jesteś ciekawy?—przebaknął brat żywo. Chciałbym ci przecież coś z moich robot pokazać, pochwalić się...

— Ja się na tém nie poznam — uśmiechając się prawie pogardliwie rzekł Herman.

— Choć w istocie wątpię, byś się na nich poznał, bo tu do pewnego stopnia trzeba być oswojonym z rzeczą, aby ją ocenić—kończył hrabia—ale... A gdybyśmy wszyscy na chwilę poszli do laboratorium? — zaproponował nagle.

Hrabina zmieszała się nieco, rumieniec twarzy jęj okrył; Lola pobiegła niby kwiatki oglądać; Herman wstał z rezygnacją.

— Chodźmy—rzekł.

— Zawsze przynajmniej o pracy całego mojego życia mieć będziesz pojęcie—żywo dorzucił Rajmund, idąc przodem z niecierpliwością źle ukrywaną.

Ludzie zaczęli się uśmiechać otwierając drzwi, a gospodarz poprzędając żonę i brata, śpieszył do tęg części pałacu, która zawierała jego pracownię.

Głównie poświęcona jęj była wielka sala na dole, ale przyległe pokoje pozastawiane były także mnóstwem pyłem okrytych, niedonoszonych wynalazków, które czekały, jak mówił autor, chwili, coby ideę twórczą, uzupełniającą je, przyniosła.

To Kafarnaum przestraszało na pierwszy rzut oka; trudno się było przecisnąć wśród kół, drągów i najdzikszych jakichś aparatów, przypominających narzędzia tortur. Hrabina rumieniła się jak dziecię, udając wesołą; Lola szczebiotała z trochę przymusu; Her-

man szydersko się uśmiechał: ale za wszystkich rozpromieniony i szczęśliwy był gospodarz.

Wskazywał rękami, chwycił, obracał, rozprawiał, zapalał się.

— To jest plug nowego systemu, mówił; bardzo mu już małej rzeczy braknie: wprowadzie nie orze jeszcze, ale przyjdzie chwila, w której go dokompletuję. Mam już ideę: jedno nic, będzie stanowił epokę. Model młyna bez kamieni... całe nowy system... walce, przyrząd ciekawy... zobaczycie! Chodzi tylko o wykonanie na wielką skalę: to złoty wynalazek, bylebym mógł go zbudować; ale mnie zawsze Żółtowski temi głupie-
mi pieniędzmi wstrzymuje. Powiada, że gmach sam ma sto tysięcy kosztować: cóż to znaczy, kiedy mliwo kilkakroć rocznie zrobić może? Ale to człowiek bez intelligencji, bez najmniejszej, i tchórz!

Szli tak coraz dalej, nowe oglądając dziwy; a że sala mało ich widać jeszcze zawierała, by dać pojęcie prac i trudów hrabiego, wprowadził ich do *sanctum sanctorum*, do gabinetu, w którym pierwsze swe pomysły rzucał na papier, gdzie miał rozwiązać się wielki problemat zniszczenia tarcia i udarowania świata nieśmiertelną siłą, nigdy się niezużywającą.

Ale ciekawszą od machin i modelików rzeczą był tu żywy, maleńki człowieczek w okularach, który coś przy stoliku dłużał. Zeszli go niespodzianie, tak, że ledwie miał czas kaftanik watowany, w którym pracował, opiąć nieco szczelniej około siebie.

Człowieczek ten, była to *anima damnata* hrabiego, jego najukochańsza w świecie istota, jedyny, co go pojmował i rozumiał. Niegdyś prosty ślusarczyk, wzięty do szlifowania żelaznych kółek i opiłowywania

kruczków, Malczak zestarzał na posługach hrabiego dostawszy prawie równego mu obłąkania. Rajmund miał go za jedno ze swych dzieł, i w istocie głowę mu przewrócił. Malczak wierzył w hrabiego, on w Malczaka, kochali się, kłócili, a pan ostatecznie nabył przekonania, że to jest geniusz ukryty; sługa, że hrabia niepospolitym jest wynalazcą, lubo z oczu jego czasem jeszcze szyderstwo patrzyło. Obaj bez siebie żyć nie mogli. Malczaka na dworze nie cierpiano, ale hrabia nie tylko go osłaniał i bronił, lecz dopuszczając do ucha, uczynił wszechmocnym pośrednikiem.

Malczak mimo zdrobniałego nazwiska, które nosił, wcale już nie był młody: posiwiiał, zesechł nad robotą, skurczył się, twarz miał pergaminową, żółtą, usta od natury skrzywione w skutek jakiegoś wrzodu, który mu twarz, gdy był dzieckiem, skaleczył. Skutkiem tego wykrzywienia, z jednej strony widziany, zawsze miał minę szyderską, z drugiej spokojną i nieznaną; nigdy dojść nie było można, czy śmiał się, czy płakał.

Łysina jego wyżółkła, plamista, resztą tylko włosów siwiejących była otoczona.

Rajmund wskazał go bratu po cichu, trącając go łokciem i szepcząc na ucho:

— Byłby geniusz, powiadam ci, gdyby wychowanie go rozwinęło: zadziwiające ma pomysły! zadziwiająca! osobiwsze!

Herman skłonił głowę.

— Wynalazł — dodał — kołowrotek, którego tylko przez upór nie chcą ludzie używać; ale to jest arcydzieło! Jabym sam się nim chlubił! Mała rzecz, ale nic piękniejszego! Pokaż-no swój kołowrotek, Malczak!

Malczak powstał powoli, obojętnie, i opiąwszy znów

rozchodzący się kaftanik, którego nigdy nie zrzucił, poprawiwszy okulary, wzmocniwszy nogi w pantoflach, które stanowiły zwykłe jego obuwie ze starych bótów hrabiego wykrawane, wyciągnął z kąta coś nakształt kołowrotka, z powagą człowieka, który wierząc mocno w siebie, wcale się o uznanie nie troszczy.

— To trzeba takich głów głupich, jak tych naszych prostych ludzi—przerwał milczenie hrabia—żeby tego cudnego wynalazku nie zastosować, nie przyjąć, nie chwycić się. Wprawdzie ja mu tu jedno ważne dodałem ulepszenie, ale główna myśl jest jego: kołowrotek ten przedzie, zwija, mota, len oczesuje, kłaki składa i zbywającą siłą mógłby jeszcze coś robić, gdyby było potrzeba. Cała rzecz na tém, że ma kilka kół i trybów nadzwyczaj siłę oszczędzających..

Malczak przerwał:

— To jest taki kołowrotek, że kotby na nim prządl jedną łapą.

— To byłoby dobrodziejstwem dla ludzkości, gdyby nie przesady.

Malczak pokazawszy narzędzie, rzucił je w kąt, i nie troszcząc się o przybyłych, siadł znowu za stół piłować. Hrabia znów szepnął bratu:

— To geniusz! mówię ci: on jeden mnie rozumie!

Cała ta genialność opierała się na tém jedném, niestety! że Malczak hrabiemu pochlebiał, a był tak nieugiętego uporu, iż nawet pana nim przemódz umiał.

Na odchodzących Malczak już ani spojrzął, zajęty swą wielką pracą około zegara ekonomicznego, który był hrabia obmyślił. Miał on pokazywać więcej rzeczy niż wszystkie dotąd znane, a między innymi święta wielkanocne i cenę zboża na targu. Jednej rzeczy

brakło mu dotąd; iść nie chciał, wprost tylko przez jakiś upór dziwaczny.

Wszyscy jakoś smutni wyszli z tego przeglądu machin; jeden gospodarz promieniał, choć niebardzo był rad z Hermana, który się wstrzymywał od wszelkich pochwał i oznak współczucia. Ale przebieżenie myślą tylu ważnych wynalazków, nasycenie się własną chwałą, upojenie, tak go przejmowało, że bratu nawet obojętność jego wspomniałomyślnie przebaczał.

— Taki zawsze był los wielkich wynalazców, powtórzył wychodząc z sali: lekceważenie, szyderstwo, obojętność; potem dopiero ludzkość pada na kolana przed ich zwłokami. Miałem tu niedawno—dodał—professora mechaniki; nie mógł się wydziwić, że się do tego wziąłem, nic prawie się nie ucząc, że bez przygotowania do takich rzeczy siłą tylko pracy i zdolność doszedłem. Tak był zdumiony, że słowa nie mówił: języka w gębie zapomniał.

Herman nic także nie odpowiedział, i znowu przeszli do salonu, zkąd zaraz hrabia Rajmund wrócił do swego Malczaka, aby się z nim swobodnie nagać.

Wieczór przeszedł dosyć smutnie. Szczebiotanie Loli tylko go nieco ożywiało; grała, śpiewała, zaczęła milczącego stryjaskę, który na nią poglądał wzrokiem człowieka zdumionego, że ktoś tak młodo szczęśliwym być może.

Herman dobrał potem chwili, gdy zostali sam na sam z hrabiną, i wręczył jej pakiet opieczętowany.

Był to testament jego.

Nazajutrz rano, nie żegnając się z nikim, Herman kazał zaprzęgać. Paweł co najspieszniej się wybrał, aby ich nie zatrzymano, i do dnia wyruszyli z Zarubiniec ku Horycy.

W Horycy, której Herman nie opuszczał ani na krok od lat wielu, po jego wyjeździe nastąpiło dziwne jakieś bezkrólewie. Wprawdzie ludzie przywykli do tego straszliwego okna, przez które poglądał na gospodarstwo niewidziany i wszystko kontrolował, z obawą jeszcze ku niemu oczy zwracali; ale Lacyna, Radwanowicz i pani Seredowiczowa, ekonom i panna Petronella, korzystając z chwilowej swobody, całkiem się wyemancypowali.

Panna Petronella, która nigdy jeszcze we dworze dalej niż w sieniach nie była, zapragnęła gwałtownie zobaczyć pańskie pokoje, a Lacyna nie umiał ję tego odmówić, biorąc na siebie śmiały ten postępek, o którym pan za powrotem mógł być zawiadomiony. Warował sobie tylko, ażeby tę wycieczkę odbyli we dwoje sam na sam, i tak oprowadził ją po całym dworze. Ciekawy Wicek, który snadź szpiegował Lacynę, utrzymywał, że nietylko oglądali pokoje, co szeptali i chychotali; że pan Lacyna bardzo jakoś był natarczywy względem panny Petronelli, i dwa razy bodaj czy ję nie pocałował, bo się bardzo głośno śmiała i dała mu klapsa.

Radwanowicz część czasu na uczonych zajęciach spędzał w bibliotece, część w towarzystwie Lacyny, ekonomu i księdza, do którego aż do miasteczka chadzał, bo on tylko jego erudycję jako tako ocenić umiał.

Pani Seredowiczowa odpoczywała, ekonom grał na skrzypcach, Lacyna coraz pilniej przesiadywał na folwarku, parobcy dosyć niedbale swe obowiązki spełniali: słowem czuć się dawał brak pańskiego oka i pozwolne rozprężenie. Im dłużej trwało oddalenie hra-

biego, tém ten stan rozciągał się dalej i nie bezpieczniejsze przybierał rozmiary.

Tymczasem jednego poranku, gdy Lacyna wstał do-
syć późno i nigdzie jeszcze zajrzeć nie miał czasu,
tylko z desenikiem do panny Petronelli pośpieszył;
gdy pani Seredowiczowa piła kawę w łóżku, a Rad-
wanowicz kroczył do miasteczka powoli: żółty ko-
czobryk hrabiego ukazał się na grobli, i nim wieść
o przybyciu pana gruchnęła po dworze, już stał przed
gankiem. Wszyscy schwytani zostali na gorącym uczyn-
ku wyuzdanego rozpróżnowania. Lacyny nie było: po-
słano po niego, a już hrabia siedział w oknie i śle-
dził. Nieszczęśliwy regentowicz od panny Petronelli
co tchu pobiegł na placówkę, na której od dwóch dni
nie postał.

Trwoga była ogromna. Hrabia wyglądał chmurno
i straszno.

Lacyna wpadł wreszcie nadrabiając miną, kręcąc
wąsą, chrząkając, uśmiechnięty, ale w duszy i sumie-
niu bardzo niespokojny. Hrabia stał przed nim jak
sędzia surowy, niezbłagany, i najprzód go od stop do
głowy obejrzał.

Sama powierzchowność regentowicza zdradzała je-
go przewinienia i występne zamiary: ubrany był bo-
wiem nie tak jak ludzie do gospodarstwa i nadzoru
się odziewają, ale jak mu wypadało do panny Petro-
nelli, ku której sercu szturm przypuszczał gwałtowny.
Wąsy wyszwarcowane, kamizelka jaskrawa, spodnie
migdałowego koloru, dawniej tylko do kościoła w nie-
dziele używane, czysty kołnierzyk krochmalny, choć
to nie był dzień świąteczny, zdradzały pana Lacynę.
Buty nawet starannie wyglansowane dowodziły, że
chodził niedaleko, bo ich wcale nawet nie zarosił.

Hrabia spojrzawszy nań uważnie, zaczął milczący łowrogo głową kiwać.

— Już mi wpan—rzekł—nic nie mów o gospodarstwie, bo o niém wiedzieć nie możesz...

— Ale dla czegoż?—oburzył się regentowicz.

— Boś nigdzie nie był.

— Do dnia expresse, jw. panie, do dnia byłem. Ale przyznaję się, bo kłamać nie lubię, że potem zmieniłem odzienie.

— Siedziałeś u panny Petronelli.

Lacyna wása pokręcił.

— Więc powiedz mi, coby to było, gdybym ja na pół roku z domu wyjechał? Tybyś do dziewiątej spał, ludzieby sobie kradli, a dom przewróciliby do góry nogami. Mniejsza już o to co ukradną, ale niedozór prowadzi do grzechu, do zepsucia, i kradzież i wszystko to na twojem, nie na ich sumieniu.

— Ależ się nic nie stało!

— Cóż ty mi mówisz! Gniada klacz zdechła.

— A juściż, coś kiedyś zdechnąć musi.

— No tak, lecz nie gniada, sześciolatka, kiedy jéj krwi w porę upuszczą; ale jegomość gdzieś się wałęsał, i po konowała w porę nie posłali.

Hrabia popatrzał na Lacynę, który ramionami ruszał.

— Panie Lacyno, to nic; ale amory ci z głowy nie wychodzą, i z tego wszystko złe. Chcesz się żenić? dalej co? Będiesz kawałka chleba potrzebował, a tak pracując nie zarobisz.

— Ale bo, co to panu w głowie!

— Nie mów, bo będziesz musiał kłamać, a ja nie czém tak się nie brzydzę jak fałszem.

Wtém Radwanowicz zadyszany przybiegł powitać pana.

— O! witam professora! A i pan gdzieś byłeś na wędrowce?

— Tak jest, chodziłem do księdza Magnackiego, do starowiny. Po pańskim wyjeździe *solitudo magna*, pustynia afrykańska, step, tęsknota nieprzewyciężona, szwajcarska, alpejska, która, jak wiadomo, chorobą jest. *Malum necessarium*. Zkąd: *Necessitas frangit legem... Salus populi...* i tym podobnie.

Tu się zakaszłał.

Hrabia splunął.

— Pięknieście tu—rzekł—gospodarowali bezemnie! Toż to słyszę Seredowiczowa nawet ani razu przy dojeniu krów nie była!

To śmiałe twierdzenie, które hrabia *a priori* rzucił, mające postać rzeczy już mu doniesionej i zbadałej, przeraziło szybkością, z jaką się rzecz dostała do uszu hrabiego. Lacyna pomyślał o wódce, którą wieczorami sprowadzał; Radwanowicz o pożyczonj ukradkiem książce do miasteczka; na wszystkich skóra ścierpła.

— O ho! są szpiegi we dworze—zawołał w duchu Lacyna—to już nie ma wątpliwości... chłopcy donoszą... No! jeśli już tak, to żyć nie będzie można...

— Ja tam o Seredowiczowj nic nie wiem, rzekł regentowicz; a co do mnie należy kobiecie gospodarstwo?

— Za pozwoleniem! odpowiedział hrabia: do ciebie nic nie należy i wszystko należy; ty jesteś okiem mojem. Powinieneś nic nie czyniąc, wiedzieć o wszystkim. Do mnie należy i mężkie i kobiece gospo-

darstwo, zatem do ciebie, jako do wikaryusza mego także...

Lacyna ani mruknął. Wtém wszedł zafrasowany Paweł, z którego twarzy patrzyły nowe jakieś, złowrogie wiadomości.

— Otoż pan teraz będzie wiedział, co to z domu wyjeżdża! zawołał.—Kobyła sześciolatka zdechła, to nic; para wołów zginęła, to nic; a mnie ktoś zamek wyłamał i kilka funtów tabaki zginęło... Parobcy pijani w powszedni dzień, w stajni konie nie poczyszczono... Otoż tobie droga! otoż to włóczęga niepotrzebna po świecie! Tak to zawsze kto domu nie pilnuje! tak to....

— Ależ cicho! cicho! rzekł hrabia do Pawła.

— A tak! teraz cicho! mruczał dalej stary sługa. Dla pana gniada klacz nic, para wołów nic, a co nakradli o tém wiedzieć nie będziecie; ale mnie tabaki szkoda, bom ją sam wiercił! Teraz jeszcze jegomość będziesz na krzyże kawęczał, i niemało czasu minie, nim się zładzim i damy znowu rady.

Radwanowicz ośmielił się odezwać uśmiechając:

— Pessimista jest pan Paweł. Są takie usposobienia z żółci pochodzące, zkał żółtaczka, żółte widzenie, cierpienie wątroby, *hepar*, dalej idzie *hepar sulphuris*, wątroba gęsi w pasztecie i olej z wątroby rybiej anti-skrofuliczny. Ale co chciałem mówić?...

— Dajcie mi spocząć, o wszystkiem później! przerwał hrabia siadając przed ogniem, który się już palił w kominie. Pan Lacyna raczy choć późno pójść do stodoł i obór; Radwanowicz wyszuka mi parę dzieł o Krymie; na obiad możecie przyjść.

To mówiąc odprawił pomieszanych, kazał popra-

wieć ogień chłopcu i usiadł zamyślony. Pustka domu silniej się uczuć dawała po podróży, nawet po Zaru-
bińcach, gdzie biedny mechanik miał przeciężoną i dziecię.
Tu nie było nikogo: cisza, pustkowie, ludzie obcy, którzy
wisieli przy nim dla chleba, bez przywiązania, prze-
klinając może jego dziwactwa po cichu.

Wicek blady przyniósł oberemek drew na komi-
nek i stanął u drzwi. Korciało go paplać. Hrabia
spojrzał nań: widocznie chciał gadać a nie śmiać, aż
po chwili powoli rozwiązały mu się usta.

— A! a! proszę pana! co to tu się działo, jak pa-
na nie było!

— Doprawdy?

— To ja tylko jeden, proszę pana, com dniem
i nocką koło domu siedział, aż mnie strach brał sa-
memu; reszta to latało aż.... Pan Lacyna ciągle sie-
dział na folwarku, Radwanowicz u księdza i na mias-
teczku, drudzy także gdzie komu do głowy przyszło.
A jednego dnia, proszę pana, to tu jeszcze Lacyna
wziął se tę pannę z folwarku, i tak ją oprowadzał po
wszystkich pokojach...

Hrabia odwrócił się uśmiechając.

— Doprawdy? jakże to było?

— Weszli, proszę pana, wielkimi drzwiami, żęty
ich nikt nie widział, potem wszędzie sobie odmykał
i chodzili, wszystko ruszali, śmieli się, siadali po ka-
napach... Ja to wszystko widziałem.

— Byli i w tym pokoju?

— A jakże! tu najdłużej jeszcze, a że mnie Lacy-
na nie widział, to siadł w oknie rozparłszy się, i uda-
wał jaśnie pana, jak to patrzy po gospodarstwie, jak
chodzi, jak gada, jak kolana pociera. A ta panna
z folwarku śmiała się aż się dusiła....

Hrabia zwiesił głowę smutnie.

— Idź sobie... rzekł do chłopca. Ale wiesz Wicku co robisz, kiedy mi to mówisz niepytany?

— A cóż? proszę pana? — zmieszał się chłopak— ja mówię, bo tu pilnowałem, a jakby broń Boże jaka szkoda...

Hrabia spojrział mu w oczy, i przekonawszy się z wejrzenia, że chłopak nie miał pojęcia swój winy, odprawił go skinieniem.

Około pierwszej dano znać, że obiad jest gotów. Wedle obyczaju przyszedł Lacyna i Radwanowicz, a Paweł z założonemi w tył rękami, choć nie służył do stołu, zwierzchni dozór sprawował nad Wickiem i Marudą.

Przyniesiono skromne jedzenie, proste i wcale niewytworne, ale obfite i zdrowe. Radwanowicz odmówił benedykcyę po łacinie, napili się starłej wódki, której Lacyna zawsze odmawiał, protestując, że nigdy nie pije, i usiedli.

— Osobliwsza rzecz—rzekł hrabia po chwili—jakie to wisusy z tych naszych sług... jak to się psuje, aby tylko spuścić z oka!

— A już to prawda! pośpieszył Lacyna: nie można bez różgi i bez dyscypliny.

— Masz wpan słusność, poparł gospodarz. I ten Wicek, który jest u mnie przy kominie...

— E! jużbyś pan nie wydziwiał! przerwał stary Paweł: toć to najlepszy ze wszystkich; cóż on zrobił?

— Ja tam nie wiem co zrobił—mówił dalej spokojnie hrabia, — ale na wiek swój rzadko rozumny. Wystawcie sobie taki chłystek, a musi już mieć jakieś amory na folwarku, i w czasie mojej niebytności kogoś tu sobie zapraszał.

Lacyna pobladł, poczerwieniał, schylił się do talerza, i zaczął jeść bardzo żywo, nie podnosząc głowy.

— Są tego ślady, dodał hrabia; znalazłem w jednym pokoju kawałek wstążki, w drugim zgubiony nici kłębuszek, dalej nawet, co mnie zdziwiło, jakiś grzebuszek; widać sobie panienkę dobrał z waszecia.

Regentowicz o mało się nie zadławił.

— *Quid pro quo?* przerwał Radwanowicz, nie się domyślając—gdzież zaś? Wicek jest *inberbus*, młokos, *simplex servus*, proste pacholę; a osoby, które kłębuszek, wstążki i grzebuszki tu posiadają, wyliczyć się dadzą. Pozory częstokroć zwodzą, nie Aryadny, od tego kłębuszka; dalej labirynt, minotaurus, czyli mina bycza; z kąd walki byków w Hiszpanii i rostbił angielski.

— A! professorze! już też bez miłosierdzia kłamiesz! zawołał hrabia.

— Nie, za pozwoleniem, rozumiem... ale o czémże mówiliśmy? Minotaurus, kłębuszek — i Wicek. *Veni, vidi, vici*, z kąd i Wicek, choć sam o tém nie wie; ale jeśli nie on winowajca, to ktoż?

— Właśnie i ja o to pytam? dodał hrabia.

Lacyna był przygnębiony, ostatnim wysiłkiem chciał jeszcze odwrócić rozmowę.

— Prozę pana, ta gniada klacz...

— Ta gniada klacz tu po pokojach chodzić nie mogła — odezwał się hrabia — chyba kasztanowata... Może stara Seredowiczowa?

— A ta! przerwał Paweł: jako żywo! od wyjazdu pańskiego nie ruszyła się ze swojej izby, piła kawę nawet w łóżku i kazała sobie posługiwać dziewczętom, które zwykle świniom i krowom służą.

— Więc któż? nalegał gospodarz.

— Nie wiadomo.

— Et! to tego, *expresse* — zerwał się nagle Lacy-na czując, że do niego piją — to są bajki i potwarze!

— Ależ kłębuszek?

— No, to może mój; to i ja mam zwyczaj nosić.

— A wstążka? spytał hrabia.

— *Expresse* moja, i pamiątka po matce; musiałem zgubić chodząc.

— A grzebuszek?

— Od wąsów, mój osobisty—dodał szybko regentowicz. Musiałem tu utrzymywać porządek, chodziłem raz wraz, tom się poogubiał.

— Jeżeli tak, to co innego, rzekł hrabia. Ale bo też nieprzyjemnieby mi było, gdyby się Wicek tego dopuścił. Nie lubię, żeby mi tu kto chodził podglądać.

Wszyscy zamilkli.

— Każdy szanuje wolę pańską — rzekł Radwanowicz chrząkając—wola... *voluntas... stat pro ratione...*: a znowu *ratio non est oratio*, zkąd Cyserona oracye; kwintessencya wymowy! *Cicero*, groszek, od brodawki na nosie tak przezwany—zaś *Tullius* nie od tulenia, jakby mógł myśleć pan Lacyna—ale—co ja tam gadam!

— No, to nie gadaj! rzekł wstając od stołu hrabia.

I odwróciwszy się nagle, poszedł wzdychając do swego pokoju.

Taki był powrot do pustego domu.

Znowu tedy powoli wszystko weszło w dawne karby, znów Herman usiadł w swém oknie, a Lacyna ochłonawszy ze strachu, jakim go nabawiło wytropienie śladów jego zakazanej przechadzki z panną Pe-

tronellą, stanął znowu pod szafą do zdawania raportów, w których co chwila na fantastycznych wymysłach był łapany. Paweł wyniósł się do swych niewodów i tabaki. Wicek zasiadł w przedpokoju na medytacyi, a Radwanowicz zatopił się w książkach, czerpiąc z nich erudycję, która tak kalejdoskopowym sposobem układała się w jego głowie.

Przerażenie jednak i popłoch padł na starego Siermięzkiego, gdy mu hrabia stanowczo oświadczył, że stara się o pasport i wyjeżdża do Krymu.

Najprzód ten Krym, dla Pawła, leżał gdzieś niedaleko Syberyi, w sąsiedztwie Afryki, Ameryki, Azji, które to kraje jednym pojęciem czegoś strasznego objęte były; powtóre czémś monstrualnem mu się zdawało, aby pan jechał sam bez niego, a niepodobnem, ażeby on się tam miał dostać. Myślał, że najprostszą i najlepszą rzeczą w świecie było: obu im w domu zostać. Po kilka razy na dzień przychodził do hrabiego, rozpoczynając żywe spory, dowodząc że to po prostu fiksacya, że na to nie pasportu, ale doktora potrzeba. Dodawał, że ich gdzieś w drodze dzicy ludzie zjedzą, morze pochłonie, wieloryby połkną, Tatarowie w niewolę uprowadzą i t. p.

Nic to jednak nie działało na Hermana, który z początku śmiał się i dowodził, potem milczał uparcie, aż Paweł doszedł do najwyższej niecierpliwości właśnie przez to milczenie, które sobie za jakąś wzgardę uważał.

Czasem ledwie się za nim drzwi zamknęły, powracał w pięć minut nazad, a ta gorliwość i przywiązanie starego sługi nie mogły nie przejąć wdzięcznością.

Rozkazano jednak gotować się do drogi, i Paweł

widząc rzecz nieuchronną, chciał już cały dom zabierać, bo mu się wszystko zdawało nieodbycie potrzebem, gdy niepodziana okoliczność wszystkie projekta zmieniła.

Pewnego ranku, gdy Paweł wracał od Seredowiczów, która łaskę sobie jego skarbiąc, w milczeniu narzekań słuchała, ale do nich nie dopomagała, czując, że kawę pić będzie mogła w łóżku po wyjeździe hrabiego—w bramie zjawily się piechotę z miasteczka przybywające dwie postacie nieznanne.

W pierwszój z nich poznał łatwo Paweł widzianego w Pińsku urzędnika w łapciach, Jana Piotra Mąkiewiczza, który nie zmieniał ubrania, i tym razem znowu w wice-mundurze i kurpiach się zjawił w dziedzińcu horyckiego zamku. Snadź jeszcze na ów wielki cel kupienia butów przedsięwzięta składka, nie doszła summy zapewniającej nabycie tak koniecznego obuwia. Ale pan Piotr nie był sam, za nim toczył się prawie karlój postaci, niezmiernie mały człowieczek z wielkim kijem, o dużej głowie rozczochraněj, w czarnym surducie opiętym, z twarzą otyłą i rumianą, wygoloną i nieproporcjonalnie długą do wzrostu, którego prawie część trzecią stanowiła. Oczy niezmiernie wypukłe i wysadzone na wierzch, wargi odęte i wielka powaga charakteryzowały przybysza, który zbyt krótkie mając nogi i nie mogąc zdążyć za szparko i lekko idącym w łapciach Mąkiewiczem, pocił się, i ogromne robiąc kroki, coraz to chustką czoło ocierał.

Zobaczywszy Pawła, obaj pośpieszyli na jego spotkanie, gdyż od bramy, obawa psów, mimo kijów, które mieli w ręku, opanowała ich widocznie, i radzi byli znaleźć obrońcę na wypadek napaści brytanów. Paweł

się zatrzymał, a Mąkiewicz tak żywo ruszył ku niemu, że towarzysz jego biegiem musiał go doganiać, oglądając się na psy, które o nich nie myślały wcale.

— Jw. hrabia w domu? spytał Mąkiewicz.

— Na co?

— O! na co! to już moja rzecz, odparł pan Piotr. Chciój tylko, kochany panie, powiedzieć mu, że przybył tu umyślnie, w *wiadomym* mu (z przyciskiem) interesie Jan Piotr Mąkiewicz, były urzędnik kancelaryi, a z nim ktoś drugi — dodał oglądając się na małego towarzysza z wielką twarzą.

Paweł niewielką miał ochotę gości meldować, co postrzegłszy Mąkiewicz, dodał surowo:

— Proszę tylko prędkiej, bo rzecz jest największej wagi dla samego pana, który mi ją polecił w czasie ostatniej swój w Pińsku bytności.

Doprowadziwszy w milczeniu dwuznaczném przybyłych do ganku, Siermieżki sam poszedł do pana, który grzał się u komina, siedząc jak zawsze zamyślonny. Zaczął od tego, że budząc pana z zadumy, zastukał silnie.

— No? co tam?

— A ktoś tam przyjechał do pana.

— Któż to taki?

— A ten odartus w łapciach, co był w Pińsku; mówi, że w pańskim interesie wielkiej wagi... i drugiego z sobą urwipółcia jeszcze przywiozł.

— Kto z Pińska? żywo zapytał Herman.

— W łapciach! ten w łapciach!

— Puścić go.

— Chyba przez tylne drzwi, bo zbrucze pokoje. I drugiego puścić?

— Jeśli chce, i drugiego.

— Znowu coś wydrą! szepnął Paweł wychodząc przez drugie drzwi i dając rozkaz Wickowi, aby wprowadził przybyłych.

W chwilę potem, kije postawiwszy w sieniach, Jan Piotr Mąkiewicz i nieznajomy gruby mężczyzna, weszli po cichu kłaniając się do pokoju, w którym Herman ich oczekiwał.

Mąkiewicz obejrzał się bystro, pokłonił i począł:

— Wybacz jw. hrabia, że jestem natrętny, ale zawsze lubiłem i lubię poświęcać się dla dobra ogółu i chętnie z siebie robię ofarę, tak, że mimo słabego zdrowia i niedostatku trwającego butów, przybyłem tu umyślnie do jw. pana.

— Mów prosto, czegoś przyjechał? rzekł hrabia.

— Natychmiast, ale najprzód jeszcze muszę jw. hrabiemu przyjaciela mojego odrekomendować, który z tychże co ja powodów podjął chętny trud służenia jw. panu... Pan Hilary Drychliński... jednorozec, jak u nas mówią—czyli jednodworzec, chociaż ani jednego dworu nie ma przez niesprawiedliwość losu, gdy dziad jego, jak wszystkim wiadomo, miał sześć chat, był possessionatus; ale metryki się popaliły i pan Hilary...

— Ale cóż mi tam do tego! Daléj! daléj!

— Zaraz jw. hrabio. Pan Hilary też tu umyślnie dla wiadomego interesu przybywa. Najęliśmy furmankę z Pińska, jeszcze nas zdarli i koń w drodze ustał; szliśmy piechotą: ztąd zmęczeniu i wygłodniali, gdyż funduszków zabrakło na pokrzepienie, a złożone w moich rękach na cel dobroczynny, wyczerpane zostały. Gdybyś jw. pan raczył i kazał dać co przetrącić (a ci-szej dodać) i czém przepłókać...

Hrabia był mocno zniecierpliwiony, bystro spojrział na obu, ale się wstrzymał z wybuchem gniewu.

— Ja czasu na próżne słowa nie mam, rzekł. Mów wpan co masz gadać, potem jeść i pić dać każę.

— Potém? a no! niech będzie i potém. Ciągnę więc moją relację dalej. Gdyś jw. hrabia raczył powierzyć mi tajemnicę serca swojego, tak byłem nią przejęty, że długi czas i spać i jeść nie mogłem (westchnął, kładnąc rękę na piersiach). Skutkiem medytacyi: co tu począc, aby się dowiedzieć prawdy? w nocy przychodzi mi na myśl Hilary Drychliński, który z Tatarami zna się dobrze i mógłby coś wiedzieć...

Herman zżymał się, ale słuchał, bo nic sposobu opowiadania Mąkiewicza, który z każdej rzeczy dramat robić musiał, powściągnąć nie było w stanie.

— Ale najprzód potrzeba jw. hrabiemu wiedzieć, kto jest pan Hilary Drychliński. Mijając to, że niesprawiedliwie w komput jednodworców zapisany został, pan Hilary, mój przyjaciel, czego się przed całym światem nie zaprę, jadł chleb z różnych pieców.

— To już ja lepij opowiem—przerwał Drychliński hamując przyjaciela, i zająkując się trochę.—Co to długo gadać? at! zwyczajnie biedne człeczysko, co sobie chleba szuka i znaleźć nie może. Jwpan wie, jak komu nie idzie, to nie idzie; tak i ze mną. Byłem już lichy nie wie co: trochę księdzem, trochę organistą, doboszem w wojsku, krawcem, gospodarzem, kupcem, nawet teraz niedawno po sól do Krymu jeździłem. Ale mnie już to życie rozmaite dojadło, myśle znowu co innego począc, i spróbuje guwernerki.

— Widzi jw. hrabia—przerwał korzystając z chwili oddechu Mąkiewicz—że się płacze. Proszę mi pozwolić, ja gładziej tę rzecz wyłuszcze. Mój przyjaciel, godny

pan Drychliński, choć jak go pan widzi, na oko ciężki, ale ruchliwy i niespokojnej natury; byle jedno począł, drugie mu pachnie, wszędzie mu źle, coraz to nowe projekta. Już był i ekonomem, i świece robił, i pierniki sprzedawał, spodziewając się na nich w krótkim czasie zrobić milion fortuny, i teraz oto z téj przyczyny jeździł do Krymu, z którego wrócił zadłużwszy się na złotych piętnaście i groszy dziesięć. Aże, jak jw. hrabiemu wiadomo, supponować było można, iż niegdyś syn jego, czyli raczej — poprawił się Makiewicz — ten młody szalawiła, który go obchodzi, miał uciec z Tatarami do Krymu, — przyszła mi myśl, że Drychliński może coś o tém wiedzieć... Więc jakem stał, bez czapki nawet, do pana Hilarego, który tylko co był z solą powrócił, i szczęśliwie bardzo. Dziwném zrządzeniem, właśnie miał o tém niejaką wiadomość.

— Jakąż? jaką? gadajcie!... porwał się hrabia.

— Ale zaraz, jw. hrabio; rzecz potrzebuje być wysłuchaną dokładnie. Gdy tam do tego to Krymu przybył Drychliński, mieszkał u Tatara, i okropną go tam baraniną, ryżem i różnemi paskudztwami karmili... no, ale to do rzeczy, widzi mi się, już nie należy. Aż jednego razu powiada mu Tatar, po swojemu, bo on się tam i języka ich trochę nauczył, (do wszystkiego sprytny aż strach): „Mirzo czy Murzo Drychliński!” gdyż go tak tytułowali wiedząc, że był szlachcicem — „a jest tu młokos z waszych krajów, który słyszę „uciekł od rodziców i ma być wielkiej familii: chłopak „osobliwszy!” Jak mu to panie powiedzieli...

— Tak ja — przerwał Drychliński żywo — tak ja sobie powiadam. „A no! dowiedziećby się o niego?” Jedyńmy tedy spacerem do tego Tatara, konno, bo to

tam inaczej ani ruszyć, przez okrutne góry. Tatar wychodzi: *Salem alejkum*, siwiuteńki jak gołąb', oczu mu we łbie ani widać, tak daleko siedzą. Przyjmuje nas kawą: gadu, gadu, trochę na migi, przynoszą i konfitury z miodem i wodę—taki zwyczaj...

— Ale gadajcież na miłość bożą! krzyknął hrabia—widziałeś go? jest tam?

— Zaraz, jw. panie! Mówi tedy ów siwy Tatar wdychając, że był u niego taki a taki, że go chciał za syna przyjąć, że chłopiec rok tam czy coś wałęsał się z nim, po górach konno hasał, aż go wreszcie taka ogarnęła tęsknica, taki smutek, iż dłużej wytrzymać nie mógł, i z czumakami porwawszy się, choć go namawiali, prosili, złote góry obiecywali, nazad do kraju ruszył. Jeszcze go, słyszę, potem widzieli w Bałcie, a już dalej bez śladu przepadł.

Herman, który chytał każde słowo chciwie, dosłuchawszy, głowę spuścił na piersi.

— To pewna—rzekł przerywając Jan Piotr Mąkiewicz—że on już gdzieś tu w kraju, i że go w Krymie nie ma. Mnie o to chodziło, punkt kapitalny. A że mam głowę na karku, więc ja do Drychlińskiego, z jakimi on czumaki pojechał, aby po nici dojść do kłębka, a Drychliński...

— Ale dajże mi gadać! przerwał mały jednodworzec. Czumacy to byli nie prawdziwi czumacy, ale wprost chłopci od Krasilowa...

Hrabia zniecierpliwiony ruszył ramionami, opowiadacze umilkli.

— Spodziewam się, dodał Mąkiewicz: iż jw. hrabia zechcesz przyznać, że mu służył jak należało na Jana Piotra Mąkiewicza, szlachcica i urzędnika, który głowę nosi na karku nie dla proporcji, i wynagro-

dzisz hojnie mego przyjaciela pana Hilarego i mnie, jako po wspaniałości pańskiej i ważności przedmiotu, tak blisko serce jego obchodzącego, wnosić się godzi. Bo, nie licząc furmana i dyety naszej w czas tak drogi, gdy jajko po groszu płacić potrzeba, ja i pan Hilary oderwaliśmy się od swych zajęć, co niemałą dla obu nas stanowi stratę, gdyż mógłbym być na cel wielki, jaki sobie założyłem, zebrać przynajmniej...

Hrabia ręką machnął; chmurna była twarz jego. Zawołał Wicka.

— Niech przyjdzie Lacyna.

— O tém wszystkiém—rzekł—ani słowa tu przed ludźmi, dla czego i z czém przyjechaliście. Powiecie im co chcecie: rozumiesz Mąkiewicz?

— A i ja rozumiem! odparł Drychliński. To rzecz wiadoma: trzymaj język za zębami.

— Macie wpanowie za waszą fatygę—rzekł hrabia, dobywając grosza i żywo im go oddając.

Mąkiewicz choć sownie wynagrodzony, spojrział na to, co miał w dłoni.

— Jeszczebym się ośmielił zwrócić uwagę na tę furkę, która nas niby przywiozła i odwiezie.

Hrabia dorzucił coś jeszcze, pragnąc się pozbyć co najprędzej natrętów, zmuszony cierpieć ich, choć widocznie znecierpliwiony. Wtém i Lacyna wtoczył się, stukając kijem, czerwony, z nastrzępionym wąsem i zaiskrzonemi oczyma.

— Proś ich wpan na śniadanie do siebie, rzekł mu hrabia; nakarm, napój i niech z Bogiem jadą.

To mówiąc odwrócił się szybko, i nie zważając na ukłony, siadł zadumany głęboko. Lacyna mrugnął, aby w cichości wybrali się z nim do jego mieszkania.

Jak pobudzona była ciekawość jego i całego dwo-

ru, przybyciem tych obcych figur i długą ich sam na sam konferencyą z hrabią, nie potrzebujemy opisywać. Spodziewał się regentowicz przy wódce coś z nich dobyć, ale się na tém omylił. Jan Piotr Mąkiewicz, który pod rozmaitemi pozorami wychylił około dzieściu kieliszków wódki w małych odstępach, zaczerpnął w nich tylko siły wymowy do odmalowania swego wysokiego powołania i poświęcenia się dla dobra publicznego. A że tu nic się utargować nie spodziewał, wołał być tajemniczym i missyę swą pokryć nieprzebitą zasłoną.

Drychliński, także tylko pił, wzdychał i prawił o niepojętych zrządzeniach losu, jakich doświadczał, czém był i czém miał być w życiu, ubolewając, że mu się nigdy nic nie udawało, nawet świece, które ze zgniłego łoju robić próbował.

Śniadanie, do którego powołany był także wymowny Radwanowicz, przeciągnęło się bardzo długo, choć hrabia kilkakroć przysyłał Pawła, aby się dowiedzieć, czy już sobie pojechali. Wreszcie Jan Piotr Mąkiewicz uznał za słuszne pomyśleć o odwrocie, wytargowawszy butelkę starki na drogę, i razem z przyjacielem Drychlińskim, po cichu przebywszy dziedziniec w obawie psów, ruszyli ku miasteczku.

Hrabiemu od podróży krymskiej odpadła zaraz ochota. Wiadomość o synu, jakkolwiek niedostateczna, ale jakiś pozór prawdy mająca, nie wiedzieć dla czego uspokoiła go nieco, wlała mu jakąś choć oddaloną nadzieję.

Nie przyznając się do tego sam przed sobą, myślał w duszy, iż jeszcze syna odzyskać potrafi.

W tym wieku chorującym na mierność i strzegącym się oryginalności jak grzechu, gdy skutkiem sarkazmów i wychowania zacierającego w człowieku, co by się przezeń z właściwej mu natury objawić mogło, wszyscyśmy jednakowi licem, strojem, życiem, wadami, a nikt sobą być nie ma odwagi: wszelka oryginalność uderza silnie i zwraca oczy. Znudzeni jednostajnością tego, co nas otacza, szukamy jój i pragniemy w drugich, choć nie mamy w sobie.

Otto Marzycki, któregośmy już w mieszkaniu starego milczka Żółtowskiego widzieli, był jednym z tych ludzi oryginalnych, i choć o ubogim a mało znacznym niktby nie mówił i niktby nań nie zważał inaczej, może aż nadto zwracano nań oczy z powodu, że się trochę wyróżniał od pospolitego tłumu.

Otto był takim, jakim się odmalował w kilku słowach: dziwakiem wedle świata, ale w duszy prostym człowiekiem, idącym za prawdą jak ją czuł i widział. Nie starał się on wcale o tę oryginalność, był sobą tylko, ale inaczej od drugich pojmował życie.

Za młodu odumarła go matka, jedynakiem pozostał u ojca, który go bardzo kochał. Więc choć to był szlachcic niezamożny na kilkunastu chatach z małym kapitałikiem żyjący, ale gospodarz doskonały, oszczędny i zapaśny, potrafił dać synowi wychowanie jak tylko mógł najstaranniejsze. Traf chciał, że i Otto był bardzo pojętny, i ludzie go uczyli dobrej woli, tak, że młody chłopak wykwił prześlicznie, wielkie ojcu robiąc nadzieje. Jedno tylko było nieszczęście, że skłonność miał do poezyi, do sztuki, a nic stateczniejszego, jak ojciec mawiał, przedsiębrać nie chciał. Uczył się dobrze, ale nauki do życia zastosowywać nie myślał.

— Czémże ty będziesz? pytał go nieraz starszek—bo ty możesz być czém zechcesz.

— A to Bóg wie... odpowiadał zawsze Otto. Chciałbym spokojnie żyć na wsi w małym dworku, pod zielonemi drzew gałęźmi, z tobą ojciec, ze wspomnieniami matki, z muzyką.

— To dobrze; ależ potrzeba coś robić, pracować.

Na to Otto odpowiadał ruszając ramionami:

— Ale cóż ja potrafię? Do niczego tak wielkiej nie mam ochoty.

— Bóg da, że to z czasem przyjdzie... mówił pocieszając się ojciec. Człowiek tak zawsze, błądzi, szuka, aż trafi na coś do czego jest stworzony.

I urywali rozmowę, a Otto grał na skrzypcach do dnia białego, lub porwawszy książkę, zaczytywał się do drugiego wieczoru, nie mogąc jój porzucić.

Nie był to jednak miękki sobie artysta, coby chorował na wyobraźnię, śnił i czekał aż go marzenia przyjdą opleść same białemi rękami. Pracował nad sobą i nad ulubioną swą muzyką. Niepokój duszy u niego popychał do zastanowienia i zajęcia, a zastanowienie krążyło w sferze idei niedostępnych zwykle jego wiekowi; pracą najulubieńszą było myślenie i sztuka, bez zastosowania do życia. Otto jednak powoli wyrobił sobie teorię, do swojego postępowania i upodobań stosowną. Zdało mu się, że człowiekowi bardzo mało wystarczyć może, byle potrzebę duszy zaspokoił. Sprzecali się o to zawsze z ojcem, który majątek uważał po staremu za wielką dźwignię do szczęścia, Otto za wielką do niego przeszkodę.

— Na co mi wiele? mówił mu: kątek cichy, spokoj święty, trochę melodyi prostój, dużo snów o drugim świecie, ot i życie. Życie nasze trwa tak krótko,

że pracować na to wiek, aby się potem cieszyć godzinę, że się coś ma—nie warto.

— Ale kiedy to daje niezależność? powiedział ojciec.

— Jak komu! Ja zawsze będę niezależnym—mówił Otto—bo na małym poprzestanę, bo o tych, co więcej mają, nie dbam, bo o suknię nie stoję, bo mi tytuł niepotrzebny, bo przekonany jestem, że tylko przesady czynią nas zależnymi.

— Ale świata nie przemienisz.

— Więc siebie zrobię takim, jakim świat mieć-bym chciał.

Ojciec tyle kochał syna, że nie chciał go zmuszać do czegokolwiekbaż; szło więc dalej po dawnemu. Otto śnił, czytał, muzykował i śmiało w życie spoglądał; ojciec się trochę niepokojąc czekał.

Skończywszy szkoły świetnie, bo mu nauka szła łatwo, Otto pojechał do uniwersytetu, wziął stopień, powrócił do domu z doskonałemi skrzypcami Guarnarego, i siadł przy ojcu z książkami i nótami.

Stary ojciec za niego i za siebie gospodarzył: ale przekonawszy się o nieprzepartej naturze syna, nie chciał go nawracać i namawiać dłużej: pozostawił jakim był, myśląc przynajmniej, że się stanie wielkim i głośnym artystą, jednym z tych wirtuozów, co jeżdżą zbierając smyczkiem grosze i wianki po drodze. I w tém się stary omylił, bo Otto brzydził się sztuką jak kuglarstwo jakieś pokazywaną za pieniądze, koncertami, występami, a gdy najbardziej był natchniony, zamykał się sam, uciekał, aby go nic nie odrywało od jego myśli i uczucia. Mawiał zawsze, że artysta co gra dla popisu, nigdy w pełni idei dźwiękiem wydać nie może, bo słuchacze, na których się ogląda, któ-

rych się lęka, kradną mu ciepło z piersi, odejmują z rąk siłę.

Ilekoć go proszono o muzykę, odmawiał.

— Tylko szejne-katarynkę nakrećć można kiedy się zechce, i postawiwszy grać kazać; artysta czeka aż nań z nieba powieje natchnienie. Ale o daną godzinie kazać mu grać, być natchnionym, zachwycającym, jest to świętokradztwo, jest to sztydzić z niego lub zmuszać go do kłamstwa.

Brzydził się Otto wszelkiemi popisy, ale miał swoje dziwactwa. Czasem wśród nabożeństwa w kościołku, odpychał organistę i siadał grać, gwałtowną czując tego potrzebę, i grał naówczas cudownie. Niekiedy mimo przytomnych ludzi obojętnych i nie znawców, chwycił swe skrzypce, zapominając o tych, co go słuchali, jakby ich na świecie nie było: śpiewał co mu w duszy grało.

Takim był ów dziwak Otto, który, wyznajmy to ze smutkiem, wcale nie wyrobił się na wirtuoza. Myśli w nim kipiały, wrzały, wylewały się z niego, ale ich z ową artystyczną doskonałością formy, którą posiadają zimniejsi grajkowie, nie mógł wypowiedzieć, chyba gdy był natchniony. Bóg odmówił mu tego daru wyrzeczenia pięknie i silnie zawsze i wszystkiego, który często sływa na tych, co nie mając co powiedzieć, ślicznie prawią drobnostki. Grał szorstko, gwałtownie, jakby walczył z narzędziem, które duszy jego pragnieniom odpowiedzieć nie mogło; często łamał smyczek, lub od fortepianu, odpychając go, wstawał.

Naówczas oczy napelniały mu się łzami, siadał z założonemi rękami, milczący jak człowiek, którego gniewie w piersi zawarte słowo, niemogące się usta wypowiedzieć.

Ojciec był z wielkiem dla niego uwielbieniem. Choć prosty człowiek, całą jednak wyższość syna rozumiał, przeczuwał, i bolał, ciężkie dla niego przewidując życie.

Tak się staruszek pochylił, zawiądzł, i choć się trzymał uparcie swoich zajęć, bo czuł się potrzebnym Ottonowi, sił mu na końcu nie stało.

Ale gdy przyszło umierać, spokojniejszy jakoś zamknął powieki, bo przysposobił na miejsce swoje zastępcę, co gospodarstwo i kuchnię życia miał dźwignąć za jego syna.

Uznawszy Ottona za zbyt wielkiego, niemogącego się zajmować drobnostkami powszedniemi, stary marzył tylko o tém w ostatnich latach, by miał się kim zastąpić przy synu. Była to jego myśl ciągła, nieodstępna, jego nieustanne zaprzątnienie; nie mówił nic, ale krzątał się bardzo. Wybierał ludzi, uczył ich, układał, mylił się i zawodził, aż w końcu trafił na jednego, którego mu się udało tak wyrobić, jak sobie życzył.

Był to daleki jego krewny, człek lat średnich, który całe życie na cudzém pracował, a nic dorobić się nie mógł, gdyż do zbytku pocziwy, a niebardzo przebiegły, zawsze padał ofiarą mniej skrupulatnych a chytrzejszych od siebie.

Tego człowieka, niewielkich talentów, ale dobrego serca, stary Marzycki postanowił przerobić zupełnie, wdrożyć w tryb zajęć swoich, aby go po sobie zostawić zastępcą. Była to natura miękka, bierna, powolna, a serce złote.

Pan Zacharyasz, niepozorny, mały, suchy, chudziutki, niewielkiego o sobie mniemania, nic dla siebie też niewymagający, byleby mu modlić się nie przeszkadzano po cichu, bo po całych dniach szeptał chodząc

z nieodstępną koronką i książeczką—dał się staremu Marzyckiemu urobić jak tamten chciał.

Marzycki prowadził go wszędzie za sobą jak cień po gospodarstwie, na wszystko zostawiał przepisy, na wszelki możliwy przypadek radę, wszystkie mu swe przelał teorye, doświadczenie całe, i zrobił z niego odbicie siebie samego. Zacharyaszek pozbył się własnych myśli, tak mu stary nieużyteczność ich dowieść potrafił, a zarazem nabił mu głowę wielkiem posłannictwem, jakie spełnia.

— Widzisz kochany braciszku, mówił do niego: Ottonek to marzyciel i człek z innego świata; chlebaby kawałka nie miał, gdyby się sam rządził. Jemu potrzeba takiego, coby jak ja po cichu nań pracował i gotowe mu podawał. To twoja rzecz być musi: ja ci wszystko zostawię, tylko mnie słuchaj.

I Zacharyaszek jak posłuszna papuga wyuczył się co mistrz przykazał; a tak dobrze i wiernie spełniał przepisy, że już za życia, pod koniec puściwszy go na próbę, stary Marzycki mógł się przekonać z pociechą, że go nie zawiedzie zastępca. Gospodarstwo, interesa, kłopoty przejął pan Zacharyasz, którego w domu nie widać było nigdzie, ale który wszystkiem władał po cichu.

Przy wielkiej pracowitości był to człek znowu tak bezinteresowny, tak małych potrzeb dla siebie, że nie prawie nie kosztował. Nie brał pensyi, nie zbierał sobie nic, wszystko nazywał swoim; ale gdy mu przyszło guziki u staréj kapoty odnowić, szedł po dwa złote do Marzyckiego, i tłómaczył się z tego wydatku jak z największej rozpusty. Przejęty tém, że wszystko potrzeba było dla Ottonka poświęcić, obojętny na wygody dla siebie, na przyszłość swoją, prosty ten

człowiek był wcielonym poświęceniem. W dodatku nie tylko nie przeceniał swój ofiary, ale miał się za szczęśliwego, że znalazł kąt i opiekę, i czuł się jeszcze obowiązany.

Pan Zacharyasz, mały i skulony, z głową trochę przekrzywioną na karku, przesuwał się jak cień ukradkiem po domu i gospodarstwie, nie mówił prawie lub mówił tylko po cichu, chodził na palcach i ukrywał się z sobą. Otto kochał go jak brata, on jak dziecię własne Ottona, ale się spotykali rzadko, a spotkawszy się tak daleko od siebie znajdowali pojęciami, że nigdy pogadać nawet dłużej nie mogli. Żyli wcale w różnych od siebie sferach.

Takiego zastępcę długą lat pracę przysposobiwszy na swe miejsce stary, zasnął spokojny, zostawując Ottona na jego opiece. Mogiła tego poczciwego ojca niedaleko Robowa, wioseczki Marzyckich, usypana na cmentarzu, była jednem z miejsc, w których Otto najchętniej długie godziny przepędzał. Chadzał tam codzień prawie, siadywał przy niej, i jakby jeszcze z ojcem duszą rozmawiał, powracał uspokojony i weselszy. Po śmierci tego przyjaciela, Otto długo cierpiał bardzo, dom mu opustoszał, wszystko poszło nie w smak, nudził się, tęsknił, płakał. A że za życia ojca jeszcze bywał często w sąsiedniej wiosce u Małowickich, którzy z Marzyckimi żyli w przyjaznych stosunkach, tam i później chronił się i przesiadywał, gdy mu w domu było ciasno i duszno.

Małowiccy mieli część w blizkiej osadzie znaczniejszą od Robowa, dobrze zagospodarowaną, a byli to ludzie wedle serca naszego Ottona. Sam stary, szlachcic prosty, wiejskiem wykarmiony powietrzem, poczciwy, otwarty, serdeczny, jeszcze pamięcią i obyczajem

dawniejszych sięgał czasów. Wesoły, pracowity hreczkosiej, stworzony na żołnierza, choć nim nie był, Małowicki ujmował każdego sercem, które biło tak, że chyba ślepy go nie widział, chyba kamienny nie czuł. Wąsaty, barczysty, typem był owych naszych dawnych gospodarzy, którzy nic w świecie nie widzą nad stan swój, nad życie swoje.

Miasta nie cierpiał, mieszczanami się brzydził, a gdy mu przyszło wyjechać na czas do miasteczka, uciekał z niego pierwszej wolnej godziny, jako od powietrza. Wesoł był z natury i lubił śmiać się, smutek przepędzał jedném tém naszém:

— Jakoś to będzie!

Była to w nim niezdająca sobie sprawy z siebie wiara w Opatrzność niezwalczona. Małowicki ożenił się był z miłości z ubogą panienką, która przez lat kilka była nauczycielką przy dzieciach w sąsiedztwie, sierotą, ale bardzo starannie wychowaną, i jak wszystkie sieroty, trochę wyegzaltowaną.

Małżeństwo to było idealne, pełne przywiązania ku sobie, kochające się jak para gołębi, śmieszne trochę dla świata, ale dla siebie dziwnie do szczęścia dobre. Ludzie już niezbyt młodzi, przeżyli lat dwadzieścia bez chmurki, bez ostygnięcia, a wypróbowana ich miłość zdawała się wzmacniać jeszcze i rosnać.

Mieli tylko córkę i syna.

Natalka, dziecię ich ukochane, śliczne było jak aniołek, a wyuczone czułości, wykolysane w tém gniazdku, gdzie nigdy sporu nie słyszało i nic nie widziało prócz pieśczęt i uśmiechów, wyrosło na ptaszynę serdeczną.

Atmosfera, w której oddycha człowiek, niestety!

mimo sił jego wewnętrznych, niezmiernie wielki wpływ nań wywiera. Są takie robaczki, co żyjąc liśćmi zielonemi stają się zielone, rosnąc na różowych kwiatkach, czerwonego nabierają koloru: trochę to tak i z ludźmi, mimo ich samoistności. Potrzeba wiedzieć o wpływie, który nas może zepsuć i przekształcić, aby mu się oprzeć; trzeba, by on był całkiem przeciwny naturze naszej, aby opór wyrodził: inaczej powoli mu się ulega.

Przy kochających się rodzicach, Natałka wyrosła z taką czułością w sercu, gotową świat cały pokochać, że spojrzawszy tylko na nią, człek stawał się lepszym i wierzył we wszystko dobre.

Piękna jak aniołek, z blond włosami, z oczyma niebieskimi, z rumianą twarzyczką, nie była ona dziewczką rozdziwaczoną chorobliwą czułością, ale wesołą istotą, która tylko dobre widzi, dobre czuje i w dobre wierzy, a goryczy i zawodów nie kosztowała. We sełe uśmiechało się z jój oczu, promieniało na jój czole. Jeżeli czasem od świata walki i nędzy echo dalekie obilo się o jój uszy, trzeba ją było widzieć zdumioną, niedowierzającą, niemogącą pojąć, co ten akkord dysharmonijny oznaczał.

Wychowanie Natałki było staranne, a umysłowi jój dodawać się zdawało wewnętrzne usposobienie sił nowych. Czyściój, dalej, lepiej widziała od drugich, szczególnieć dobre strony, jasne życia oblicza. Dziecię pieszczone, w cichym kątku zamknięte, miało pojęcie o świecie tylko z tego zielonego listka, którym się karmiło.

Już dorastającą Natałkę poznał Otto Marzycki, a dwie te dusze krewne od razu poczuły się dla siebie

stworzone. Rzadko, może raz w lat seciny trafi się na świecie podobna miłość jak ich dwojga, czysta, dziecinna, rozmarzona, poetyczna, a nie płaczliwa i łzawa, ale anielsko-wesoła. Temu świętemu uczuciu nie nie stało na przeszkodzie: poznali się, pokochali serdecznie, a rodzice patrzali na nich z taką pociechą serdeczną, z jaką się pogląda na piękny szczęścia obrazek.

Wioska Robów od Małowickich tak była blisko, że Otto i Natalka codziennie się niemal widywali. Na tę miłość dwojga kochanków i z niebios anioły mogły się patrzeć nie rumieniąc, tak była czysta i święta. Otto napawał ją muzyką, ona go wesołą poezią młodych uśmiechów i słówek skrzydlatych. Namiętność ich nie rozdrażniona niczem, nie rozgwałtowniona, płynęła spokojnie bez burzy i porywów, jak pieśń uroczysta. A kiedy się z sobą spotkali, kiedy podali sobie ręce, kiedy jęł lekki rumieniec, jego łzawe oko świadczyły, że tęsknili ku sobie,—wnet uspokojeni po chwili, znowu żeglowali po czystym zwierciadle, którego wody zawsze jasny błękit pokrywał.

Ich miłość zdawała się im spełnieniem odwiecznego wyroku.

Był to widok cudowny—wesela, szczęścia niezamąconego niczem, przyszłości jasnój i pogodnej. Otto ani się śpieszył przeciwko nowemu życiu, ani chciał jęł wyrwać z tęg dziewczęj swobody, w której jak ptaszek ulatywała. Nie było mowy o jutrze, nie było jutra.

Rodzice Natalii zostawili im zupełną swobodę; pewni charakteru Ottona, powierzali mu ją jak bratu. Niewinne dziecię nie kryło się wcale z przywiązaniem. Dni bez chmur otaczały ich ciszą uroczystą.

Ale świat nie ma długich dni wesela; w naturze i życiu człowieka, wszystko przerywa burza, kończy noc ciemna. W chwili kiedy już Otto marzył o swym domku z Natalią, co go sama powoli urządziła; kiedy drożynę między Robowem a Jeziorką wysadzali różami, aby nią chodzić do rodziców; gdy się cieszyli tём pewnem szczęściem, jakby ono tylko przedłużeniem tego co mieli być musiało, oboje czyści oboje spokojni i pewni, że żadna siła bicia ich serc wstrzymać nie może,—Natalia zachorowała. Niespodzianie z tój pełnej zdrowia twarzyczki znikł rumieniec, kaszel odezwał się w piersi, i nierychło dopatrzono się niebezpieczeństwa, gdy już wstało widmem groźnem, gdy przeciw niemu nie było ratunku. Śliczne dziecię dostało suchot, ale nie cierpiało wiele, nie poczuło się chorém: marząc o zdrowiu i szczęściu, zagasło tak powoli jak lampka wieczorna. Nie śmiano jój truć tych chwil ostatnich, ukrywano chorobę śmiertelną. Do ostatka uśmiechały się jój twarze rodziców i twarz Ottona, który czuł, że życie jego z ostatnim tchem jój pójść powinno.

Ale gdy białe ciało aniołka złożono wśród kwiatów na ostatniej pościółce, gdy Otto przy niém uklęknął, zapragnąwszy z nią umrzeć,—Bóg skazał go na życie. W niemój i milczącej rozpaczcy wyglądał śmierci i doprosić się jój nie mógł.

Uczucia w tój piersi marmurowej były potężne, ale życie silniejsze od nich jeszcze; chłongły je jak morze zalewa skałę, nie mogąc roztopić w sobie. Ani skargi, ani jęku nie wydał Otto po śmierci tój, która dla niego zamknęła życie; najstraszniejszą w nim była ta niemota boleści, to oko bez łzy, ten stan na pozór nieczułego kamienia, który jednak ożywiała jakaś wola

i rezygnacya potężna. On sam zajmował się pogrzebem, on sam grób jęj budował, mogiłę sypał, kwiatami ją obsadzał, i jak wprzód grób ojca, tak potęm jęj i ojca mogiła stała się dla niego celem codziennych wycieczek. Z rozpacz y milczącęj a zamkniętęj w sobie, która się nigdy nie skarżyła przed obcymi i kryć dumnie zdawała z sobą, czas powoli zrobił poważną boleść człowieka, który nie narzeka, bo wie, że toby nie pomogło, ani porządku świata nie zmieniło. Otto pozostał wierny temu uczuciu, które ze stanu gwałtownego przeszło i skrytalizowało się na wieki. Wspomnienie w nim pozostało tak żywe, jakby wczoraj dopiero zebrał je z błoni życia; owszem, wyobraźnia jak obrazek święty stroiła je i upiękniała, z wizerunków przeszłości czyniąc ideały coraz promienistsze i piękniejsze. Wszystko ziemskie z nich opadło; jaśniały żywemi barwami ideałów i poezyi.

Z tym bolem w sercu, ze czcią, moglił kochanych, Otto pozostał do siwych włosów. Zabiegała mu drogę niejedna twarz uśmiechnięta, niejedno oczko łzawe, wabiąc weselem i smutkiem; niejedno serce pocziwe zabiło dla niego więcj niż litością: ale Otto był wierny żałobie swęj i miłości. Któraż zresztą kobieta mogła stanąć w sercu jego obok tęj istoty anielskięj, na powietrznęj, smętnęj, jaką pamiętał witającą go uśmiechem przy skonaniu, w trumience ze złożonemi rękami modlącą się za niego po śmierci!.

Muzyka, która była jego namiętnością i powołaniem dawnięj, stała się teraz pocieszycielką i tłumaczem nieokreślonych żalów, wspomnień, nadziei. Natura jęj czyni ją właśnie najlepszą powiernicą boleści.

Otto znajdował, że żadne słowo, żaden język nie mógł tak wypowiedzieć uczucia jak dźwięk, który

w nieokreślonym swym wyrazie jest hieroglifem dla jednych, dla drugich całe życie w drgnieniu i jęku wypowiada.

Otto cały się oddał muzyce.

Pan Zacharyasz chodził, krzątał się, gospodarzył, utrzymywał porządek, myślał o chlebie powszednim; Marzycki nie się w to nie wdając, żył jak był już przywykł w rozmarzeniu i dźwiękach. Samotna codzien przechadzka do grobu ojca i Natalki, u których często godzinami modlił się i dumał, czasem odwiedziny starego przyjaciela Żółtowskiego, którego kochał za poświęcenie, prostotę serca i milczenie nawet; reszta dnia w domu przy fortepianie i skrzypcach.

Dom Ottona, stare dworzysko pod słomą, z wysokim dachem, pochylone, w cienisty sad zasunięte, miało fizyognomię szlacheckich domów dawnych, które codzien dziś ustępują miejsca wykwintnym a kruchym lepiankom. Dziad jeszcze pobudował go, dzisiejszy dziedzic jak mógł życie swe starał się w nim pomieścić. W jednym pokoiku od ogrodu, do którego mało kto był przypuszczany, mieszkał otoczony pamiątkami Otto. Obawiał się on śmieszności, i krył się ze skarbami, które składały listki zeschłe, wstążki zbladłe, kartki pożółkłe. Były to dzieje lat młodości, którą przedłużał, starając się ję być wiernym. Tam wisiał portret ojca, matki i Natalki w białej sukience, z pączkiem białego jaśminu w ręku. Ostatni brzydko dosyć malowany przez naiwnego nieuka, miał przecie ten cudem pochwyciony wyraz anielski dziewczęcej twarzy, którego często uczeńsze dzieła nie mają. Pod nim stały dwie daty: pierwszego poznania dziewczęcia i ję śmierci.

Reszta domu składała się z pokojów, które w ciągu

roku zajmowali nieustannie goście ubodzy, artyści różni, a wielka sala jadalna służyła do muzyki. Fortepian, nóty, mały organek, skrzypce, wiolonczelle, różne narzędzia muzyczne w nieładzie rozrzucone, cały ten pokój zajmowały.

Tu niemal cały dzień schodził Ottonowi i jego towarzyszą, a Robów nigdy nie był pusty.

Zawsze jakaś bieda, talent, młodość marząca, garnęły się pod skrzydła ubogiego człowieka, który ostatni grosz dzielił z biedniejszym, a nadewszystko umiał wlewać siłę, nadzieję i zdrową zasilic radą.

Szumne owe błyskotliwe talenta, którym dobrze na świecie, bo się z sobą popisować umieją i do popisu tylko są stworzone, nigdy prawie nie garnęły się pod strzechę Ottona; bo Otto jak kochał muzykę, tak znowu wirtuozów pełnych samolubstwa i zepsutych oklaskami nie cierpiał.

Zbolałe dusze i nieuznane talenta mieniały się tu ciągle: nieraz przychodził człowiek odarty, bojaźliwy po naukę, którą cierpliwie dawał mu przytulając litościwie Otto. Muzyczne zresztą kształcenie było jednym z mniejszych darów jego; więcej daleko znaczyło nasienie pocziwe, które rzucał pełną dłonią w dusze młodych ludzi, cześć sztuki, którą ich umiał natchnąć, poczucie jęj powołania i godności, zamięłowanie ubóstwa, które podnosił do wyżyn męczeństwa.

Sam czysty i prawy, gdy tylko postrzegł i poczuł w zbliżającym się do siebie skrzywione pojęcia, a co gorsza serce już zepsute, żądzę i pragnienie chłuby, oklasków, zazdrość zjadliwą,—cofał dłoń swą i zimno żegnał przybysza. W téj atmosferze zdrowej, istoty tylko zdrowe mieszkać i żyć mogły; inni wytrzymać nie umieli: zarażony musiał się wyleczyć lub uciekać.

Dom jego był zawsze pełen, nigdy mu gości nie brakło: bo jest wielu, co cierpią i łakną prawdy. Otto mało pytał o przeszłość i przyszłość, nie narzucał się z radą; czuł, że ona wytrysnąć była powinna nie z ust chłodnych, ale z gorącego serca, z przykładu, z życia.

W chwili właśnie, gdyśmy go spotkali u Żółtowskiego, Marzycki nie był sam jeden. W Robowie było aż trzech biedaków, którzy chlebem jego razowym tuczyli swą młodość i krzepili wesele. Życie tam było niezmiernie proste, niewytworniejsze w święto niżeli w dni powszednie, obyczaj prawie ubogi, tak jak bywało za ojca; ale choć chleb był czarny i krupnik prosty na stole, najświeższe utwory geniuszu, najdroższe płody wielkich mistrzów, w zbytkownej liczbie się tu rozlegały. Kosztem zbytku ciała kupowano konieczny dla duszy zbytek.

Na dni kilkanaście przed odwiedzinami hrabiego Hermana w Zarubińcach, do jednego już tylko pozostałego od lat trzech towarzysza Ottona, który się stał prawie domowym, przybyli dwaj jeszcze.

Dawniejszy ów wychowaniec Ottona był niejaki Martynko, syn ekonoma, którego gospodarz sam wykształcił i miał nadzieję na znakomitego wyrobić muzyka. Biedne chłopczyśko ledwie było szkoły nieźle skończyło, gdy go muzyka pochwyciła; a że rodzice ubodzy, téj passyi przewyciężyć nie mogli i kształcić go nie mieli za co, oddali Ottonowi, który wychowanie jego muzykalne począł od *a*, *b*, *c*, a teraz kończył je, rozwijając duszę, która przez palce, już wprawne, grać miała.

Otto mawiał zawsze:

— Co mi z tego, że kto gra pięknie? Cóż on za grać potrafi, jeśli w nim samym gra namiętność, gra

dziwactwo, a żadna myśl wielka i święta nie mieszka? Co mi z artysty, który kalligrafuje pięknie, a trzech wierszy nie wymyśli? Wielki artysta musi to posiać w swą duszę, co ma w niej później grać dźwiękiem. Kwiat ten, nim wykwitnie, powinien rosnąć i zielenić się wprzód.

Martynko nadał mu się dobrze do takiego wychowania. Był to chłopak cichy, skromny, pobożny, bojaźliwy, chorowity, ale w duszy czysty i z organizacją artysty: nie tego co ma wiecznie grać czego nie rozumie, ale takiego, co czuje więcej niż przez całe życie wygrać potrafi. Otto wpłynął nań potężnie i zrobił z niego fenomenalnego muzyka co do wprawy i umiejętności, jak on sam nie lubiącego się popisować i profanować swą sztukę lada przed kim, grającego sobie i Bogu. Olbrzymie też na nim pokładał nadzieje.

Od niejakiego czasu, dziwnym składem rzeczy, sam Martynko tylko gościł w Robowie, gdy jednego wieczoru, wózek z blizkiego miasteczka przywiózł na raz dwóch młodych chłopaków.

Jeden z nich był, co zresztą łącznie na pierwszy rzut oka poznać było można, wirtuoz z rodzaju długowłosych, których trocha łatwości i talentu, a wczesne w czternastym lub piętnastym roku okłaski, psują i uspasabiają na kuglarzy. Maks Fermer już od lat kilku dawał koncerty po większych i mniejszych miastach, już zbierał wieńce wawrzynów, już pełny miał pugilares gazeciarskich pochwał, a album pełne wierszy i sonetów parafialnych, zaczynających się od:

Mistrzu, któryś...

a kończących się na:

niezrównany, bożki!

W tém wszystkiém wiele było o kraju, narodzie, o sztuce i geniuszu... ale sensu mało.

Maks Fermer grał na wiolonczelli, grał fantastycznie, żywo, z nadrobioném uczuciem; ale taki był z niego muzyk jak bywają poeci, co sześć wierszy gotowi zawsze zrodzić przy kieliszku. Muzyki nie uczył się, nie umiał wcale: grał po większej części swoje własne kompozycye dość niezdarne i niebardzo logiczne, ale bardzo efektowe, i zdawało mu się, że jeśli nie przeszedł Servais'a i Romberg'a, to dla tego tylko, że się jeszcze na nim nie poznano.

A że był ładnym chłopcem i pierwsze swe popisy prowincjonalne odbywał w tych szczęśliwych miejscowościach, które łakome były na wirtuozów, bo zasłyszały coś o Lisztowskich entuzjazmach i spazmach, jakie się z nich rodziły, i chciały dać dowód, że i one spazmy i wieńce sypać potrafią,—więc od razuok rzyczany został za genialnego. Dla tego rodzaju znawców dość, żeby nie było sensu, a będzie geniusz.

Jak grał to grał Maks, ale śmiało umiał wynijść, skłonić się, świat traktował z góry, z ową pewnością siebie, która zawsze zwycięża; miał czarne oczy tryumfujące, i z razu mu się, szczególniej po małych miasteczkach, niesłychanie wiodło. Był już pewnusięńki, że z tryumfu w tryumf pójdzie *ad sidera*!

Pojechał więc dalej i ogłosił koncert, ale wpadł w atmosferę oziebioną przez skrzypków, wiolonczellistów i dwunastu cudownych pianistów, którzy wszelki zapal i dwuzłotówki wyczerpali. Grał więc przed prawie pustemi ławkami, i odtąd po kilkakrotnych próbach zawsze nieszczęśliwych, z pustą kieszenią i zakrwawioném sercem wyrzekłszy na świat anathema, jak niepoznany geniusz, oddał się narzekaniu na głupotę kra-

ju, brak cywilizacji, uczucia, na barbarzyństwo i t. d. Wybierał się nawet za granicę, gdyż tam dopiero miał być oceniony, ale fundusze nie dozwoliły mu jeszcze do skutku przyprowadzić tego zamiaru. Rola jego terażniejsza dość smutna, miała dla patrzących z boku wiele komiczności; słysząc go wzgardliwie plującego na wszystko i pokręcającego wąsik do góry, niepodobna się było wstrzymać od śmiechu, zwłaszcza kto wiedział, że kilka pustych koncertów spowodowało tę mizantropię tak gwałtowną.

Jak ludzi i świat, tak arcydzieła i mistrzów, Maks lekce sobie ważył, należąc (choć sam o tém nie wiedział) do muzyków przyszłości, radykalistów, którzy nie spojrzawszy nawet w to, co po za nimi zostało, śmiało jak plewę całe skarby dawne odrzucają.

Ostatkiem goniąc, Fermer znajdował się właśnie w miasteczku sąsiedniem, gdy w cukierni, w której go garstka pseudo-miłośników muzyki otaczała, spotkał się z drugim takim oryginałem jak sam, ale daleko szlachetniejszym i szczerzym.

Był to młodzieniec pięknej twarzy, wysokiego wzrostu, blondyn, którego twarz jaśniała jakąś dumą i nieukróconą swobodą, ubrany w kożuszek prosty, opalony: zdziczały, ale śmiały jak dziki człowiek.

Poznali się z nim przy szklance ponczu i razem sobie poczęli na świat, którego ledwie koniec nosa widzieli, narzekać, przeklinać go i wyśmiewać.

Nastąpiła serdeczna przyjaźń, wyznania, ułamkowe biografie bohaterów, i liga potężna, wiekuista. Młody ów lew nazywał się Janko Zbój, i powiadał, że był szlachcicem z Podola, ubogim sierotą, który w świat się puścił szukać czego nie zgubił, bo mu tam w domu było niedobrze.

Janko Zbój osobliwsze wykladał teorye, które wszakże Maksowi przypadły do smaku swą oryginalnością. Utrzymywał on, że cywilizacya psuje ludzi, że stan napół dziki jest najszczęśliwszy, bo daje hart duszy; śmiał się z salonów i ich zwyczajów, i dodawał, że choć go los i urodzenie do nich przeznaczyło, dobrowolnie się ich wyrzekł. W Janku znać było chłopca niezspsutego jeszcze, ale dziwnie rozbujanego, niecierpliwego na wszelkie powagi i przymus moralny, potrzebującego się wyszumieć pianą młodości gorącej, niepohamowanej. Na pięknej jego twarzy, której rysy uwagę każdego zwracały, płonęła jakby wzgarda ku bezsilnym rozpieszczeńcom, co go otaczali; hardy, mocen sobą, zdawał się wyzywać do boju choćby całe zastępy.

Nie było w nim wykształcenia wielkiego, ale jakby resztki starannego wychowania, które umysł zbuntowany po swojemu użył, rozniósł i rozrucił. Poezya młodości i siły złościły się jego usta, oko płonęło.

Obok Maksa, który miał się za żywego Apollina belwederskiego, z powodu, że dwie guwernantki rozkochał i od jednej wdowy dostał pierścionek na pamiątkę, Janko Zbój wyglądał jak Herkules, ale Herkules młody jeszcze, z całym życia zasobem wziętym z kolebki, w której dusił węże.

Zasiadłszy nad ponczem, całą noc gwarzyli młodzi. Janko szydził, Maks mu potakiwał i rzucał na kraj przekleństwa. Podpiwszy trochę, poprzyjaźnili się serdecznie; a gdy się jeszcze okazało, że Janko był trochę fortepianistą, ułożyli na prędce projekt jechania razem. Zbój był gotowym akompaniatorem dla Maksa, który go wspaniałomyślnie do trzeciej części z koncertów przypuścił. Janko warował sobie tylko,

żeby mu fraka pożyczał do sali, bo tego nie miał i jako piętnem niewoli się nim brzydził.

Ogłosił tedy zaraz koncert wielki, który dał im czystego dochodu złotych czterdzieści. Drugi nieco liczniejszy, gdyż Janko tłukł fortepian bez litości, a Maks piłował wiolonczellę aż się skry sypały, zrobił sto kilkadziesiąt. Ktoś rzucił bukiet Maksowi, ale było silne podejrzenie, że on go sobie sam kupił i tę owacę niezręcznie spreparował. Żyli z tych dwóchset złotych w miasteczku dwa tygodnie, zapraszani do wielu domów, ugaszczani, noszeni na rękach, ale się im w końcu sprzykrzyło, gdy Maks postrzegł, że się w nim nikt nie kocha, a Jankowi kładzenie fraka było nieznośne.

Zasłyszawszy o Ottonie, i nająwszy ostatkiem grosza furmankę, przyjechali wreszcie do Robowa.

Maks pewien był, że tu przynajmniej przyjęty zostanie z zapalem, i uznał za słuszne przybrać minę zrażonego geniuszu, który lada chwila może świat pozbawić swych promieni; z goryczą i szyderstwem przedstawił się Ottonowi, na którym tyle tylko widomego zrobił wrażenia, że ramionami ruszył. Janko przyjechał w kożusku, i w nim pozostał, grając rolę podrzędną.

Zbój choć grał na fortepianie, nie miał żadnej do artyzmu i muzyki pretensyi. Ucho miał dobre, ręce twarde, wprawy mało: znać było, że się bardzo zaniedbał, i choć miał talent, nie przypuszczał go w sobie, śmiejąc się sam z tych, co na koncertach brali go za coś.

W tym względzie był on przeciwnym Maksowi begunem, który o sobie żywił pojęcie potężne. Zdziwił

się nieco Fermer, że go zaraz nie proszono grać, a jeszcze bardziej, gdy potem gra jego żadnego nie wzbudziła entuzjazmu. Otto wysłuchał go z jakąś poważnie litościwą fizygnomią i usiadł wzdychając; Martynko spuścił głowę i zarumienił się, nie śmiejąc w oczy spojrzeć wirtuozowi, który sam uczuł się jakoś śmiesznym, i mocno go to zabolalo.

Grał bowiem dla otrzymania od razu stanowczego zwycięstwa swą wielką fantazyę pod tytułem: *Niebo i Piekło*, w której nagromadził mnóstwo figlów i efektów, ale sensu w niej nie było ani za grosz, a logiki za szeląg. Była to łatanina przypomnianych tematów, waryacje bez związku z sobą, sztuczki i foremki różnego kalibru.

Maks uważał to za arcydzieło, chociaż i dziełem nawet nazwać się nie mogło. Otto nie przywykły do takiej kocięj muzyki, pisaniej bez znajomości sztuki i natchnienia, milczał.

Wreszcie spytany przez autora, rzekł otwarcie:

— Nie zrozumiałem.

— W istocie—odparł Maks—nie jest to łatwe do zrozumienia; jest to pierwszy zarys olbrzymiej epopei muzycznej.

Martynko, który znał się z wielkim stylem i prostotą Haydnowskiego Stworzenia Świata i Siedmiu Słów Boleści, uciekł do drugiego pokoju, obawiając się parsknąć.

Maks mimo dość zimnego przyjęcia, pozostał w Robowie, bo nie miał co nadal począć z sobą. Jankowi tu dobrze było, choć w wielu rzeczach nie zgadzali się z Ottonem, bo Zbój był apostołem dzikości i swobody nieukróconej, a Otto tyle znał świat, że się nie mógł podobnemi teoryami zabawiać; coś było w tém

rozbijałem dziecku sympatycznego, w jego sile miłego i dobrego, szlachetnego w instynktach. Zresztą, jako muzyk, śmiał się sam z siebie, głośno mówił, że nie umie, i tём sobie ujął Ottona.

— Co ty chcesz z sobą robić? spytał go w kilka dni potём Otto.

— Ja? odparł Janko—albo ja wiem?

— Przecież musisz jeść, trzeba coś robić.

— A no, to będę konie pasał—rzekł Janko—jeśli nic innego nie potrafię; jeszcze to może jedno z najlepszych... Powietrze, słońce, lasy, i w kożuszkach chodzić można, a nikomu się nie kłaniać, i dosiadłszy żrebca wyhulać się na nim do zmordowania...

— Cożes ty dotąd robił?

Twarz Janka się zachmurzyła.

— A cóż? Sierota, wałęsałem się po świecie; trochę mnie z początku uczyli, trochę się na gwałt poduczyli; potём nie stało opiekunów, poszedłem w świat, ot tak sobie bez grosza, tom różnie zarabiał: koniem najeżdżał, myśliwstwo u hrabiego utrzymywałem, to się tam coś zapracowało. Potём zjadło się co miało, więc wałęsałem się; a teraz pójdę gdzie służyć, byle z byłem a nie z ludźmi mieć do czynienia i być swobodnym. Z hrabią rozstaliśmy się, bo myślał, że płacąc wolno mu było mówić do mnie niegrzecznie i grubiańsko: odpłaciłem mu tą samą monetą, i kwita. Co dalej będzie, nie wiem. Może wiecie gdzie jakie sta-do i miejsce koniuszego?

— Nie wiem—rzekł Otto,—ale cię na to szkoda.

— A mnie samemu nie. Cóż to złego? byle był chleb, a niewoli nie było, bo tój nie wytrzymam. Zresztą wy ludzie frakowi tego nie zrozumiecie.

— Ja to dobrze rozumiem.

— Jam dusza stepowa, dodał Janko: mnie milsza kozacza swoboda nad wszystko.

Obaj tedy ci przybyłce jak raz usadowili się w Robowie, ani myśleli ztąd ruszyć. Najglówniejszą tego przyczyną było, że jak Maks wielki, tak Janko, nie mieli o czém wyjechać, wyczerpawszy ostatnie zapasy. Ale Janko pierwszy się śmiał z tego, a wielki geniusz Fermer starał się to smutne położenie różnemi pokrywać kłamstwami. Obojętność towarzysza wprowadziła go wreszcie na tór udawania pogardy dla grosza i *podłego kruszcu*; ale to mu jakoś nie szło.

Martynko patrzył na to nowe zjawisko wielkiemi oczyma człowieka, który nigdy nic podobnego nie widział i nie marzył. Gruntowną mając naukę, pracowity i skromny jak Otto mistrz jego, biedny chłopiec nie pojmował, aby taka zarozumiałość lęgnąć się mogła wśród takiego nieuctwa, i żeby oboje razem szły w świat tak śmiało, głosząc o sobie dziwy.

Janko przynajmniej nic nie umiając, sam z siebie żartował, muzykę swoją lekcewazył choć istotną do niéj miał zdatność; śmiał się z téj roli wirtuoza, którą mu narzucono. Ale Maks nawet sam na sam z nim nie wychodził z poszanowania dla swojego geniuszu i komedyi, w którą się już tak wdroył, że ją musiał grać całe życie.

Obaj ci ludzie z różnych powodów zajeli gospodarza, który od pierwszego wieczoru poznał ich charakter i mógł wróżyć o przyszłości.

Żał mu było tego Maksa z takim szaloném zuchwaltstwem idącego w świat bez nauki, a może bez talentu i ochoty nawet do tego, co czynił; żał więcéj jeszcze Janka, który poznany bliżéj, na pocziwe, ppsute tylko i rozpuszczone chłopię wyglądał. Ostatni

prostotą swą i szczerością ujął go za serce. Sam on zwał się duszą stepową, i dziwne miał jakieś wstręty do życia cywilizowanego, a popęd do samopaśnego choćby nędzą okupionego żywota. O przyszłość dbał jak najmniej, nie obchodziła go ona wcale, dobijać się niczego nie myślał; w końcu jego wszystkich marzeń była nieograniczona jakaś swoboda Araba, który uganiał się po pustyni sam jeden, ale jak ptak wolny. Choć mało znał innego życia warunków, takie ono w nim budziło wstręty, że wolałby być przywdziać nędzę i łachmany, niż frak z pełnemi kieszeniami złota. Z tego punktu zapatrywał się on na świat, szydząc z niego niekiedy niesłusznie, czasem bardzo trafnie.

Nigdy może mniej sobie charakterami pokrewne dusze, jak Maksa i Zbója, nie połączyły się z sobą: Maks był cały kuglarzem, Janko nie umiał kłamać i brzydził się wszelkim fałszem. Tylko mizantropię jego wygodnie było na chwilę przywdziać Maksowi, póki był goły i pamiętał ostatnie chybione koncerty, i w tym punkcie stykali się z sobą, że obaj na świat dziwne prawili dziwy.

Maks przy wielkiej śmiałości miał zdolności mało; Janko przy nieuctwie łatwe objęcie, umysł bystry, rozum zdrowy i chęć nawet do pracy, byleby ta nie była ujętą w formy konieczne, w godziny naznaczone, w niewolnicze klamry.

Nieproszeni goście siedzieli spokojnie w Robowie. Pierwszego zaraz wieczoru dawszy miarę tego co umiał Maks, widząc jak małe na słuchaczach uczynił wrażenie, pokrył w sobie to co uczuł, a że w istocie muzyki nie lubił bardzo, już później popisywać się nie chciał, odzywając się nawet z groźbą, że pozbawi świat

wielkiego artysty i pójdzie inną drogą, kiedy tu uznania nie znalazł.

Najdziwniejszém było, że Janko, który sąd miał dosyć zdrowy, nie umiał się wcale poznać na towarzyszu: brał go za geniusz i dawał sobie wmówić wszystko co Maks chciał.

Wieczorem, gdy po długiej gawędzie szli drugiego dnia na spoczynek, Maks, któremu szło o to, by zbać czy nie stracił uroku w oczach towarzysza, ziewnął ogromnie i odezwał się rzucając na łóżko:

— Co ty mówisz o tym domu?

— A cóż, to serdeczny jakiś człowiek ten Marzycki, i lubi muzykę.

— Tak! zimny, pedant! Zdaje mi się, że do genialnych pomysłów nigdy się wznieść nie potrafi, nie ma ognia świętego! nie! Uważałeś jak słuchali, gdy im grał! Zrobiło to wrażenie, nie można powiedzieć, ale jakby pierwszy raz coś podobnego o jego uszy się obilo, stał osłupiały—zimny! To jeden z tych ludzi—ja się znam—którzy wszystko mierzą łokciem starych prawideł: dusza jego nigdy nie podniesie się ku ideałowi, ku tym strefom, w których mieszkają wybrani. Proszę cię, przysuń mi tytuń..

A życie jakie tu prowadzą! dodał Maks:—chleb czarny, jaka strawa! wino kwaśne! lura! dom i meble, co to za graty! Człowiek jednak ma być nie ubogi! Ja tu długo nie myślę gościć—rzekł kończąc—mam jeden projekt tylko: potrzeba mi, żeby ten człowiek swoim wpływem koncert nam na wsi urządził; zbierze się coś grosza i w świat! Jabym się tu na śmierć zanudził: to gorsze od klasztoru!

Janko westchnął.

— Nie ze wszystkiém — rzekł — godzę się z tobą;

bo mnie tu dobrze, a Otto jakoś mi przypadł do serca.

— Poziome, poziome istoty! mruczał zapalając fajkę Maks: jabym tu zastygł, ja tu wiolonczelli w rękę nie wezmę; dla kogo grać? dla kogo?

— No! dla siebie! odparł Janko.

— Dusza moja gra nieustanną pieśnią, dodał Fermer niedbale; nie potrzebuję na to wiolonczelli. Jestem sam muzyką aż do szpiku kości!

W kilka dni potém lepiej się jeszcze okazało nieuctwo genialnego artysty. Otto, który nad wszystkie muzyki przenosił zbiorową, urządził Trio Mendelsohna, sadzając Martynka do fortepianu.

Maks, który grywał tylko swoje fantazyje, barokolle, kaprysy i t. p. rzeczy, z razu zaciął się na tę propozycję; nie miał ochoty, bolała go głowa. Potém poczuł, że mu nie wypada przyznać się tak niejako do nieudolności; powiedział, że rzecz zna i grać może.

— Tylko żem tego bardzo dawno nie grał — dodał, — bom przywykł własne tylko myśli oddawać; chcę pozostać oryginalnym: ale spróbujemy.

Janko był kontent, pewien, że się tu dopiero wyższość przyjaciela okaże. Rozłożono nóty, poczęto, ale w dziesięć taktów Maks się zaraz zgubił; powtórzono, nie szło; spróbowano czego innego, okazało się, że źle czyta, że nie może się utrzymać w takcie, że — ostatecznie — nic nie umie. Przeszli do rzeczy łatwiejszych, ale i tamte się nie powiodły. Janko był zdumiony, że geniusz tak sobie nie mógł dać rady; Maks wszakże udawał, że wcale fantazyi nie stracił.

— Taka muzyka — rzekł — to niewola; umysł wyższy nie może się nagiąć do niej: on potrzebuje jak

ptak szeroko rozwinąć skrzydła, lecieć gdzie go oczy poniosą. To dobre dla zimnych ludzi, którzy są zawsze panami siebie.

To rzekłszy odrzucił nóty wzgardliwie, i począł jakąś swoją kompozycję, której nie wiadomo, nielogiczność czy dziwactwo bardziej podziwiać było potrzeba. Martynko musiał znów uciekać do przedpokoju, aby się w głos nie rozśmiać.

W istocie nietylko muzyka, ale muzyk wyglądał pociesznie, z włosiem zarzuconym na tył, z zawiniętymi rękawami, z miną niby natchnioną, której nadał wyraz dziko namiętny lub tęsknie rozmarzony.

Otto z założonemi na piersi rękami smutnie patrzył nań z wyrazem politowania. Maks chciał koniecznie rozbudzić w nim entuzjazm, ale słowa z niego dobyć nie mógł, ani najmniejszej oznaki współczucia.

Nareszcie gdy z podziwem Janka długo się ucierał z wiolonczellą, chcąc za poprzednie fiasko zapłacić, a Ottona poruszyć nie mógł,—odrzucił instrument i padł w postaci bohatera po bitwie, na kanapę, rozkazując Jankowi przynieść sobie szklankę wody.

Otto widocznie pomieszany, milczał. Maks poczuł wreszcie, że tu komedia żadna nie pójdzie, ale nie wychodząc ze swjej roli, napił się wody, odrzucił włosy, i ze spuszczoną głową, jakby pod brzemieniem myśli i uczuć, wyszedł do ogrodu, mówiąc po cichu:

— „By duszę nastroić do natury śpiewu!”

— A co? jak gra? zawołał Janek, gdy tamten wyszedł—jak on gra?

Otto i Martynko spojrzeli sobie w oczy. Błdy chłopak nie mógł już dłużej wytrzymać, bo miał tę wadę, że był śmieszek, i nagle parsknął. Potém za-

szedł się okrutnie, uciekł do kąta, i rękami się zasłoniwszy, począł na dobre śmiać się do rozpuku.

— Co mu się stało? zapytał Zbój.

— A cóż! to efekt spazmatyczny: gra twojego Maksa!

— Martynko nie jest w stanie zrozumieć go chyba, odparł rumieniąc się Janko. To geniusz.

Otto zbliżył się ku niemu i położył mu rękę na ramieniu.

— Kochany Janku—rzekł:—reguła ogólna, że geniusze najłatwiej się pojąć dają. Geniusz dlatego jest geniuszem, że to, co ty masz w duszy, dobywa ci z niej i uwydatnia lepiej, niżbyś ty potrafił; geniusz nie jest dziwactwem, jest wielkością prostoty pełną. Maks wcale nie gra, tylko rzepoli, nic nie umie, mógłby mieć talent, ale go zabił zarozumiałość. Szkoda go! ucząc się, mógłby dojść do czegoś.

— Na co geniuszowi nauka?

— Wszystkim ona potrzebna, odparł Otto; nikt nie zdobywa umiejętności bez potu i trudu, wszędzie inicjowanym być potrzeba, jak do starych eleuzyńskich tajemnic. Muzyka jest sztuką i umiejętnością razem: kto w niej na sztukmistrzostwie samém poprzestał, do niczego nie dojdzie.

— No! to ja tam tego nie rozumiem! zawołał Janko. Ale gorąco gra, szalenie, to mi po duszy chodzi!

— Wierzę, boś głodny wrażeń i pożywasz ładającą nawet strawę z chciwością wygłodniałego człowieka... rzekł uśmiechając się gospodarz. Maksa to jednak daleko nie zaprowadzi; bo to nie jest muzyka, tylko granie, a i granie jeszcze nie najlepszego gatunku...

Jankowi przeszło wprawdzie przez myśl, że zazdrość przemówić mogła przez gospodarza; ale nie skory

do posądzeń o złe, odepchnął ją ze wstrętem. Gdy potem jego znowu do gry zachęcać poczęto, i z pomocą jego skromności niektóre części przeszły dosyć dobrze, a Janko parę pięknych rzeczy sumiennie i z uczuciem odegranych wysłuchał, znajdując niezmierną międyz niemi a grą Maksa różnicę,—wątpliwość wkradła się do jego duszy, czy istotnie Fermer był tak wielkim i genialnym człowiekiem, jak mu się z początku wydawało?

Muzyka ta nowa, głębsze, potężniejsze na nim robiła wrażenie. Zdawało mu się, że jaśniej w niej myśl czytał, i zamiast burzy i rozdrażnienia, spokój zostawiała w jego duszy.

Zawahał się i zachwiał.

Maks wieczorem nie omieszkał mu znowu szepnąć:

— Pedanci tacy! nie warto grać dla nich... Ta głupia ich muzyka klasyczna, pęta i więzi, to lichoty! to rokoko! Mógłbym być grać, gdybym chciał, bo to tam nic trudnego nie ma dla mnie; ale umyślniem porzucił, bo mi się dusza burzyła w tych więzach... To dla mnie fraszki! Ale suche, ale nudne! wiory! nie więcej...

Janko milczał.

— Otto bardzo dobry człowiek—dodał Maks ręką przyczesując bujne włosy—ale jest w nim trochę zazdrości. Gry takię jak moja nigdy w życiu nie słyszał, czuje jęj wyższość, a uznać jęj nie chce, bo wie, że nigdy ani on sam, ani jego wychowanek Martynek, ślepa kura, do tego nie dojdą... At! głupstwo! dodał Maks patetycznie: mnie tylko potrzeba się dobyć z tego kąta obrzydliwego na większy świat, w jaśniejsze strefy; tam dopiero ludzie wyższych usposobień i ukształcenia, mogą się poznać na mnie. W świat! w szeroki

świat! rzekł bijąc się w piersi: czuję w sobie siłę do poborykania się z nim, i zwycięzę. Do Paryża mi tylko, a raz stąpnawszy nogą na ten bruk, nie będę potrzebował nikogo. Ale jak ztąd się wydobyć?

W tém był sęk. Maks nienawidząc, musiał ciągle marzyć o podłym kruszcu, który go miał wyzwolić; ale projekta jego koncertowe były tak niepraktyczne, że myśleć nawet o urzeczywistnieniu ich nie było podobna.

Otto, jak wszystkim w swoim domu, zostawił mu zupełną swobodę. Życie szło u niego zawsze jednym trybem. Maks z niem pogodzić się nie mógł; muzyka cudza nudziła go, własna o tyle tylko zajmowała, o ile wywoływała oklaski. Spędzał dni z cygarem w ustach na kanapie leżąc podparty na ręku, w marzeniach o Paryżu. Wiolonczelli nie tknął nawet. Janko, który coraz więcej przywiązywał się do gospodarza i jego muzyki, nie opuszczał na chwilę salki, w której grywano; sam ile mógł należał do tego, i w skutek téj zmiany smaku, stracił znacznie łaskę u Maksa, który się z niego zaczął prześmiewać.

Mówiliśmy już, że Robów od Zarubiniec przedzielała przestrzeń bardzo niewielka. Otto chadzał często do Żółtowskiego, którego lubił pocziwość i prostotę. Raz w téj przechadzce, Maks gawędząc przeprowadził go z Jankiem; mieli powrócić z pół drogi, ale się tak zagadali, że doszli prawie do fórtki ogrodowej.

Gmach pałacowy, wspaniałe mury pańskiej rezydencji, które Janka odstręczały i straszyły, Maksa pociągnęły ku sobie magnetyczną siłą. Czuł on, że jego talent pasożytnój natury musiał gdzieś przylgnąć do pańskich podwoi i do pańskiego przyrosnąć żywota,

aby przy nich żyć darmo, płacąc małą monetą, jak mówią Francuzi.

Spojrzawszy na mury zarubienieckie, Maks westchnął pożądliwie, myśląc jakby się to tam dostać. Muzyka dla niego nie była nigdy celem, była środkiem; uprawiać jęj w cichościby nie potrafił, bo w duszy była mu obojętna, ale ją uważał za dobre narzędzie łatwego postawienia się w świecie na przyzwoitej stopie i zarabiania pieniędzy w sposób, że zdawał się biorąc je, robić łaskę tym, co dawali, spełniającym tylko względem sztuki święty obowiązek, płacącym dań należną talentowi.

W chwili, gdy mieli się rozejść u farty ogrodowej, wracająca z przechadzki hrabina i Lola nadeszły właśnie. Znały one trochę Ottona, ale uderzyły te panie twarze towarzyszków, które musiały ciekawość obudzić i zrobić wrażenie. Maks był ubrany po artystowsku, jaskrawo i krzycząco; Janko bardzo prosto. Obie twarze były piękne i znaczące, osobliwie ostatniego, pełna wyrazu męskiej energii i siły. Lola zarumieniła się cała, z ciekawością dziecięcą wpatrując się w tę grupę mężczyzn, wśród której postawą i charakterem poważnym odznaczał się Otto Marzycki.

Janko nie spojrzawszy nawet na przybyłe panie, postrzegłszy tylko suknie ich jedwabne, natychmiast pierzchnął w bok, gdyż nienawiść jego ku wszystkiemu cywilizowanemu dochodziła do tego stopnia, że i kobiet salonowych, jak je zwał, znieść nie mógł. Maks przeciwnie nastrzepił się cały, nabrał miny, uśmiechu, i choć nigdy nie przestawał grać komedji, jeszcze zamaszyścił w tej chwili począł udawać Liszt'a, by oczy niewiast zwrócić na siebie.

Był już pewien, że dystyngowaną swą postawą,

niebieską chustką i fularem, pierścionkami, któremi okryte miał palce, ściągnie na siebie dam oczy i wejdzie z niemi w pałacowe przybytki, gdy hrabina z Lolą znikły szybko, wchodząc w głąb ogrodu.

Otto, który spostrzegł wrażenie, jakie to spotkanie zrobiło na Maksie, uśmiechnął się, i wskazując mu ścieżkę do Robowa, sam zabierał się iść do Żółtowskiego, ale Maks go wstrzymał.

— Na miłość Boga! co to są za panie?

— Hrabina i jej córka.

— Co za dystynkcy! jaka piękność! I pan mieszkając pod bokiem nie starasz się ich poznać!

— Znam je, ale w pańskich domach nie bywam.

— Jestem pewien—dodał Maks poprawiając włosy—żeśmy na nich niejaki uczynili wrażenie. Uważaliście rumieniec dziewczicy? Tu w tej pustyni spotkanie podobnych nam istot, nie może przejść niepostrzeżenie; spytają przecie o nas. Spodziewam się, że w takim przypadku nie zapomnisz nas, to jest mnie polecić. Chętnie, bardzo chętnie zrobiłbym znajomość.

— Na Boga! co ten człowiek plecie!—przerwał Janek. Nie rekomendujcież tylko mnie: ja za nic iść tam nie chcę i nie pójdę!

— No, to mniejsza, ale gdyby życzyły sobie mnie słyszeć....

Otto ruszył ramionami.

— Spodziewam się, rzekł Maks żywo: że mi do tego drogi nie zagrodisz. Jestem pewien, że na tych czystych duszach niewieścich zrobiłbym wrażenie.

— No! no! chodźmy-no, chodźmy—przerwał niecierpliwiąc się Janek, który tak obawiał się, aby go nie pochwycono do pałacu, jak tamten zaproszenia pragnął.

Odeszli wreszcie.

Od téj chwili, choć z obawą, aby Otto nie śmiał się z niego, ukrywając myśl swoją, Maks powziął zamiar dostania się koniecznie do pałacu. Zrażało go nieco to, co słyszał o hrabi; ale gotów był na trochę upokorzenia nawet, byle do tego upragnionego pałacowego świata się dostać. Nie mówiąc nic Jankowi, ani gospodarzowi, pod pozorem rozmyślań i tęsknoty poetycznej, wysuwał się ukradkiem na ścieżynkę do Zarubiniec wiodącą, i szukał zrzeczności nowego spotkania z paniami.

Los usłużył mu nad spodziewanie. Hrabina z córką codziennie chodziła właśnie w tę stronę; bo droga wysadzana lipami między Zarubińcami a Robowem, które dawniej stanowiły jeden majątek, była bardzo miłą przechadzką. Doszedłszy téj tajemnicy, Maks w kilka dni potem czatował już na panie.

Wiekuiсты komedyant, wprzód sobie dobrze ułożył, jak się ma przed temi paniami pokazać. Wiedział, że na kobietach, istotach czułych i wrażliwych, nie robi większego wrażenia nad smutek i rozpacz; choć więc smutkiem się brzydził i na własny użytek wcale go nie miał, przybrał go jako strój okazały na to oczekiwane spotkanie. Z dało mu się, że i książka zwłaszcza francuzka, trzymana w ręku lub rzucona niedbale na ziemię, jeśliby się wypaść, wcale nie byłaby od rzeczy.

Strój jak najwykwintniejszy, ale z pewnem zaniedbaniem ułożony, włosy nieco rozwiane, brew namarszczona, postawa teatralna, dawno w umyśle jego przygotowane były. Chciał koniecznie mocne uczynić wrażenie. Z góry nawet ułożył sobie słowa, jakie miał

wyrzec — obraz życia swojego, który mógł wystawić w danych okolicznościach: zagadkowy, tajemniczy, straszliwy... z czarną przeszłością.

Stare to sztuki, ale niestety! ludzie jak ryby zawsze na jednego robaczka i wędkę łapać się dają.

O przyzwoitój do przechadzki godzinie, Maks wymknąwszy się z Robowa, wcześniej w lipowej alei przygotował się do spotkania z hrabiną. Z głową w dół spuszczoną, z oczyma wlepionemi w ziemię, z książką ściśniętą w dłoni jakby namiętną rozpaczą skurczoną, szedł świata nie widząc niby, przed siebie.

Hrabina była zamyślona istotnie czy zamodlona może, tak, że tego nie postrzegła; Lola chmurkę jakąś goniła po niebie, i nie widziała co się dzieje na ziemi. Maks doskonale obrachował się, aby prawie wpaść na nie i trochę przestraszyć, krzyknąć, zacząć przeproszać i w ten sposób zawiązać rozmowę.

Stało się słowo w słowo jak sobie obmyślił; ale hrabina o parę kroków postrzegła Maksa i nagle usunęła się z córką na bok, a artysta pograżony w zadumie, w chwili gdy miał się z niemi spotkać, zmuszony logicznie rolę swą grać do końca, minął je z oczyma wlepionemi w padół płaczu.

Jednak jakby od przechodzących niewiast powiało nań przecuciem, nagle podniósł głowę brzemiennej myślami tęsknemi, ocucił się i westchnął silnie, a ujrzawszy panie (choć od kwadransa wprzód je widział) wydał lekki okrzyk zdziwienia: tak stało w programie.

Tu nastąpił ukłon czystej grzeczności należnej niewiastom. Hrabina oddawszy go, usiłowała ominąć natręta; ale wielki artysta stanął jakby osłupiały, przyłożył dramatycznie rękę do czoła, i uśmiechając się,

począł przepraszać sam nie wiedząc za co—że śmiał... że mógł...

Nie było w tém sensu; ale hrabina, dobra kobieta, nie przypuszczająca nigdy udawania i komedyi, wzięła jego grzeczności, smutek, nieprzyzwoitość za dobrą monetę. Młodzian chmurny wzbudził w niej litość: przeczuwała w nim nieszczęśliwą, od losu prześladowaną istotę.

Gdy więc Maks kołując zręcznie, począł przepraszać nie wiedzieć za co, hrabina nie pozbyła go się milczeniem, ale miłosiernie pozwoliła mu zawiązać rozmowę.

— Gdybym był wiedział, że pani hrabinie przerwę jęj, zapewne ulubioną, przechadzkę—dodał zaraz—nie ośmieliłbym się nigdy udać w tę stronę. Lecz—dodał śpiesząc zaraz popisać się z tém co wedle jego mniemania najskuteczniej ująć mogło—lecz duszom zranionym jak moja, ludziom od losu prześladowanym, samotność jest potrzebą, natura jedyną pociechą...

Hrabina i Lola spojrzały nań ciekawie.

— To jabym go winna przeprosić—odpowiedziała Marya—żem mu tak drogą przerwała samotność; dla mnie ona nie jest tak konieczną.

— A! pani, my wydziedziczeni—chwytając rozmowę co żywiej dodał Maks—my nieszczęśliwe dzieci, sieroty losu, mamyż prawo do jakiej litości? My nie mamy do niczego prawa—nawet do powietrza, którem oddychamy.

Uśmiechnął się szydersko, boleśnie, a uśmiechu tego znał dobrze wagę, bo go wprzód we zwierciadle próbował ku temu celowi, i zamilkł idąc jakby mimowolnie z hrabiną.

— Pan nie jesteś z tych stron? spytała dobra kobieta zmuszona coś powiedzieć.

— Ja? nie; jestem tu zbłąkanym wędrowcem, w gościnie u przyjaciela. Chciałem wpośród tej ciszy wiejskiej odpocząć po gwarze wielkiego świata, po zimnych tłumy oklaskach, po wszystkiém, co istnienie artysty czyni męczarnią.

— Pan jesteś artystą?

— Muzykiem? — podchwyciła Lola, która bardzo muzykę lubiła.

— Tak jest pani, szczycę się tém nazwaniem, które jest zarazem ciężarem i chlubą.

Chwila milczenia. Maks poprawił włosy i wydał westchnienie, które mu się zdawało na dobre, bo miało świadczyć o ciężkiem brzemieniu, jakie dźwigał na duszy. W jego przekonaniu oznaczało ono, jak wielkim ciężarem jest geniusz, a chciał wydać się geniuszem. Hrabina w prostocie ducha nie była wcale od tego, by go za geniusz poczytać, bo takim właśnie z książek wyobrażała sobie wielkiego artystę.

Niestety! książki bredzą, geniusz inaczej wygląda. Jest prosty, chmurny, jest silny i wybucha nie dla tego, by uczynić wrażenie, ale mimowoli, gdy dotkną tego co dla niego jest święte, gdy drgnie w nim struna serdeczna. Tai się on z wielkością swoją, wstydzi tego, co ma najdroższego, lubi samotność, ale o niej nie rozprawia, a gdy płacze, łyże swe kryje. Geniusz jest prawdą; nigdy rachubą i komedią.

Maks był tylko fałszywą monetą artysty i genialnego człowieka; ale często połysk ją czyni od najprawdziwszej piękniejszą na oko. I tu się może tak zdało na chwilę.

Maks potrafił zająć hrabinę; nie szczędził też ku temu środków. W miarę jak robił wrażenie i domyślał

się, że je czyni, bił w to co je wywołało, usiłując powiększyć. Lola ciekawie, z zajęciem dziecinném, ale z obawą i bez sympatyi spoglądała na niego, czego równie dostrzegł artysta. Przez matkę więc starał się utorować drogę do córki, ku której głównie zwracały się jego marzenia. Wiadomo od dawna, że wszyscy wielcy artyści tego rodzaju śnią zawsze o ożenieniach z hrabiankami, a żenią się najczęściej z lada kuglar-ką, co ich zręcznie ogmatwać umie, lub z pierwszą lepszą wypłowiałą pięknością.

Maks bardzo bacznie i ostrożnie kierował ku córce rozmowę i oczy, pierwsze miejsce dając wszakże samej hrabinie.

Marya była do zbytku dobrą, prostą i wierzącą kobietą; mała znajomość świata i serce pocziwe czyniły ją niepodejrzliwą, powiedzmy raczej nieostrożną w najwyższym stopniu.

Lolę instynkt jakiś odpychał od czarnowłosego awanturnika; wstydziła się zań chwilami, czuła, że ktoby tyle cierpiał, nie mówiłby tak o sobie i swoich boleściach deklamatorsko i bezwstydnie. Prawdziwe cierpienie jest wstydlive.

Całym staraniem Maksa było tak zręcznie zająć sobą, poprowadzić rozmowę, aby mieć powód wkręcenia się do pałacu. Nie wiedział, jak hrabia był trudny w tym względzie, ani że żona nie ośmieliłaby się nigdy sama bez wiedzy jego kogokolwiek zaprosić.

W rozmowie, mówiąc o sobie, rzucił myśl jakby był szczęśliwy dać się słyszeć hrabinie, jak miłoby mu było przed osobą tak wysoce ukształconą, wylać swe myśli muzykalne, które tak mała liczba wybranych pojąć i ocenić jest zdolna. Hrabina jednak uporczywie milczała, i gdy przyszedł do fórtki ogrodowej,

choć to była godzina herbaty, pożegnała go grzecznie, dając do zrozumienia, że się tu rozstać muszą.

Z razu Maks był gniewny i wściekły, bo wyszaflował cały swój arsenał na próżno, i nic, jak się zdawało, nie zrobił; ale spojrzawszy na odchodzące niewiasty, powiedział sobie, że się to na tym nie skończy, i wracając do Robowa osnuł sobie w ciągu drogi opis tego spotkania w taki sposób, by się niemi mógł przechwalać przed Ottonem i Jankiem. Choć nierad w duszy, przybrał umyślnie największy entuzjazm dla hrabiny, humor człowieka uszczęśliwionego. Lola niecierpliwiła go swoim chłodem, bo mu żadnego nie okazała współczucia, ale i to wypadło całkiem wystawić inaczej.

Zastał wszystkich w ganku; Janek im coś rozpowiadał o życiu na Ukrainie i stepach.

— E! bo to nie ma życia jak tam, mówił. Jak zajrzysz, świat stoi otworem, inne powietrze, inaczej buja oko, pierś swobodniej oddycha, a lud tak prosty i szczerzy, tak po staremu braterski! Kiedy wróg, to na zabój, i dłoni ci nie poda; kiedy druh, to w ogień i wodę—a tu!!

— Wstydzę się panie Janku! odparł Otto; a tuż u nas inaczej? albo my ci to kłamiemy?

— A najprzód zowiesz mnie panem Janem, a ja wcale nie pan: Janko Zbój, sierota, dziecko mogił i stepu, proste chłopię. Na wyraz „pan,“ ciarki chodzą po mnie.

— A toż po bratersku? spytał Otto.

— Mylisz się: ja się nie wzdrygam na panów, ale się boję być panem.

Na te słowa nadszedł właśnie Maks zadumany, i padł na ławę w milczeniu.

Po twarzy jego tak ułożonéj, aby malowała wielkie doznane wrażenie, poznać było łatwo, że dla tego tylko milczał, iż chciał, aby go na opowiadanie wyciągano, które ogromne uczynić powinno było wrażenie.

W takich razach Maks instynktowo naśladował ruch zwykły wielkich ludzi obciążonych brzemieniem myśli: tarł czoło, zarzucał włosy, i lwią grzywę żelaznemi targał rękami. Ale Otto nie pytał, Martynko nie śmiał, i Janko dopiero po chwili go zagadnął:

— No! cóż ci to Maks?

— Nic mi, nic... Każ mi dać wody, proszę... Zawsze mnie wielkie doznane wrażenie o taki stan przyprawia.

— No? czyś psa wściekłego spotkał? zapytał Otto.

— Może bydło wracające z pola? zagadnął Janko.

— Proszę was... dajcież mi pokój!

To „*dajcie mi pokój*” zachęcało do pytań, budziło ciekawość.

— Doprawdy? cóż ci to jest? czy sekret?

Maks chwilę pomilczał, potem westchnął głęboko, i jakby przymuszony dodał wpół do siebie:

— Nie — alem miał spotkanie, które głębokie piętno zostawiło w mojej duszy.

— Tu? w lipowej ulicy? spotkanie?... podchwycił Janko.

— Tu! — rzekł Otto ruszając ramionami — no, to chyba z hrabiną!

— Rzeczywiście spotkałem hrabinę, odparł Maks poważnie. Miałem szczęście zbliżyć się do niej, poznać ją lepiej. Dusze wyższe łatwo się porozumiewają, Co za rozum! ile uczucia! Co to za anioł ta jęj córka! co za dystynkcy!

— Jak to? tyś gadał z niemi? zawołał Janko zdziwiony.

— Ty wiesz—rzekł poważnie Maks—że natarczywy nie jestem, i niebardzo lubię nowe znajomości, unikam ich nawet. Spotkawszy je chciałem minąć, ale mnie same zatrzymały. Pomimo że to kąt głuchy, podobno imię moje nie było im obce; uważam to z hrabiny, która bardzo uprzejmie starała się mnie zbliżyć ku sobie. Zapraszano mnie nawet do pałacu, ale odmówiłem.

— Hrabina zapraszała cię do pałacu! przerwał Otto uśmiechając się—ona!

— Cóż dziwnego! nie zapominaj, że jestem artystą.

— Ona! co bez męża nie śmie do nikogo przemówić w salonie.

— Powiadam ci, że mnie usilnie zapraszano, gadaliśmy z godzinę, rzuciłem niektóre myśli mogące zrobić wrażenie... Lola, śliczna Lola, była zajęta bardzo; lubi snadź muzykę. Matka mogła to uczynić dla córki.

Otto zamilkł widząc jawnie, że to wierutne kłamstwo; Janko pocziwy za dobrą wzięwszy monetę, zadziwił się mocno.

— To jeszcze szczęście jakieś, że zaproszenia odmówiłeś, choć samą znajomością jużes na siebie włożył nadaremne pęta.

Maks ruszył ramionami.

— Odmówiłem dziś—rzekł—byłem nieusposobiony, ale kiedyś może tam pojedę! zobaczę! dodał udając obojętnego. Przyznam się, że chcę ochłonać po wrażeniu, jakie na mnie zrobił ten anioł, śliczna Lola. Przeczuję miłość! boję się jój! zarody rozpaczy i śmierci w niej leżą!

Cała ta scena była tak niezręcznie ułożona, że nawet poczciwy Janko poczuł jakieś niedowiarstwo raz pierwszy, i zimno spojrzał na towarzysza, na którego Otto patrzył z coraz większem politowaniem.

Stworzony na komedyanta któremu, na świecie najlepiej, bo choć go z razu wygwizdzą, w końcu coraz wprawniejszą grą oklasków się dorobią,—Maks w samych swych początkowych niepowodzeniach miał pobudki do dalszego kształcenia się. Z każdej omyłki własnej korzystał, brał miarę z wrażenia, jakie wywierał, by nie stać się nadto przesadnym. Gdy na twarzy Ottona postrzegł chłód i niewiarę, zrozumiał zaraz, że miarkę przebrać musiał, i uparcie zamilkł.

Janko patrzył nań zdumiony, ruszając ramionami.

Odchodząc Maks szepnął mu na ucho:

— Wyucz mi się dobrze akkompaniamentu, bo z pewnością zagramy koncert w Zarubińcach.

Ufał w to jak najmocniej Maks, i postanowił dojść do tego drogą, którą sobie z góry oznaczył, choć później kierunek jój zmienić musiał.

Mówił sobie, że postara się raz drugi spotkać z hrabiną, że wciśnie się do pałacu, że odmaluje się tam jako potomek wielkiej rodziny upadłej, prześladowany od losu, że tym sposobem obudzi w niej litość, i skłoni do zajęcia się wielkim koncertem, na który do Zarubiniec całe sąsiedztwo sprosiliby było można.

Janko wprowadzie, gdy mu to dał do zrozumienia, najmocniej zaprotestował przeciwko wdzianiu fraka i wejściu do pałacu; stanowczo powiedział, że tam grać nie chce i nie będzie; ale Maks tylko na to głową pokiwał.

Projekta te nie zupełnie się wszakże powiodły. Hra-

bina już więcej w lipową aleję na przechadzkę umyślnie chodzić nie chciała, przez litość, aby biednemu samotnikowi tak potrzebnej nie przerywać ciszy. Maksowi gonić za nią gdzieindziej nie wypadało. Rzeczy więc zostały w niepokojącym *status quo*.

Maks coraz głębiej się zamyślał; trzeba było szukać innych sposobów. Zaczął dowiadywać się o hrabi, i postanowił wprost nań uderzyć.

Było to trudne, ale odwaga mury łamie. Nie spowiadał się nikomu z niedorzecznego projektu; Janko nawet nie wiedział o niczym.

Zakochać się w hrabiance i być od niej szalenie ukochanym, mało się już Maks spodziewał: potrzebował daleko gwałtowniej napełnić worek pusty, by się wyrwać z tej okolicy i dostać w ów świat, który się jego wyobraźni jak port wybawienia malował. Tam go czekały wawrzyny, oklaski—i potoki złota.

Nie brakło mu przebiegłości, gdy chciał czego dokazać, i dał jej dowód najlepszy, dostając się do pałacu sposobem przez siebie wynalezionym, gdy stracił nadzieję spotkania hrabiny i użycia jej do tego.

Wspomnieliśmy już o Malczaku, owym wszechmocnym pomocniku hrabiego, który pochlebiając słabości jego, niezmierną nad nim pozyskał władzę. Ta istota niepozorna, z krzywą głową, brudno ubrana, mało widoczna, straszną jednak potęgą była w Zarubińcach; obawiali się jej Żółtowski, hrabina, nie mówię już o sługach. Malczak umiał co chciał powoli wmówić w hrabiego; a był, jak wszyscy trochę od natury pokrzywdzeni, na umyśle wyposażeni lepiej, złośliwy, zazdrosny, kwaśny. Pewien, że hrabia obejść się bez niego nie potrafi, korzystał ze swojego położenia w sposób bardzo zręczny, i póty nudził, kłócił się,

milczał, chorował, gdy chciał czego dopiąć, póki hrabia mu nie uległ i nie zezwolił na to czego żądał.

Spojrząwszy na tę lichą figurkę, gdy przypadkiem przechodziła mimo pałacu, boso, w pantoflach, w watomowanym zimną i latem kaftaniku, w okularach mosiężnych, skuloną, krzywą, brudną—uwierzyć było ciężko, jaką rolę odegrywała na tym dworze, w którym jęj widać nawet nie było. Hrabia tak wierzył w geniusz Malczaka jak we swój własny; używał go nietylko do inwencyj mechanicznych, ale we wszystkich radził się sprawach.

Stary filut znał swą siłę i śmiało jęj nadużywał; byłby nawet mógł się stać bardzo szkodliwym, gdyby nie jedna słabostka. Skąpy był i chciwy, tak, że go zawsze kupić było można,—i kupowali go też wszyscy począwszy od sług do pani, kto czém mógł. Hrabina dawała mu prezenciki, bo inaczej ciągleby na przekór jęj męża nastrajał; Żółtowski przymilał się jak umiał, by, jak powiadał, gębę mu zatkać; słudzy maleńkie robili przysłużki: Malczak mrucząc wszystko przyjmował.

Do Malczaka nic właściwie nie należało, ale i nic się nie działo bez niego; wiedział o wszystkiém, donosił wszystko, a że był zły i zgryźliwy, cieszyło go gdy mógł ukąsić.

Pracując razem z hrabią, miał ciągle zręczność podsuwać mu plotki, jakie chciał, cedzić je po trosze i przyprawiać stosownie, aby zrobiły pożądane wrażenie. To umiał lepiej od ślusarki. Jeżeli się co od razu nie wzięło, za drugim lub trzecim razem wmówił pewnie co chciał.

Potęga Malczaka rosła z dniem każdym, grosz musiał także gromadzić się w kieszeni; ale tego znać nie

było, bo stary pozostał sobie brudny, odarty, w pantoflach i watówce zatłuszczonej, nie zmieniając obyczaju.

Wiedziano, że hrabiego oszukuje bezwstydnie, że go okrada na tych machinach i przyrządach, które razem robią, że wyludza u niego pieniądze; ale to się odbywało cicho, tonęło jak w morzu. Malczak starym zwyczajem musiał grosz uzbierany zakopywać gdzieś w garnuszkach, udawał ubogiego, a gdy mu nową odzież było potrzeba, szedł o nią prosić hrabiego, jakby jej nie miał nawet sprawić za co.

Jak tam Maks potrafił dowiedzieć się o stanowisku zajmowanem przez Malczaka, jak do niego trafić umiał, nie wiemy; to pewna, że dostał się do izdebki wszechmogącego ślusarza, że z nim gadał z godziną, i że tegoż dnia Malczak zaczął hrabiemu rozpowiadać jakieś dziwy i historie o podupadłym hrabi, który został basetlistą, i jest w bardzo przykrém położeniu, nie mając prawie bótów.

Hrabia miał wiele uczucia kastowego i krew szanował bardzo; począł więc opowiadania Malczaka słuchać z uwagą wielką.

— Jak to? cóż to jest? kto to taki?

— A, to historia osobliwsza! rzekł Maciejek. Mnie to opowiadali pod wielkim sekretem. Słyszę jakiś hrabiowski syn, tylko że odmienił nazwisko; nauczył się tego grać na basetli, i ot jak dorabia się biedaczysko chleba. A słyszę gra tak, że aż strach, ale biedny, bo to tém się trudno czego dorobić.

— Gdzież on jest? a to ciekawa rzecz! wyrzekł hrabia, wierząc, że taki człowiek wielkiego rodu, jeśli się wziął do basetli, musi naturalnie grać ogromnie.

— W Robowie, słyszę, u Marzyckiego na łaska-

wym chlebie. Nie śmie się pokazywać, człowieczyzna biedny i skromny, boi się, żeby go nie poznali.

— Jak się zowie?

— Nie wiadomo, bo przemienił nazwisko.

— Pewno wziął matczyne?

— A pewnie matczyne... Ot pan—dodał po chwili Malczak—mógłby jemu dopomódz łatwo.

— Ja? ja? a to jak?

— A coby to panu szkodziło, gdyby pan pozwolił tu jemu zagrać u siebie. Z sąsiedztwa zjechałby się może posłuchać za biletami, a biedaczysko cośby zarobił, i panby pańskie dziecko podźwignął.

Hrabia odwrócił się ku niemu mocno tём pomysłem zdziwiony.

— Jednak to osobliwsza rzecz ten Malczak! zawołał: kiedy ja o nim mówię, że to geniusz, nikt mi wierzyć nie chce... No, zkądże tobie myśl taka? powiedz—dodał—zkądże się u ciebie biorą te inwencye, osobliwszy człowiecze?

Malczak przywykły do tych admiracyj, spuścił głowę i śmiał się, krzywiąc gębę a mrużąc oko nad warsztatem, bo łatwowierność hrabiego nawet jego śmieszyła.

— A coby to panu szkodziło tak zrobić? zapytał Malczak.

— Pewnie że nic, ale ja go nie znam, sam mu się pierwszy napraszać nie będę, on nie będzie śmiał znowu.

— E! to i poznać się łatwo, aby pan chciał tylko! Gdyby kiedy pan wyszedł drogą ku Robowu, lipami, mógłby się z nim spotkać, bo on tam często się przechadza... Panby go zagadnął, a już reszta toby się sama zrobiła.

Hrabia, jak ludzie przywykli pieścić się myślą swoją, wciąż tylko powtarzał:

— To człowiek genialny we wszystkiem ten mój Malczak! Co za pomysły! jaka głowa! nawet w tych rzeczach!

I począwszy rozważać następstwa tego, co mu Malczak proponował, skłonny będąc do zapatrywania się na całą tę sprawę z jak najlepszej strony, znalazł wszystko możliwem, a z wielu względów płodnem w najlepsze skutki.

Życie hrabiego z powodu zaprzątnięcia tém dziwactwem, które on szumnie nazywał swoim posłannictwem, upływało bardzo samotnie. Zarubińce mało sprowadzały gości, nie miały stosunków ze światem. Czuł hrabia, że to osamotnienie ze wszech względów było dla niego ciężkie, ale tyle miał dumy, że się szlachcie nie kłaniał, szukać jęj nie miał czasu, panowie zaś pierzchali od niego, przekonawszy się z jednęj strony o śmiesznościach i dziwactwie, z drugięj o złym stanie interesów jęgo. Nie żyło się więc z nikim, a że hrabia miał w sobie pychę arystokratyczną i państwo potrzebujące dworu i oczu, bolał na to osamotnienie.

Zręczność właśnie zdarzała się wynijść z niego świetnie, pociągnąć ludzi, okazać się mecenasem sztuki, obrońcą uciśnionego od losu człowieka.

Jednym z powodów tego zatęsknienia do świata było i to, że Lola dorastała prawie bez towarzystwa, a hrabia troszczył się już o jęj przyszłe losy.

Należało prędzej czy później dom otworzyć, nie można było lepiej niż w ten sposób, koncertem i balem.

Pałac mógł wygodnie pomieścić całe sąsiedztwo, o przyjęcie nie było się co troszczyć. Hrabia kazał zaraz przywołać do siebie Żółtowskiego, który i nie-lubiony i w przykrych z hrabią stosunkach zostając, każdego takiego powołania obawiał się, bo nigdy jesz-

cze z panem rozmówić się nie mógł. Obaj sobie kłamać musieli.

Coraz rzadziej wzywany rządca, zdziwił się i poczuł, że musi być potrzeba pieniędzy, bo tylko w takich razach udawano się do niego. Westchnął, podumał, w głowę się poskrobał i poszedł wolnym krokiem.

Doświadczywszy już, że Żółtowski wcale się nie zna na mechanice i wynalazków jego cenić nie umie, hrabia nie przyjmował go nigdy w laboratorium, co było osobliwą łaski oznaką, ale zawsze w swoim pokoju. I na ten raz przeszedł do sypialnego, gdy mu dano znać, że nań rządca czeka.

Staruszek stał milczący niedaleko drzwi.

— A! otoż dobrze, rzekł wchodząc poważnie hrabia: chciałem się widzieć z waćpanem... tylko, że zawsze wątpię czy się z sobą potrafimy porozumieć.

Żółtowski drżał, by od niego nie zażądano pieniędzy, uklonił się milczący, i czekał. Z hrabią mniéj jeszcze mówił niż z innymi, tak się lękał związać i wygadać.

— Jest tam—rzekł hrabia—w Robowie jakiś nowy muzykus.

Stary spodziewający się zaczęcia z cale innéj beczki, stanął osłupiały.

— Muzyk? tam zawsze—rzekł—jest muzyk i muzyka.

— Ale wpan nie wiesz... ma to być człowiek pełen talentu; mówią, nieszczęśliwy, z wielkiej familii... ukrywający się młodzieniec.

Żółtowski ruszył ramionami.

— Wpan nigdy nie wiesz tego co mi potrzeba: to jest, słyszę, człowiek bardzo godzien współczucia.

— A może być! rzekł Żółtowski wzdychając.

— Chciałbym go poznać. Wpan jesteś dobrze

z Ottonem Marzyckim, rozpytaj się tam o niego. Słyszałem, że tai swoje imię prawdziwe, a wielkiej jest familii; rodziny arystokratyczne mają wszystkie względem siebie obowiązki: należałoby mu dopomódz. Wiem, że prostego daru nie przyjmie; dusza musi być harda, jak być powinien ten, co się urodził w dobrym domu. Moglibyśmy mu rękę podać w sposób przyzwoity, delikatny.

Żółtowski patrzył i słuchał zdziwiony.

— Już ja o tém pomyślę, dodał hrabia; tylko mi się wpan postaraj zaprosić go do siebie, lub coś podobnego, abym ja go tam u ciebie zastał. Rozumiesz?

Słowa nie mówiąc, stary się zakręcił, pokłonił i wyszedł powoli, niespełna rozumiejąc o co chodziło.

Malczak słuchał pode drzwiami, a gdy hrabia wracał do laboratorium, pośpieszył żywo za warsztat, aby się nie domyślił téj ciekawości, i począł prędko a zapalczywie piłować.

Skutkiem tego wszystkiego było, że w kilka dni potem Żółtowski zaprosił gości z Robowa do siebie, naturalnie wszystkich, ale Janko Zbój został w domu i Otto tylko z Maksem przyjęli wezwanie.

Maks wedle swego zwyczaju ubrał się jak najświetniej, pozawieszał dewizki, powkładał pierścionki, zrobił co mógł, by się wydać wspaniale, a włos zlane wonnościami rozpuścił na barki w Lisztowskim nieładzie.

Zbój żadnemi argumentami pociągnąć się nie dał.

— A ja tam po co? spytał ruszając ramionami. Stary Żółtowski nie gada, wolę pójść w pole lub posiedzieć sobie u fortepianu, albo z Martynkiem pogawędzić. Mnie tu wasze dwory, wieczory i przyjęcia nie pachną wcale.

Maks, który już przewidywał na czém się to skoń-

czy, i plan miał dobrze osnuty, a do niego koniecznie potrzebował Janka, uśmiechnął się w przekonaniu, że gdy będzie potrzeba, pociągnie choćby do pałacu. Nie nalegał już teraz więc. Poszli więc z Ottonem do domku ogrodowego, gdzie wkrótce po ich przybyciu zjawił się hrabia; przywitał się z sąsiadem Ottonem grzecznie, lecz dosyć chłodno, a całą swą uwagę zwrócił na Maksa.

Fermer dosyć źle grał rolę swoją tajemniczego człowieka, nie miał wcale miny pańskiej, raczej kuglarską; ale gdy się co chce widzieć w kim, widzi się łatwo. Hrabia niewiele znał ludzi, wziął więc za dobrą monetę napuszonego wiolonczellistę, włosy jego, śmiałość i całą komedję.

Po chwili nieznaczającej rozmowy, hrabia Rajmund przeciwko wszelkiemu prawdopodobieństwu, nie mogąc samego Maksa zaprosić, obu z Ottonem zabrał z sobą do pałacu. Marzycki nie pojmował co mu się stało: podobne szczęście już go od lat kilku nie spotykało; poszedł jednak z obojętnością, która towarzyszyła mu wszędzie. Maks tryumfował! Wstępując na próg domu, czuł, że już doszedł czego chciał, że reszta zależeć będzie od jego zręczności i umiejętnego prowadzenia sprawy.

Zaledwie kilka słów mieliśmy czas powiedzieć o Janku, do którego powrócić musimy, ażeby z nim poznać się bliżej.

Ci, co z nim teraz żyli, niewiele wiedzieli o jego przeszłości, bo nierad o niej wspominał; ale pomimo tajemnicy, jaką się okrywał, charakter jego otwarty, twarz jasna i pocziwa tak mu serca jednały, że nikt

nie przypuszczał, by coś ciemnego w téj duszy młodej mieszkać mogło.

Otto szczególniej sympatycznie się czuł ku niemu pociągniony tą młodością bujną, tą miłością swobody i niezależności, szczerotą i prostotą, które znamionują poczciwość. Gdy mu tych dwóch wędrowników tak niespodzianie przyplęnęło do Robowa, dusza jego poznała zaraz w jednym pospolitego, ale zręcznego człowieka, w drugim istotę, która pragnęła dobra, przeczuwała lepsze życie i instynktem szlachetnym szła ku jaśniejszym strefom. Na pospolitych ludziach Maks robił większe wrażenie, bo był niezłym aktorem; Janko dla głębiej patrzącego oka przedstawiał ciekawe studium, nieuderzające z razu, ale codziennie nowemi pociągające zasoby. Szczególniej ta obojętność na przyszłość, to zamiłowanie niezależności, oswojenie się i ukochanie ubóstwa, uśmiech na wszystko co mogło go spotkać, cieszyły Ottona, który w nich widział znamiona prawdziwie pięknej duszy i charakteru. Sama ta łatwowierność i ślepotą, z jaką przywiązał się do Maksa, wierząc pięknym jego słowom i udanemu zapałowi, w oczach Marzyckiego były zasługą, bo tak się nie daje wziąć na lep pospolitszy, ale ostrożny i przewidujący człowieczek. Wiara i ufność są cechą ludzi, którzy na nie zasługują sami.

Skromność, lekceważenie siebie, dodawały w oczach Marzyckiego wartości młodemu człowiekowi, widocznie zaniedbanemu, w którym czuć było wychowanie przerwane, niedopełnione, ale zarazem zarody najpiękniejsze i popędy, które skierować tylko potrzeba było poczciwie, by na dobrą powiodły go drogę.

Ze wszech miar nierad był Otto, widząc, że tak młoda, niezeepsuta istota wpadła w ręce Maksa, któ-

ry całego świata dla siebie tylko używał, i posługiwał się każdym nie troszcząc się wcale, choćby go miał zgubić. Wiedział, że dla takich jak Maks ludzi nie ma nic świętego: ani młodość, ani ufność, ani ofiara chętna; że pnąc się wywracają i gubią z krwią zimną, co im zawadzać lub dopomódz może. Pragnął więc bardzo rozerwać ten węzeł, który chwilowo połączył dwie istoty na to tylko, by jedna padła drugiej ofiarą. W obejściu zresztą przyjaciół rzecz już była widoczna, że Maks uważa Janka niemal za sługę, rzuca nim jak piłką, a za oczy wyśmiewa się i szydzi z jego prostoty.

Tamtemu niewiele było potrzeba: trochę tylko swobody, którą uważając za pierwszy życia warunek, chętnie z dobrej woli potem poświęcał; jakiego takiego kawałka chleba, czasem przyjaznego słowa, trochę muzyki, którą coraz bardziej lubił, trochę samotności, a nadewszystko téj pewności, że nic go nie spęta, nic nie zmusi kłamać twarzą i mową, lub czynić czegośby serce i wola nie dyktowały. Z temi niebezpiecznemi usposobieniami łatwo przewidzieć było można, jaki los czeka Janka: musiał on ze swą wiarą w ludzi i miłością swobody nędzę znosić, a kochając prawdę, cierpieć.

Jak się w pałacu odbyło przyjęcie, krótko tylko powiemy. Hrabina i Lola niezmiernie zostały zdziwione, gdy przy herbacie niespodzianie zastały już zaproszonych Ottona i Maksa. Kto i jak mógł ich ściągnąć do dworu, gdzie nikt nie bywał prawie, pojąć im było trudno; trudniej zrozumieć fantazję hrabiego, przyjmującego ludzi bez imienia i znaczenia, sąsiada dotąd obojętnego, i wędrownego nieznanego muzyka.

Hrabina choć litowała się nad Maksem, wcale nie

uczula ku niemu sympatii, za pierwszym widzeniem się na przechadzce; ale śmiałością swoją narzucił jej się, zdumiał, zmusił do zajęcia. Teraz gdy ujrzała, że i mąż jej podległ jakimś czarom, nie mogła już sobie wytłumaczyć inaczej tego wszystkiego, tylko istotną chyba wartością człowieka, na której poznać się nie umiała.

Zresztą wszystko to pozostało dla niej tajemnicą.

Maks dla kogo innego, bardziej nawykłego do lepszego towarzystwa, byłby się zaraz zdradził swém kuglarstwem i fanfaronadą; ale hrabia odwykły od ludzi, brał wszystko za dobre, stracił miarę porównania, wydawało mu się to śmiałością człowieka, który czuje się powołanym do czegoś wyższego. Otto był milczący i przygnębiony.

— Al! mówił w duszy: wszędzie i zawsze komedia, zuchwalstwo, obłuda, wyżej idą niż skromność i prostota.

Mundus vult decipi, ergo... decipiatur: hrabia sam uprzedził żądanie Maksa, zaproponował koncert u siebie, ofiarując się gorąco nim zająć. Żona nigdy go od dawna nie widziała tak namiętnie zajętego obcą mechanice rzeczą; dla niej coraz się stawał mniej wytłumaczonym.

— Chyba Malczaka przekupił! mówiła w duchu, uśmiechając się z tój dzikięj myśli.

Nie przypuszczała, by tak blizką była odgadnienia..

Otto niewiele więcej rozumiał.

Hrabia półsłówkami, ostrożnie kilka razy Maksa o jego rodzinę zaczepił, ale ostrożny muzyk zbywał go pełném tajemnic milczeniem, lub odpowiadał w taki sposób, ażeby nie zbić posługujących mu domysłów.

Wywijał się z ręcznie westchnieniami, dwuznacznikami, i dał do zrozumienia, że musi zamknąć w sobie pełną tajemnic przeszłość.

Przy pierwszej zaraz bytności w pałacu wszystko się ukartowało: hrabia sam nastawał, usuwając przeszkody; Maks odszedł upojony i szczęśliwy.

Jedno mu tylko nie dogadzało, to, że widocznie, w miarę jak hrabia mocniej się nim zajmował, hrabina stygła i oddalała się ostrożnie, wcale nie myśląc odpowiedzieć mu wejrzeniem, westchnieniem i uczuciem, którego się po czułym jej sercu spodziewał. Zdawało mu się, że podbiwszy tyle służebnych dziewczek po hotelach małych miasteczek, ma we wzroku siłę niezwalczoną, a w grzywie potęgę Samsonowską.

Lola także, instynktem młodości poczuwszy fałsz, oddaliła się od niego.

Gdy po dość długiej konferencji wyszli z pałacu wieczorem, a hrabia ścisnął nawet rękę Maksa przy pożegnaniu, zwycięzca tak podrósł nagle i wyolbrzymiał, że Ottonowi, który mu pieszko do Robowa towarzyszył, śmiać się z niego chciało. Noc szczęściem pokryła szyderski wyraz jego twarzy. W istocie Maks szalał, gadał bez związku i do samego ganku w Robowie ust nie zamknął. A że już mniej stał o dach u Ottona, czując opiekę hrabiego, począł nawet z właściwą tego rodzaju ludziom zmiennością, traktować Marzyckiego prawie protekcyjnalnie. Nie mógł mu w duszy darować jego wyższości, którą czuł sam, i choć jej zaprzeczał słowy, w sumieniu jednak musiał ją przyznawać.

Otto milczał. Rys ten ostatni, nagła zmiana tonu, wyraziściej mu jeszcze malowały charakter człowieka.

— Przyznasz pan, mówił prędko Maks: że talent ma coś w sobie, co go objawia nawet oczom nieusposobionym do widzenia; ma gwiazdę, co go wiedzie. Sam pan uważaj: znasz hrabiego, mówiliśmy nieraz o nim, a jednak! Cóż pan powiesz na to niespodziane znalezienie się?

— Ja, nic a nic... odparł Otto, ruszając ramionami.

— No, ale przecię jak pan to wytłómaczysz?

— Nie będę tłumaczył.

— Ja wykładam to przeznaczeniem! wierzę w losy, jestem fatalistą! wołał w zapale Maks. Czuję, że się tu gotuje coś stanowczego w mojem życiu... zobaczysz pan! Ten koncert będzie stanowił epokę w niemi! Co mi pan radzisz grać?

I przeskakując myślą do czego innego, dodał:

— Nie prawdaż, że choć to na wsi, krawat muszę włożyć biały? Frak można ciemno-zielony... włosy zleję *huile antique*... kamizelka jest wielką kwestyą.

— Największą to, co będziesz grał, mój kochany, odparł Otto, ruszając ramionami z niecierpliwością. Na kamizelkę twoją nikt, rękę, patrzeć nie będzie.

Maks zżymnął się.

— A! co do grania, rzekł: wszystko jedno co im się zagra. Ci ludzie na niczém się nie poznają; byle śmiało, porywisto, od ucha; byle przesadnie, a wycieniować do mdłości: oni będą klaskali!

— Ale na Boga! przerwał Otto: czyż to powołanie artysty grać byle co, dla tego, że słuchacze się nie poznają i nie rozróżnią dobrego od złego! Karmić ich fałszem dla tego, że o prawdzie nie wiedzą! Wszak-ci zadaniem artysty jest kształcić, podnosić, uczyć, rozrzewniać; wszak grasz nietyle dla nich, co dla sztuki i dla siebie? Wreszcie mylisz się bardzo, sądząc, że

się nie poznają na tém co piękne. Maluczkich, mądrych piękności nie rozumieją, chyba inicjowani; ale wielkie a proste pojmą wszyscy, jeśli nie głową, to sercem.

— A, co mi tam! zawołał pseudo-artysta: pojmą nie pojmą! Tu chodzi tylko o oklaski, a oklaski, dowiedziona rzecz, zyskuje się tylko przesadą, sztuczkami więcej niż sztuką, figlami, chustką, miną i fryzurą równie jak smyczkiem.

Otto się zmarszczył na tę teorię.

— To już i nie muzyka i nie sztuka, rzekł poważnie: to kuglarstwo i sztuka produkowania się, po prostu umiejętnego sprzedawania siebie, w co ja się nie wdaję. Graj sobie i rób jak chcesz...

— O! ja ich poprowadzę jak zechcę! rozśmiał się Maks uniesiony; zagram im na jednej strunie, albo tylną stroną smyczka, i będą uszczęśliwieni.

— Daj mi pokój! ofuknął Otto groźnie.

Wchodzili właśnie do domu, u którego ganku oczekiwali ich Martynko i Janek; a Maks usłyszawszy z dala głos Zbója, zawołał:

— Dobry wieczór!

— Witajcież nam goście! rzekł śpiesząc naprzeciw nim Janko. Cożeście tak długo Żółtowskiego męczyli? czy on was?

— Bawiliśmy, ale z przeproszeniem nie tam gdzieś sądzisz...

— No! a gdzież?

— W pałacu.

— W pałacu? podchwycił Janek niespokojny, u hrabiego?

— Byliśmy tam na herbacie! rzekł lekko przechwalając się Fermer.

— Jak to! i mój ojciec? podchwycił Martynko, który tak Ottona nazywał.

— A no, i ja, odparł Otto; widać winienem to szczęśliwym wpływom pana Maksa.

— Nie dość na tém, przerwał Maks: dajemy koncert w pałacu w Zarubińcach.

Janek stanął wryty, przeczuwając co to mogło pociągnąć za sobą dla niego.

— Słyszysz, Janku! koncert w pałacu! dodał Fermer.

— Tak, słyszę, rzekł zimno Zbój: słyszę i cieszę się; dla ciebie doskonała rzecz, szukasz gwałtem kłopotu, upokorzenia i służebnictwa. Będiesz im grał, ukłonią ci się, wyśmieją, potem stracisz coś czasu i coś grosza, zjesz trochę wstydu... i pójdziesz odprawiony z kwitkiem.

— Takiego panofoba, jak ten, jeszcze nie widział! odezwał się Otto uśmiechając.

— Tylko mnie źle nazywasz, przerwał Janko; ja nie jestem wcale panofobem, ale kocham swobodę. Lubię być z równymi i niższymi, bo ci mnie nie upokarzają jak tamci; ja im ani z przekonań, ani z obyczajów, ani z uczuć i słów nie potrzebuję czynić ofiary. Co myślę to mówię, co chcę to robię. Tam inaczej wcale: wchodząc na ich próg, przyjmuję ich prawa, jestem niewolnikiem, a niewolą wszelką brzydzi się dusza moja. Kawałek chleba razowego pod gołym niebem raczój, niż ciasteczko w złotój klatce.

— Ten ma serce! rzekł Otto.

— Prawisz jak student, rozśmiał się Maks; deklamujesz nic więcéj. Jednak do pałacu zajrzeć będziesz musiał nie dziś, to jutro; a najprzód któż jeśli nie ty będzie mi akkompaniował?

— Ja? tobie? w pałacu? przed ludźmi? cofnął się Janko.

— A któż?

— Kto zechce; nie wiem... ale nie ja...

— Zobaczymy. Przecieżbyś nie życzył sobie, żeby dla śmiesznych twoich uprzedzeń koncert mi się rozchwiał, a jam był pozbawiony jedynego sposobu wydobycia się z téj fałszywej pozycyi? Otoż to człowiek! dodał: gada, gada, a gdy przyjdzie najłżejszą ofiarę dla przyjaciela uczynić, dla próżnostki, dla dumy, dla fantazyi gotów poświęcić przyjaźń!

— Ale nie dla próżnostki! nie dla dumy! Dla tego, żem człek prosty, ale hardy, i upokorzeń pić za pieniądze nie będę, nie mogę, nie chcę! Wolno ci się kłaniać, aby tam jeść i brać co zechcesz, ale nie mnie, bo się tém brzydzę; a kto czyni to, czém się sam brzydzi, dla zysku, podły jest.

— Wszakbyś nie dla zysku to uczynił, bo ja ci z koncertu mogę ani grosza nie dać—ale dla przyjaźni.

— Cóż mi to za przyjaźń, która dla swojego zachcenia na krzyż przybija? to dowód serca?

Maks zamilkł na chwilę, ale widać było z jego filuternego uśmiechu, że znajdzie sposób przewyciężenia wstępu w Janku. Zbój odszedł zaraz chmurny i milczący.

— Mógłby ci towarzyszyć Martynko, żeby jego nie męczyć... poddał Otto.

— Ja do niego przywykłem, rzekł Maks zimno.

— To on się do ciebie zastosuje.

Maks nie chciał się przyznać do istotnego powodu, którym była nieudolność jego, dla Janka dająca się łatwiej wytłómaczyć i ukryć niż dla Martynka. Kiwnął tylko głową, szepcząc:

— Wpan nie widzisz, że ja to w istocie czynię dla Janka: on zdriczeje zupełnie, jego potrzeba gwałtem pchać między ludzi, bo pójdzie do niedźwiedzi.

— Nie sędzę, żeby się to na co zdało, odpowiedział Otto. Szanować należy jego charakter, trochę dziki, ale szlachetny.

Na tém stanęło, ale wieczorem późnym, gdy spać poszli, Maks tak stękał, użalał się, tak wmawiał, prosił i dowodził obowiązków przyjaźni, że nazajutrz Janko pochmurny, gniewny prawie, ze ściętymi usty, siadł powtarzać akompaniamenta. Fermer zamiast ocenić tę ofiarę, śmiał się po cichu, wskazując go palcem, a wreszcie nie mogąc wytrzymać, rzekł głośno:

— A co? mówiłem ci przecię, że grać będziesz?

Dosłyszał tej przechwałki Janko, i zerwał się cały wrzący od fortepianu.

— Tak, będę grał dla ciebie, odezwał się powoli usiłując się uspokoić; ale to ostatni akt mojego zaprzędania i niewoli. Potém żegnam cię i żegnam was. Mam tego dosyć, nie chcę się więcej narażać na frak i białe rękawiczki, które dla mnie są liberyą fałszu i chomątem zaprzędania. Dość tego! i bywajcie zdrowi!

Maks począł się śmiać, bo teraz już ciągle był w jak najlepszym humorze.

— Śmieć się, jeśli masz ochotę, powtórzył Janko; ale że zrobię jak mówię, możesz być pewien.

Tym razem oczy jego pałające, usta zbladłe, czoło chmurne, dowodziły, że nie żartował.

— Wpanu już nie będę potrzebny, rzekł do Maksa. Będziesz miał pożądaný grosz na drogę, i znajdziesz sobie lepszego niż ja akompaniatora; a mnie swoboda miła, ja sobie znowu w świat!

Odwrócił się i zamilkł.

Maks, który się do nikogo nie przywiązywał sercem, wysłuchał groźby obojętnie, rachując nawet, że z tém mu może być lepiej; chodziło tylko, aby Janko doczekał koncertu i udziału w nim nie odmówił. Raz mając pieniądze, nie wątpił, że sobie bez niego da radę, a przyjaźni i przyjaciół nie rozumiał.

Otto nie chciał mieć żadnego udziału w tym wieczorze muzycznym czy koncercie wiejskim, który się składał wedle programu z samych rzeczy przez Maksa skomponowanych, ułożonych, przerobionych, lub po prostu okradzionych.

Patrzył i ruszał ramionami tylko.

Hrabia na chwilę zapomniał o swych machinach dla owego festynu; nawet Malczak użyty został do porady w urzędzeniu uroczystości. Listy zapraszające rozesłano dokoła znajomym i nieznanym; hrabina musiała oddać kilka wizyt; hrabia Rajmund wybrał się do znakomitszych obywateli osobiście. Sposobiono wieczór świetny, jakiego dawno nie pamiętały Zarułnice.

A że pretekst do zabawy, do obmowy, do ploteczek jest rzeczą, zwłaszcza na wsi, zawsze bardzo pożądaną, — całe sąsiedztwo już na tydzień przed dniem oznaczonym dobijało się o bilety zapraszające, a posłańcy i goście nieustannie się w ganku krzyżowali. Ci, którzy hrabiego nie znali, przyjeżdżali mu się prezentować, robiono małe ustępstwa; a ci, którym od dawna hrabia nie oddał wizyty, nie rachując się, sami pierwsi przybywali, przypominając dawne stosunki.

Hrabia poczuł, że mecenasowanie sztuce ma swą dobrą stronę. Hrabina bojąc się nowej a kosztownej

dla męża choroby, trochę płakała i bardzo się modliła po cichu.

Lola, która myśl każdą matki z oczu jej umiała odgadnąć, choć bawiła się nadzieją wieczoru, przyjęciem tém świetném i czémś dla siebie prawie nieznaném, bo Zarubińce były bardzo ciche, podzielała przecucie jakieś, miała obawy niewytłómaczone, traciła prawie ochotę do balu i ciekawość. Straszło ją też może wystąpienie tak publiczne, sądy ludzi, oczy ludzi, i ten świat, który z dala tak się wydaje zawsze groźny, bo go potrzeba umieć rozebrać, ażeby go zbytnio i nad miarę nie ważyć.

Dosyć, że w Zarubińcach na chwilę wszystko się zmieniło, i począwszy od Malczaka, zajętego wszystkim, co do niego nie należało, a najbardziej zbieraniem plotek i szpiegowaniem ludzi, aż do hrabiego, który czuł heroizm swój i poświęcenie, aż do Żółtowskiego, pojmującego śmieszność tego nagłego występu, mającego za sobą wielkie koszta pociągnąć,—wszystko się ruszało, kłopotalo, pracowało, jak w przeddzień wielkiego jakiegoś czynu.

W sąsiedztwie niemniej było zajęcia, gawęd, domysłów i tłómaczeń rozlicznych. Jeśli czynność hrabiego dla blizkich niebardzo była pojętna, cóż dopiero dla dalszych i mniej znajomych? Szukano do niej i znajdowano najdziksze powody, a skutkiem podszeptów Malczaka i puszcanych wieści, Maks obudzał ciekawość niezmierną jak tajemnicze jakieś zjawisko... Artysta wielki, nieoceniony, prześladowany od losu... boć to musiało być coś potężnego, gdy hrabiego nawet z jego odrętwienia i machineryi wywiodło. Od razu postawiło go to na stopniu Liszt'a, z owych czasów, kiedy to po raz pierwszy do nas zawitał, a kobiety,

entuzjazmy, uwielbienia, szwały doszły do rodzaju manii, która do dziś dnia nie daje spokojnie usnąć wirtuozom, napróżno wysilającym się, by obudzić podobną wrzawę, i choć połowę ściągnąć pieniędzy i pamiątek...

Jedną z najżywiej zajmujących się całą tą sprawą, była sąsiadka Zarubiniec, półkownikowa Amelia Zborska, typ niewieści dość pospolity, których tyle chodzi po świecie żywym, że ich w powieści uniknąć trudno. Pani półkownikowa Amelia miała, między nami mówiąc, lat około czterdziestu, choć zaledwie do nadchodzących trzydziestu, i to z westchnieniem nad niesprawiedliwością losu, który ją niemi obarczył tak niespodzianie, przyznawała się w poufałym gronie. Amelia nigdy nie była piękna, ale też brzydką nazwać jej nie dawało staranie, jakie miała o swojej twarzyczce, a nadewszystko o nieporównanej swjej figurze. Figura półkownikowej, o której piękności dobrze wiedziała, bo gorsety sprowadzała dla niej z Paryża, uchodziła na mil kilkadziesiąt w około za arcydzieło stworzenia; szczególnież zachwycający był stanik czyli talia, jak mówiono dawniej, który dwie niewielkie rączki objąć mogły.

Tradycja pewna chodziła, że półkownikowa idąc za mąż, opasywała się bransoletką; inni utrzymywali — partya sceptyków — że naszyjnikiem.

Stanik ten wprowadzie z wiekiem, który powoli kształty wypełnił, coraz się stawał okrąglejszym i mniej prawdopodobną czynił mitologiczną ową bransoletkę; ale pracowano nad nim aż do mdłości, aby pozostał choć cieniem i przypomnieniem tego, czém był niegdyś. Amelia dbała niezmiernie o swą piękność, mniej o dowcip, a jeszcze mniej o resztę.

Spragniona życia, którego skosztowała bardzo ma-

ło, zawsze jeszcze spodziewała się i miłości i przyzłości jakiejś, ufając w to, że serce ma bardzo młode.

Zaślubiona nader wczesnie pólkownikowi Zbor-skiemu, który był stary, gruby, ale bardzo bogaty, miała tylko jednego syna, gdzieś daleko w nieznanym wychowującego się krajach, i przez niektórych uważanego za mythus. Ten jednak nigdy się nie pokazywał, nie mówiono nawet o nim przez grzeczność; a sama zawsze pólkownikowa w nadziei połączenia losu swego z człowiekiem wedle serca wybranym, oczekiwała go, przedłużając młodość jak mogła.

Nie będziemy wcale pochlebiali, kreśląc obraz pólkownikowej. Po cichu powiemy nawet: że była troszeczkę ospowata; że oczka miała szare, maleńkie; włosy barwy niepewnej i nieobfite, co zresztą kunszt fryzjerski umiał cudownie pokrywać przed światem; cerę bladą i od dawna nieodznaczającą się świeżością. Ale choć natura odmówiła jej wielu wdzięków, które hojnie często szafuje lada komu, nawet prostym dziewczętom, — pólkownikowa sztuką umiała zastępować wyrządzone sobie krzywdy. Większej nad nią elegantki nie było na kraj cały; nikt dobrańszemi nie zlewał się woniami, jaskrawszych nie nosił kapeluszy z piórami, kwiatami, koronkami i wstęgami, większej ilości bransolet nie dzwigał, i pilniej z zagranicą w rzeczach mody nie korrespondował.

Starając się uchodzącą młodość przedłużyć, Amelia mówiła młodo, uśmiechała się młodo, chodziła, marzyła, wdychała młodo i dziewiczo. Sławy jej nie nigdy nie tknęło, choć dom zawsze miała pełny, a grzeczność jej i uprzejmość zwabiały mnóstwo gości. Ale kochana i lubiona pólkownikowa tak była nieszczęśli-

wa, że mimo majątku, talii i perfum od Guerlain'a, nikt z nią jednak ożenić się nie myślał. Wzdychali niektórzy młodzi, ale przekonawszy się o zasadach Ameli, ustępowali powoli z placu, widząc, że choć chętnie wdawała się w lekkie początki romansów, nigdy nie upewniwszy się o intencjach, nie chciała pოსunąć się dalej nad dwuznaczne ściśnięcie ręki. Z razu wysoko patrzyła pólkownikowa, zdając się do tego mieć wszelkie prawo: chciała urodzenia, majątku, młodości, dowcipu, a nadewszystko miłości szalonej, bo tego bażanta nigdy jeszcze nie kosztowała. Powoli jednak, po rozwadze, którą dały lata, poczęła z ceny spuszczać: darowała najprzód urodzenie jako istny zbytek, niezgadzający się już z pojęciami wieku; pótém wyrzekła się w narzeczonym majątku wielkiego, bo sama dosyć miała na dwoje, a nawet na czworo; w ostatku dowcip i wychowanie poczęła uważać za nie tak konieczne jak z razu myślała... Zostało: byle młodość, byle serce, i rozumie się, byle miłość! Na tych ostatnich warunkach stanęła już mocno i szukała.

Ale młodość, miłość i serce nie tak się łatwo znajduje!

Domyślić się już łatwo z tego obrazku, że pólkownikowa śpiewała dawniej, ale od pewnego bolu gardła, w którym jój doktor Szemere Węgier, plaster jakis doradził, głos zupełnie straciła, że grała bardzo pięknie, dopóki w jeden palec nie ukłóła się śpilką; że zresztą lubiła dotąd muzykę passyami, literaturę namiętnie, że jój ideałem był wielki artysta.

Zdawało się jój, że miłość artysty, poety, musi to być przysmak rajski: o niej marzyła jak o niedoścignioném szczęściu.

— Być żoną, być kochanką wielkiego człowieka.. szeptała po cichu i po cichu wdychała.

Nikt nie wiedział o tém jéj marzeniu; a jednak gdy Liszt przybył do Kamieńca, półkownikowa dla słyszenia i widzenia go zrobiła trzydzieści mil po okrutném błocie, i miała przyjemność z gorąca i uczucia zemdleć na jego koncercie, co jednak, przy znacznej liezbie podobnych mdłości, nie zwróciło na nią oka.

Półkownikowa od dawna znajoma była hrabinie, ale jakoś z sobą nie sympatyzowały: hrabina była zbyt prosta i szczerą, ta nazbyt egzaltowana, więc się zrozumieć nie mogły. Od niejakiego nawet czasu Amelia przestała bywać w Zarubińcach.

Lecz wieść o tajemniczym grajku, o olbrzymim koncercie, napełniła półkownikową strachem, żeby o niej nie zapomniano; pojechała więc co prędzej pierwsza do Zarubiniec po bilety na ów festiwal muzyczny. Mówię: bilety, gdyż półkownikowa wzięła ich kilka dla całego swojego dworu, krewnych i znajomych, figur niemych, które u niej na drugim planie i tle obrazu występowały, strzegąc pilnie młodej wdowy.

W Zarubińcach przyjęta grzecznie przez hrabinę, od gospodarza zaczerpnąwszy dziwnych wieści i domysłów o nieznanym artyście powróciła do domu rozmarzona niezmiernie.

Hrabia, jak wszyscy, którzy coś niezwyčajnegosobie przedsiębiorą, dużo mówił o Maksie, przesadzał ogromnie, i coraz więcej przydawał szczegółów o nim, biorąc je nie wiedzieć z kąd, tak, że w końcu z Ferrera utworzył istotnie bohatera, w świetne, fantazyjne przybierając go barwy i wynosząc coraz wyżej.

Najdziwniejsza to, że co wczoraj sam wymyślił, w to nazajutrz najświęciej już wierzył.

Na umyśle półkownikowej zrobiło to takie wrażenie, że posłała zaraz umyślnie po strój nowy do parafialnej stolicy.

Tymczasem zbliżał się dzień wielki, dzień uroczysty...

I jak było za wczasu przepowiedziano, Maks wymógł na Janku, że grać będzie; a że nie miał Janko fraka ani chustki, ani żadnej rzeczy, która salonu jest, złożono się na jego ubranie. Próbując tych odzieży niezwykłych a wątlých, gdy szeroką chciał tchnąć pierśią, Zbój o mało ich na sobie westchnieniem nie poderł.

I choć postanowił już z siebie uczynić ofiarę, gdy ona coraz stawiała się bliższą, Janko serce tracił, kilkakroć wahał się, chciał uciekać, tak jemu, co się nie lękał ani wilka, ani konia dzikiego, straszne były oczy niewiast i oświecone pańskie salony, po których ślizkiej posadzce stapać nie umiał. Chmurą okryte miał czoło i chodził zasepiony.

Kilka razy nawet, po namyśle, zaklinał Maksa, aby go od tej wielkiej próby uwolnił; buntował się widocznie. Ale proszony, zaklinany, w końcu zapewniony, że raz ten pierwszy wystąpienia publicznego będzie ostatnim, zebrał się na niezmierną odwagę stanąć wśród wystrojonego tłumu, i co gorsza popisować się przed nim.

Maks, który stworzony już był na kuglarza, zupełnie zdawał się być w swoim żywiole. Odgadywał grunt, po którym stapał, wyrastał coraz bujniej, włosy na tył zarzucał, zamasyścił coraz głowę dźwigał i mówił oczyma i twarzą:

— Oto mnie macie; klękajcie i czcijcie!

Nareszcie nadeszła chwila oczekiwana.

Był to dzień wiosny, ale już zielonój, już jak lato gorącój, która w kalendarzu jeszcze uchodzi za wiosnę, ale piecze, pali i niczém się już nie różni od swojego następcy. Cały dzień przypiekało okrutnie, ale choć żaden powiew wiatru nie łagodził skwaru, wieczorem zebrało się na prześliczną pogodę. Słońce zaszło na tle niebios rozgrzaném, ale czystém, bez chmurki, bez obłoczku, a obfita rosa zlała spragnioną ziemię i wyścieńczone zioła.

Miało się ku wieczorowi, gdy zabrawszy nóty, wionczellę i papiery, wszyscy mieszkańcy Robowa wybrali się wielkim szarabanem do pałacu w Zarubińcach.

Otto nawet pociągnął z sobą Martynka, który równie jak Janko nieprzywykły do świata, wzdrygał się jechać; ale otrzymawszy obietnicę, że będzie mógł stać w kacie, odważył się na ten krok bohaterski. Maks zajęty był, niespokojny, ale wyznać potrzeba, że więć może zaprzętał się ubraniem i węzłem chustki, niż przyszłą grą swoją.

Otto uśmiechał się poważnie i milcząco; Janko był błądy i drżał. Ten strach przy atletycznej postawie jego, dziwne mu dawał oblicze białego posągu.

Gdy tu pakowano w szaraban wszystkie przybory koncertowe, w Zarubińcach hrabia usiłował dowieść, że po pańsku wystąpić umie. Całe sąsiedztwo było już sproszone, uczta ogromna w pogotowiu; słudzy postrojeni w liberye, z dodanymi ze wsi chłopakami, których w starszą odzież poprzybierano, stawiając w mniej wydatnych miejscach, krzątali się koło ostatka. Malczak nawet zrzucił zatłuszczony watowy kaf-

tanik i miał projekt słuchać we drzwiach muzyki, ubrawszy się w szarą kapotę, którą tylko na Wielkanoc wdziewał, podpasaną czerwonym paskiem jeszcze z lat błogięj przeszłości, zachowanym starannie. Na nogi też wdział nie owe zwykle obcięte bóty-pantofle, ale własne obówie, w którym mu było równie pięknie jak niewygodnie.

Niebezpieczna to rzecz przyzwyczajać się do wszelkiego rodzaju obciętych pantofli.

Oświecenie wielkiego gmachu niemałe nasuwało trudności. Hrabia chciał koniecznie, aby i dziedziniec był illuminowany, co dopełniono pożyczając kilkuset lamp pogrzebowych od księdza proboszcza; ale z salonami nie tak sobie łatwo dać było radę, tu lichtarze kościelne służyć nie mogły. Pałac wyszedł z tradycyi i lichtarzów, a w kartofle i butelki oprawiać świec nie wypadało.

Do głównych sal znalazły się acz różnego kalibru, wzrostu i barwy świeczniki; ale gdy sieni i boczne pokoje kredencierz obliczył i porównał z siłami rozporządzalnemi lichtarzów, okazało się, że załoga na te przestrzenie była zupełnie niedostateczna. Wprawdzie do dalszych izb użyto mosiężnych, wielkimi z papieru pokrywami osłonionych, ale do najodleglejszych musiano mizerne z drzewa *ad hoc* wytoczyć. Gdzieśniedzie zbyt rażące nagości, dekoracyą zieloną liści i gałęzi poubierano.

W istocie pałac po nocy, przy tém oświetleniu, wyglądał jak stara zalotnica na bal przystrojona: z daleka był ponętny, a nikt szanownym jego dziurom, tynkom opadłym, roztrzaskanym murom i zaciekłym plamom nie miał czasu przypatrywać się szczegółowie. I było wspaniale a pięknie w téj chwili; dopiero nazajutrz

miało być nago i brzydko, jak zawsze po balu, jak zawsze po ziemskiej radości i szale.

Sam koncert miał się odbyć na dole, w ogromnej sali środkowej, której drzwi na ogród wychodziły, połączonej z dwiema bocznymi przez ogromne umyślnie poroztwierane podwoje, aby i szary koniec słuchaczów miał się gdzie z boku pomieścić.

Od strony ganku ogrodowego była uczyniona estrada, na której stał fortepian, pulpit i rzęsisto płonące świeczniki. Dokoła krzesła, fotele, stoliki, ławki, kanapy opasywały przybytek rodzajem obozu z różnorodnych złożonego żywiołów, a wypełniały się już powoli gromem niewiast i mężczyzn. Sam hrabia, jako gospodarz, niedaleko drzwi wybrał sobie stanowisko, aby tu gości przyjmować. Włożył na ten dzień biały krawat i dawno niegdyś otrzymany order Jerozolimski w miniaturze, tajemniczo zatopiony w fałdach fraka. Hrabina skromnie, czarno ubrana, siedziała znużona jakoś bliżej estrady, a Lola chodziła uśmiechając się wesoło temu niezwykłemu dla siebie widowisku, którego szął powoli ją ogarniał.

Jedna z najpierw przybyłych była półkownikowa Amelia, która sobą cały salon zaperfumowała, zajęła suknią pół kanapy i zwróciła powszechną uwagę Malczaka i trzech już u drzwi wyprostowanych lokajów. Serce jej biło mocno: miała raz przecie ujrzeć, usłyszeć wielkiego artystę—boć Maks, któremu hrabia dawał swój pałac, opiekę, był niezawodnie olbrzymim artystą.

U drzwi bardzo zręcznie postawiono starego zafanego kamerdynera z biletami, który je uprzejmie wchodzącym podawał razem ze srebrną tacką, na któ-

rój już kilka półimperyałów leżało. Mniej pięciu rubli nikt się dać nie ośmielił, dawano jednak i więcej.

Od przyjazdu półkownikowej ciągle ktoś nowy przybywał, turkotało nieustannie, salon wypełniał się coraz wrzawliwszém towarzystwem, jak to na wsi bywa, w sukniach najrozmaitszego kroju i z twarzami różnoplemiennymi, ale wesołymi, ożywionymi, tchnącymi poczciwą szczerotą. Panie cisnęły się do hrabiny, która o ile możliwości sadzała je w pierwszym rzędzie, gdyż drugi już obiecywał z góry mieścić samych obrażonych, a trzeci i czwarty opozycję i malkontentów.

Wszystkich wszakże posadzić w pierwszym rzędzie było niepodobieństwem; hrabina z córką obrały sobie miejsca w ostatnim.

Na dziewiątą naznaczona była godzina rozpoczęcia koncertu; lecz zegar wybił ją, a w sali szumiało i wrzało jeszcze, i ciągle ktoś nowy od ganku przybywał.

W bocznym pokoju Maks z zimną krwią stroił wiolonczellę; Janek stał oparty o stół, nieprzytomny i blady.

Otto chodził po sali z rękami w kieszeniach.

Wielki artysta umyślił objawić się zgromadzeniu dopiero w chwili rozpoczęcia, wejść nagle przez otwarte na oścież podwoje, i zrobić piorunujące wrażenie. Zlany był wonnościami, *huile antique*, kolońską wódką, paczulą, chustkę zaś miał tak zawiązaną, że jeden jój koniec gubił się za uchem, drugi na ramieniu się kołysał; odłożone rękawy fraka ukazywały z pod spodu rękawki koszuli białej jak śnieg, spięte dwoma guzami brązowymi wielkiego efektu.

Nie zapomniał także o dewizkach, o śpilce, ani o fularze olbrzymim, którym otrzeć miał uznojone czoło.

W pierwszym rzędzie widzów, którzy już uprzedzeni o blizkiem rozpoczęciu, sadować się zaczęli, tęskna i niespokojna miejsce zajmowała Amelia, wachlując się od gorąca, które jęj twarz paliło, grożąc zagładą misternym oblicza malowaniom i natarciu. Szal biały, umyślnie rzucony na kanapę, służył za tło, na którym kibić jęj osia malować się miała i odbijała wyraziście. Nie była piękna, szkoda mówić, ale pokażniejsza od najpiękniejszych, i tak pachnąca! Jakieś przecucie mówiło jęj do ucha, że ten dzień w życiu ma dla nięj stanowić epokę.

Wybił zegar pół do dziesiątej, wszyscy zasiedli. Ci, co nie znaleźli miejsc, stanęli wryci, szmer lekki poprzedził ukazanie się bohatera, drzwi z trzaskiem się otwarły, i z włosami zarzuconemi na barki, z wionczellą ujętą przez chustkę wdzięcznie, z postawą Herkulesa mającego walczyć z hydrą, wszedł Maks Fermer, a za nim pokorny i nieśmiały Janko.

Pierwszy stawił się wielkim, zwyciężkim, potężnym; drugi szedł strwożony jak piękny posąg, blady, ze spuszczonej oczyma.

Słuchaczów tłumi otwarły się przed nimi szeroko; milczenie i cisza trwały chwilę; aż gdy mistrz wszedł na estradę, dany znak z kątki był hasłem powitania go grzmotem rżęsiwych oklasków. Trzy razy skłonił się poważnie, dziękując za nie; za trzecim razem rękę położył na sercu wielki artysta i ujął wionczellę.

Otto w kątku zakryty, śmiał się patrząc na Martynka; Martynek ruszał ramionami.

— Otoż to tak ludzie dorabiają się sławy! szepnął mu Otto: nie pracą, ale trzema wyuczonymi figlami,

które pokazują z za firanek, z wielką pompą, przy latarniach i trątach.

— A! panie! odparł Martynek: ależ on nic nie umie!

— Co to szkodzi? Tu nie o umiejętność idzie, ale o sztukę produkowania się za biletami. Zobaczysz, jakie mu sypać będą oklaski, jak ztąd wyjdzie uwieczniony. Cała rzecz musztarda; o sztukę mięsa nie idzie wcale.

Chwila uroczystej jak przed burzą ciszy poprzedziła strumień dźwięków... W tej chwili dwa wielkie zaszły wypadki: wzrok Maksu zwycięzki (i tém mocniej zwycięzki, że hrabia świeżo przyniósł mu od drzwi całą kupkę papierów i imperyałów, których miał pełne kieszenie, bo ich nikomu powierzyć nie chciał) padł na uciszonych słuchaczów—a wejrzenie ciekawe, płomienne, spragnione półkownikowej utkwilo w artyście,—i dwa te promienie oczu, brzemienne żądzami, zetknęły się z sobą, starły, magnetycznie porozumiały. Wdowa uczuła, że Maks jest bardzo pięknym mężczyzną i mógłby jęj za ideał wystarczyć; Maks zrozumiał, że potrzebowała, aby ją ktoś wziął sobie... Z pozycyi na kanapie, bransolet, sukni, zapachów, wniósł, że zajmuje niepoślednie pod względem majątkowym położenie w okolicy. W oka mgnieniu pojął, że obowiązkiem jego jest korzystać z okoliczności i podbić ją sobie, i choć przed nim stało kilkadziesiąt młodszych i piękniejszych twarzy, zwrócił zaraz wzrok zdumiony, oczarowany, uparty na jedną Amelię, jakby jęj mówił:

— Gwiazdo przeczuta na chmurném niebie mojem, witam cię!

Gwiazda błysnęła mu odpowiadając:

— Mistrzu! jam twoja! ja czekałam na ciebie!

— Ale jeśli ma męża, to się okrutnie oszukam! rzekł Maks w duchu, strojąc wiolonczellę.. Rozwody są kosztowne, prawie niepodobne. Mniejsza o to: mam pieniądze, pójdę dalej!

— Jeżeli się darmo skompromituję—myślała półkownikowa—pierwszy raz w życiu!.. No! to pojedzie sobie ztąd, i śmiać się będę z niego, i nikt mi nie będzie mógł nic zarzucić! A! być kochanką zapалу; być żoną natchnienia, być towarzyszką mistrza tonów, ulubienicą poezyi: co za szczęście!

W tejsze chwili drugi dramat cichy, ale innego rodzaju, szczerzy i święty jak modlitwa, odegrało czworo innych oczu w tejsze sali. Biedny Janko wszedł na estradę drżący tak, że mu omal nóty z rąk nie wypadły, nie śmiejąc oczu podnieść.

Skromne jego ubranie i podrzędne stanowisko niczyjego nie zwróciły oka; tylko Lola jakimś przypadkiem wzrok dziewiczy skierowała ku niemu nieśmiało, i już go zwrócić od téj twarzy oblanej rumieńcem bólu i wstydu nie mogła. A Janko, gdy podniósł powiekę załzawioną, trafem jakimś źrenicę powiodł ku niej, i olśniony pięknnością dziewczęcia, utkwiał w niej oczy przestraszone jakby nieziemskim zjawiskiem.

Tam była komedia, tu życie, a we wszystkich tych piersiach były serca równie żywo;—tylko w sercu Janka i Loli zamiast niepokoju zrodził się jakiś smutek błogi, nieopisane bojaźni, szczęścia, ubłogosławienia uczucie, którem wschodzi pierwsza w życiu wielka a święta miłość.

Lola odwróciła twarz zapłonioną, Janko jeszcze bardziej drżący poszedł do fortepianu dać *a* tryumfatorowi, który zabierał się grać swój kaprys z tema-

tów narodowych, to jest zszywaną czterech piosenek, między którymi tyle tylko było związku, że wszystkie na jednych się grały strunach.

Cisza ogromna, długa, przepaścista cisza... potem Janko uderzył akkord, Maks podniósł głowę do sufitu jakby w niebie szukał natchnienia, i rozpoczął się ów kaprys, słuchany z taką wiarą pocziwą, z takim uczuciem świeżem, jakie się już tylko na wsi spotykają.

Półkownikowa była promieniejąca,—a gdy ostatnia nóta zadrgała w powietrzu, pierwsza poczęła sypać oklaski, tak, że artysta nie mógł nastarczyć ukłonów. W sali entuzjazm był potężny.

— Ależ gra! ale gra! a niech go dyabli wezmą jak gra! wołali wszyscy. Uważałeś waćpan, jak on to robi, co to palcem jakoś brzdęk, a potem jak śwśnie... przysięgniesz, że gra nie na basetli, ale na fleciku... Chyba on tam co ma schowanego we środku?.. Ależ gra!..

I pytać już nie ma co, że druga, trzecia kompozycja poszły *crescendo* z coraz większym entuzjazmem, tak, że w końcu uniesiona Amelia rzuciła bukiet swój do nóg zwycięzcy, który go podjął i na sercu umieścił. Oczy ich spotkały się znowu: jój ze wzrokiem Maksa, jego z bransoletkami złotemi, świecącemi od pereł i rubinów.

Lola stała w kątku i w główce się jój kręciło; a Janko chciał co prędzej skończyć i uciekać, tak mu było duszno, tak zimny go pot oblewał.

Wtém gdy już ostatnią fantazyę z tematu: „*Wlazł hotek na płotek*“ miał właśnie Maks rozpoczynać — fantazyę, w której miauczenie kota tak doskonale naśladował, że mu w marcu żywe koty z dachów odpowiadały,—fatalny wypadek przerwał dotąd najwspaniałej idący koncert.

Zaturkotało raz jeszcze przed gankiem, i wkrótce potem głos dał się słyszeć w przedpokoju:

— A cóż to jest? wesele czy pogrzeb?

Żółtowski, który stał przy drzwiach, poznał zaraz głos brata pańskiego, hrabiego Hermana, i wybiegł przeciw niemu.

W sieniach stał w istocie zdumiony illuminacją Herman, w kapocie szarój, prawie gniewny i dosyć kwaśny.

— Cóż to za bale dajecie? spytał.

— To koncert, jw. hrabio.

— Co? koncert? A to głupi koncert mospanie, kto pieniędzy nie ma, dawać takie wieczory!

Wtém i hrabia Rajmund nadszedł.

Ten uściskawszy brata nie dał mu rzecz słowa, i broniącego się podróżnym strojem wprowadził do salonu siłą, bo tuż, tuż miało się rozpocząć owo sławne miauczenie kota i można je było stracić.

Naturalnie bogatemu Hermanowi zrobiono co rychlej miejsce dogodne, aby choć to miauczenie dobrze słyszał, wprost naprzeciw fortepianu, i naprzeciw artystów.

Lecz gdy ta wielka postać stanęła w szeregu głową górując nad inne, Janko podniósł na nią wzrok przypadkiem, osłupiał, ręce mu na fortepian opadły, zerwał się nagle, porwał chustkę, zasłonił twarz i szybko wybiegł przez drzwi ogrodowe.

Stało się to w oka mgnieniu, ale hrabia Herman doznał w tejże chwili jakiegoś wzruszenia: drgnął, poruszył się, usta otworzył i jak skamieniały pozostał.

Zaczęto szeptać w sali, że akkompaniującemu krew rzuciła się nosem; posłano w ślad za nim z wodą, po-

biegł Otto, Martynko, ale Janka ani słyhu—jak w wodę wpadł.

Minęło pół godziny, godzina, nie powracał; zaczęto się niepokoić o niego. Maks niecierpliwił się: nie o człowieka mu chodziło, ale o „Wlazłego kotka,” do którego nie było komu wtórować—to było najukochańsze jego arcydzieło.

Zżywał się i gniewał. Ostatnia sztuka miała dopełnić tryumfu, była ognistym snopem fajerwerku, wielką bitwą, decydującą kampanię... Pozwoliłby był Jankowi choćby skonać przy ostatnim akkordzie; ale zniknąć przed tą fantazją było najokropniejszą niewdziecznością, najstraszniejszą w oczach jego zbrodnią. Nie wiem już co by się było z nim stało, gdyby Martynek z kąta, z rozkazu Ottona, nie wyszedł zakłopotany, i precisnąwszy się przez tłum pokornie, nie siadł towarzyszyć *prima vista* z pozostawionych nót Maksowi, co zresztą nie było tak trudne, bo akkompaniament nie grzeszył ani wyszukany kontrapunktem, ani wielką różnorożnością modulacyi.

Wrażenie, jakiego słuchacze doznali, słysząc najprzód ten temat tak popularny i znany od dzieciństwa każdemu, podniesiony do ideału wykonaniem, potem przerobiony dziwacznie, coraz dziwaczniej kręcony, z towarzyszeniem miauczenia kota, szczebiotania ptaka, beczenia kozy, skrzypienia drzwi i t. p., a na tle tego wszystkiego ów *narodowy* (jak go Maks nazywał) temat ciągle się odzywający, z wydaném wreszcie *mruganiem* kotka, które muzyka imitacyjna doskonale przypominała—było nie do opisania.

Rzecz, prawdę powiedziawszy, nie miała najmniejszego sensu; ale cała się składała ze sztuczek, figlów,

kozielków i dziwactw. Słuchacze doszli do szału: klaszano, tupano, wołano, płakano, śmiano się, a półkownikowa nie mając już drugiego bukietu, o mało sama siebie nie rzuciła pod nogi genialnego mistrza! Opetanie było niewysłowione, tryumf zupełny, tak, że doskonale pojęty i uczuty, Maks czuł się w obowiązku nagrodzić zgromadzenie odegraniem kompozycji swój krakowiaka w piętnastu częściach, nazwanego przezeń „Wojną Chocimską.“

Wszyscy jednozgodnie uznali, że hrabia miał słuszość, protegując tak nadzwyczajnego talentu muzyka, który miał przejść Serwais'a, Romberg'a i całą wionczellistów gromadę, przeszłych, współczesnych, przyszłych. Po cichu szeptano o pochodzeniu jego od udzielnych książąt. Zachwyt był niezmierny, Otto jeden stał i uśmiechał się chłodno, gorzko, z politowaniem.

Maks powracający z bukietem, aby się przebrać i odetchnąć po trudzie i wysiłku, mijając Ottona, uderzony zimnym twarzą jego wyrazem, wstrzymał się chwilę.

— Widzisz pan, rzekł z dumą: nasza publiczność ma instynkt, ma poczucie piękna; trafić jój tylko potrzeba do serca, umieć przemówić do niej.

Otto kiwnął głową.

— Ale co się stało z Jankiem?

— Nie ma go?

— Nie ma.

— E! to dziwak: musiał pójść pieszo do Robowa.

— Cóż? krew mu poszła z nosa?

— Tak sędzę.

Na tém się skożyłco, i nikt więcej nie pomyślał o Janku. Ale gdy po koncercie zaczęto salon urzą-

dzać do balu i goście się rozeszli po bocznych pokojach, hrabina pośpieszyła zbliżyć się do mężowskiego brata, którego znalazła stojącego słupem, ze wzrokiem jeszcze skierowanym ku miejscu przy fortepianie, gdzie Janka zobaczył.

— Kto to był? zapytał gwałtownie Herman.

— O kogo pytasz?

— Ten młody człowiek: kto to był?

— Nie wiem.

— Ale ktoś wie, ktoś przecię wiedzieć musi, kto to był taki?...

— Zaraz się zapytamy...

Posłano po Żółtowskiego: ten ruszył ramionami, odwołując się do Ottona.

Przyszedł powołany Marzycki.

— Jak się masz, hrabio?

— Kto był ten młody człowiek, który odszedł? zapytał żywo Herman.

— Ja go nie znam dobrze, odparł Otto. Zowie się Janko Zbój; przybył do mnie z Maksem, z tym wiolonczelistą, którego słyszałeś; dobre jakieś, biedne, ale dumne i nieunoszone chłopię. Potrzebaby się Maksa zapytać.

— Więc chodźmy do niego — dodał niespokojnie hrabia, — chodźmy do niego.

Maks spoczywał i dumał, a szczerze powiedziaławszy, robił rachunek tego, co miał w kieszeniach: summy, która przechodziła o wiele jego najzuchwalsze nadzieje. Jeszcze był nie doszedł do końca assygnatek, a już przeszło trzy tysiące złotych naliczył, i owoc ten mozolnej pracy schował szybko do kieszeni, po-słyszawszy nadchodzących, przybierając minę potrzebną wycieńczonego wzruszeniem człowieka.

Ocierał pot z czoła i wzdychał.

Hrabia raz nań spojrzawszy, poznał w nim kome-dyanta, bo dobrze ludzi umiał oceniać i nie dawał się wziąć na pozory. Gra zresztą już go do tego sądu przygotowała.

— Przepraszam pana, rzekł poważnie: jestem bra-tem gospodarza—Herman Góra.

Muzyk skłonił się skromnie, pewien, że brat gos-podarza przyszedł, aby go z blizka uwielbiać, może aby mu co ofiarować na pamiątkę lub zaprosić do siebie. Po chwili przybrał minę wspaniałą wielkiego mistrza, na którego ramionach cięży geniusz chmurą brzemien-ną, niewygodny gość nadziemski.

— Pozwól mi pan się spytać, kto był ten pański towarzysz, który odszedł z powodu słabości, czy nie wiem dla czego wśród grania?

— A! Janek... E! to dobre sobie chłopczyko—rzekł od niechcienia Maks—biedny chłopak... W moich podróżach artystycznych spotkałem go, a postrzegłszy w nim niejaki talent, chciałem go zaprotegować, wy-ciągnąłem mu dłoń przyjazną... Jakiś czas jeździliśmy razem.

— Ale któż to jest? powtórzył hrabia.

— Prawdziwie, ja zawsze tak jestem zajęty sztu-ką, a tak mało zwracam uwagi na ludzi—odparł ru-szając ramionami Maks—żem go szczegółowie nie roz-pytywał. Młode chłopię, wychowanie niedokończone, poczciwy, prosty... ale nic wielkiego! nic nadzwyczajne-go! Ja się łatwo przywiązuję; to moja słabość: zawsze mieć kogoś muszę w opiece.

— Robi to honor jego sercu! rzekł hrabia z fran-cuzka; ale nie wiesz pan z kąd jest rodem?

— Zdaje mi się, o ile miarkować mogę, z Podola; ale najłatwiej jego samego jutro o to spytać będzie można...

Herman zasepił się, skłonił i powoli wyszedł.

We drzwiach spotkał go brat w białym krawacie, stąpający pod równia prawie ogromnego tryumfu ciężarem jak Maks. Wieczór był prześliczny, szlachta pocziwa rozentuzjazmowana do takiego stopnia, że kilku po nocy iść chciało oglądać maszyny hrabiego, co go nadzwyczaj ucieszyło.

— Co ci to? spytał brata.

— Nic: trochę ciekawości.

— Potrzebowałeś czego?

— Chciałem się o coś dowiedzieć.

Żółtowski odstąpił, odsunęli się jakoś wszyscy, Herman gorączkowo pociągnął brata ku oknu.

— Widziałeś tego młodego człowieka?

— Któremu krew poszła z nosa?

— Tak jest.

— Znasz go?

— Nie...

— To mój syn! to syn mój! zawołał żywo Herman; to dziecko moje! powtórzył.

Rajmund osłupiał.

— Twój syn! to być nie żemo!

— On sam! on! jam go poznał!

— Śni ci się! to biedny jakiś chłopak z Podola, czy tam nie wiem z kąd. Jakżebyś zresztą poznać go mógł po tylu latach?

— Moje dziecko! ale jabym je poznał wśród miliona ludzi! ja je mam w oczach, jak gdybym widział wczoraj! To Bóg mnie tu prowadził, abym je zna-

lazł! To on! nie ma najmniejszej wątpliwości. Spotkałem wzrok jego: poznawszy mnie zadrżał, zmieszał się i uciekł... Potrzeba gonić! biedz, odzyskać go! Dawaj mi ludzi, koni—ja go mieć muszę!

— Wszystko co chcesz jest na twoje rozkazy, rzekł Rajmund zimno, śpiesząc z powrotem do gości. Ale nie róbmy z tego historyi, bo się z nas śmiać będą! na miłość Boga!

— A niech się sobie śmieją! ofuknął się Herman.

Powstrzymać starego było niepodobna prawie; postrzegł jednak Herman, że skłopotany i czém inném zajęty brat zapału jego nie dzieli, i zwrócił się do Żółtowskiego, którego pociągnął z sobą do drugiego pokoju.

— Stary—rzekł gorąco—ratuj mnie i dziecko! Ten chłopak to mój syn.

Milczek, który się już nieco domyślał, od razu pojął wszystko.

— Na Boga! odpowiedział: jeśli to był pański syn, a uciekł, nie gońże go, bo zapędzisz nie wiem dokąd. Nie ścigać potrzeba, ale zmusić, żeby sam powrócił... Ale jakaż pewność? zkąd wiadomość? Czy to być może!

— Zkąd pewność? ja ją tu czuję! zawołał Herman porywając się za piersi. Ja wiem, że to był on, jam go od razu poznał i on mnie także. Ucieczka jego nie co innego oznacza.

— Jeśli tak, hrabio, na miłego Boga, dajże pokój pogoni! dodał rozważnie Żółtowski.

Stary zamyślił się.

— Cóż począć?

— Ja wyszlę kogoś tajemnie. Wróć pan do salonu i siedź spokojnie.

I namyśliwszy się nieco, stary zamilkł, zwracając się ku drzwiom.

— A! dobrze ci tak mówić! rzucił za nim hrabia; ale jam go lat tyle nie widział, a to dziecko moje!

— Chceszże je pan na wieki utracić? zapytał Żółtowski.

Hrabia padł na kanapę, zadumał się chwilę i powstał z większą jeszcze żywością.

— Bądź co bądź—rzekł—nie mogę go tak opuścić: jedźmy, idźmy, poszléjmy: nie może być dalej niż w Robowie, tam go znajdziemy.

Nie można go było przekonać i uspokoić. W chwili gdy bal rozpoczynał się w salonach, gdy hrabia i goście przekonani byli, że przybyły poszedł odpocząć—on, Żółtowski i kilku ludzi z nimi pędzili co żywo do Robowa. Otto wysłał był już przodem Martynka, który inną pogoń, choć pieszo, ale naprost idąc uprzedził.

Otto domyślił się zaraz wszystkiego, i przeczuwał, że hrabia się nie myli; a obawiając się, by Janko dalej w świat nie ruszył, polecił Martynkowi, aby go ukrył gdzie niedaleko i nie dopuszczał mu uciekać.

W chwili gdy Martynko zdyszany dopadł dworku i wprost wbiegł do izdebki, w której Janek z Maksem mieszkał, Janko już upakowany, z tłumoczkiem na plecach i kijem w rękę, prawie był na wychodnym. Stał z oczyma obląkanemi, drżący i wystraszony.

— Co ci się stało? dokądże to wyruszasz? zawołał przytrzymując go Martynko.

— Idę, muszę... nie wstrzymuj mnie... każda chwila droga! odparł gorączkowo Janek.

I pocziwe chłopię, które się było sercem przywią-

zało do Martynka, schwyciło go za szyję, ściskając ze łzami.

— Ale mów, co ci się stało? dla czego uszedłeś? co robisz na Boga!

— Później dowiesz się o wszystkiém. Powiem ci tylko, że jakiegokolwiek są pozory, jam doprawdy niewinien tyle ile się zdaje: jam nic nie zrobił złego, ale uchodzić muszę. Chcą mnie zakuć w kajdany: ja nie mogę, nie zniosę niewoli, serce mi pęknie od niej.

I ze wzrokiem przeleżkłym odpychał od siebie Martynka, torując sobie drogę, ale chłopak wstrzymywał go pocziwym uściskiem.

— Słuchaj, rzekł: ja się ciebie o nic nie pytam, nic nie wiem i wiedzieć nie chcę; nie mam do tego prawa. Powiem ci tylko co Otto powiedzieć kazał; wysłuchaj mnie, uczynisz sobie co zechcesz. Jakiegokolwiek są powody, dla których tak nagle uszedłeś z pałacu, Otto się lęka, abyś nie biegł kryć się gdzieś dalej... Dokądże udasz się bez grosza, bez opieki, sam jeden? My cię kochamy, obronimy, nie damy lecieć na zgubę.

— A zakujecie w niewolę!...

— Nie. Posłuchajże: Otto ci ofiaruje schronienie takie, w którym nikt o tobie wiedzieć nie będzie. Chodź ze mną: daję ci słowo Ottona i moje, że możesz tam zostać spokojny.

Janko zawahał się, łzy błysnęły mu w oczach.

— Już ciż wybyście mnie zdradzić nie chcieli?

— My! na Boga! znasz mnie, znasz ojca!

— A więc, co prędjéj, co prędjéj: czuję pogoń za sobą.

Nikt szczęściem we dworku w Robowie powracającego Martynka nie widział. Chłopak pochwycił za rękę

Janka, i drzwiami od ogrodu wywiódł go z domu. Noc była ciemna. Ścieżką znajomą przedarli się przez gąszcze drzew owocowych i wybrali w pole. Opodal za łąnem zboża była na skraju lasu pasieka, gdzie Otto, którego często najeżdżano, potrzebując czasem samotności, chronił się niekiedy na jaki dzień, aby być sam z sobą i myślami.

Miał tam dla siebie zbudowaną prostą chatę chłopską, ukrytą w drzewach, o której tylko miejscowi widzieli. Kawał dobry drogi dzielił ją od Robowa. Ku niej to młodzi ludzie skierowali się żywo, słysząc już po za sobą turkot bryczek, które zarubiniecką drogą ku dworkowi pędziły. W istocie, stary Herman niecierpliwy z Żółtowskim i kilku ludźmi wpadali do Robowa właśnie, gdy Martynko z towarzyszem byli już na pół drogi do pasieki.

Otto namyśliwszy się, pogonił za nimi i przyłączył się także, drugą bryczką ich doścignawszy; obawiał się bowiem, aby w jego domu nie stało się co, czegoby później mógł żałować.

Razem prawie wszyscy weszli do domu, i rozbudzeni słudzy wybiegli naprzeciw nim; hrabia wrzał z niecierpliwości.

— Jakże się on teraz zowie? zapytał Żółtowski; bo nawet nie wiem o kogo pytać.

— Ani ja!

Zaspany stary sługa Ottona wysunął się z kredensu, przecierając oczy.

— Był tu kto? powrócił?

— A no! wrócił!

— Kto?

— On, gość: pan Janek...

— To on? zapytał hrabia Żółtowskiego.

— Zdaje się.

— Jak wyglądał?

— Wysoki, blondyn... ten, co z panem Maksem przyjechał.

— To on! Gdzież jest?

— Powrócił... musi tu być.

— Gdzie?

— Może w swoim pokoju.

— Prowadź nas.

Stary pośpieszył za służącym. Drzwi izby stały otworem, świeca paliła się na stoliku; świeżo rozrzucone łóżko, podarte papiery, zabrane rzeczy świadczyły, że ten, kogo szukali, domyślając się pogoni, uszedł przed nią.

Dokąd? niepodobna było odgadnąć.

Hrabia padł na krzesło, złamany i zbolący. Żółtowski z załamanymi rękami stanął zamyślony, nie mając odwagi wymówić słowa.

— Sam tu był? zapytał sługi hrabia.

— A sam.

— Gdzież podziąć się mógł? po nocy, nieznajomy... dokąd poszedł? jak znajdzie drogę? Moglibyśmy gonić.

— Ale gdzie zaś gonić! odparł Żółtowski; to się na nic nie zdało. On ma sto dróg, my jedną, to stara prawda. Nie złapiemy go już, panie hrabio, pozwól to sobie powiedzieć... darmo!

Ale zaraz ukąsił się w język, czując, że za nadto się rozgadał.

— No, mów śmiało, zawołał hrabia.

— Co panu przyjdzie z dziecka, które gwałtem pochwycisz i przytrzymasz, jeśli gość miło wiązać nie będzie?

— Masz słuszość! ale cóż począć? dać mu ginąć?

— A może znajdą się środki... rzekł Żółtowski. Wszakże jadąc tu, wcale się go pan widzieć nie spodziewałeś, nie wiedziałeś nawet o życiu dziecięcia. Bóg ci je dał zobaczyć, dość na tém; resztę zostaw temu samemu Bogu. Niech go tęsknota i miłość sama przyciągnie do domu i do ciebie.

I skinął na sługę stojącego ciekawie u drzwi, aby odszedł.

— Ja nie lubię mówić, wysilając się dodał: słowo, to najniebezpieczniejsza rzecz w świecie. Wyleci ptaszkiem, nie wciągniesz go wołem, to stara jezuicka, ale dobra maksyma. No, ale na ten raz i mnie się gęba rozwiąże... Hrabio! uspokój się, pomyśl na miły Bóg, co robisz?

— Widziałeś go! widziałeś, przerwał Herman—jaki piękny! jaka szlachetna twarz, jaka postawa, jak znać, że w jego żyłach pocziwa krew płynie!.. A! rzekł hrabia łamiąc ręce kościste: myślałem, że się go wyrzec potrafię, że się go już zaparł i zapomniał; a gdy ujrzałem, krew mi buchnęła do serca, poznałem go od razu, i on poznał mnie. Lecz byłemże ja dla niego tak strasznym tyranem, tak nielitościwym ojcem? Nie czułże on serca we mnie ani dla mnie?... A! Bóg mnie skarał straszliwie... Gońmy go, pochwycmy, a wówczas...

Gdy ta scena odbywała się w izdebce, Martynko ledwie Janka do chaty w pasiece wpełchnąwszy, i powierzywszy starój żonie pasiecznika, z poleceniem, aby nikt w świecie o nim nie wiedział,—sam pomiarkował, że mu powrócić trzeba i udawać jakoby wprost przyszedł z Zarubiniec. Wpadł więc do izdebki, i tra-

fił właśnie na to, gdy hrabia rozwodził swe żale. Przybycie obcego nawet wstrzymać go nie mogło.

— Ja nie chcę go mieć, aby uczynić niewolnikiem, wołał: chcę go tylko zobaczyć, chcę znowu przez niego wejść w życie, zyskać nadzieję, nic więcej... Chcę, by dziecko moje nie żebrało chleba. Tyś go znał? zapytał porywco zwracając się do Martynka.

— Kogo, panie?

— Janka tego?...

— A jakże! oni-ć tu już są od dawna.

— Jakżeś z nim?

— O! jak najlepij, bo to najpocziwszy chłopiec w świecie! zawołał Martynko.

— Nie możesz zmiarkować, gdzie się podział?

— Jak to, podział? alboż?...

— Mówią, że był tu przed chwilą, zabrał rzeczy i uszedł.

Martynko choć nieprzywykły kłamać, udał zdziwionego wcale nieźle: otworzył oczy, pokiwał głową.

— Dla czegożby od nas uciekał? spytał, cóż tu było złego? czegożby się lękał?

— Ojca! ojca! gorzko nie zważając na nic zawołał hrabia, bijąc się po czole. Tak, to mój syn, nie ma wątpliwości!

Porwał za rękę Martynka.

— Słuchaj, rzekł porywco: tyś go znał, byłeś z nim w przyjaźni, może potrafisz przeczuć, odgadnąć, dojść, wysledzić, gdzie się on podział. Uczyni, ażebym go zobaczył, żebym z nim mógł pomówić.

Martynko milczał.

— Tyś ubogi... rzekł hrabia.

— Nic nie mam.

— Dam ci co zechcesz... dam ci...

— Ale, panie, ja darmo zrobiłbym co można. Czegoż on jednak ucieka?

— Bo mnie się lęka, niewdzięczny! bo się boi własnego ojca! i poszedł na nędzę dobrowolnie, byleby nie być ze mną. Oddaj mi go, dam ci spokój i chleb na całe życie. Powiedz mu, że ja nic nie chcę, tylko go widzieć, tylko...

Martynkowi łzy stanęły w oczach, ale milczał.

— Tyś go znał? powtórzył hrabia.

— Znałem go, panie.

— Mówże mi o nim, jak on jest?

— A! panie, to ptak, co lubi tak swobodę, wodę zdrojową, powietrze wolne, sukmankę, że dla nich oddałby skarby świata. Dziś gdy przyszło, z pozwoleniem pana, posługując temu kuglarzowi, ubrać się we frak i pójść grać do pałacu, co on się biedaczysko nazywał, namęczył, napłakał!

— A zrobił to przecie! zawołał hrabia, któremu oczy się iskrzyły.

— Musiał, dla przyjaciela.

— Pocziwe serce: nie prawdaż?

— Ale to serce złote, to dusza prosta i szczerą, co obłudy nie zna i nie pojmuje.

— Jakże mu się działo? z czego on żył? pytał hrabia coraz natarczywiej.

— Nie, o ja tegnie wiem... Służył podobno, był gdzieś koniuszym; teraz to i grosza nie miał, i znowu się w służbę wybierał.

Hrabia wstał i począł przechadzać się żywo.

— Gdybyś ty za nim pogonił, rzekł po chwili: onby się ciebie nie zląkł, on ci wierzy... nie prawdaż?

— Być może.

— Gdybyś starał mu się wmówić, że mu nic nie grozi odemnie, że ja go nie myślę więzić.

Hrabia nie przeczuwał wcale, jak dobrze trafił, zwracając się do Martynka; ale biedny chłopiec, któremu się zdało, że doszli do jego tajemnicy, drżał cały. Herman zbliżył się do niego.

— Siadaj, jedź, zawołał—goń za nim: ja powrócę do Zarubiniec.

— Panie, odparł Martynek z prostotą pocziwą: ja jestem cały na usługi twoje, ale nie będę zdrajcą i po-nętą, którą puszczają naprzód, by zwierza do klatki wprowadzić.

— A któż tego żąda po tobie! Ja nie chcę nie! ja go właśnie takim mieć chciałem, jakim dzisiaj znajduję!—Patrzeć chcę tylko na niego i kochać; oszczędzić mu bólu, starania, nędzy, które wiodą do złego. Nie okuję go przecięż; ale drzę, by gnany strachem nie zapędził się gdzie daleko. Może zginąć, może się spod-lic... ratuj mnie i jego!

— Tak; ale ja... nie wiem gdzie go szukać.

— Próbuj, jedź, czyń co ci się podoba... pomóż mi!

— Panie, ja nie potrafię.

Hrabia znowu upadł w krzesło milczący, i łzy potoczyły mu się po twarzy. Martynek patrzył, drżał, ale wytrzymał.

Żółtowski, który nań z daleka z uwagą poglądał, może się czego domyślał; kto wie, może odgadł wszystko, ale ust nie otworzył.

— Cóż tu począć? odezwał się Martynek. Gdzie mnie poszlecie, gotów jestem...

— Jak ci się zdaje, dokąd się mógł udać?

— Jak ja go znam, niełatwo odgadnąć... rzekł

chłopak. Mógł się w las rzucić bez drogi; niczego się nie lęka; fantazyje ma dziwne.

— Odważny? spytał hrabia.

— A! panie, mężny i silny jak lew!...

— Takim go mieć chciałem! A niewygody?

— Ależ to dziecko stepu i dusza kozacza. jak się sam nazywa.

To cud, to moje dziecię! I stracić je! Gdzież on? gdzie on? mówcie! ratujcie! wołał Herman.

— Jego, panie i szukać darmo, i znaleźć trudno, chyba trafem. Jeśli mi każecie próbować, spróbuję, ale nie ręczę, odparł Martynko, kłamiąc coraz śmielej.

— Potrzebować będziesz pieniędzy, przerwał hrabia—i ty, i on jeśli go znajdziesz.. bierz....

Przywyknienie do skąpstwa wstrzymało hrabiego.

— Słuchaj, Żółtowski, rzekł zapytując go wejrzeniem: czy Martynkowi zaufać można?

Na to stary ruchem odpowiedział, że jest nieposzlakowaną uczciwością.

— Ile mam dać?

— Co pan chcesz! odparł Żółtowski.

— Daj mi pan z pięćdziesiąt złotych, rzekł Martynko namyślając się; potem się obrachujemy.

— Głupiś, dzieciaku! zawołał hrabia: masz tysiąc nie żałuj! płac, przepłacaj, najmuj, śledź, bylebyś mi go odszukał, a gdy znajdziesz....

— Jeśli go znajde?

— Daj mi znać, żebym mu przysłał ile zechce. Ja go nie zobaczę, póki się sam nie przekona, że dla niego nie myślą być tyranem, że jest wolny i będzie wolny...

Martynko przelekkły obracał w rękach pieniądze.

— Ale jakże? zaraz?

— Jedź natychmiast, śpiesz... szukaj, nie dawaj mu się oddalić... Lub nie: powiedz mi jeszcze co o nim.

— Cóż powiem panu? Serdeczny chłopiec...

— Ma rozum?

— Ojciec Otto mówi o nim... on kocha go także bardzo...

— A, prawda, spytam Ottona. Ty wybieraj się i jedź co rychlej, a pozwólcie mi tu zostać w tej izdebce, w której są jeszcze ślady po nim, biednym dziecięciu...

— Ot, jeszcze kij jego w kącie! rzekł Martynko: sam go tu wystrugał.

Herman pochwyił w drżące ręce kawał drzewa, ścisnął gwałtownie i oczy weń wlepił, jakby z niego miał coś o tym, który go nosił, wydobyć, dowiedzieć się. Znowu dwie łzy błysnęły mu na powiekach.

Wtém wszedł Otto, który z dala dotąd trzymając się, czatował. Hrabia rzucił się ku niemu.

— Siadaj, rzekł: ty mi więcój, ty mi lepiej o nim rozpowiesz.

Żółtowski mrugnął na Martynka i wyszli z nim razem, zostawując ich sam na sam. Otto usiadł spokojnie, siwiejące włosy przerzucając ręką żyłastą.

— Mówmy jak starzy towarzysze szkolnej ławy, odezwał się Herman. Znasz mnie i moje dzieje; Bóg zrządził, że jego poznałeś: powiedz mi, zaklinam cię, czém on jest? Żyłś z nim, potrafiłś ocenić.

— Nie wiem czy jest synem twoim, choć ta ucieczka czegoś dowodzi, rzekł Otto; nie myślę kim jest, ale to chłopak wielkich nadziei. Dusza najpocziwsza, szczerą, prostą, uczuć szlachetniejszych trudno... tylko dzieciak. Sierota rozmiłowany w swój swobo-

dzie, jarzma, które społeczeństwo wkłada, nałożyć nie chce i nosić nie umie. Ja, com je także ciągle z karku otrząsał, nie będę tu dobrym sędzią; dla mnie on jest ideałem, choć przyznam ci się, nie wiem co życie jeszcze zrobi z niego. Z takich ludzi rodzą się i bohaterowie, i rozbójnicy Szyllera; wielkie charaktery i wielkie zbrodnie.. Jest z czego uczynić posąg Apollina i Satyra.

— A kochać on umie? spytał hrabia.

— Do zbytku: dowodem to, że taką lalkę na sprężynach jak ten Maks pokochał, pomagał mu, służył i dał się zawojować. Widziałeś dziś Fermera, gdy obłókł rolę natchnionego, grając „Wlazłego kotka...” a przecież Janko go kochał.

— To źle! to źle! miękki więc jest!

— Nie, ale umie kochać i potrzebuje się poświęcać.

— I będzie ofiarą, mimo wszystkiego, rzekł hrabia zamyślony; będzie ofiarą, nic go nie wybawi. Tacy ludzie są wyjątkowi i zawsze im źle na świecie. On zginie biedny. Waśnie chciałem, hartując go, tego uniknąć; ale dzień się wola boża.

Rozmawiali tak długo jeszcze, bo hrabia z pokoju tego wynieść nie chciał,—i dzień świtał, gdy nareszcie Otto namówił starego, aby się położył. Paweł stary zrozpaczony, dawno przybywszy z Zarubiniec, posłał był łóżko, i czekał drzemiąc i płacząc nad pościelą, nie pojmując co się spokojnemu panu stało.

W pałacu tymczasem nie mogły ujść baczności przybyłych sąsiadów ruchy, które zaszły w sali. Wieść o związku jakimś między ucieczką Janka a nagłym wyjazdem hrabiego przetworzyła się w dziwną bajkę: szeptało sobie o osobliwszym jakimś wypadku, który jedni drugim podawali, coraz poczwarniejsze tworząc

z niego opowiadania. Dodało to trochę ożywienia i gorączki zabawie, ale wielu też powarzyło i napełniło niepokojem, bo nic pewnego dowiedzieć się nie było można.

Tylko Maks i półkownikowa, których zaraz zapoznano z sobą, wcale nie zważali na to, co się w koło nich działo.

Amelia mdlała z niecierpliwości, żeby się zbliżyć do wielkiego artysty; Maks czuł, że się spotkał z fortuną na rozdrożu, i że chodzi tylko o to, aby ją pochwycić za włosy, to jest za serce. Oboje równie obawiali się zawodu i drżeli zbliżając się do siebie.

Maks, jako bardzo porządny człowiek, choć artysta, po formalnej prezentacji, nim dalej zaszli, pod pozorem wody poszedł rozpytać się dobrze, co to za jedna ta pani półkownikowa. Trafił na młodego człowieka dowcipnisia, który mu ją w dwóch słowach odmalował.

— Ja panu powiem, rzekł: to jest wdowa po półkowniku Z..... i po czterdziestu latach umarłych; ale że nigdy nie była ładną, nie jest dziś brzydszą niż przed dwudziestu laty i podobno już na to rachować można, że nie zbrzydnie i nie postarzeje. Widziałeś pan jej figurę? stanik klasyczny, ręka i nóżka skulpturalne, ubiera się jak moda, tańczy jak niemiecka sentymentalna baletniczka, szepleni trochę mówiąc, lubi zapachy, nigdy nie miała widocznego kochanka, ale i to dodać potrzeba, że ma gdzieś niewidocznego także synka po nieboszczyku półkowniku... Majątek czysty, dobrze urządzony, wart pół miliona komu niepotrzeba, może więcej; w brylantach, tyftkach i innych precyozach i remanentach, nie licząc różu i bielidła, jest pewnie jakie sto tysięcy jeszcze. Młoda sercem, ospowata po dniu...

To mówiąc, ukłonił się, i na pięcie wykręciwszy się zniknął.

Główne punkta dawały informację zadawalającą dla Maksa, który zaraz powrócił do wdowy przybierając minę artysty, dla którego świat stał się pieprzem i assafetydą. Zwykły to kolor tych, co się chcą uczynić zajmującymi, nim się raczą dać w sobie zakochać. Oprócz tego Maks udawał człowieka mocno od losu prześladowanego, dziecko rodziny niegdys znakomitej i zamożnej i t. d.

Resztę miał dopełnić w miarę objawiającej się potrzeby.

Amelia ze swęj strony umiała grać rolę doskonale wyuczoną w praktyce lat kilkunastu, kobiety czulej, bardzo nerwowęj, potrzebującej kochać a dotąd nigdy nie kochanej, mającej zaoszczędzone w głębi serca nieprzebrane źródła affektów.

Dość im się było zbliżyć, przemówić, porozumieć, aby zgodzić się z sobą. Wieczór był stanowczy.

Maks przypatrzył się, że choć ospowata, wcale jest niebrzydka, i dość miła; ona, że jest młody, ładny i egzaltowany, wzięła bowiem artystyczną blagę za dobrą monetę. Mówili z sobą tylko ciągle i prawie wyłącznie, i półkownikowa zaraz go nazajutrz do siebie zaprosiła.

Reszta nocy zeszła na skokach, do których z widoczném nadszakiwaniem służył Maks półkownikowęj, puszczając się z nią w walce i polki, w których żywe bicie czulego jęj serca mógł na uczynku pochwycić.

Hrabia szlachtę przyjmował serdecznie i karmił a pół natarczywie, co dało wielu do myślenia, że ma zupełną kwalifikację na marszałka, i mógłby nim być

bardzo. Pani domu i Lola gościnne były, ale jakby pomieszane i smutne. Dziewczęciu stał w oczach ów blondyn z takim wejrzeniem pocziwém i słodkiem, który znikł nagle, i rumieniła się przed sobą myśląc o nim. Hrabina sama wołała zawsze ciszę, modlitwę i pokoik z oknem na ogród i bzy swoje; tłum jej wcale nie bawił, wzdychała do samotności, do której na wykład.

Nadedniem już goście się rozjechali, a Maks pomógłszy półkownikowej wsiąść do karety, którą obejrzał okiem przysłego już właściciela, pożegnawszy gospodarza, rozmarzony nadziejami, poleciał spocząć do Robowa.

Wszyscy spali i cisza panowała w małym dworku; wieśniacy tylko ze dniem do pracy wstawać poczynali i gdzie niegdzie żurawie studzień piszczały, lub krówka wypuszczona na podwórko porykiwała ku stadu, z którym wyjść miała na rosę.

Po nad ziemią lekki opar się unosił, i zemgły téj wpół przezroczystej, krajobraz wychodził cudnymi sinawemi barwami przedwschodu odziany. Na Maksie drzemiącym po winie, po koncercie, po rozmowie z półkownikową, owacyach i nagłym z bogaceniu, natura nie czyniła wrażenia. Brał się tylko co chwila za kieszenie i przemyslał, co ma wieczorem mówić uroczej wdówce, aby ją podbić zupełnie.

Zsiadł przed gankiem napół pijany i wtaczał się we drzwi, gdy na ławce postrzegł Ottona, który nie mogąc zasnąć, sam jeden siedział z głową o kolumnę opartą.

— A to co jest? zapytał.

— Siedzę i odpoczywam, rzekł Otto. Ale idź ci.

cho, bo mamy gościa, hrabiego Hermana, który niedawno się położył; nie przerywaj mu snu, proszę.

— A on tu co robi?

— Ciasno było w pałacu, przyjechał do mnie.

— No, a Janek się znalazł?

— Nie ma go.

— Cóż to jest? uciekł? z jakiego powodu?

— Nic nie wiem.

— To coś niepojętego!

I przysiadł Maks na ławie, szukając powodu do wywnętrzenia i przechwałek.

— Czy zabrał i rzeczy z sobą?

— Zabrał i poszedł po nocy.

— Wszakżem mu nic nie zrobił?

— To fantazja jakaś.

— Dzień cudów i dziwów! Mógł przecie poczekać, żeby się koncert skończył, i pożegnać ze mną; ale to zawsze pół-waryata!

Nie lubiąc kłamać i pół gębkiem chwalić, chciał Otto uniknąć mowy o koncercie; ale artysta tak wiele pił pochwał, które, jak inne napoje fermentujące budzą pragnienie, że musiał pożądać ich jeszcze; sam więc zwrócił rozmowę na tryumfy swoje.

— A tak! rzekł: mówiłem i powtarzam, jest u nas poczucie piękna; dowodem moje wczorajsze wystąpienie przed tém wieśniactwem prostém, nieuczonym a uczucia pełném, od którego byłem tak gorąco rozumiany. Tego wieczoru nigdy nie zapomnę. Wiesz, że około sześćdziesiąt rubli się zebrało! Olbrzymio!

Otto się uśmiechnął.

— I w dodatku—rzekł Maks—rozkochałem się.

— No, to się rozumie, że w półkownikowej, przerwał Otto.

— Zkąd wiesz?

— Bo to jest jedyna kobieta, na której miłość wszyscy ludzie młodzi, prócz mnie, chorują zawsze po pierwszém widzeniu od dziesięciu dni do dwóch miesięcy.

Maks się obraził.

— Kobieta niepoznana!

— Kobieta bardzo zacna, ale chora...

— Co? reumatyzm? spytał na seryo Maks.

— Nie, choroba sercowa: chce być kochaną jedynie, wyłącznie, gwałtownie i wiekuście.

— Ma słuszość, taka tylko miłość jest miłością.

— Niezawodnie, ale ten kwiat nie wyrasta i nie kwitnie w czterdziestu latach, chyba zasiany w dwudziestu... za późno...

— Nie, rzekł Maks, nie: zawsze czas kochać.

— No, to co innego! odparł szydersko Otto.

— Jak to, co innego?

— Wiesz, że ma pół miliona....

— Najprzód, nie wiem; powtóre, to mi uwłacza...

— Och! dajże pokój; to pochwała twego rozsądku, uśmiechnął się Otto.

— A! ci zimni ludzie! ci zimni ludzie! zawołał Maks, bijąc się w czoło.

Otto, który codzień chodził na cmentarz do grobów narzeczonej i ojca, choć nikt o tém nie wiedział, uśmiechnął się szydersko.

— Dam ci dobrą radę, rzekł po chwili.

— Jaką?

— Półkownikowa potrzebuje pójść za mąż koniecznie; jeszcze pół roku, rok najdalej, a wyda się za młodego ekonoma lub pisarza gorzelnianego. Ożeń się

z nią, a będziesz mógł próżnować i muzykę porzucić: to dla ciebie dobra partya.

Maks zagryzł usta, zniósł ten sarkazm, i poszedł gniewny, mruczając, do swojego pokoju.

Tu rzucił się na łóżko, dumając o Amelii, i usnął.

Amelia też nie miała w życiu szczęśliwszej chwili nad podróż swą z Zarubiniec do Danowa... Wpół drzemiąca, wpół marząca na jawie, napół i we śnie, przez całą drogę widziała przy sobie artystę, który jej szeptał pół-słowa czarowne, jakich się dźwięku nie zapomina nigdy.

— „Melciu droga, ja cię kocham, ja wiecznie kochać cię będę... jam twój... Droga życia kwiecistą pójdziemy dalej razem z dłonią w dłoń, z okiem w oku... Ty wsparta na mojem ramieniu, wsłuchana w pieśń moją; ja wpatrzony w twoje oczy...”

— Stało się, rzekła wysiadając senna w ganku: jeśli on zechce, jeśli mnie zrozumie, będę jego! Niech świat mówi co chce, niech ludzie rzucają kamieniami! i mnie się kropla szczęścia z czary, której usta nie tknęły, należy....

I odpinając bransolety, rzuciła się w fotel, szepcząc po cichu:

— Ten lub żaden!

Biedna, a! jakże wybrała!

W ciemnym gaju, wśród którego opasana plecionym płotem, tarniną obwarowanym, stała w sadzie owocowym pasieka, Janek przed chatą przechadzał się niespokojny. Słońce wschodziło na świecie, złote je-

go promienie na wierzchołkach drzew się czepiały, gdzie nigdzie przerzynając gąszcze, lśniły się na zielonych obfitą rosą liściach traw i ziół leśnych; ale w pasiece mrok był jeszcze i chłód poranka, a każdy krok na trawie znać było w otrzęsionych z rosy listkach.

Pszczóły już gadały, już się budziły robotnice, już je wabił zapach rozkwitłych łąk i ziół, i ule okryte na chwilę czarnemi ruchomemi plamkami, wnet opustoszeć miały. W gaju ptactwo już także było przy pracy dziennéj, słowik nocnego strażnika dośpiewywał pieśni, dzięcioł kuł nieborak próchno, drobne ptaszęta szły na żer w pole, silniejsze na łowy, a ci, co nocą plondrują, do jam i dziur wracali.

Dzień wschodził pogodny. Janek, co ledwie był trochę usnął na sianie, które mu podesłano, niespokojny krążył przed chatą. Nie czuł się tu bezpiecznym. W polu, na równinie, w ruchu, byłby wytrwał; ale tu zdawało mu się, że jest zamknięty. Chata trąciła niewolą, ukrywaniem się, bojaźnią; pocziwa dusza męczyła się tym stanem.

— To on był, to on! mówił do siebie Janko; wszakżem powinien był przeczuć, że w domu brata mogę go spotkać, choć tam od dawna nie bywał. To on! toż same oblicze zwiędłe, straszne, surowe, tylko starsze; lata na wyżółkłym czole wypisały mu jego sieroctwo.... Też same usta, które mi się nigdy, nawet w kolebce, nie uśmiechnęły; co mi groziły i szydziły ze mnie; to samo oko straszne i piekące...

To on! to on!

I obok téj twarzy, z mgły wspomnień, jak w kraju obrazie z za tumanów sioło zielone, wstawała druga twarz uśmiechnięta, tak piękna, czysta, święta, łagod-

ności i dziewictwa pełna, jakby nie z czarnej ziemi wyrosła... Jednak nie wiedział nawet, kto ona była, ale tak mu się wpiętnowała w pamięć, w serce, że może ję był winien, iż od razu uciec nie potrafił.

— Ja tu ją może jeszcze znajdę, zobaczę, mówił do siebie; bo drugiej takiej na świecie nie ma i być nie może.

Twarz pięknej Loli i oblicze ojca przelatywały przed nim jak dwa sny biały i czarny: drżał i bał się, i coś go nazad ciągnęło.

— Potrzeba było uciekać, mówił do siebie: daleko, w tę Ukrainę stepową, między dzieci pustyni, i znowu tam na dzikich hasać koniach, spać na gołej ziemi zabić w sobie marzenia, zapomnieć, zapracować się. Tamby mnie nikt nie dogonił, nie poznał, nie znalazł. I tam są oczy niewieście i serca kobiece, i toż życie w szarej sukmanie, co tu w odzieży jasnej, tylko prostsze i bliższe Boga i szczerze. Niel tu nie moje miejsce, tam! Ztąd iść trzeba: tu duszno i straszno!

Mówił tak chodząc, gdy zaszeleściło w krzakach, i nim się zdołał ukryć, przeległy jak zbrodniarz, ukazał się poczciwy Martynko, zmokły, oblany rosą, i skutkiem nocnych przygód, do których nie był przywykły, z febrą okrutną, co go właśnie trząść pcczywała.

Zbladły, jeszcze się biedak brzydszy i biedniejszy niż kiedy wydawał,—aż Janek poznawszy, poskoczył ku niemu przestraszony, wołając:

— Co ci to jest?

— Ot! nic, tylko febrę dostałem.

— Co ci zrobić na to?

— Nic, chodźmy do chaty, bo mi zimno, bardzo zimno... ale przejdzie gorączka i lepij mi będzie.

Uśmiechnął się, pokrywając cierpienie, pocziwy chłopak.

— A co słyszeć? spytał Janek.

— Nic.

— Gonili za mną?

— Nie.

— Nie? pewnie?

— Możesz mi wierzyć. Płakali po tobie, nie ścigali cię wcale.

— Płakali! zawołał Janek: po mnie! kto?

— Ojciec.

Janek się uśmiechnął.

— O! rzekł cicho: tych oczu nigdy iza nie nawiedziła.

— Mylisz się. Ale wnijdźmy-no. Ja sam łyzy widziałem.

Janek zamilkł, ale z nieufnością widoczną wszedł za Martynkiem do chaty.

— Słuchaj, rzekł: jeśliś tu po to przyszedł, żeby mnie nawracać, to czas stracony; za nadto blizkie jest jeszcze moje dzieciństwo, nie mogę o niem zapomnieć. Darmo: nie mów mi o tem!

— Ale ja wcale nawracać cię nie myślę, lecz i kłamać nie mogę, odparł Martynek.

Wszedłszy do chaty, Janko zaprzął się około chorego, położył go, okrył, otulił i pobiegł ognia rozpaścić, aby mu co ciepłego zgotować. W tych razach, jak to Maks doświadczył, Janko był jedyny, czynny, niezmordowany, wesół, gdy mógł pracować i służyć komu.

Martynek aż płakał upokorzony, ale wstać nie mógł, bo febra coraz go mocniej rozbierała.

— Mój Janku, rzekł w ostatku po długim milczeniu: wyrzucalbym sobie, gdybym co skrywał przed tobą.

Janek pobladł.

— Opowiem ci jak było wczoraj, dodał chory; trzeba żebyś wiedział wszystko. Bądź spokojny, nie byłem zdrajcą i nie będę.

Tak począwszy, Martynko opowiedział gorąco całą swą ze starym rozmowę, powtórzył słowa jego, opisał łzy i wzruszenie. Syn słuchał go z uwagą, z ciekawością; ale na twarzy jego, po której raz długa łza przebiegła, nie widać było skruchy i żalu. Martynek kończąc, wyciągnął ku niemu rękę, podając mu pieniądze ojca, ale Janko je odtrącił.

— Teraz ty mnie posłuchaj, rzekł powoli: co się stało, odstać się nie może. Jam dziś już syn biedy i niedoli, a nie paniątka tam jakieś; powrócić do nich nie chcę, nie potrafię, bobym nie wyżył z nimi. Jam znękanem wypchnięty z tego świata, wyszedł i poślubił sobie inny... Wśród nich czuję się obcy, nie swój, zmęczony; dopiero gdy dłoń podam uznojonemu wieśniakowi, gdy z nim siadę gwarzyć na mogile, gdy w lesie głuchym słucham śpiewu bożych dzieci, jestem w swoim żywiole i szczęśliwy... Mów co chcesz! u nich miłości nie ma; wiesz co jest? próżność tylko. Myślą: „To ostatni imienia spadkobierca, przelejmy nań troski nasze, imię, nędzę i niewolę, włóżmy nań pęta, któreśmy sami nosili.“ Starzec schodzi do mogiły, odpędził co kochał, zostaje sam, chce mieć kogoś, by dręczyć i komuby spadek swój dumy i osamotnienia przekazać. Ja nie chcę ich przyjąć; szczęśliwy jestem jak jestem; grosza nie tknę, bom go nie zapracował, bo ten grosz związałby mnie i spętał na wieki.

— A! gdybyś ty widział łzy starca! rzekł Martynko.

— Łzy... i ja płakałem, odparł chłopak; a łzy z różnych źródeł płyną! Jam już urósł sierotą i sierotą zostanę. Chował mnie na włóczęgę, co się nie zleknie niedoli ni pracy... otoż mnie takim ma.

Janko chodził żywo po izbie.

— Ale ty mnie nie zdradzisz? rzekł do chorego.

— Ja? możeszże posądzać?

— Nie! nie! ty nadto jesteś biedny!.. Któż wie? może gdyby tu przyszli do mnie, uległbym, upadł, dał się związać i zabrać, ale życia zmienić nie chcę: tak mi lepij. Myślałem nieraz: „Jam swobodny, jam sam sobą, tu nic nie krępuje ni myśli, ni woli... tam....“ Ty jeszcze wzdychasz do tego świata, bo go nie znasz, ja go odpycham, bom skosztował.

— Dziecko, szaleńcze!

— Tyle w człowieku dobrego, co szaleństwa, rzekł Janek. U was się szalem nazywa, co wychodzi z powszedniego kręgu i płaszczyzny. Ale ja nic od nich nie chcę.

— Oni chcą od ciebie nie tak wiele jak sądzisz!

— Jakiem prawem? przerwał Janko. Cierpiałem jak cierpi dzikie zwierzę, co odejść od gniazda nie może: dziś dostałem skrzydeł, odleciałem... w świat... Bóg tylko jeden ma prawo spytać mnie: dokąd i po co?

Nie można było mówić z nim więcej.

— Bądźże spokojny, rzekł Martynko: siedź tu, ja cię pewnie nie zdradzę.

Po tem poczęli gwarzyć po młodemu swobodniej, o ile choroba pozwalała jednemu, drugiemu obawa i wzruszenie.

Przed oczyma Janka przelatywała ciągle ta twarz dziewicza prześliczna, o której zapomnieć nie mógł.

— Powiedźże mi co o Maksie? spytał Janko.

— Maks pan, kieszenie ma pełne złota, i upił się pochwałami do sytu. Na dziś wieczór zaprosiła go jakaś półkownikowa.

— O! serce ma z wosku! rozśmiał się chłopak: zaraz się zakocha w niej szalenie.

Ale przypomniawszy sobie wrażenie, jakie na nim zrobiła nieznajoma, spuścił głowę i umilkł zawstydzony.

Dotąd dziki Janko nie znał tego uczucia, choć przebiegł swobodny kawał świata, a ładnego chłopaka tysiąc razy wabiły dziewcząt oczy i uśmiechy. Nieraz już czarne, ogniste wejrzenie niepokoiło go temi obietnicami, które się nigdy nie dotrzymują; nieraz w drżącej dłoni miał malutką rączkę, która mu się narzucała ściśnięciem; ale naówczas zawsze strach go jakiś ogarniał, jakby prosząc o miłość, życia od niego żądano. Uciekał przelekły, tęsknił, zapominał oczu, uśmiechu i dłoni, która magnetycznie taki weń ogień przelała. Pojęcie jego o miłości było takie, jakiego się czyste a pocziwe chłopię w kozaczych stepach mogło wyuczyć z piosenki; wiedział o niem tyle, co wie śpiewka dziewicza, co mówi bajka i podanie. O ucho jego nie obito się szyderstwo swawolne, którego, słysząc je nawet, nie bardzo rozumiał; ale się wsłuchiwał w owe tęskne dумы, w których chmury noszą poselstwa kochanka, ptaki wieści krwawe, cały świat dzieli ich bole i lzy. W tych pieśniach zawsze miłość i uścisk kończą się śmiercią i mogiłą, i dwie dusze płacząc, ścigają się potem za grobem, męczą tęskniąc ku sobie. W pieśniach ludu niezepsutego

jest nawet owa miłość niepodobna, którą czasem spotykamy w książkach naszych; ten sam ideał, tylko tam pięknie ubrany, tu prozaiczniejszy i zimniejszy.

Janko pojmował miłość tylko taką stepową, wielką, jedną, niezmierną, ale więcej się ję obawiał niż pragnął. Dusza jego bała się nawet tych pęt, które na nas kładzie uczucie...

„Gdyby dwoje skrzydeł na barki, gdyby zaraz jedna szata z chmury i precz ze świata ze skarbem ulecieć w górę... myślał czasami. Ale żyć, by codzień się psuło to, co chwila uczyniła już tak doskonałem, że większem i piękniejszym być nie może; żyć, by miłości dać zwiędnąć i zatonać w ziemskim kale... a! to lepiej nie kochać!“

On chciał... ale to było dziecko stepu—a co marzą orły na mogiłach, krucy w chmurach i ludy młode i młodzieńcy budzący się do życia, tego pióro z trupiego wyrwane skrzydła, nie spisze. To pioruny piszą na niebie, to jęczą lasy w noc głuchą, tego wybyście, panie i panowie moi, nie zrozumieli.

A jednak ilekroć dziecko stepu chciało pójść nazad w ten swój świat, wnet je ku ohydzonemu ciągnęła ta twarz zjawiona, i przykuwała uśmiechem, jakby mówiła do niego:

— Ja umrę po tobie w tęsknicy.

Coś było w głębi tego uczucia niosącego z sobą przekonanie, że się ono opłaci wzajemnością, że się nie urodziło samo, że żrenica, co je zapaliła, szukała widma przed sobą, i zapłonęła tęsknotą, bolem, pragnieniem.

— Dobrze więc, rzekł Martynko: rób sobie co chcesz; ale po cóż masz od nas, co cię kochamy, uciekać, kiedy tu nic ci nie grozi?

— Jak to? myślisz, że zostać tu mogę? To historia nadto głośna, zwróciła na mnie oczy... niepodobna.

— Historii żadnej nikt nie wie; ty z nami możesz pozostać tak swobodny i spokojny jak w stepie. Czyż ci tu z nami nie lepiej?

Janko się zadumał.

— Przecież wszyscy wiedzą, domyślają się przynajmniej kto jestem?

— Nikt, prócz mnie... Żółtowski może. Twój ojciec nie chcąc ciężyć nad tobą, jutro powraca do domu. Po cóż uciekać, gdy nikt nie ściga; gdyś nieraz mówił, że ci tu dobrze, żeś się do nas przywiązał; gdy wiesz, że Otto kocha cię jak dziecko własne, ja—jak brata, jeżeli taki biedak jak ja ma prawo kochać bratko?

— O! dajże mi pokój! Ja tę skórę tygrysią, co do mnie ludziom przystąpić nie dawała, zrzuciłem już dawno; jam prosty chłopiek, co chcesz, tylko nie hrabia. Ale przypuściwszy, że mnie nawet nie okują w kajdany fraka i rękawiczek, co ja tu będę robił?

— A co tam, dokąd lecisz? spytał Martynko.

— Pójdę konie ujeżdżać znowu.

— To i tu coś podobnego ci znajdziemy; a czyż nie pochlebiamy ci, Otto, a choćby ja, po koniach i bydle, nie byliśmy ci na co potrzebni?

— Ale ja się tu boję!

— Dziecko jesteś.

— Ty nie wiesz co klatka: jam w niej mieszkał! Ale zawsze zostanę i spocznę, a potem zobaczymy.

Martynek coraz silniejszych dostawał dreszczów, więc się skończyła rozmowa, bo Janek postrzegł, jak się na nią zмагаć musiał, i wyszedł przed chatę, czując, że mu w niej było duszno jak w więzieniu.

U hrabiny nazajutrz po uroczystości, znowu się rozpoczęło życie dawne, spokojne i ciche. Mąż ożywiony na chwilę niezwykłym zaprzętnieniem, powrócił do swoich machin i Malczaka, który miał tę zgryzotę, że mu Maks nie dotrzymał obietnicy sowitego datku i zbył go bardzo oszczędnym podarkiem. Ukryto przed kobietami całą historię kuzynka, którą i dla innych starano się wytłómaczyć, opowiadając o nagłej jego chorobie. Śpieszne oddalenie się hrabiego Hermana do Robowa składano na jego dziwactwo, trochę na ciasnotę i niewygodę Zarubiniec. Żółtowski tak zręcznie jakoś potrafił to milczeniem i rzucanemi półsłówkami ufarbować, że po długich szeptach i domysłach, wszyscy się przekonali, iż to, co brali za dramat, było bardzo prostém *qui pro quo*. Więc choć tam po sąsiedztwie sobie gwarzono, w pałacu już było cicho. Hrabia Rajmund ruszając ramionami, obojętnie pracował około swojego młyna bez kamieni, hrabina się modliła, Lola nie domyślała niczego.

Ale wczorajszy wieczór dla Loli tyle był obfity w wypadki, że nazajutrz po nim nie mogła być tak spokojna jak matka, która wróciła do swoich pacierzy, podlewała swe kwiatki, szeptała różaniec i z radością wchodziła znowu w owo ciche, jednostajne życie, które samo tylko zranioną duszę ukołysać może.

We dwie siedziały w pokoju; matka modliła się po cichu; żywa Lola wciąż ją zarzucała pytaniami. Wspomnienia wieczoru snuły się jój po głowie jak fantazmata snu gorączkowego.

— Moja mamó, ale bo ty mnie słuchać nie chcesz.

— Owszem Lolciu, mów.

— Uważała mama, jak ten pan Maks grał? Czy to było pięknie, nie wiem; ale mnie się zdaje, że praw-

dziwa, wielka i piękna muzyka powinna być spokojna, majestatyczna, prosta jakaś, uskrzydłona i wynielona, jak powiada poeta, a nie taka roztrzęsiona i płocha.

— To prawda, moje dziecko.

— Bo jużciż muzyka, co gra nam do tańca, to grajki, to granie, to świergotanie nie muzyka. A potem, mamciu... ale mamcia znów nie słucha?

— Ale owszem, słucham Lolciu; jakaś ty dziwna! I pocałowała ją w głowę.

— A potem, co?

— A potem ten pan, ja nie wiem czy on tak bardzo czuł, ale mnie się zdaje, że on trochę grał komedye i smyczkiem i sobą?

— Może go już tak Bóg stworzył.

— Bo gdy kto czuje, to z uczuciem prawdziwem przychodzi, mamciu kochana, i bojaźń, i wstyd, i rumieniec. Ja przynajmniej czuję, gdy mi się na łzy zbiera, gdy mnie co wzruszy, gdy się gorąco modłę, to mi twarz pali, i chciałabym schować się pod ziemię z tym skarbem wesela czy boleści. Ale tak wystąpić, rozedrzeć pierś i pokazywać ją za pieniądzel... Moja mamciu, słyszy mama?

— Ale słyszę, i cieszę się, bo masz słuszość.

— Więc on nie pięknie grał?

— I mnie się to niebardzo podobało.

— A dla czegoż półkownikowa mdlała?

— Ale czyż mdlała?

— Widziałam, była w ekstazie!

— Ale bo widzisz, dziecko moje, są dusze tak podrażnione życiem...

— Doprawdy, są tajemnice, których ja nigdy nie

pojme. Więc na takie dusze i fałsz działa jak prawda, i udanie jak uczucie?

— Te dusze są jak rany, które i uderzenie i pogłaskanie równo boli.

— A! jak to mamcia ślicznie powiedziała!

— Ślicznie? gdzież tam! i uśmiechnęła się hrabina, całując w czoło dziecię. Nie pięknie, ale może prawdziwie. Gdy się rana zasklepi, a była głęboka, później już traci czucie na razy i pieszczoty.

— Smutna to rzecz życie! westchnęła Lola, myśląc o młodym chłopaku.

— Ale co to się stało temu drugiemu, moja mammo? czego on uciekł?

— Nikt tego nie wie, zdaje się, że zachorował.

— Czy mama go uważała?

— Trochę, z daleka.

— Jaki on był piękny, kiedy wyszedł taki drżący, taki różowy cały, a taki silny i tchnący jakąś prawdą! Przy nim ten Maks zupełnie wyglądał jak ów kuglarz, mama wie, co to tu kiedyś sztuki pokazywał, *eins, zwei, drei...* nawet rękawy miał tak zatoczono jak on.

Hrabina zaczęła się śmiać mocno.

— Jeszcze tak pięknego mężczyzny nigdy nie widziała w życiu, rzekła naiwnie Lola, przywykła z każdej swjej myśli przed matką się tłómaczyć. Przysięgłabym, że musi być poczciwy i dobry.

— Moja Lolciu, co ty też pleciesz!

— A jużciżby mi się tak nie podobał, gdyby był nic dobrego! dokończyła śmiejąc się Lola.

— A! ty główko szalona!

— Moja mamciu, ja ci się pewnie modlić nie daję: każ mi milczeć!

— To prawda, ale ja lubię szczebiotanie twoje.

— I ty się tyle modlisz, mamciu, że doprawdy ja się boję, aby już za nadto dusza twoja na tych skrzydłach modlitwy od nas nie odleciała.

— Moje dziecko...

— A co ja jeszcze mamci powiem... oto, że mi się ta biedna półkownikowa jakoś bardzo nie podobala: wydała mi się jak Maks. Wszakże to ja byłam dzieckiem, gdy ją pamiętam takuteńką jak teraz, więc ma lat....

— Ale co tam, Lolule!

— Ale nie, policzmy: ma czterdzieści pewnie.

— Ja tam nie wiem.

— Jakto mamcia nie wie? Mamcia wie doskonale, tylko nie chce powiedzieć... Taka stara, a chce być młodą; mnie się zdaje, że to nieprzyzwoicie. Bo na cóż jęć to? na cóż młodym chcieć ich młodość zabierać?

— Cóż im to szkodzi?

— A jakże, mamciu, szkodzi! Jużciż naprzykład gdyby sobie była starsza, toby się w niej nikt nie kochał, a tak może się kto rozmiłować, coby mógł młodszą, dla siebie stworzoną, ukochać.

— Lolciu, co ty pleciesz!

— Ale moja mamciu! ja rachuję!

Hrabina zamknęła książkę, położyła różaniec, nie było sposobu się modlić. Przysiadła się do córki.

— Moje dziecko—rzekła smutnie—ja nie lubię, gdy ty tak mówisz o tém kochaniu.

— Ale dla czegoż ja, mamciu droga, nie mam o niém mówić, kiedy myślę?

— A na cóż dziecko myśli?

— Alboż ja wiem! muszę; przychodzi mi to—ot sa-

ma nie wiem jak, z kwiatka, z powietrza, z listka, co leci, z ptaszka, co śpiewa. Czasami wstaję ze snu z tą myślą, a przecież anioł stróż stał nademną; modłę się, i w modlitwie są słowa...

— Pleciesz, pleciucho droga!

— Alboż to co złego?

— Nie! ale zaprzątnąwszy sobie tém głowę, i serce podrażnisz, jak półkownikowa.

— Ale nie! tak, nigdy!

— Pewnie, z takich trzpiotowatych główek jak twoja, rosną potém biedne kobiecieńta jak tamta....

— No, ale cóż to złego? wszędzie a wszędzie jest ta miłość.

— To prawda, jest jój nadto.

— No? a mamcia nie kochała papy?

— I kocham go jeszcze.

— Ale dawniej? to było inaczej?

— Nie, tak samo.

— To bardzo ładnie, ale nie tak jak w książkach, i nie tak jak ja myślę.

— Ale książki kłamią, moje dziecko, i ty się bałamucisz.

— Jakto? wszystkie książki kłamią?

— O! wszystkie.

— To się na nas zmówiły te niepoczciwe książczyska! odparła Lola z uśmiechem: to spiszek jakiś! Jakże można tak oszukiwać? Alboż nie ma takich pięknych miłości? Mnie się zdaje, że być mogą. O! doprawdy, mamciu kochana, mogą, mogą! Ale ja wiem, że ty tak mówisz, bojąc się tylko, żebym ja nie zakochała się w kim bardzo a bardzo.

— Lolciu!

— Lola musi mówić czasem nic do rzeczy, kiedy

ją mamcia nauczyła wszystko powiadać co myśli: a! nie trzeba było do tego przyzwyczajać!

I rozśmiały się obie.

— A to ci powiem po cichu, dodała Lola tuląc się do matki: że gdyby kto taki ładny jak ten wczorajszy, co mu krew z nosa poszła, bardzo długo był ze mną, gotowabym go pokochać.

— Tak, dla pięknój twarzy, dziecko moje.

— Ale nie! gdyby był równie grzeczny i dobry jak piękny. A ja mamci przysięgam, że z taką twarzą złym być nie można.

— Pleciesz! Wszakże i w tych książkach, o których mówisz, czytałaś nieraz o ślicznych twarzach na czarnych duszach.

— Kiedy one kłamią! rozśmiała się Lola: a kłamstwo się czuje i szpeci.

Na tę macierzyńską rozmowę wszedł hrabia, który czasem żonę odwiedzał w pewnych dnia godzinach; ale na ten raz nie sam, lecz z bratem Hermanem, bladym, milczącym, przygnębionym i smutnym, w którego twarz spojrzawszy, widać było boleść wielką.

— Cóż ci to jest? chory jesteś? spytała go troskliwie hrabina.

— Zachcieliście! Od wczoraj niedobrze się czuję. Wpadłem tu na wasz bal, to mnie jakoś rozbiło: musiałem uciec do Robowa, żeby odpocząć trochę; ale i tam nie wydobrzałem, czuję się ciągle źle...

— Powinieneś u nas dłużej pozostać i wypocząć więcej, rzekł hrabia.

— Możeby co stryjowi podać? Herbaty, rumianku, wody z sokiem czy cukrem? z pomarańczowemi kropkami? spytała Lola.

— Nic, moja panno, nic.... Ot tak w téj atmosferze spokoju pobędę i lepiej mi się zaraz zrobił!

— A więc zostawiam cię tu, rzekł Rajmund: bardzo przepraszam, że odchodzę, ale my z moim genialnym Malczakiem kujemy ostatnie już kółko wielkiego wynalazku. Zaraz do was powrócę, jestem niepokojny o rozmiar. O! zobaczycie co to będzie za cudo!

Wyszedł pośpiesznie; Herman uśmiechnął się z politowaniem.

— Papa to się doprawdy zamęcza, odezwała się Lola: nie można go powstrzymać od pracy. Nie wiem na co to jemu! Nieraz to się aż rozchoruje.

— Na co to jemu? a cóżby robił, moje dziecko? spytał Herman. My wszyscy coś robić musimy, męczyć się, weselić, kuć kółka, strzepić szarpie, płakać lub śmiać się... Kto nie ma co robić, ten sobie jak ojciec wyszukuje zajęcia: matka żyje modlitwą, ojciec machiną.

— A ja to jeszcze nic nie robię, dorzuciła Lola: doprawdy nic a nic; może mi dla tego tak tęskno czasami?

— Jakże nic? a kwiatki? a krosienka?

— Ale co to za robota, kiedy w nią człowiek serca nie kładzie!... to sobie tymczasowa zabawka.

Stryj się uśmiechnął, matka westchnęła. Lola stała naprzeciw starego; jój biedaczce ten młody chłopak z głowy nie wychodził.

— Uważał wczoraj stryjcio, tego młodego człowieka? spytała.

— Którego?

— Tego, co zachorował i uciekł.

Herman zarumienił się trochę i skinął tylko głową.

— Prawda, że to twarz piękna i szlachetna? odezwała się Lola: że taka twarz musi...?

— Lolciu, pleciesz znowu! przerwała matka.

— Nie można tego stryjciowi powiedzieć?

— Mów, owszem...

— Mnie się on bardzo podobał! rzekło dziewczę naiwnie.

Herman spojrzał na nią dziwnie i westchnął.

— Żał mi go było! Czy nie wiedzą w Robowie, co mu się stało?

— Nie wiem, odparł stryj sucho.

— To szkoda! Żółtowski pewnie wie; muszę się dowiedzieć: tylko że on nigdy nic nie mówi... Jaka to szkoda! jak się uprze...

Szczęściem tę rozmowę, która zaczynała grozić zbyt wielkimi zwierzeniami, przerwano nagle, dając znać, że czas do stołu.

Jeśli kto, to poczciwy stary Paweł Siermięzki był od niejakiego czasu mocno niespokojny i strapiiony, z powodu zmiany w sposobie życia pana, którego przygody dzielić musiał.

Wszystkim w Horycy dobrze z tém było, że się pan z domu oddalał. Lacyna pędził różowe wieczory u nóg panny Petronelli; klucznica Seredowiczowa do godziny dziesiątej spoczywała pod pierzyną, kawę sobie do łóżka rozkazując przynosić; ekonom po całych dniach grał na skrzypcach; Radwanowicz chodził do księdza proboszcza i wstępował po drodze do przy-

jaciół sprzedających różne napoje, do których miał słabość.

Trzeba bowiem wiedzieć, że professor wódki nie pijał, że się nią nawet brzydził, uważał ją za zgrozę, za rzecz zbydlęcającą, za właściwość chłopską; ale miód, piwo i wino, a nawet likwor słodki miał za trunk szlachetny, uczciwemu człowiekowi nietylko przyzwoity, ale nawet dla zdrowia *et exhilarationis causa*, jak powiadał, potrzebny. W tém teoria jego różniła się radykalnie od systematu potajemnie wyznawanego przez Lacynę, który w czystą tylko wódkę i spirytus wierzył, resztę mając za pomyje, lekarstwa i oszustwo, fabrykacye i trucizny. Nawet w wódce ingrediencyj żadnych nie przypuszczał, i znał tylko *aquavilde*, czyli prostą kotłówkę.

Ale to, między nawiasami—w Horycy szło wszystko jak po maśle. Paweł jednak, który namiętnie pół dnia tarł tabakę i wiązał niewody, jeśli się z panem nie kłócił, w drodze, na obczyźnie pozbawiony był tych rekreacyj; męczył się stary ruchem i pracą; i gderał na wyjazd z domu. Prosił go usilnie Herman, ażeby w Horycy pozostał; ale z tego o mało do kłótni nie przyszło, bo opuścić pana było to abdykować, a Paweł należał do tych, którzy chcą dotrwać do końca na stanowisku.

— A czy to ja już tam panu dojadłem, czy co? zawołał Paweł. Toć ja pana jeszcze wyniańczył, a chcesz żebym na starość dał komu innemu koło ciebie chodzić! O! tak! włóczysz się ty, to i ja się będę włóczył! Po co? tego ja nie wiem; ale ciebie nie porzucę.

I powlókł się Paweł znowu do Zarubieniec, gdy

hrabiemu przyszła fantazya ruszyć z domu, a gorzkie przez całą drogę robiąc wymówki, z placu nie ustąpił.

Na tym sławnym noclegu w Robowie, ile nagderał, wypowiedzieć trudno. Pan milczał i znosił.

Teraz Paweł z tabakierką w ręku, osmutniały stał we drzwiach domu, i myślał o tabace, którą znowu mu jaki zły człowiek mógł ukraść. On tak tarł tabakę jak hrabia Rajmund robił maszyny. Najprzód szło mu dosyć nieszczęśliwie; powtóre sam choć miłośnik jęj, zażywać musiał cudzą, bo do swojego nosa zastosować jęj nie umiał, a to odejmowało reputacyę.

Dochodził on od lat dwudziestu urządzania tabaki na sposób owęj sławnęj pińskieję; utrzymywał nawet, że gdy się na nięj ludzie poznają, dorobi się majątku: ale mu nie szło i nie szło. Winien był skład okoliczności zawsze: to liść za zielony, to za stary, to naczynie, to popiół, to deszcz, to pogoda, a tabaki zażywać nie było można. Schła ona i marniała, nikt zużytkować jęj nie miał odwagi: raz za słaba, to za mocna, zbyt przesolona lub przefarbowana, miała wady, których się pozbyć nie było podobna. Czasem Paweł dla miłości bożęj robił z nięj jałmużnę żebrakom, których nosy wprawiały w podejrzenie, że zażywaćby ją mogli; ale i ci, jak twierdził Lacyna, za bramą jęj skosztowawszy, wysypywali na śmieci. Dosyć było pochwalić jego tabakę, by zostać Pawła przyjacielem; dość ją zganić, by sobie w jego oczach zaszkodzić i być nawet podejrzanym o niedobry charakter. Znający już tę słabość, kosztem opuchnienia nosa przekupowali go sobie.

Ale dziś nawet sięgnięcie do tabakierki i prośba o funt tabaki nie byłyby ujęły Pawła, który był zajęty w duchu łajaniem swojego pana.

— Bo czemuby to nie siedziało u siebie, w ciepłym kącie? Na starość mu się włóczyć zachciało! A! już nie ma nic gorszego, nad to, gdy w starym piecu dyabeł pali.

Nieszczęściem nie było nawet przed kim wylać się z żalami: dopiero w wieczór tego dnia zetknęli się z Malczakiem. Malczak już miał na sobie watowany kaptanik i obcięte bóty, był jak w domu; wyszedł na próg, gdy się ściemniło.

— Dobry wieczór.

— Dobry wieczór.

— Co to Wpanu panie Pawle? jakoś nie swój?

— At! bo zły jestem.

— No! na kogoż?

— A na pana!

— E! to prosta rzecz! Jam na swojego ciągle zły, a milczę!

— Et! bo z nimi i dyabeł nie wytrzyma!

— No! ja tam na mojegobym się tak nie skarżył, ale mu dopiero teraz, gdy się zestarzał, siły stracił, gdy ledwie się włóczy, przychodzą jakieś niebywałe fantazyje! Wystarczyć mu nie mogę! Jem się z nim, jem...

— A no! toć i ja tak! tylko że mój to w końcu musi mi ustąpić; jak się uprę, jak cały dzień nie będę gadał, albo zacznę tylko mruczeć pod nosem, to w końcu musi zrobić co ja zechcę.

— No! ja tak nie umiem... Ale, prawdę powiedziawszy, to taki człowiek, że z nim sobie nie dać rady nikomu; całe życie twardy był jak kamień: ani ugryźć! Tak i kochankę stracił, i żonę i bodaj... syna.

— Cóż? taki zły?

Pisma Krászewskiego. T. IV.

— Ale nie! gdzie zaś! pocziwy z kośćcami, dobry, ale bestya taki uparty, że jak sobie co postanowi...

— E! bo wy jemu ustępujecie.

— A no! toć muszę, kiedy on mi nie chce...

— Nie umiecie się wziąć do tego... Spójrzcie-no tylko: wy wyglądacie jakbyście robili co chcieli, ja jakobym kąty wycierał; a jak zechcę, to zawsze na swoim postawię.

— Niechbym ja ci dał swoje miejsce, ino na miesiąc—rzekł Paweł wzdychając—a żebyś ty go tak kochał jak ja...

— A, ba! a po cóż go kochacie?

— A wy?

— E! ja swego nie cierpię, i dla tego nim trzęsę—rzekł po cichu mrugając twarzą skrzywioną Malczak.

Popatrzeni w milczeniu na siebie.

— Już na to rady nie ma! westchnął Paweł.

— To go porzucić.

— A co ja będę bez niego robił? On mi dawno daje chleb łaskawy, ale ja tego nie chcę: jam go od pieluch wyniańczył.

Gdy tak rozmawiają, zbliżył się ku nim właśnie ten, o którym była mowa. Paweł trącił Malczaka, Malczak syknął na Pawła; zamilkli.

Herman szedł bardzo powoli, z dziwnym na twarzy wyrazem. Paweł, który tylko co na niego gderał, został tém zdziwiony. Nagła jakaś zmiana wypiętnowała się na tém obliczu hrabi, zwykle silną wolą i energią nacechowaném. Bładość żółta powlokła miejscami rysy, które plamami gdzieindziej rumieniec gorączkowy zapalał. Szedł z usty zaciętymi, jak gdyby cierpiał mocno. Paweł, który go znał od dzieciństwa, a nigdy takim nie widział, zdjęty litością, zapomniał-

szy już o urazie, jaką miał, pośpieszył suwając nogami, które mu nie służyły, i zbliżył się ku niemu.

Malczak obyczajem swoim udał, że odchodzi, ale przystanął za drzwiami, aby rozmowy posłuchać.

— O! o! już ja widzę, że panu coś jest! zawołał Paweł. Ot, nie mówiłem? a po co było jeździć? a ziębić się, a gryźć, jakby to jegomość był tak młody, albo tak zdrów, że masz zdrowia na szafunek! Przyśięgam, że chory! i tu jeszcze, nie w domu! A jak ja tu jegomości dam rady? U siebie to ja pan, a tu...

— Cicho, cicho, Pawle: istotnie czuję się niebardzo dobrze.

— A co? nie mówiłem? Mnie kłóło i gadało, że my tu jeszcze zachorować gotowi! Pawle, nie puszczaj go, bo ci biedy narobi na śród drogi! A co! nie tak?

— Cicho! cicho! to przejdzie; ale mi bardzo nie-dobrze!

— Ot i bieda, którą przeczuwałem! Wiedziałem, że tak będzie! Ot tobie robota! wołał Paweł łamiąc ręce. A gdzie tu nawet pocziwego rumianku dostać, i tego do czego jegomość przywykł? Gdybym ja nie pamiętał o wszystkiem i nie wziął z sobą apteczki...

— Mnie nic nie trzeba, tylko spokojności, odpoczynku—rzekł Herman ciągle twarzą okazując boleść, która go trawiła. Chodźmy do mojego pokoju, zawołasz mi Żółtowskiego... Nic nie mów innym; jeśli się już kto będzie pytał, powiedz: To mała rzecz...

Mieszkanie Hermana było na dole, a choć Pawełek i ognia na kominie wcześniej był przygotował, wiedząc jak go pan lubi, i łóżko był usłał tak, że w głowy było wysoko, i woda z cukrem przez niego przyrządzona stała na stole, choć pokój zdawał się wygod-

ny, Herman wszedłszy poczuł jakieś dreszcze w za-
techłém powietrzu pałacowém.

Okryto mu nogi, siadł w krześle, i z oczyma
w ogień wlepionemi pozostał tak nieruchomy. Rumień-
ce coraz ustępowały bladości, wewnętrzne snadź jakieś
męczyły go bole, bo kilka razy syknął. Paweł w roz-
paczy, bezprzytomny prawie, pobiegł do dworku Żół-
towskiego, w drodze nie rozpoznając drzew od ludzi,
bo dwa razy do kasztana zagadał.

— Al panie mój miły—zawołał wpadając do izdeb-
ki—panu mojemu się coś stało, chory. Jakaście łaska-
wi, szlęście po doktora! Okrutny strach mnie przejmuje.
Mówilem mu, żeby się nie włóczył; ale stary uparty
pojechał po biedę, i ma. Nie wiem co mu takiego,
ale chory, mocno chory; kiedy zatnie zęby a pobiad-
nie i trzęsie się, ja wiem, że źle...

Żółtowski porwał się zaraz i pobiegł za Pawłem.
Przyszedłszy, znaleźli Hermana jak go Siermięzki po-
rzucił w krześle; ale mowę miał zmienioną, i zdawał
się walczyć siłą woli z owładającą nim coraz gwał-
towniej chorobą.

Skinął na Pawła, żeby odszedł, i pochwycił za rękę
Żółtowskiego.

— Proszę cię—rzekł z cicha—dowiedz mi się, co
się tam z nim dzieje.

— Chory pan jesteś?

— Trochę... ale dowiedz mi się o niego. Miał Mar-
tynko go szukać... Niechaj mu powiedzą, że chory
i bardzo chory: może go to skłoni...

Nie dokończył, dając tylko znak Żółtowskiemu,
który go dobrze zrozumiał.

— Poszlę po doktora...

— Nie potrzeba, to nic, przejdzie. Dowiedz się tylko o co cię proszę.

I wyciągnął się pogrążając w krzesło; ręką wskazał drzwi Żółtowskiemu z prośbą o pośpiech.

Paweł się tymczasem krzątał niespokojny, popłakiwał a lajał pana, to bolejąc nad nim, to przeklinając upór jego...

We dworze z przyspasabianych leków zaraz wszyscy dowiedzieli się o słabości, i gdy się wieść o niej rozeszła, brat i bratowa pośpieszyli do drzwi Hermana.

Rajmund bardzo był nierad temu, jak każdej rzeczy co go ze zwykłego stanu wyprowadzała. Bratowa z pocziwem swém sercem, szczerze chciała przynieść mu ulgę: ale ich wszystkich odprawił Herman, uśmiechając się dziwnie i zbywając potrzebą odpoczynku. Zostali więc sam na sam z Pawłem, który mruczał...

Hrabia wpatrzywszy się w ogień, po swojemu milczał uparcie.

Żółtowski nie tracąc czasu, pojechał zaraz do Robowa, ale tam nie znalazł Martynka, który był właśnie w pasiece, dokąd potrzebne przybory, po odbyciu paroksyzmu febry, znosił z troskliwością przyjaciela, chcąc biedną chatę uczynić wygodniejszą. W pół godziny dopiero czasu spędzonego na rozmowie z Ottonem, rozpytujacym o starego kolegę, przybiegł Martynko zmęczony chorobą i chodzeniem, osłabiony i zbolały.

— A cóż tam?

— Nic... trochę chory.

— Więc go szukać nie możesz?

Martynko milcząc ruszył ramionami; tu mu ciężko było klamać.

— To nieszcześnie, — a tu się nam stary rozchoro-

wał na biedę, i niczém mu leki, bo to o syna chodzi... A gdzie my go wyszukamy!

Martynko spuścił oczy, i choć dwa razy był już w pasiece dnia tego, poczuł, że przyjdzie mu się wlec raz trzeci.

— Czyż tak chory? zapytał cicho.

— On, jak wiem, lada dla czego się nie położy, nie stęknie z pieścizot. Musi być źle koło niego... Wszystko to ze wzruszenia, z niepokoju... Nie będziemy mieli czém go uspokoić.

— Powiedzcie mu—przerwał Otto— że Martynko już ruszył w pogoń, ale jeszcze nie powrócił; choć kłamstwem pobożném dacie mu przynajmniej nadzieję. Dodaj, że skoro wieści jakiej dostaniemy, ja mu sam przyjdę ją oznajmić.

Z tém Żółtowski musiał wkrótce powrócić do Zabrubic, gdzie nań oczekiwano. Herman, jak z wieczoru siedział w krześle, nie myśląc się kłaść, czekał; ale na twarzy jego znać było postęp choroby. Chwilami, co mu się nigdy nie trafiało, gadał sam do siebie, i jak się Pawłowi zdawało, niezupełnie przytomnie.

Na każde takie odezwanie się, Paweł chrząkał z kąta, aby mu przerwać i nie dopuścić bredzić, co mu się potężném na gorączkę zdawało lekarstwem.

Gdy wszedł Żółtowski, hrabia oprzytomniał zaraz.

— A cóż? zapytał.

— Jeszcze nic: Martynko nie powrócił.

— Niel więc zginiel mruknął stary; zginiel!—i spuścił głowę.

— Ale nie — odparł skłopotany Żółtowski — nie może on nam uciec; szukamy go wszyscy: bądź pan spokojny.

— Ja jestem spokojny — odparł hrabia podnosząc głowę — wiem co mnie czeka. Przez lat tyle oswoiłem się z moim bolem; stwardniałem na wszystko; wypadek ten mną zachwiał, wzruszył, zniepokoił daremnie... Potrzeba wrócić do pierwszej obojętności, i powrócę.

Żółtowski milczał, Paweł zbliżył się ku niemu ostrożnie, i udając, że mimo przechodzi dla wzięcia szklanki ze stołu, wskazując palcem hrabiego, szepnął mu w ucho:

— Już bredził!

— Co ty tam szepczesz, Pawle?

— Nic: pytałem się o waniekę na nogi, jakby czasem na wypadek była potrzebna.

Żółtowski popatrzał na obu.

— Posłałem po doktora, bądź spokojny — rzekł do Pawła; a hrabiego zapytał:

— Każesz mi pan tu trochę zostać z sobą?

— O! nie, nie! wiesz, że do ludzi nie przywykłem, prócz tych kilku, co mi tam w domu służą... samotnik jestem... Idź spać...

Wszystko to minie, dodał. Gdyby jednak co nadeszło nie tracąc czasu dawaj mi znać natychmiast.

Żółtowski wycofywał się powoli, ale mu na myśl przyszło, że lepiej doktora zwiastować.

— Do nas tu co tydzień przyjeżdża doktor Szemere, Węgier, stary pocziwy włóczęga; gdyby przypadkiem przybył do naszych chorych... możeby...

— Ale dajże mi pokój z doktorem! czy to który z nich leczy? Ty wierzysz jeszcze w doktorów, Żółtowski? zawołał śmiejąc się. Doktor każdy najlepszy jest dla siebie, zresztą na złamaną nogę lub nabitego guza; ale na to co we mnie siedzi i boli, taki głupi

jak i ja; tyle będzie wiedział co ja lub mniej jeszcze; tylko mnie znudzi w dodatku.

— O! Szemere nasz nienudny wcale — odparł Żółtowski,—przeciwnie aż nadto zabawny.

— Tém gorzej, nie cierpię zabawnych. Dajcie mi z nim pokój.

Żółtowski pokiwał głową i odszedł.

Prawdą a Bogiem, Szemere już był w domu; chodziło o to tylko, jak go wprowadzić; nie wątpiono bowiem, że sobie z hrabią da radę, byle raz wszedł i usiadł.

Był to dziwnego rodzaju człowiek, już średniego wieku, z rodziców Węgrów u nas zrodzony, bardzo przywiązany do kraju, a stworzony na doktora. Pan Bóg obdarzył go niezmiernie brzydką, ospowatą fizyognomią, czarną i tak jakoś ulepioną, że na niej jak na ciemnym papierze wyblakłego atramentu, żadnego wrażenia wyczytać nie było można. Oczka małe, nosek mały, usta niewyraźne, twarz miał dosyć otyłą i rozlaną; trochę włosów mało co od lica ogorzałego ciemniejszych kręciło się po łysinie; zresztą postawa pospolita była: ramiona szerokie, kształty zaokrągłone, ręce tłuste, nogi krótkie, przytém ubranie niepozorne, nie odznaczały wcale doktora Szemerego. Ale gdzie się pokazał, wyróżniał się w największym tłumie, bo jaśniał pocziwym wyrazem twarzy i wesołością, której zapas niewyczerpany z sobą nosił. Żartowano z niego, żartował on z drugich, a każdy mógł być pewien przystępując do niego, że się przy nim rozchmurzy. Wesołość ta nie była udaną wcale, pochodziła z temperamentu, z usposobienia, ze spokoju duszy. W wielkich razach chwilę popłakał, zakrywając się

chustką, w kącie; ale zaraz potém przybierał swą obowiązkową pierwszą wesołość, i szedł tak dalej drogą życia, ciesząc, ratując, i służąc jak mógł wszystkim.

Szemere nie był żonaty i nie myślał się wcale żenić, szydząc pierwszy ze swęj twarzy, która się nikomu podobać nie mogła. Pomimo ogromnej klientelli, nie był bogaty, bo i nie wymagał wiele, i rozdawał dużo. Życie mu szło jak je sobie urządził: cicho, jednostajnie, skromnie. Wszędzie lubiony i chwytny, gość rzadki w domu własnym, nie dbał o swój ką i czas spędzał na wózku i w gościnie; a tak mu wszędzie było dobrze, że zasiedziawszy się byle gdzie, już prawie wybrać się nie umiał, póki go nie wyciągnięto.

Jako lekarz choć wielkiej nauki, niebardzo jęj dowierzał; pilnował, radził, ale więcej w siłę ducha, w proste leki i środki, w naturę, niż w wymyślone specyfiki ufał.

Łagodny, leczyl raczję słowem niż lekarstwem. Kochano go też wszędzie od chat do pałaców, a choć nie był to człowiek bardzo wielkiego tonu i ogłady, wszędzie serce jego robiło mu miejsce pocziwe. Nie parł się zbyt wysoko, ale zepchnąć się też nie dał zbyt nizko.

Rodzaj filozofa, zawsze uśmiechnięty, wesół, prosty i szczery, duchem tak stał wysoko, że nikt go poniżyć nie mógł.

Szemere inaczej panem Józefem zwany, bo go pod tēm imieniem lepiej znano w okolicy, od godziny już był u hrabiny; szukano tylko sposobu wprowadzenia go do Hermana.

— Ale to najprostsza rzecz w świecie, rzekł

wreszcie sam doktor: ja jestem Eskulap z professyi, głodny na chorych, natrętny; mogę nie wychodząc z mojego charakteru i z charakteru stanu mego, wpaść obcesem na hrabiego, aby zobaczyć co mu jest. Złóżcie to na mnie: pogniewa się, to go rozśmieszę. Przytém zdaje mi się, że i my znać się musimy, bośmy do jednych szkół chodzili; a choć to stare dzieje, ale Otto, on, ja, na jednej ławie siedzieliśmy i nazywali mnie, pamiętam, z powodu pięknej mojej twarzy dziadkiem z piernika. Nie bójcie się państwo: byle mnie kto tam wprowadził, resztę biorę na moje barki.

Posłano po Żółtowskiego, który wszedł zaraz do pokoju hrabiny, gdzie się narady odbywały.

— Mój Żółtosiu, jak to tam doktora wprowadzić?

— A! nie wiem... innego tam doktora potrzeba.

— Jaki z ciebie, mój Żółtowski, stary tchórz! Ot ja ci powiem jak to zrobić... Idź mu powiedz: przyjechał doktor Szemere, nudziarz okrutny, który praktykuje gorączkowo w swojej sztuce; dowiedział się o chorym, i bez pozwolenia prze się tu gwałtem: gotów drzwi wyłamać... Dodaj, że to może przez chciwość, czy co tam chcesz, ogadać możesz; pozwalam... resztę ja biorę na siebie.

Żółtowski wyszedł zakłopotany, i po chwili powrócił.

— A co?

— Kiwa głową i niecierpliwi się.

— Nic nie mówi?

— Nic.

— A no! *qui tacet...*

I zabrał się żywo, całując rękę hrabiny, pośpieszając z Żółtowskim.

U drzwi hrabiego poprawił trochę włosów, obciągnął kamizelkę i wszedł na palcach za Żółtowskim, który go o kilka kroków uprzedził.

Herman jeszcze siedział w krześle naprzeciw komina.

— Otoż doktor gwałtem się uparł—rzekł Żółtowski nieśmiało.

Hrabia się podniósł.

— Ale do czego mi to?

— Do nóg upadam—odezwał się wsuwając pan Józef—sługa, służeczka... Dowiedziawszy się o chorym, darujesz hrabio, musiałem spełnić obowiązek. Przyśiegamy na to, że leczyć będziemy, i *volens nolens* musisz uleść fakultetowi. Ale najprzód mam honor przypomnieć mu dziadka piernikowego, którym jestem. Ha! nie pamiętasz hrabio? na jednej siedzieliśmy łąwie... tylko ja na brzeżku.

— A! Józef Szemere!—zawołał Herman podnosząc nieco głowę—pamiętam... Ale po cożeś przyszedł mnie nudzić?

— Bo to mój obowiązek. Doktor nie może być zabawny; toby nawet szkodziło jego lekarstwu: skutek ich na znudzonym daleko silniejszy.

Hrabia rzucił głowę z niecierpliwością, ale już Szemere ujął go silnie za rękę i pulsu się dobadywał.

Puls był gorączkowy i niespokojny. Puścił rękę.

— Jak pan jesteś zwykle? co cierpisz? jakie masz zdrowie?

— Dobrze: daj mi pokój...

Szemere patrzył pilno.

— Ej! *plica*—rzekł—podagra, żółć... komplikacyj do licha... Coś uspakajającego... Co tam pan zwykle bierzesz?

— Nic: morzę się głodem, leczę dyetą.

— Czasem wyborna rzecz, ale w późnym wieku... Tylko że to my niestarzy? Ej, hrabio! pamiętasz, jakeście mi to śpiącemu twarz kredą popisali w różne figle, utrzymując potem, że przez omyłkę wzięliście mnie za czarną tablicę. Patrzcie-no, i od tego nie wybielałem; tylko mi się na starość skóra pomarszczyła gorzej.

A po chwili dodał:

— Nie napiłbyś się co chłodzącego?

— Nie, nie; nie! tylko spokoju! odpowiedział hrabia.

— A rozmowa?

— Nie mogę mówić: niecierpliwi mnie.

— A jutro pozwolisz się odwiedzić?

Herman kiwnął głową. Szemere wysunął się po cichu ruszając ramionami.

— Co to jest? spytał go Żółtowski.

— Co jest, przyznam ci się, dobrze nie wiem — odpowiedział doktor — ale nic pocieszającego. Gorączka silna. Zgryzł się czy zgniewał?

— Sądzę, że oboje razem.

— Dla starego to źle: często taka rzecz zabija.

A co to tam takiego? nie możnaby znać powodu?

Żółtowski zamilkł jak kamień; Szemere popatrzał i nie pytał.

Noc przeszła dosyć spokojnie, ale w pokoju chorego nie zaszła żadna zmiana. Mimo nalegań Pawła, nie chciał się położyć i pozostał w fotelu. Dokładał drewek do ognia, a stary biedny Siermięzki drzeмиąc pilnował pana, nie chcąc się dać wyręczyć, mimo jego nalegań.

Siadł w kącie na stołku z tabakierką, zwiesił głowę na piersi, a że go sen morzył, więc to usypiał głęboko i chrapaniem się zdradzał, to nagle przebudzał się

i trzeźwił tabaką, mrucząc, rozcierając, otrząsając, aby utrzymać się przytomnym.

Było coś strasznego w téj postaci starca nieruchoméj, wyprostowanéj, siedzącej w krześle z okiem w ogień wlepioném, czuwającej i wstrząsającej się na każdy ruch i szelest, oczekującej i obawiającej się czegoś, na której czole troska głębokie ryła skiby.

Obok ten chudy, malenki, siedzący w kątku staruszek, niespokojny, ze łzą w oku, czatujący na skienienie, którego błyski ognia wyprowadzały z cieniów, a po chwili znowu ogarniała ciemność, dopełniał dziwnie obrazu. Cała tak noc minęła w milczeniu, a dla hrabiego w bezsenności; nic do ust nie wziął, o nic nie prosił, tylko gdy ogień dogasał, Paweł dorzucił głównię, zbliżając się na palcach, próbował zawiązać rozmowę i znowu cisza następowała a wśród niej wyrывało się kilka słów bez związku z ust Hermana, i rozbudzały Pawła, który wzdychał i chrząkał.

— Życia już nie przerobić! Jest wina, ale dla czegoż za nią dziecię ma pokutować? Niechby on był ocalony, tylko on; niechby powrócił. Ale darmo, i to darmo, spełni się wszystko: on nie powróci...

Gdy się to dzieje w Zarubińcach, Martynko dowiedziawszy się o chorobie hrabiego, choć sam zmęczony febrą, po raz trzeci wybrał się do pasieki.

Znalazł znowu Janka przed chatą na przyzbie, bo w izbie duszno mu zawsze było, oddychającego wieczorném powietrzem w towarzystwie dwóch psów pa-

siecznika, które już był sobie przyswoił, z oczyma w niebie, duszą w dumaniach.

— A! to ty? Pocziwy przyjacielu! cóż cię tu znowu przygnało? czy jakie niebezpieczeństwo? po co się włóczysz chory?

— Paroksyzm już minął.

— Masz co nowego?

— Niedobrze: ojciec twój nagle prawie zachorzał mocno...

Janko zamilkł, spuszczać głowę.

— Ja nie mam ojca—rzekł smutnie—ja nie mam ojca... Ojciec mój zowie się niewolą i upokorzeniem. Jam sierota.

— Słówko tylko—rzekł pocziwy Martynko, zbliżając się i biorąc go za rękę, a patrząc mu w oczy. Ty nie masz ojca, ale on jeszcze ma syna; on cierpi, on boleje, on chory, on umrzeć może... a ty mówisz, że nie masz ojca?

— Któż ci powiedział, że on jest moim ojcem? Węzły między nami zerwane, ja chcę być swobodnym, jam już przywykł do tego, i za nic nie zmienię życia. Czémże mi zapłacicie niewolę? imieniem, którego nie potrzebuję... jestem Janko Zbój; bogactwem? którego nie chcę, bo mi dosyć czarnego chleba i szarój sukni, a pieszczot ojca i matki mi nie dacie. Dość tego!

— No, to dosyć! rzekł Martynko powoli; dosyć na dziś, ale zważ Janku, że co człowiek czyni dla siebie, nie nakarmi jego duszy. Człowiek jest dla ludzi: lżejby ci było, gdybyś co uczynił dla starca; masz obowiązki...

Janko się porwał.

— Jakie obowiązki? zawołał. Nie rozumiem cię!

Życie, to ciężar, który mi dał do dźwigania; a dalej męki, upokorzenia, niewola: za cóż mam mu być wdzięczny?

— Za miłość jego ku tobie, odparł Martynko. Ja jestem proste i niepojętne stworzenie, ale ja to inaczej jakoś widzę. Tyś rozumniejszy odemnie, ale możesz i mnie posłuchać: niech powiem co myślę.

— Miłość może być różna: on kochał mnie dla siebie.

— Mylisz się, on chciał ci dać szczęście jak je sam pojmował, to, w którym widział zbawienie; tyś nowicyatu tego szczęścia wytrzymać nie mógł... czyja wina? Jednak wyznaj z ręką na piersi: czyż nie jemu winieneś, żeś silny, że umiesz nędzę znosić i nie boisz się tego, czego unikając drugiby się upodlił?

Janko milczał.

— Czyń jak ci się podoba, zawołał Martynko: ja muszę mówić co myślę. Dać skonać starcowi dla tego, by sobie uchować to, co zowiesz swobodą,—cóż to jest, jeżeli nie najszałeńszy egoizm, uświęcony dziką miłością niezależności, a w rzeczy dumą tylko jakąś i rozpustą fantazyi. Ja cię kocham, Janku, ale nie rozumiem.

— Zrozumiesz mnie lepiej może, gdy ci się wytłómaczę, odparł chłopak wstając. Ja nie od ojca uciekam. Może zdobyłbym się na ofiarę dla niego, wymógłbym na sobie poświęcenie; ja uchodzę od tego świata, z którym on mnie zwiąże i okuje. Znasz ty ten świat? Nie, boś dziecko pocziwego dworku, gdzie jeszcze panuje prostota, na którego straży stoi człowiek z wielkiem sercem, z wielką duszą; ale nie masz nawet przecucia tego, co czeka ludzi noszących więzy

tytułu, majątku, imienia i stosunków. Jam dzikie stworzenie, ale mam instynkt zachowawczy, który mi powiada, co mnie tam czeka. Dziś ja śmiało wyznaję moją wiarę i przekonanie, mówię co myślę, robię jak czuję i nie oglądam się na nic; wdziękając tylko suknię ich, jużbym włożył obyczaj. Tam nic powiedzieć nie wolno: prawda zowie się nieobyčajnością; popieranie swojego zdania, brakiem wychowania; zwyczaj zmusza cię do podłości; stosunki, do podawania ręki temu, kogo nie szanujesz; tam sto razy na dzień kłamać musisz twarzą, usty, czynem, mową, humorem; tam całe życie jest szeregiem kłamstw jednym. Na to oburza się moja natura, wzdryga serce; chcę pozostać sierotą, ubogim, ale swobodnym i sobą. Nie innéj ja żądam swobody, tylko móźdz zawsze mówić prawdę i postępować jak ona każe.

— Dla czegożbyś tam właśnie o nią walczyć nie mógł i wyznawać jéj nie miał?

— Bom może za słaby, i czuję to, rzekł Janko; boby mnie powoli spętały więzy złote, ułagodziły uśmiechy, zawstydziła obyczajność ich gładka i blada; boby z razu burzył się, potém ostygł i cierpiał, narreszcie stracił wiarę we wszystko i spytał: „Co jest prawda?“ nie wiedząc już, czém ona jest...

Chcę być człowiekiem...

— Czemuż tam wśród nich człowiekiem być nie masz?

— Mówię ci, żem słaby.

— Ty! uśmiechnął się Martynko—ty?

— Tak, ja... jak my wszyscy. Całą siłą człowieka jest nie pić, gdy napój go odurza; nie walczyć z tém, co go ma obalić. Wszyscyśmy tacy: najsilniejszy charakter rzuć w ten odmet fałszu, a ufarbujesz go na

czarno jak w kotle farbiarza; najczystsza cnotę daj w zapasy z maluczkiemi podłostkami, a zjedzą ją jak mole nieznacznie.

Martynko mu przerwał.

— Takby było może—rzekł—gdybyś nie wiedział, że tak być musi; ale mi się zda, że kto wie, co mu zagraża, potrafi zawsze niebezpieczeństwa uniknąć. Walka dodałaby ci siły.

— Na chwilę; ale wszystko się wyczerpuje...

— Zresztą i o tym świecie ty masz, zdaje mi się, fałszywe wyobrażenie; ja go znam z tego tylko, co Otto o nim mówi, co słyszałem, ale lepiej o nim trzymam. Czyż nie ma tam ani charakterów, ani ludzi, ani wielkich umysłów, ani serc uczucia pełnych?

— A! są może, może były, rzekł Janko; ja nie wiem. Ale w tych warunkach, w jakich żyć muszą, to męczarnie, to w końcu zmalenie, osłupienie, milczenie, bezwładność, śmierć. Chodzą oni po tym świecie pokazywani palcami, wyszydzani po cichu, omijani z daleka, nie mając do kogo przemówić słowa, widma i upiory. Ale ja młody, ja potrzebuję życia, powietrza, swobody, natury; ja chcę żyć, ja mam prawo.

Martynko się uśmiechnął, patrząc z dziwem i tęsknotą na Janka.

— Masz prawo! Każdy z nas—rzekł—ma jedno tylko prawo, z którym się urodził: prawo żyć i cierpieć!

— Dla czego cierpieć?

— Bo szczęście nie byłoby życiem, powiada Otto—dodał Martynko, jak zawsze opierając się na słowach mistrza,—bo szczęście, to widzenie niebios przeniesione na ziemię, roślina z cieplejszej strefy, która tu u nas choć się przyjmuje, nie kwitnie...

— O! o! jużes stary! odparł Janko klepiąc go po ramieniu—stary! stary! a ja jestem młody i chcę takim być, pozostać tak długo jak tylko można.

Zamilkli oba. Martynko silił się biedny, mimo osłabienia, na argumenta i przekonywania, ale już tracił nadzieję. Nareszcie dodał po chwili:

— Tak! uczynisz—rzekł — co zechcesz; ale gdyby starzec wołając ciebie umarł, umierając przeklął, nie chodziłoby za tobą jak widmo przekleństwo ojca? nie ciążyłoby ci całe życie? Cóż zabroni ci potem zerwać ze światem, a poślubić pustynię i żywot swobodny? Któż ci zabroni być sobą?

— Ha! może ja sam—rzekł Janko smutnie.

Ale te słowa wymówił złamany i padł na przyzbę, podpierając głowę rękami. Włosy jego długie opadły mu strumieniem na barki, łzy zakreśliły się w oczach. Zakrył twarz, na której widać było niepewność i cierpienie.

Martynko jeszcze chciał mówić, ale go już Zbój nie słuchał; poszedł myślą daleko.

Czuł przybyły, że nalegając dłużej, nic nie dokaże, i przebywszy chwilę jeszcze z przyjacielem, opuścił go wlokąc się nazad do Robowa złamany i chory. Tu przybywszy położyć się musiał, tak go reszta sił opuściła, a myśl jedna ciągle kołowała mu po głowie.

— Co tu począć? jak tamtego starca pocieszyć? jak Janka nie zdradzając, ocalić?

Długo w nocy mówił z Ottonem, naradzali się, spierali, a nazajutrz rano Marzycki poszedł do Żółtowskiego. Staruszek siedział u siebie i papiery jakies przeglądał.

— Jak się ma Herman?

— Bardzo źle.

— Jest niebezpieczeństwo?

— Nie wiem, doktor nadrabia wesołością, ale w rzeczy zafrasowany, nie wie co począć. Hrabia Rajmund rozpacza, myśląc wcześniej o kłopotcie, jaki mu zrobi Herman, jeśli nagle zamrze i dom zamąci.

— Zawsze egoista.

— Szemere powiada, że choroba tu rzecz do-datkowa, która przyszła z tego, że duch nie panuje ciału, równowagi utrzymać nie może. Jego zabija myśl o straconém dziecięciu.

— Chciałby je odzyskać, aby męczyć znowu?..

— Ale bo...

Żółtowski ukąsił się w język.

— Co tu mówić o tém czego nie znacie! W grun-cie dusza pocziwa, ale dziecko kochał po swojemu.

— Wada wszystkich miłości, prócz kobiecej.. No! ale gdyby syna odzyskał, jak myślicie, coby robił? spytał Otto.

— Najprzód, niechybnieby ozdrowiał! odparł Żółtowski, patrząc mu w oczy i bojąc się za nadto powie-dzieć.

Marzycki zamyślony począł chodzić po pokoju.

— Zaprowadź-no mnie do niego.

— Nikogo nie przyjmuje.

— Ale mnie przyjmie.

Żółtowski zawahał się, ale poszli razem.

W pałacu cicho było zawsze, teraz jak w grobie, u drzwi stał tylko Malczak w pantoflach, lecz skrył się zaraz, gdy przychodzących zobaczył.

W przedpokoju Hermana siedział Paweł i gderał pod nosem, ale popłakiwał razem, a chustką kraciastą ocierając łzy i tabakę razem, dziwnie sobie twarz po-

pisał. Widząc przybywających, wstał powoli i piersią chciał bronić przystępu do pana.

— Nie można—rzekł.

— No, no! puść nas! odpowiedział usuwając go Żółtowski.

— Nie!—zawołał Paweł cicho, ale bardzo stanowczo.

— Cóż? śpi?

— Nie.

— No, to lepiej mu będzie, gdy go rozerwiemy.

— Nie,—on się tak wysumuje, wytrawi, i jak to nie pomoże, to nic. Ja jego znam od dziecka. Bywało jak mu co nie dopisze, to się zamknie na cztery dni, nie je, nie pije, nie gada do ludzi, nie wstaje z krzesła; potem raptem otworzy drzwi i wyjdzie rzeźwy, jakby nic. Jemu się trzeba dać przetrwać.

— Ale może my mu skuteczniejsze od tego i prędzej niesiemy lekarstwo, rzekł Otto. Puść, mój stary. Tak to się przebolewa w młodości, ale nam! o! nie! Za każdą bitwą taką traci się część siły co zwycięża, potem już nie ma sposobu. Jeśli nie puścisz, będziesz żałował, stary.

Paweł napół przekonany, zawahał się.

— Wejdźmy, rzekł Otto. Bądź spokojny, gwałtu mu nie zrobimy.

— A no... to uważajcież sami—odpowiedział Paweł kręcąc tabakierkę, i powoli podsuwając się ku drzwiom, które uchylił ostrożnie.

— Dziękuję cię boża; ale mu się nie sprzeciwiajcie.

Hrabia wciąż siedział tak w krześle jak go porzucili oczy wlepiwszy w komin i ogień, który dla niego był,

jakaś rozrywką, i działał nań jakoś magnetycznie. Nie zwrócił się ku nim, gdy weszli. Twarz jego nagle wychudła, żółta, oczy wpadłe, nic dobrego nie wróżyły; samo głębokie zamyślenie zwiastowało, że boleść go opanowała.

Otto podał mu rękę, nie chcąc widzieć cierpienia.

— Co ci to, kochany Hermanie?

— Nic, teraz już nic.

— Powinienbyś się dźwignąć, zmusić, to czasem pomaga. Trzeba gwałt sobie zadać. Ja znam takie upadki ducha.

Hrabia się uśmiechnął, odwrócił i ruszył ramionami.

— Ty tego nie znasz, rzekł; bom i ja tego nie znał, co mnie teraz napadło. Człowiek całe życie broni się wszelkim słabościom, aż gdy podupadnie, na raz się one mszczą na nim, obsiadając go ze wszystkich stron. Któż tam jest drugi? spytał rozglądając się. A! Żółtowski! No, siadajcież, a nie śmiecie się ze mnie.

— Rzec wcale nie do śmiechu, odezwał się Otto.

— Owszem, śmieszna, gdy się ją weźmie tak, jakem ja ją niedawno sam uważał. Stary, żył sam i dobrze mu było z naładowanemi workami; na raz napadła go tęsknota, głupil. Po kimże? po dziecku, które się go zaparło; po więzach, od których całe życie starał się być wolnym; po kłopotach i biedzie...

— Ale to uczucie święte...

— Jak dziś u mnie, to tylko może chimery chorego człowieka, któremu się czegoś z nudów zachciało.

Żółtowski ruszył ramionami; Otto zaprzeczył.

— W tém nie ma nic dziwnego... chcesz sobie tylko dziwnie to tłómaczyć. Psujesz sobie życie

i dręczysz serce takiem wynaturzaniem się. Uczucie święte i prawe, na co się go zapierać? Żeś długo żył bez niego, to się nie chwali.

— A wiecież co cierpiałem? spytał stary z cicha, spuszczać głowę.

— Jakże pan się dziś czujesz? przerwał umyślnie Żółtowski.

— Prawdziwie sam nie wiem... Wasz doktor widzi w tém chorobę, chce dać pigułki, namawia na *calman-sy*, a serca niemi głupiego nie ochłodzić.

Zamilkli trochę.

— Nie wiecie nic jeszcze? spytał hrabia po chwili. Wrócił ten chłopak?

Otto długo myślał, nim odpowiedział. Milczenie jego zdawało się coś zapowiadać; stary poruszył się i podniósł; widać było, że go ożywiała nadzieja.

— No, mów! wiesz co?

— Posłuchaj-no—przerwał Otto. Jakielkolwiek są twoje o tém pojęcia, jakkolwiek i ja potępiam dziecko płochę, nie możemy jednak oba nie poszanować w niém charakteru i męskiej siły.

— Mówże-no, mów, bez wstępów! przedmowy się domyślę! machając ręką, rzekł stary. Znaleźliście go?

— Znaleźli! rzekł Otto spokojnie.

Na te słowa, choć dotąd siedział złamany, hrabia podniósł się nagle, pchnięty jakby sprężyną, wyprostował się, i cały drżący wlepił oczy w Ottona.

— Znaleźli — powtórzył Otto,—ale dla ciebie on stracony, jeśli mi wprzód nie dasz słowa.

— Dziwny jesteś! cóż? widząc mnie, boisz się jeszcze o niego?

— Nie, ale to dziwne dziecko; poznałem je; choć w błędzie jest, pobrażyć mu potrzeba.

— Ma charakter i tego mi dosyć; oddaję mu sprawiedliwość, nie obawiaj się.

— Nie lękam się o dziś, boję o jutro...

— A! jutro nie nasze! westchnął Herman — jutro, mgły i ciemności. Powiedz mi najprzód gdzie on jest? co robi? wstrzymaliście go? przyjdzie tu?

— Najprzód rozmówmy się otwarcie... rzekł Otto. Wiem gdzie jest, ale ci tego, nie obwarowawszy się, nie powiem... Wstrzymaliśmy go, przyjść jednak nie chce czy nie może.

— Jeszcze się mnie boi?

Otto milczał.

— A więc pozwólcie, ja pójdę do niego, rzekł stary. Trzebać mi przecię dziecko odzyskać; potrzebuję go, chcę mieć, powinienem. Chodźmy!

I choć nogi pod nim drżały, stał z wlepionemi w Ottona oczyma, jakby go chciał wyrwać ztąd zaraz i za sobą pociągnąć.

— Chodźmy, powtórzył.

Otto się nie poruszył.

— Pójdziemy— rzekł—ale wprzód musimy pomówić otwarcie i szczerze... Syn twój wie o tém, żeś go poznał, że chcesz go odzyskać; wie, żeś chory, a boi się jeszcze powrócić do ciebie. Nie wiem jak się z nim obchodziłeś, że stracił dla ciebie serce; ale ja nie chcę go wydać na nowe męki, które tobieby żyć skróciły, jemu zatrwały.

— Ale ja nic nie chcę, tylko go odzyskać! zawołał Herman. Więc i ty mnie masz za jakiegoś tyrana? Człowieczel! wierzysz temu?

— Widzę, słyszę i wierzyć muszę. Zaprowadzę cię do niego, ale pod jednym warunkiem... dodał Otto.

— Zgadzam się na wszystko... ale go zobaczę?

— Zostawisz mu wszelką swobodę.

— Nie myślałem i nie chcę go zamykać; uczyni co zechce.

— Wiem, że się obawia żyć w świecie, który zna trochę ze złej, trochę z prawdziwej jego strony. Jest to dusza, której potrzeba oddychać wolnym powietrzem pól i swobodą wiejską; nie zmuszaj go do zmiany życia.

— Ale niech czyni co mu się podoba! Przystaję, zgadzam się na wszystko... Idźmy!

— O! o! za pozwoleniem! przerwał Żółtowski: ja pana tak nie puszcze bez doktora; to wszystko dobre, ale pan sił nie masz... potrzeba się poradzić... może poczekać...

— I! radzić się doktora! ruszając ramionami rzekł szydersko Herman: dajcież mi pokój!

Żółtowski mrugnął na Ottona.

— A! nie, nie; od tego nie odstępimy.

Hrabia żymał się, ale już i Żółtowski i Paweł, który coś podsłuchał, pobiegli do Węgry, zabawiającego hrabinę opowiadaniem o dalszym ciągu koncertu, to jest o przygodach Maksa i półkownikowej. Korzystając z odejścia Loli, która pobiegła do ogrodu po ulubione kwiaty dla matki, doktor trochę się zabaawił kosztem wdowy i jej ideału.

— Ale to już całe sąsiedztwo wie, pani dobrodziejko, mówił—tak nagle i impetyczna miłość ich oboje napadła, że się jej oprzeć nie mogli. Opowiadają, że się jej formalnie oświadczył w formie *andante amoroso*, że go przyjęła *con gioia*, i że jakoby nawet zaręczyny wkrótce nastąpić mają.

— Doktorze, jesteś nieznośnie złośliwy!

— Ja, pani? Gdybyś pani posłuchała co inni mówią, mogłabyś moją dyskrecję ocenić. Bo drudzy opowiadają, że ona jemu się oświadczyła pierwsza, że trzeciego dnia dali sobie słowo i posłano zaraz po indult do księdza pasterza; aby co najprędzej szczęścia skosztować.

— Doktorze! wiesz przecie jak ludzie łatwo prawią niestworzone rzeczy...

— Na ten raz ja, przyznaję się, skłonny jestem wierzyć.

— Ja, nie.

Żółtowski wszedł właśnie, i ażeby nie mówić, mrugnął na doktora, który wstał i pośpieszył ku niemu.

— A co? nie gorzej nasz chory?

Żółtowski kiwnął głową.

— Na co wam doktor potrzebny? przerwała hrabina.

— Żeby powiedział, czy może jechać?

— Jechać!

— Niech pani będzie spokojna, odpowiedział krótko po swojemu stary: wszystko będzie dobrze. Chodźno, doktorze...

Szemere pośpieszył żywo.

— Taka rzecz, rzekł po drodze Żółtowski: że on chce i potrzebuje jechać... Otoż... czy mu to nie zaszkodzi?

— To zależy... zobaczmy.

Weszli. Hrabia znieczcierpliwiony zwłoką, stał prawie drżący.

— Doktorze! zawołał postrzegłszy go w progu: bierz puls, czy każ sobie język pokazać, a gadaj prędko, że jechać mogę, bo moim siłom i ochocie mniej

wierzą niż twojej nauce; jak gdyby człowiekowi, który *chce*, mogło kiedy zabraknąć siły.

— To teoria doskonała, odparł Szemere; ale wola dobywa tylko z człowieka co w nim jest, póki jest,— z próżnego nie należy...

To prawda, że ona umie najlepiej wycisnąć zaoszczędzoną siłę; ale gdy jej nie ma...

— Ależ powiedz im przecie, że ja ją mam; bo gdzieżby się podziała? Oszczędzałem przez lat tyle, nie zużyłem; muszę mieć.

— Ha! ha! rzekł doktor; to także tajemnica natury, że wiele rzeczy w człowieku nadużycie niszczy, a wiele nieużycie zamarza.

— To już uczone brednie.

— Opinie są wolne... chyląc głowę odparł Szemere; siły się wyrabiają, ale zobaczymy nie wyrokując *a priori*. Przejdź-no się pan po pokoju, daj mi puls.

Hrabia spełnił polecenie, z oznakami niecierpliwości.

— A teraz jeszcze—rzekł doktor—muszę popełnić niedyskrecję. Proszę mi powiedzieć, jakiego rodzaju jest cel podróży? czy stan pogorszyć, czy polepszyć może?

Otto podchwycił:

— Powinien polepszyć.

— Hm! wolałbym, żebyś pan tak prędko nie jechał; ale zważywszy, że na upór lekarstwa nie masz, a hrabia pewnie jesteś uparty...

— Bardzo! dorzucił Herman.

— Nie było się nawet o co pytać.

— Więc jedziemy! Pawle — zawołał na starego— natychmiast jedziemy!

Siermieżki wpadł drepzcząc z zapytaniem:

- Do domu?
— Nie! Jedziemy... i obróciwszy się rzekł do Ottona: — Dokąd? — rzekł.
— Do mnie.
— Trzebaby się ubrać.
— Nie, nie, jechać! natychmiast jechać!
— Jest zaprzężona bryczka moja, ale...
— Całe życie jeździłem bryczkami; siadajmy...
— Ale możeby się pożegnać? spytał Żółtowski.
— Wszak wrócimy — dodał niecierpliwie Herman.

Doktor patrzył i głową tylko poruszał. Oprzeć się energii, z jaką natychmiast domagał się jechać Herman, nie było podobna. W kwadrans już siedział na bryczce, i choć pochylony i widocznie cierpiący, powoli sunął się do Robowa, sykając tylko na to, że konie wstrzymywano, ażeby nie strząsł się bardzo.

— Jest tu? spytał dojeżdżając do dworu Ottona.

— Nie, ale go zaraz znajdziemy. Hrabio, jeszcze raz słowo: bez żadnych wymówek i swoboda zupełna.

— Jestem ojcem i mam serce ojca! odparł Herman: wierzaj mi.

W Robowie było pusto. Martynko leżał chory, Maks siedział teraz od rana do wieczoru u półkownikowej... ani żywej duszy.

Stary wysiadł żywo, ale go siły zawiodły, i ledwie przeszedłszy pokój, musiał odpocząć, tak się czuł osłabionym; krótka podróż zwiększyła znacznie gorączkę.

— Oczekiwanie — rzekł do Ottona — zje mnie gorzej niż samo spotkanie. Złe czy dobre, co ma być, niech się stanie.

— Natychmiast! Ale Martynko choć chory chce cię widzieć: ubiera się, przyjdzie zaraz.

Po chwili wszedł biedny chłopak, choć blady i znękany febrą, której drugi paroksyzm właśnie go był pochwyił; oczy jego zaczerwienione dowodziły łez nieoschłych jeszcze; zbliżył się, i schylając ujął staro-
go za rękę.

— Drogi mój panie, rzekł: jam się ulitowałem nad tobą; nie uczynię mnie zdrajcą, który pęta kładzie na zbiegłego niewolnika... Wydaję go na miłość twoją, ale nie na nienawiść i zemstę... Pomnij, że to dusza chora, że to dziecko sierota, co cierpiało wiele, że to jedyny syn twój.

— O Boże! za kogoż wy mnie macie, z temi waszemi zaklęciami! wykrzyknął hrabia łamiąc ręce.

— A oto są pieniądze wasze... dodał Martynko składając je przy nim. Musiałem je wziąć, by nie obudzić podejrzeń; ale zatrzymywać dłużej nie mogę.

— Zostaw je sobie.

— Nie, rzekł chłopak — nie! Przyjąłbym dar od pana, bom ubogi i młody, miałbym go za ojcowską pomoc; ale dziś, tak nie mogę... Byłyby to srebrniki za sprzedane łzy przyjaciela. Gdyby nie ojciec—dodał wskazując Ottona, nie uczyniłbym tego nigdy.—On mi kazał, jemu jestem posłuszny; pełnię ślepo wolę tego, któremu przywykłem za rodzica uważać...

To mówiąc, zapłakany powoli wysunął się z pokoju.

— Miałem słuszną przecię, rzekł na pół do siebie Herman. Choć mnie nie zrozumiano. Otoż jak wychowuje nieszczęście, zła dola, ubóstwo, na które syna wystawiałem umyślnie! Żaden z tych paniczów miękkichowanych, nie odrzuciłby grosza, choćby za nie wiem jaką usługę...

Nic mu nie odpowiedziano.

— A teraz—rzekł Otto—w Imię Boże, jedźmy. Mo-

żemy bryczką podjechać pod samą pasiekę, w której jest syn twój; dalej przejdziemy piechotą.

— Pieszko, bryczką, jak chcecie, aby prędzęj, aby prędzęj! odezwał się chwytając hrabia, który wsparty na lasce, słowa nie mówiąc, śpieszył za swym przewodnikiem.

Wieczór już był, gdy się do pasieki zbliżali. Janek a raczej Juraś (bo tak dawniej go nazywano) usnął był znużony na posłaniu z siana w ubogiej chacie.

Wcisnęli się powoli do pasieki przez ogródek, i Otto wiedąc za sobą niecierpliwego ojca, wszedł po cichu do jedyniej przyciemnionej izby, w której Juraś spoczywał głębokim snem ujęty.

Stary, który się stawał coraz bledszy, któremu oddechu brakło, który się mieszał, wstrzymywał, śpieszył i znowu cofał, jakby z jakiejś bojaźni, rad był, gdy ujrzał dziecko swe uśpione. Miał czas ochłonąć i przyjść do siebie.

Szmer otwierających się drzwi i wchodzących osób nie obudził Jurasia. Piękne rysy jego, oblane spokojem, otoczone jasnych włosów puklami, ciało męskiej i silnej budowy, przypominające dawnych średniowiecznych rycerzy, wpadły w oczy hrabiemu, który stanął i zapatrzył się na syna, a łzy po bladej popłynęły mu twarzy. Otto milczał, z obawą oczekując przebudzenia, usiłując wyczytać ze starca, co pocznie i jak przemówi do dziecka.

Długą chwilę spoczywał tak Juraś, potem lekko drgnął, powiodł ręką po białem czole, otworzył oczy, i ujrzawszy ojca przed sobą, osłupiał. Zerwał się na pół, patrząc i niedowierzając jeszcze: sen to czy jawa?

— To ja jestem, dziecko moje... rzekł wreszcie ci-

chym i drżącym głosem Herman. Tyś nie chciał do mnie, ja przychodzę do ciebie; nie żeby ci odebrać wolę, ale aby cię całkiem oswobodzić. Byłeś dzieckiem, chciałem cię żelazną ręką na męża ukształcić: dziś jesteś mężczyzną i podaję ci dłoń jak bratu. Nie bój się mnie, nie uciekaj. Ja sam jeden na świecie: między litość nademną. Nie obawiaj się: niczém, nawet miłością moją cię nie zwiążę...

I głosu mu zabrakło. Staął, badając czy wyrazy jego uczyniły jakie na synu wrażenie, szukając w twarzy jego nadziei.

Surowy ten, nieubłagany człowiek, dziś znękany i zbolący, błagający dziecię własne, przedstawiał obraz, który łyzy wycisnął z oczu Ottona.

Juraś uczuł się tak poruszonym, że mu słów zabrakło w początku; ale twarz jego malowała, że to uczucie dumy i niepodległości, które trzymało go dotąd, potargane odpadło z serca.

Powstał powoli i pochylił się milczący do nóg ojca, który głowę jego chwycił jak spragniony porywa naczynie z napojem, długo mu odmawianym, i przycisnął ją do piersi łkając, zanosząc się od płaczu.

W téjże chwili siły go opuściły, zachwiał się, i Otto ledwie pośpieszył przystawić mu ławę, na którą upadł.

Obaj milczeli. Ojciec drżący trzymał go za rękę; Juraś zmieszany, rozczulony, bojaźliwy, patrzył nań, lękając się przemówić słowa.

— Więc ja mam syna!... zawołał nareszcie stary, chwytając go znowu w objęcia. Ale nie! poprawił się: wiem wszystko Jurasiu; nie obawiaj się, swobodnym będziesz, uczynisz co zechcesz, pójdziesz gdzie ci się podoba, nie wstrzymam cię, nie spętam; będziesz

żył w takim kręgu, jaki sobie obierzesz. Bądź mi tylko synem, niech cię widzę, niech twoja przyszłość łączy mnie ze światem i żywymi ludźmi, bom ja dziś trup i niedogasły popiół tylko... Nigdy ci nie wspomnę przeszłości.

— Nie, nie! to nadto! odezwał się nareszcie złamany chłopiec, którego ta dobroć i ofiara złamały — nie! jam winien, srodze winien, i życiem mojem obowiązany jestem zapłacić to szaleństwo, które popełniłem będąc dziecieniem. Duma tylko nie dozwalała mi powrócić, obawa słusznego gniewu twojego, mój ojcze... Jam winien, ty nic: tyś ojciec, tyś czuł przy sobie prawo wyrobienia powierzonych ci duszy tak, jak ci się zdało lepiej... Jam był szaleńcem; przebacz mi, daruj!

— Nie mówmy o przeszłości ani słowa! odparł hrabia. Ale się już mnie nie obawiasz?

— Nie, mój ojcze.

— I opowiesz mi szczerze, otwarcie, coś przecierpiał, co przebyłeś, gdzieś się błakał, czegoś doświadczył? Wszakże choć przeszłość twoja należy do mnie, gdy z teraźniejszości nic ci wziąć nie chcę i nie mogę. Oto świadek uroczystego przyrzeczenia, Jurasiu — do dał, wskazując Ottona: — niech on usłyszy ten ślub mój, że ci daję zupełną swobodę.

— Ojcze mój, ja powiem teraz: nie mówmy o tém.

— A! jaki on piękny! zdrów! silny! rzekł wpatrując się w niego hrabia.

— Bo bieda i niedostatek najlepiej wychowują, odparł Juraś. Wyszedłem, dzięki tobie, od razu zahartowany, a tam gdzieś był, musiałem albo się zepsuć zupełnie, albo za łaską bożą takim dębem dzikim wyrosnąć, jakim mnie widzisz, ojcze.

— Tylkoż, kiedy Bóg dał tak wszystko dobrze skończyć — przerwał Otto — nie siedzmy już dłużej w téj biednej chacie, gdzie i ojcu choremu nie najlepiej, i synowi duszno.

— Jam już do chat przywykł! rzekł Juraś.

— Ale nie ojciec.

— Więc jedźmy do Zarubiniec.

— Do Zarubiniec? — zawołał Juraś — a! ojciec, znowu do tego straszego pałacu.

— To do mnie — przerwał Otto — do chaty...

— Gdzie on zechce... dodał hrabia. Gwałtem nie ciągnę go nigdzie. Dałem słowo i dotrzymam. Nie zmuszam do żadnego życia; ale należałoby choć na chwilę stryjowi, stryjence, siostrze się pokazać. Kobiety zwłaszcza pocziwe i dobre istoty. Ale jeżeli ci to...

— Nie! nie! zawołał Juraś mężnie: bądź co bądź, mogłem to zrobić dla Maksa, jakżebym nie uczynił dla ojca? Tylko mi tam nie kaźcie mieszkać, nie kaźcie żyć, ani przebierać się i stroić.

— Masz własną wolę, zrobisz jak ci się podoba; w domu stryja jak we własnym możesz być swobodny.

— No, to już moja ofiara odrzucona! rzekł Otto.

— Ale nie, kochany przyjacielu! przerwał rzucając mu się na szyję Juraś. U ciebie mi było tak dobrze!

— Mogę ci słowo powiedzieć? spytał ojciec.

— O! co chcesz, ojciec...

— Więc od razu szczerze. Wiem, że się boisz świat; dowód to, że się do niego będziesz stosował. To źle: wnijdź weń nie jako bojaźliwe pacholę, ale jako człowiek ze swoim przekonaniem, obyczajem, myślą, słowem; rozśmieją się może, poszanują pewnie.

Zrozumieją cię czy nie—dodał— ale nikt nie poważy ci się urągać. Tylko ekscentryczność, która jest rachubą i komedią, wzbudza szyderstwo i niewiarę; ale szczere i pocziwe wylanie się z charakterem nigdy. Wszędzie możesz i powinieneś być sobą...

— I będę! rzekł Juraś, podnosząc głowę.

Ojciec pocałował go w czoło.

— A nie uciekaj mi już — dodał wzruszony.

— Nie! ale nie obcinajcie mi skrzydeł. Wolny pójdę wszędzie za tobą; spętany nie zniosę więzów.

— Nie bój się, jeszcze raz: jesteś panem swęj woli i życia, jam już przyjaciel nie ojciec. Pojmuję to, że są charaktery i ludzie, którzy w zawisłości wiecznej żyć nie mogą. Idźmy razem...

I uderzył go po ramieniu.

Weselsi wychodzili z chatki, a Otto uradowany uśmiechnął się, poglądając na to spokojne zakończenie dramatu, który dniem wprzód nie obiecywał tak spokojną rozwiązać się sceną.

Ale szczęście ziemskie błysk to tylko i chwila. Jasny promień słońca zachodzącego padał na twarze ich rozrzucone i pogodne, gdy wychodzili. Hrabia, który dotąd siłą wielkiego wzruszenia tylko utrzymywał się, począł się znowu chwiać na nogach i pochylił osłabły. Otto przytrzymał go, ale na twarzy postrzegł bladłość straszną i zmianę jakąś nagłą, niezmierną.

W téjże chwili starzec chwycił się za piersi i poczuł jakby wyziew mogiły przelatujący po nim; oczy stanęły mu słupem, usta wysilone otwały się na jakiś wyraz, którego wymówić nie mogły, ręka zwróciła się ku synowi i opadła bezwładna. Został ruszony paraliżem, który weń jak piorun uderzył. Otto z Jurasem

porwali go, ale już nieruchomego i ze łąz w oku kostniejącego im w dłoniach.

Przestrach niemy po chwili wesela objął ich tak nagle, tak rażąco, jakby cios, który starca dotknął, razem ich wszystkich zagarnął.

Zmieszani, potrwożeni, nie wiedzieli co począć z martwym na pół Hermanem na rękę, który miotał się częścią ciała niezdrętwiąłą jeszcze, usiłując wyrwać się z objęcia śmierci, a ciężał już na nich trupem bezwładnym.

Juraś załamał ręce...

— Ja go utrzymam — krzyknął Otto — ty leć po konie! Nie traćmy chwili; do Zarubiniec co prędzej, do doktora. Lub nie! siadaj na koń, biegnij po niego, niech śpieszy przeciwko nam, na pół drogi. Jedno tylko krwi upuszczenie ratować może.

— Ale jakże mogę ojca opuścić? Nie wiem drogi! zawołał Juraś.

— Masz słuszość! straciłem głowę... zawołał Otto. Ty go bierz, wiesz... ja lecę!

Na krzyki bolesne o ratunek przywłókł się o kiju stary pasiecznik, chłopak jego i żona, a postrzegłszy na poły martwego starca, obścąpili go przełękli.

Juraś z przytomnością nawykłego do przygód człowieka, chłopaka posłał po konie, ojca złożył powoli na przyźbie, gdy chory rękami pół martwemi chwycił go i od siebie nie puszczał; sam urządzać zaczął nosze, które na prędce zrobiono z tapczana, i choć sam rozplakany i przejęty, potrafił starca uspokoić słowy serdecznemi i troskliwością niezmordowaną.

Otto znikł. Z trzech koni od bryczki niedaleko stojącej, pochwycił jednego, obciął sznury i oklep puścił się do Zarubiniec przez pola i wąwozy, bez drogi,

dając od razu czuć zwierzęciu, że ostatnich z niego sił dobędzie.

Dwa konie pozostałe miały wieźć starca, drogą na Robów; ale nim usłano łoże, nim ręce syna dzwignęły go na posłanie i głowę przycisnęły tak do piersi, by na nich bezpiecznie spoczęła, wieczór się zrobił i noc prawie.

Z tym pochodem prawie pogrzebowym noga za nogą posunęli się powoli...

Starzec nie mógł dobyć głosu; szklisty wzrok jego tylko szukał syna, a ręka nie chciała puścić dłoni; w uścisku i milczeniu, wśród ciemności, długa jak wiek rozpoczęła się ta podróż męcząca dla obu. Woźnica kierując się jak mógł w mroku, zwrócił na większy gościniec ku Zarubińcom; ale choć konie pośpieszały niekiedy w równiejszych miejscach, każda chwila zdawała się godziną. Juraś nie mogąc ani usłyszeć, ni zobaczyć ojca, truchlał dobadując się w nim ostatków gasnącego życia. Potrzeba było stawać, odpoczywać, poprawiać, a zrzuciwszy z siebie suknie, chłopak czém mógł okrywał chorego, by go chłód nocny nie owionął.

Na pół prawie odległości dzielącej Robów od Zarubiniec, spotkali wreszcie wysłaną po nich karetę, doktora, Ottona i biedną hrabinę, która z różańcem, fiaskami i łzami, sama koniecznie chciała jechać przeciwko Hermanowi.

Doktor pośpieszył do chorego. Zdawało się, że puszczenie krwi będzie konieczne: natychmiast przecięto żyły, ale widocznej ulgi nie doznał starzec...

Hrabina, która już o wszystkiém uwiadomiona była przez Ottona, podała rękę Jurasiowi, pocałowała go

płacząc w czoło, i nie mówiąc słowa, z nim razem przy chorym umieściła się w powozie.

Pochód cały znowu pociągnął dalej, spotykając po drodze ciekawych, którzy powychodzili przeciwko niemu.

Jednym z najpierwszych był Paweł, przebudzony ze snu strasliwą wieścią. Bez czapki, załzawiony, leciał do swojego pana, na ustach mając wciąż jedno, machinalnie powtarzane słowa:

— A! moj drogi pan! mój drogi pan!

Gdy się karetą ku niemu zbliżyła, stary nie zważając na konie i koła, dopadł jej i rzucił się ze stopni na nogi hrabiego, który ujrawszy go, drgnął i oczywiście wskazał na Jurasia.

Pawła musiano także zabrać do powozu, za którym wlec się nie mógł stary, a opuścić go nie chciał.

Północ już była, gdy karetą stanęła przede drzwiami pałacu, u których czekał na nią hrabia Rajmund z nieodstępnym Malczakiem.

Posłyszawszy turkot, nadbiegła i Lola.

Potęgą przeczuć czy przeznaczenia, młodości czy serca, w tej chwili tak strasznój, jakże się to stało, że oczy dziewczęcia nie spotkały chorego, nie znalazły od razu matki, ale najprzód ujrzały Jurasia, ów sen, owo widzenie wieczorne...? Na widok jego zadrżała; dreszcz ją przebiegł; zarumieniała się...

Nie wiedziała jeszcze kogo poznała.

Powoli zniesiono starca do przygotowanego pokoju, wszyscy się rozpierzchli, pozostał tylko u łóża Juraś, doktor i Otto, zmęczony gonitwą nocną, ponury i przygnębiony.

— Doktorze, odezwał się po chwili, odciągając go na bok: jak myślisz? co będzie?

— Bóg to wie jeden: ludzie w tym stanie męczą się czasem długie lata, lub umierają w godzin kilka... Na wszystko gotowym być potrzeba.

— Jest więc groźba śmierci? spytał Otto.

— Prawie pewnośc.... odparł doktor.

— Jestże jaki ratunek, któregoby użyć można jeszcze?

— Spróbujemy wszystkiego, a najprzód drugiego, trzeciego, innego lekarza; proszę was o to, bo się lękam.

— Odzyska mowę? pytał wciąż Otto.

— Nie wiem.

— Nic więc nie przyrzekasz...?

— Pracować z wami.

W czasie téj cichéj a szybkiéj rozmowy, Juraś wciąż siedział przy ojcu, który za najmniejszym jego oddaleniem się tyle okazywał niespokojności, tak uporczywie ścigał go oczyma, że biedne chłopię musiało natychmiast powracać i nieodstępnie czuwać przy nim.

Noc przeszła w obawie i zamieszaniu. Hrabia Rajmund, któremu Otto przedstawił Jurasia, zbył go pogarddliwém wejrzeniem i do zbytku zimnym ukłosem z daleka. Nie przemówiwszy do niego słowa, odszedł zaraz do siebie.

Nazajutrz, chociaż stan chorego nieco się polepszył, nie odzyskał jednak mowy, ani władzy, a stan ten obezwładnienia oddziałać musiał na starca, który okazywał się coraz bardziej zniecierpliwiony i niespokojny.

Za każdym przybliżeniem się hrabiny, rwał się jakby coś chciał do niéj przemówić; oczyma starał się

jój okazać, czego nikt zrozumieć nie mógł. Potém płakał, a łzy te niezrozumiałe nikomu, płynąc cichym strumieniem po twarzy dziwnie skrzywionój boleścią, przejmowały nieopisaną litością przytomnych.

Paweł siedział u nóg pana, i całując je, płakał też rzewnie; chwilami wyrwały mu się jakby szmery przekłętwa, to znów rozplýwały się we łzach i jęku.

Juraś służył staremu jak dziecię pokorne. O południu coraz gorzej być poczęło. Zjechali się wezwani lekarze, użyto wszelkich środków w takich razach wskazanych, ale czy je stosowano nietrafnie, czy użyto za późno, nie poskutkowały wcale. Śmierć widocznie zbliżała się co chwila; siły opuszczały starego; senność, ten poprzednik śmierci i zwiastun jój litościwy, kleiła naciskając ołowiem powieki, które z wysiłkiem otwierały się na chwilę i znowu na długo zamykały.

Ciężkich tych godzin, które się wlokły opieszale u łóża konającego, opisywać nie będziemy. Któż z nas w życiu nie był świadkiem śmierci ukochanych i nie konał choć raz powoli z umierającym, który część jego życia, wspomnień, nadziei, unosił z sobą w kraj mogił i duchów milczący?

Około północy głębiej usnął Herman, ale by się już nie przebudzić więcej. Paweł postrzegł to pierwszy i zapalił gromnicę; ale gdy hrabina pośpieszyła z modlitwą i księdzem, już dusza biednego człowieka była na lepszym świecie...

W tydzień po opisanych wypadkach, Juraś, teraz już hrabia Jerzy Góra, z Robowa, dokąd po śmierci i po-

grzebie ojca ze starym Pawłem się schronił, wybierał się do Horycy.

W Zarubińcach przebył krótko, ale chwile te, ciężkie dla niego, dziwne po sobie zostawiły mu wrażenie. Stryj Rajmund od razu okazał się dla niego więcej niż zimnym, odstręczającym i nieprzyjaznym prawie; hrabina za to macierzyńską i czułą, a Lola... z Lolą patrzali tylko na siebie z jakimś uczuciem błogiego podziwienia, prawie nie mogąc przemówić.

Odjeżdżając do Horycy, potrzeba było pożegnać ten dom i ludzi, podziękować za gościnność dla chorego i trupa, za pogrzeb, za wszystkie dowody braterskiej miłości. Choć serce ciągnęło go ku stryjence, choć dziwne, niewytłómaczone uczucie ciągnęło go ku Loli, wstręt i obawę niepojętą obudzał w nim stryj, sztywny i zimny przedstawiciel tego świata, którym Juraś tak się brzydził.

Było to pierwszą i wielką z jego strony ofiarą, czuć się zmuszonym pojechać do Zarubiniec i narazić się na nieżyciwe gospodarza przyjęcie. Westchnął wybierając się z Robowa, ale obowiązek swój zrozumiał. Otto nie znajdował potrzeby przeprowadzać go, pojechał więc sam jeden.

W Zarubińcach już wszystko powróciło było do dawnego trybu życia. Malczak skrobał coś przy warsztacie, poglądając z pod oka na pana, którym kierował, z którego sobie żartował po cichu; Rajmund zatapiał się w mechanice, hrabina się modliła, Lola smutna siedziała przy krosienkach w jój pokoju.

Gdy im dano znać, że Juraś przyjechał, stryjenka kazała go prosić go siebie, a sama posłała dać znać mężowi; wszedł więc najprzód do skromnego jój mieszkania.

Tu wszystko takim tchnęło spokojem i jaśniało prostotą, tak błoga cisza panowała w tym zakątku, że Juraś uczuł się jakby w nowój, nieznanój sobie atmosferze.

Przez dni kilka przebolanych wprzód, poznał tylko zimne salony zarubinieckie, nie był jeszcze ani razu w tój ustroni całkiem od nich odmiennój. Na pierwszy rzut oka poczuł, że w progu mieszkania hrabiny kończy się pałac i hrabstwo, zaczyna szlachecki byt niewiasty, wielkiój poświęceniem i sercem, a przywiązanej do innego wcale obyczaju.

Lola śliczną swą twarzyczką jak słońeczko wiosenne świeciła temu przybytkowi jasnemu i uspokojonemu jak rezygnacya chrześcianki. Odwróciła się gdy wchodził, zarumieniła mocno, i po przywitaniu z matką, gdy jak brat i siostra podali sobie ręce, dłonie ich nie wiem czemu zadrżały, lica zapłonęły obojgu, nie śmieli sobie spojrzeć w oczy. Juraś usiadł cały przejęty w duszy jakby pobożném jakiémś uczuciem.

— Chcesz wyjeżdżać, słyszałam — odezwała się powoli hrabina: dokąd? dla czego tak śpieszysz?

— Sam nie wiem dokąd jadę, i po co, rzekł Juraś; ale gdzieś przecię schronić się potrzeba ze smutkiem i z życiem...

— Masz słuszość: prawdziwa boleść kryje się i ucieka od oczu ludzkich. Pojmuję twoją. Tak się znaleźć po długich latach na chwilę, i tak się rozstać!

— A! nie przypominaj mi pani wielkiego grzechu mojego życia! westchnął chłopak spuszczać oczy.

— Bóg i ojciec ci przebaczył! Biedny stary! zapłakała hrabina — gdyby się był choć pocieszył tobą, choć spoczął...

— Nie mówmy, nie mówmy o tém — przerwał Juraś.

— Cóż myślisz począc z sobą?..

— Nie wiem. Życie przeszłe, i to, które mnie czeka, tak różne! dodał młody chłopiec. — Między niemi muszę rzucić most, coby je połączył, jakąś przestrzeń żalu, spoczynku, namysłu... sam nie wiem. Pojadę tam, gdzie żył ojciec, gdzie jeszcze żyje myśl jego; tam może znajdę jaką wskazówkę na przyszłość.

— Ale, dziecko moje, nie zakopujże się zbyt, jak twój ojciec.

— Moja droga stryjenko, czyż i ty, co żyjesz tak samotnie, możesz mówić przeciwko osamotnieniu? Gdzież lepiej, jeżeli nie w cichym kątku?

— Tak, ale moja samotność z córką, z mężem, to życie rodzinne, to nie zaparta cela mizantropa... a ty jesteś sam jeden.

— Już i ja mam rodzinę, rzekł Juraś wzdychając: stare sługi ojca, biednego Pawła... zresztą jeszcze nie wiem co pocznę.

Spojrzał na Lełę, która na podziw była milcząca jakoś i smutna. Wejrzenia ich, magnetyczną przyciągane siłą, co chwila się spotykały i mówiły sobie ową pieśń młodości, która się raz tylko śpiewa w życiu.

Aż nareszcie Lola porzuciła krosienka, odwróciła się, jakby zwyciężona, ku niemu, i zbliżyła powoli do matki, po cichu mieszając się półsłowami do rozmowy.

Potém hrabina umilkła, a oni zaczęli szeptać we dwoje, jak starzy znajomi. Wtém wśród tego gwarzenia smętny, ponury i sztywny wszedł sam hrabia Rajmund, po którego twarzy znać było, jak nierad musiał być gościowi, co mu jego zajęcia przerywał. Przywitał zimno synowca, westchnął i usiadł, patrząc roztargniony przez okno.

— Wpan się wybierasz? spytał po chwili.

— Wyjeżdżam do Horycy, rzekł Juraś.

— Zapewne... to bardzo dobrze; tu nie masz co robić! Lepiej, po tym smutku znaleźć jakąś rozrywkę; dla mnie też lekarstwem jest praca.

— Ale nie lepiejżeby tu jeszcze jakiś czas przebyć? przerwała hrabina. Ta samotność...

— Mężczyzna nie powinien się pieścić — dodał Rajmund: to było zdanie nieboszczyka; zawsze mi to mawiał. Jerzy ma obowiązki...

Wstał potem i przeszedł się niecierpliwie po pokoju.

— Przybyłem właśnie, aby pożegnać stryja i podziękować mu za tyle trudów i łaski dla mego biednego ojca.

Hrabia ruszył ramionami.

— Dajmyż pokój temu... brat to był mój przecię; nie mówmy już o tém. Mam co innego do powiedzenia ci na odjeźdném. Nosisz imię nasze; ono wkłada na ciebie obowiązki. Z twojej winy własnej wychowanie twe zaniedbane. Urodzenie wprowadzi cię w świat, wśród którego tak jak jesteś pozostać nie możesz... Potrzeba nad sobą pracować.

— Stryju, rzekł Juraś, podnosząc się: ś. p. ojciec mój nie żądał po mnie, bym wchodził w ten świat, do którego obyczajów już się nie potrafię zastosować. Imienia, które noszę, nie splamię; ale nie wiem, czy obowiązany jestem koniecznie tak je nosić, jak poprzednicy moi, i okupować trochę rozgłosu całkowitem zaparciem się siebie.

— To są deklamacje młodości, odparł hrabia, — ekscentryczne wybryki fantazyi nieokiełzanej. Życie inaczej uczy i czego innego wymaga. Nie rzuca się imienia i stanu; trzeba być tém, czem Bóg stworzył.

— Zostawmy to przyszłości, przerwała Marya: Juraś ma dobre serce, to go natchnie...

Lola zarumieniła się.

— Zapewne, jeśli rady nie żąda, musi czekać natchnienia... Życzę mu, żeby je znalazł w sercu...

To mówiąc, zwrócił się i podał rękę Jerzemu.

— Żegnam cię! rzekł zimniej jeszcze: muszę śpieszyć do pracy; myśl mi przerywają próżne rozmowy, a mam w tej chwili przed sobą coś tak ważnego...

I skłoniwszy głowę, uszedł do pracowni, do której już zatęsknił. Jerzy nie wiedział odprawiony co począć z sobą. Zdawało mu się, że powinien zaraz odjechać; ale hrabina usiłowała z Lolą zatrzeć oznakami czułości i serdeczném obejściem wrażenie chłodnego przyjęcia, i Juraś ochłonął, powoli przychodząc do siebie. Rozmowa ożywiła się znów trochę.

Byłby może zaraz odjechał, gdyby nie wejrzenie Loli i urok, pod którym od pierwszego jój widzenia się uczuł. Siła nieznana trzymała go przykutym: chciał się wyrwać i nie mógł; wstawał, niepokoił się i tęsknota jakaś zwracała go ku niej od progu. Dziewczę zbliżało się też do niego coraz poufalej, z uczuciem, które się im tłómaczyło przywiązaniem siostry i brata, choć już w zarodku wcale było inném, acz niemniej czystém i świętém.

Przypomnieli sobie ów wieczór, kiedy się raz pierwszy spostrzegli; potem Juraś zaczął mówić o przeszłym swém życiu, o swobodnej po świecie włóczędze, i o zamiarach w przyszłości.... Tak zbiegł czas do wieczoru, a hrabinie tak było dobrze z tém dwojgiem dzieci u jój kolan szczebioczących po cichu harmonijnemi głosy, że gdy chłopak wstał nareszcie, by wynieść,

tęskno się jój jakoś zrobiło. Poczuła, że traci istotę, która była do wypełnienia małego jój kółka potrzebna.

— No, jedziesz więc.... rzekła, całując go w głowę; ale powróć do nas, choć wówczas, gdy cię serce zaboli... drogi mój Jurasiu. Niech cię nie zraża powaga i pozorna surowość mojego męża: on ma wielkie myśli na głowie, życiem naszym pospolitým żyć nie może, ale serce w tój piersi bije pocziwe, choć przez usta nie mówi. Widziałeś przecię co uczynił dla Maksa; sądz go z tego, nie z kilku słów roztargnionych. Człowiek to nie stworzony do miejsca, które zajmuje w społeczeństwie; troska nieustanna pierś mu i czoło zorała. Tu u nas zawsze znajdziesz serca, co cię przytulą z uczuciem.

Lola zapłoniona żywo podała mu rączkę.

— Tak, bracie, dorzuciła: mama, choć ty ją znasz mało, wierz mi, gdy co powie, to Ewangelia. Jój słowo, to tylko prawda święta! Ona ci obiecuje matkę, ja siostrę w sobie. Bądź co bądź, w boleści, w smutku, w niepewności, szukaj nas, my ci służyć będziemy; rachuj, jeśli nie na siłę, to na serca... Ale pozwól, bym ci dała radę i gościniec na drogę — dodała, wahając się i spoglądając na matkę ukradkiem błagającym wejrzeniem: — wszak siostrą twoją jestem, a od siostry przyjąć się coś godzi.

Zdjęła z krosienek Tomasza à Kempis, śliczne, maluteczkie wydanie, i zawstydzona wsunęła mu je w rękę.

— Może to rada dziecinna, ale ja jestem dziecko... mówi mama. Gdy ci bardzo będzie źle i tęskno na świecie, otwórz tę książkę gdzie zechcesz, przeczytaj choćby dwa wiersze, a myśl sobie potem o nich długo, to ci ulgę przyniesie.

Juraś ucałował jój białą rączkę, rozrzewniony przytrzymał ją długo, i rozstali się nareszcie, żegnając się łzawemi oczyma.

Wypadki, którym w przeciągu tak krótkiego czasu uległ Juraś, głębokie na nim uczyniły wrażenie. Przejście ze stanu swobody i włączęgi w rodzinne koło; życie z góry wyznaczone i pewne jutra; ukazanie się ojca i nagłe zejście jego; poznanie Loli, które wstrząsnęło sercem, jój matki, stryja, tylu nowych ludzi; szybkie następstwo po sobie dziwnych i bolesnych przygód, — znacznie obciąży skrzydła młodzieńcze. Jechał więc do Horycy smutny i niepewien co pocnie, wlokąc za sobą starego Pawła, z którym często godzinami całemi rozmawiał.

Okolica, w której to wszystko z tak dziwnym spełniło się pośpiechem, nie mogła zostać obojętną na tyle razem nagromadzonych wypadków. Ludzie są nowin łakomi, tworzą je sobie w potrzebie: cóż gdy do utkania ich znajdują piękną, gotowiuteńką osnowę?

Dziecię stracone i odzyskane; ojciec, który mu przebacza, przytula do piersi i umiera; koncert z tą sceną zjawienia; półkownikowa i Maks, ich miłość i blizkie śluby: bawiły próżnujących doskonale. W każdym prawie domu tworzyła się z nich powieść nowa, tak rozmaicie pojęta i opowiadana, że zaprawdę zdumieć się było można bogactwu wyobraźni bezimiennych autorów. Szczególniej Janko Zbój i jego przeszłość tajemnicza, jak łatwo sobie wyobrazić, budziły niezmierną ciekawość; opowiadano w niedostatku prawdy takie o nim domyślane przygody, od których uszy wędły słuchając.

Młody, piękny, bogaty, z imieniem głośném a dziki i mizantrop, stał się od razu ideałem mnóstwa panien,

wdów i mężatek niepoznanych, które piechotą byłyby poszły o mil kilka, byle go tylko zobaczyć. Trzeba też przyznać, że piękniejszej legendy o nieznanym młodzieńcu nad tę, którą o nim po cichu sobie opowiadano, trudnoby nawet powieścio-pisarzowi z powołania utworzyć.

Maks, który rzadko kiedy mówił prawdę o sobie i o drugich, wypytywany, utworzył pierwszy z historii Janka coś tak monumentalnego, że z pomocą dodatków ludzi dobrej woli, starających się jeszcze okraszyć nieco jego legendę, gotowy z niej był poemat. Szczęście, którego u nóg pięknej półkownikowej kosztował, już będąc z nią zaręczony ogromnym soliterem, dodawać musiało sił jego wyobraźni. Plótł niestworzone baje, codzień swój utwór wydoskonalać.

Maks bowiem był bardzo szczęśliwy. Wprawdzie Amelia po bliższem rozpatrzeniu się w niej, wydała mu się daleko mniej świeżą i piękną niżeli pierwszego wieczoru, gdy kibić jej malująca się na białym szalu, zachwyciła go i oczarowała. W dzień twarzyczka ta nosiła widoczniejsze ślady utrapień przebytych i zawiedzionych nadziei, a szczebiotanie jej egzaltowane, trzeciego dnia już zaczęło się powtarzać tak nieznośnie, że Maks wiedział prawie, jakim wyrazem i głosem go powita, i co mu na jego słowa odpowie. Ale wielki artysta w istocie nie był wcale stworzony na to czém się być wybierał. Nie mając co lejszego do roboty, gdy mu los po drodze nasunął ciepłą wdówkę — tamując karierę wirtuoza wątpliwą, trudną, kłopotliwą, zmuszającą do pracy, bardzo był rad, że się może pozbyć przyszłych laurów dla spokojnego kawałka chleba.

Teraz na łonie nowego szczęścia, wcale już swój

wiolonczelli, dawniej przyjaciółki, do rąk nie brał, i na usilne tylko prośby bogdanki, czasem ją dobył z pudła, w którym usypiała spokojnie. Że jednak nie było jeszcze po ślubie, musiał się trochę w dawnym okazywać blasku, trochę odegrywać komedię geniuszu, zostawując na później zupełne z szat przyodzianych rozebranie, umycie i powrot do życia, o jakim teraz marzył, wcale prozaicznego, obywatelskiego. Biedna półkownikowa ani się domyślała, jak wielką i niepowrotną miała popełnić omyłkę. Postanowienie jej było tak gwałtowne, tak silne, że się już nie zastanawiała wcale nad jego następstwami. Maks teraz przesiadywał tam dni całe; nareszcie z Róbową od Ottona przeniosłszy się bliżej Danowa do miasteczka, dla oka tylko najął tam pomieszkanie, do którego ledwie późno w nocy powracał, by nadedniem wyjechać znowu. Oczekiwano tylko indultu, aby połączyć dwoje rozpłomienionych kochanków, których zapały sakrament skutecznie miał ugasić, na normalną praktykę małżeńską wprowadzając ich życia.

Rozumie się, że i na ten wypadek sąsiedztwo obojętnym okiem spoglądać nie mogło; musiało z tak rzadkiego widoku szczęścia i najczystszej miłości nieco korzystać w sposób złośliwy i zazdrosny. Zajeżdżano częściej niż kiedy do dworu półkownikowej, aby śledzić i badać jak wygląda szczęśliwa, aby trochę jej szczęściu przeszkodzić, a potem śmiać się z niego i opowiadać, co robi zakochana Amelia, jak chodzi wielki artysta, rozrzucony potężnym w piersi roztląłém uczuciem.

Do bliższych sąsiadów półkownikowej należeli państwo Żeligowie, Jędrzej i Anastazy z Porońskich, majętni obywatele, mający wieś jedną ogromną i dru-

gięj połowę, dwór przepyszny i t. d., i t. d., a żyjący otwartym domem i co się zowie okazałe.

Pan Jędrzej był sobie prosty człowiek, gruby, tłusty, rumiany, ze skalką na oku, wesoły, trochę ospowaty, niezrozumiały i mało zarastający, co mu wielką sprawiało przykrość, bo niezmiernie chciał mieć wąsy, a dohodować się nie mógł takich, o jakich śnił i marzył. Była to może jedna z najboleśniejszych prób, jakim w życiu uległ pan Jędrzej. Z obu stron podnoska miał wprowadzić po piętnaście jasnych i twardych jakby sadzonych włosów, ale te sterczały mimo kosmetyku i nigdy estetycznej formy staropolskiego, sumiastego wąsa przyjąć nie chciały. Rzuciło to na żywot pana Jędrzeja odcień smutku i zawiedzionych nadziei. Skalka na oku, zresztą niebardzo widoczna, nietylę go martwiła, ile ten brak zarostu, nad którym wzdychał, wyrzucając umysłowi ludzkiemu, że dotąd szperając nie mógł wynaleźć środka na zasianie tak pospolitęj jak włos trawy, na polu tak żyzném jako ciało ludzkie.

Zresztą pan Jędrzej był jednym z najszcześniejszych prostych sług bożych. A że miał żonę strasznie rozumną, czynną, wychowaną znakomicie i kochał ją z całych sił serca, a służył jęj jak murzyn; że miał majątek piękny, znaczenie w obywatelstwie przez żonę i córkę, o której zaraz powiemy: więc gdyby nie te wąsy, zawsze spodziewane a nigdy nie nadchodzące, mógłby się być liczyć do tych, którym na grobie kładą, że żadna chmurka nie zaćmiła laurów ich żywota.

Pan Jędrzej—zwany przez żonę, gdy była w dobrym humorze, *Jędrusiem*, a gdy mu chciała dać uczuć swe nieukontentowanie, *panem Jędrzejem*,—był najlepszym z ludzi, ale nie miał pretensyi do rozumu, i otwarcie

wyznawał, że gdyby się był tak szczęśliwie nie ożenił, pewnieby go dawno dyabli wzięli.

Wyrażenie może było zbyt energiczne, ale dobitnie malowało sytuację.

Całe życie pracując pod zwierzchnictwem i kierunkiem Stasi (bo ją tak czule nazywał) uznojony, spocny, gdy mu w nagrodę trudów dała tłustą rączkę do pocałowania, zasypiał, opromieniony swém szczęściem. W domu miał ledwie ciasny pokój, w salonie bardzo podrzędne miejsce, w konsyliach głos tylko doradczy, ale do wykonywania postanowień i rozkazów, za których spełnienie odpowiadał, sam jeden był używany, i tu nie miał współzawodnika.

Owocem małżeństwa, w którym tak skromne, ale piękne zajmował stanowisko szanowny pan Jędrzej, była jedyna córka, wychowana, jak mówiła poufalszym przyjaciółom sama pani — *grandioso*. Imię jęj było Aneta.

Najprzód musimy uprzedzić czytelnika, żeby sobie nie wyobrażał Anetki młodziesieńką panienczką, gdyż byli ludzie dobrze umiejący rachować, którzy dowodzili, że dziesięć lat temu miała lat czternaście, co wychodziło na dwadzieścia cztery. Matka jednak nie dawała jęj więcej nad rok dziewiętnasty; a że matki najlepiej wiedzą o wieku córek, posądzamy owych rachmistrzów o złośliwość i niechęci w dodawaniu.

Aneta była jedynaczką, i jako taka przewodziła nie tylko nad ojcem, o którym mowy być nie może, bo ten przed nią prochy zmiatał, ale nad matką i całym dworem.

Dziwna to zaprawdę rzecz, że Aneta będąc jedynaczką, bogatą, utalentowaną, wcale piękną, bardzo dowcipną i śmiałą, dotąd nie poszła za mąż; ale zbieg okoliczności zawsze każdemu projektowi stawał na

zawadzie! Najprzód matka miała w myśli małżeństwo *grandioso* (był to wyraz jój ulubiony) i ojciec naturalnie równie sobie tego życzył. Powtóre, Aneta była samowolna i popsuta, drobinę kapryśna i dziwaczna, co choć dodaje wdzięku, niejednego w końcu odstrasza. Wychowywały ją z kolei guwernantki wszystkich narodów, bo żadna dłużej roku wybyć z nią nie mogła, i wykształciły na niepospolitą istotę. Gdyby tylko serce, jużby jój zdaje się nic do doskonałości nie brakło. Ale o tém matka natura zapomniała zupełnie.

Aneta wprawdzie ciągle się na nie skarżyła, jak ci, którym odetną nogę, boleją czasem długo na nią, choć jój już nie mają; ale nie okazywała wcale, żeby je posiadać miała. Za to fantazją bujną, umysłem pojętym i takim świetnym pozorem, taką umiejętnością oczarowania obdarzona była, że wśród grona najwdzięczniejszych dziewic, wszystkich oczy i serca pociągała ku sobie.

Śmielsza też była od rówieśnic, a panowanie domowe nad ojcem i matką, istotna wyższość umysłowa, która jój pozwalała dostrzegać natychmiast ułomności ludzkich, dawały jój wszędzie pierwszeństwo, dla panny może niezbyt stosowne, ale nie bez pewnego uroku. Rojem za nią chodziła młodzież, którą ona rządziła jak królowa, a choć nikt nie posunął się aż do jój ręki, mnóstwo kołatało do serca. Anecie było z tém dobrze. A gdy jój czasem matka szepnęła:

— Anusiu, kochanie, trzebaby już pomyśleć o sobie...

— Jeszcze czas, mamuniu, odpowiadała jój: ręczę, że wezmę sobie kogo zechcę; tylko to mnie zostaw.

Mamcia tak wierzyła w Anetę, że jój już w końcu nie mówić nie śmiała.

Gdy opisane wypadki zaszły w sąsiedztwie, a Maks nagle uchwycił zwycięzko za serce półkownikową, wielką przyjaciółkę Anety, i o Janku rozeszły się pstrokate romantyczne wieści, głoszące, między innymi, że czas jakiś w Turcyi przebywał, że był niewolnikiem w Persyi, i że w nim dwadzieścia kilka sułtanek kochało się na zabój, tak, że go aż nad Don konno przeprowadzały, kiedy powracał do domu,—Aneta przypomniawszy sobie, że go widziała na koncercie, rozplamieniała pragnieniem ogromném, żądzą, niecierpliwością, koniecznością poznania go. Juraś odpowiadał jój snom, nadziejom i marzeniom. Poznać go bliżej stało się dla niej postanowieniem niezmienném, i gdy się dziecku tój szybki z okna zachciało, pierwszy raz może rodzice byli w niezmiernym kłopotcie, nie umiejąc jój dogodzić. Ojciec wotował, żeby wprost pojechać po niego i przywieźć go jak grzyba w koszyku; matka trochę płakała, a Aneta tupiała nóżką i powtarzała: — Ja go chcę mieć! ja go mieć muszę!

Może być, że zauważywszy skuteczność postępowania półkownikowej z Maksem, téjże samój co ona recepty użyć chciała, ale o tém nie mówiła nikomu. Koniec końców tylko powiedziała sobie, że Janka zobaczyć musi, nie wątpiąc, że gdy on ją, a ona jego zobaczy, reszta sama przyjdzie do skutku. Ten hrabia co konie pasał, kozacza duszą, jak go Maks nazywał, śnił się jój, prześladował ją, dręczył.

Nie ma niebezpieczniejszych zachceń nad te, które nie z serca, ale z głowy pochodzą. Serce ma wstyd, jest niewiastą, że tak powiem; rozum mężem upartym, i gdy sobie co postanowi, pobuntuje podwładnych.

Nasłuchawszy się dziwów o Janku, Aneta bywająca bardzo często u półkownikowej, poczęła tak wyraźnie

wydawać się z żądaniem poznania go, że Maks, który był grzeczny i lubił obiecywać, powiedział w końcu, iż dla niego nic łatwiejszego nad pokazanie z blizka tego fenomenu.

— Ja go znam doskonale, rzekł z uśmiechem: sprowadzę tu gdy zechcecie, za to ręczę.

— Nieśmiertelnąby panu była winna wdzięczność! odpowiedziała rumieniąc się Aneta.

— A! Maks to uczyni dla mnie! dodała, wyciągając mu rączkę do pocałowania, Amelia.

Choć Fermer jak łatwo przyrzekał, tak się też lekko od spełnienia obietnic uwalniał, składając choćby kłamanami przeszkodami,—na ten raz chodziło mu o to, by dowiedzieć swych blizkich z hrabią stosunków a może też miał i inne jakie rachuby i chciał z nim na nowo poufałą odżywić przyjaźń.

Dosyć, że wysłano szpiegów do Zarubiniec i Robowa, aby wiedzieć o dniu, gdy Juraś wyjedzie do Horycy, i na drodze go złapać.

Maks zasiadł w drodze na przesmyku i przez dwadzieścia cztery godziny palił na ławce cygaro, oczekując na przejeżdżającego, który nie mógł miejsca tego ominąć. Już go to poczynąło niecierpliwić, gdy nareszcie ukazał się stary koczyk nieboszczyka Hermana, fura z Pawłem, i powoli przysunęły się pod karaczemkę. Fermer, który już był przygotowany, zerwał się i pobiegł ku Jurasiowi z rozciągnionymi rękami.

— Co ja widzę! to ty, przyjacielu!

Trzeba wiedzieć, że dawniej z widoczną traktował go wyższością, a teraz przeskoczył nagle w ten ton czułości i serdeczności.

— To ty, po którym dusza moja tęskniła! Jakże się masz? O pożądany! ukochany! drogi! Tylem się na-

słuchał o twoich nieszczęściach! Mój Boże! jakie zmiany! A! mam ci też wymówić, że przedemną, którego znasz serce, nigdyś się nie zwierzył otwarcie.

I począł go ścisnąć gwałtownie.

Juraś, któremu łatwo było przemówić do serca, ścisnął go za rękę.

— Co tu robisz?

— Przypadkiem zatrzymałem się tu, jadąc do Danowa do półkownikowej, bo wiesz zapewne, że się z nią żenię. Kobieta, jakich nie ma, istota z wybranych wybrana. Ale co za szczęście, że cię tu spotygam!

Juraś wysiadł do niego.

— Patrz, widzisz tam, w dolinie, ten domek ocieniony starymi lipami i klony: to moje gniazdo szczęścia zielone, to mój raj!

Nie mówił, że Ewa była trochę ospowata.

— Winszuję ci... rzekł Juraś.

— Niechże mi teraz mówią, że nie ma losów, fatalności, przeznaczeń! Któżby się spodziewał, że tu spotkam miłość, która wybuchnie gwałtownie, tak wielką, tak niepohamowaną, tak cudownie wzajemną, że mnie obleje takim szczęściem niezmiernym!...

Juraś poczuwszy, że Maks deklamuje, zmilczał.

— Mój przyjacielu, mój najdroższy przyjacielu! dodał Fermer, ściskając go znowu tak, jak go nigdy wprzód nie ścisnął — tyleśmy o tobie z nią mówili, tak ciągle przytomny byłeś sercu mojemu i pamięci! Mogę ci zaręczyć, że ona także poślubiła gorące moje dla ciebie uczucie... i tak pragnie cię poznać!

Juraś widocznie się zmieszał.

— Patrz, wszak to tylko kilkaset kroków... zrób mi tę największą w świecie łaskę, wstąp! Siadaj ze

mną, na chwilkę tylko zajedziemy do niej. Uszczęśliwisz miłą i śliczną kobietę, nie licząc najlepszego przyjaciela.

Biedny chłopak aż pokraśniał, tak osmuconej jego duszy nie w porę było to żądanie dziwne, natrętne; ale Maks gdy co raz postanowił, nie miał zwyczaju ustępować.

— Zmiłuj się, rzekł: to, czego wymagasz po mnie, jest niepodobieństwem. Wiesz, jak mi są ciężkie nowe znajomości: nie mogę, nie mogę...

— Na chwilkę, na pół chwili, lub jak stoisz...

— Przypominasz mi sam, że nie ubrany, a tam jest kobieta...

— Zajedziesz jak do mnie, jestem tam jak w domu, a uczynisz mi łaskę, dobrodziejstwo! Są ludzie — już muszę ci się przyznać — którzy rzucają potwarz, jakoby ja cię eksploatował, jakobyś mną pogardzał; potrzebuję od ciebie tego w obec świata, jako usprawiedliwienia, oczyszczenia. Oto powód istotny... musisz to dla mnie uczynić, chodzi o dobre imię moje...

Wiedział, że tym Jurasia złapie najprędzej: istotnie, zawahał się, a Maks skorzystał z tego.

— Ja ciebie nie puszcze, musisz wstąpić choć na chwilę, na pięć minut, tyle tylko ile potrzeba, aby dowieść oszczercom ich potwarzy! zawołał.

Nie było w istocie ani potwarzy, ani oszczerców, bo Maks stosunek swój z Jurasiem tak ślicznie malował, że uchodził za wzór bohaterskiego poświęcenia.

— Półkownikowa, anioł dobroci, z nią nie potrzebujesz się żenować. Mogę ją już dziś nazywać żoną moją... rozumiesz mnie. Czekamy tylko na indult, który związek, zawarty przez miłość najczystsza, uświęci...

Juraś się zarumienił; natręctwo przykre mu było, ale nie wiedział już jak się bronić. Maks nalegał, ścisnął, błagał, modlił się, i prawie gwałtem wsadził go na swoją bryczkę, zostawując Pawła z końmi przy karczmie, rozkazawszy im popasać.

Nie opamiętał się biedny Juraś, tak nagle konie półkownikowej ruszyły z nim, i dworek w dolinie wkrótce się ich oczom ukazał.

To zielone szczęścia gniazdko, jak je Maks nazywał, istotnie było bardzo śliczniuchne; może tylko do zbytku ustrojone, zbyt wyświeżone z pretensją. Furtki i bramy gotyckie obwieszone były bluszczami, krzyże pooplatane cierniem i poobwijane powojem; nad drożynami krzaki róż w jodłowych klombach; kapliczki misterne, altany malowane jaskrawo; sam dwór z szerokim balkonem okrytym winem i pnąciami się roślinami, świadczył o tém usposobieniu czułego serca, które szukało wdzięku i poezji, aby okazać niemi, że ma ich głębokie w sobie pocucie. Tego wszystkiego może było aż nadto, ale to było śliczne, zielone, wytworne, kwitnące i wonne, wesołe i tęskne razem.

Juraś nieubrany, w czarnej siermiężce żałobnej, zapyłony cały, porwany nagle, znalazł się w ganku domu półkownikowej, i powitany został przez trzy osoby, które właśnie pod balkonem zasiadły do herbaty.

Była to najprzód owa piękną kibici półkownikowa, dalej otyła pani Stasia matka Anety, i sama Aneta, słuszną, wspaniałą postawą, szatynką z niebieskimi oczyma, patrzącemi śmiało, ubrana czarno, poważnie, tajemniczo — do boju!

Była w istocie piękna. Artysta z uczuciem mógł z niej cudny zrobić wizerunek, takim ogniem i życiem tłała ta twarz o rysach regularnych, pewna siebie,

amazońska, wojownicza a pełna wdzięku. W chwili gdy Juraś wchodził zmieszany i zatrzymywał się w progu ganku, spostrzegłszy większe niż się spodziewał towarzystwo— Aneta siedziała właśnie w kozetce, przybrawszy postawę Kleopatry z jakiegoś obrazu, wdzięcznie układając się, by zachwycić śmiertelnika, i przeglądając się w kryształowej szybie blizkiego okna, które jej wizerunek lekkimi powtarzało zarysy...

Półkownikowa jak zawsze była szczerbiotliwa, wdzięczna, uśmiechająca się i płacząca razem, roztkliwiona do głębi. Podeszła kilka kroków powitać Maksa, któremu rączkę z góry z przyciskiem na dłoń rzuciła, potem przewróciła oczka, obracając się do Jurasia, stojącego przed nią ze spuszczoną głową, i wprowadziła go, przedstawiając gościom swoim. Aneta podniosła się, wyprostowała, i nie tracąc czasu, oczy utkwiała w ofierze, którą jej główka i wyobaźnia wcześniej napiętnowały na zabicie.

Maks tak manewrował, że Jurasia potrafił przy niej posadzić, i rozmowa poczęła się od preludyjnych ogólników. A że wszystkich oczy i uwagę ciekawe zjawisko zwracało na siebie, że nawet wierna Amelia trochę mu się nadto mile uśmiechała, Maks poczuł jakby zgryzotę w sercu, że wprowadził tego rywala, przy którym mu i odezwać się i na wierzch wypłynąć było trudno.

Aneta, jako biegła w strategii niewieściój, z razu obserwacyjny tylko korpus wejrzeń wyprawiła na nieprzyjaciela, starając się uczynić siebie jak najgroźniejszą, to jest jak najpowabniejszą. Wiedziała ona dobrze co ma najpiękniejszego w sobie: warkocz włosów olbrzymich, nóżkę maluczką jak dziecinną, rączkę białą i dziwnie czystego kształtu. Więc z kolei pod różnemi

pozorami obracała się ku niemu tyłem głowy, by ze ślicznemi ramiony i szyją razem mu pokazać pukle cudnego włosa; potem poprawując się na siedzeniu, do była nóżki z pod fałdów sukni; potem układała strój, spinki, włosy, mantylę spadającą, tak, aby ręce w całym okazały się blasku.

Nieszczęściem dla zmieszanego Jurasia, który nie bardzo patrzył i niewiele widział co się około niego działo, większa część tych manewrów zginęła. Potrzeba je było powtarzać.

Matka z uwielbieniem znawcy przypatrywała się uczynnym córki manewrom.

Po chwili milczenia, Aneta uznała, że pora już rozpocząć kroki zaczepne, wprost atak przypuszczając na młodego chłopca, i skorzystała z rzuconego przezeń półsłówka. Juraś pierwszy raz dopiero uważniej spojrzął na nią.

Nigdy jeszcze takiego nie widział dziewczęcia; było to dla niego zjawiskiem nowym. Proste niewiasty, które mu się przed oczyma przemikały, kobiety jak je Bóg stworzył, panienki skromne, bojaźliwe, trwożne, rumieniące się, jak pączki na pól okryte listkami, i choć śmiałe a powstrzymujące w sobie myśli i uczucia, jakże nic a nic niepodobne były do téj pięknej Judyty! Ta wyglądała całę inaczéj, i nie można powiedzieć, by gorzej od tamtych: był to kwiat rozkwitły, ale świeży, pełny barwy, choć może bez woni porannéj; świetny, błyszczący, o szerokich liściach, o bujnych gałęziach — rodzaj kamelii, jedném słowem.

Do natury Jurasia i usposobień jego, ten nowy typ kobiety przypadał w pewny sposób pozorem swobody i szczeroty.

Gdy raz pierwszy spotyka się podobną istotę, nowość

uderza, nie mamy czasu wdawać się w rozbiory; osłupiali stajemy w zachwycie.

Juraś mimowoli doznał tego wrażenia. Lola dotknęła jego serca, Aneta zapełniła mu głowę trochę—uznał się nią zaciekawiony.

Ta śmiałość dziewczica, ten hart duszy nielekąjącej się ani potwarzy, ani oczu złośliwych, ani tłumaczeń zawistnych; ta potęga wzroku, który czysty być musi, bo się nie cofa przed nikim—podrażniły go, pociągnęły. Aneta też nie udając wcale obojętnej, przysunęła się ku niemu śmiało, pochyliła poufale, i zaczęła siecią pajęczą wejrzeń, słów i uśmiechów oplatać pełnego wiary i ufności chłopaka.

Trzeba jój przyznać wielkie zdolności wodza i dyplomaty zarazem, umiejętność rachuby potężną, i dodać w końcu, że tak przytém była piękna, majestatyczna, iż słaby człowiek, na którego rzuciła okiem, nie bardzo mógł się oprzeć urokowi, jaki wywierała.

Pierwsza zwłaszcza reprezentacya téj sztuki, w której występowała z takiem powodzeniem, i pierwsze wrażenie, zawsze były dla niej tryumfem; następne już różnie się wiodły. Jak wszystkie istoty błyszczące i zniewalające nagle, gasła powoli ta gwiazdka, gdy się jój przypatrywać zaczęto. Naówczas wychodziły na wierzch plamy owego słońka, wiał chłód od niego, i choć cudnie piękna, choć dziwnie uroczą, stałego nie budziła przywiązania. Latano za nią, śmiano się z niej; nikt się w niej śmiertelnie nie pokochał. Tak przeszło lat dwadzieścia kilka, i potrzeba było myśleć o sobie, a Aneta obrachowała nieźle wcale, że lepszego nic nad Jurasia nie znajdzie.

Jerzy nigdy jeszcze w życiu z podobną nie spotykał się istotą, a był tak młody; pierwsze więc wrażenie

było silne. Oczy te zdawały się mówić tyle! usta w istocie tak wiele mówiły!

Milczący i odpowiadając półsłówkami tylko, z razu nie dał się Juraś wywieść na rozmowę powszechną; smutny, nie miał ochoty się wywnętrzać. Ale czegoż nie dokaże piękna, wesoła i zimna kobieta? Chłód i panowanie nad sobą, trochę doświadczenia nawet bardzo pospolitego i znajomości środków powszednich działania na człowieka, jakichże czasem nie robią cudów! Najbardziej nawet zużyci ludzie dają się brać na wędkę pospolitym robaczkiem; cóż dopiero tak świeży, tak niedoświadczony człowiek jak Juraś, który ochotnie wierzył we wszystko?

— Bardzośmy już wiele o panu słyszały, odezwała się Aneta po wstępnej przygrywce: ale byłoby niedyskretyą go badać; choć doprawdy takeśmy ciekawe... ja przynajmniej. W naszym czasie, gdy wszystko jest tak wykute z jednego materiału, tak jednostajne, tak przenućnie foremne, życie trochę inne, niepodobne do pospolitych, to zjawisko porywające.

— A! to prawda! porywające! powtórzyła półkownikowa, spoglądając na Maksa, a wdzięcząc się trochę do Jurasia, i wedle obyczaju swego powtarzając ostatnie wyrazy.

— Nic tam w tém życiu nie ma zasługującego na ciekawość.... odpowiedział Juraś: tylko błędy dziecinne.

— Pan myślisz, że go nie znamy, przerwała Aneta; ale choć to niedyskretya przyznać się, wieleśmy się od pana Maksa dowiedziały, a takeśmy wybadywały!

— A! dużo, dużo o panu mówił nam Maks! po-

wtórzyła echem półkownikowa, i przy tój zreczności podała rękę Maksowi, który ją przyjął niebardzo ochotnie, bo miał za zasadę przy młodszych i piękniejszych niewiastach, swój przyszły nie okazywać nigdy zbytńiej miłości... na wszelki wypadek.

— Pan długo przebywałeś w Krymie? spytała Aneta.

— O! niedługo wcale!

— Kraj pełen poezyi i malowniczości! dorzuciła półkownikowa, która chciała przekonać, że prowadzi rozmowę, co Anetę widocznie niecierpliwiło, bo pragnęła sama opanować Jurasia na wyłączną swoją własność, i mrugnęła nawet potajemnie na posłuszną matkę, aby starała się gospodynię odwrócić ku sobie. Był to korpus mający zrobić dywersyę.

— Jakże teraz — mówiła dalej Aneta — po tём życiu swobodném, ostrém i hartowném przejdiesz pan, jeśli się pytać godzi, do zupełnie nowego?

Komu innemu ta rozmowa od razu tak *in medias res* puszczona, a raczėj w środek serca i duszy, była by się bardzo dziwną wydała; Jurasiowi przeciwnie podobała się swą zorponą szczerotą, i ośmieliła go poufałością.

— Nie myślę wcale zmieniać życia, odparł Juraś śmiało: nic mnie do tego nie zmusza; swobodę, ciszę, niezależność kochałem, i nie wyrzeknę się ich dla niczego.

— I znowu się pan zakopiesz?

— Nie wiem; przywykłem iść za popędem i uczuciem potrzeby serca, a któż powie, czego ono dozna i żąda jutro?

Aneta wzięła te słowa prawie za komplement, ale

uznawszy potrzebę niezrozumienia go od razu, bo to mogło być niestosowném, podniosła oczy, potrząsając główką, i mówiła dalej:

— Al zapewne! najdziwniejsze rzeczy dzieją się z nami: chwila, słowo, wejrzenie, drobny wypadek czasem zmienia losy człowieka...

— I nigdy za jutro zaręczyć nie możemy, dodał Juraś. Jest jednak rzecz pewna tylko, za którą potrzeba mieć siłę ręczyć, to, że się zostanie pocziwym sługą prawdy, którą się raz ujrzało.

— Ależ ta prawda—spytała jak Piłat Aneta—cóż to jest?

— Nie ważę się odpowiedzieć pani, rozśmiał się smutnie Juraś: dla mnie to życie w takiem kole, gdzieby mi nic nie gniotło uczucia, nie więziło myśli, gdzieby żadna forma nie nakazywała mi kłamstwa.

— Ależ to nie ma na świecie takiego życia!

Aneta zamilkła, ale oczy jej mówiły tymczasem.

— Prawdę rzekłszy—odezwała się po chwili—ja także choruję na to pragnienie być zawsze sobą i nigdy nie kłamać, ale kobiecie to jeszcze trudniej.

Rozmowa tak wysoko nastrojona dalej już wzlecieć nie mogła. Szczęściem półkownikowa, która się do niej mieszać chciała, oderwała się od pani Anastazyi i wrzuciła w tём miejscu swoje echo:

— Kobiecie (westchnienie) najtrudniej.

Aneta rozśmiała się ukazując bieluchne ząbki.

Maks tymczasem stał na straży, aby nie dać Jurasiowi uciec, do czego zdawał się mieć ochotę. Podano spóźniony obiad, choć wieczór się już zbliżał; nie było sposobu odmówić. Poszli do stołu, a los, a raczej dobra rachuba sprawiła, że Juraś znalazł się między gospodynią i Anetą. Aneta znowu tak usiad-

ła, aby wszystkie swe wdzięki dać sąsiadowi ocenić i wzięła go już w niewolę rozmowy, której na chwilę ustać nie dała.

Juraś zdumiony był jej śmiałością, naiwnością, obejściem poufałym i szczerem, które umiejętnie zastosowała do niego.

Z razu instynktowo i niezbyt trafnie posunęła się z rozmową, nie zbadawszy gruntu; ale po kilku godzinach, pochwyciwszy słabą stronę Jurasia, tak doskonale umiała z niej korzystać, że wstał od stołu niebardzo już śpiesząc się do dalszej podróży, co było wielkim tryumfem. Twarz Anety była rozjaśniona, usta uśmiechające się; matka z uwielbieniem na nią patrząc, zdawała się z daleka kosztować słodczy zwycięstwa.

Jakie mianowicie na Jurasiu zrobiła wrażenie Aneta, wypowiedzieć trudno. Z Lolą był nieśmiały, trwożny, poruszony; tu chłodny, wesół prawie, ale pochwycony i upojony jakby po szampańskim winie. Z głębi jego dobiły się nieznanie mu prawie uczucia, a raczej namiętności, jak silna woń upajając go i durząc. Czémś lepszym była dla niego Aneta, niż dobry, wesół towarzysz; ale w rodzaju takiego druha, z którym mówiąc, człek się nie rumieni, nie kłopotczy, nie wstyda, mówi mu wszystko i od niego spodziewa się wszystko usłyszeć.

Jeżeli powiem, że Juraś, który miał jechać zaraz, pozostał na noc, bo już i konie i Paweł od dawna byli sprowadzeni do dworu, że Aneta z matką dla zbliżającej się burzy, także skłonić się dały na wieczór pozostać, że resztę dnia spędzano na muzyce, bo Maks chętnie się popisywał przed obcymi,—odmaluję

dostatecznie niebezpieczeństwo, w jakie wpadł Juraś. Wieczór ten był brzemienny w wypadki małej wagi a wielkich następstw. Najważniejszą w nim epokę stanowiła półgodzinna rozmowa wśród szelestu i gwaru przez Jurasia z Anetą prowadzona, na przechadzce od drzwi szklanych ku wchodowym,—rozmowa, w której, jak ona utrzymywała potem przed matką, dusze ich i serca porozumiały się.

Jakkolwiek chłodna, wyrachowana istota przybyła tu z myślą zimną i rachubą, trzeba jęj oddać tę sprawiedliwość, że zadrgało w nięj serce którego w sobie nie spodziewała się sama.

Jest coś w szczerym, prostym a pełnym uczucia człowieku, co nawet najzimniejszych rozgrzewa, i budzi jeśli nie miłość dla niego, to podziwienie i szacunek. Szydzić potem mogą gdy ostygną, ale przy płomyku serca rozgrzewają się choć chwilowo, i przeistoczeni magnetycznym wpływem uczucia, doznają tego, czego nigdy nie marzyli doświadczyć.

Tak się stało z Anetą: trochę głową, trochę sercem poczuła wyższość Jurasia, jego idealną stronę, gdy przed nią poczał naiwnie odsłaniać swe uczucia, swe myśli trochę podobne do splątanych a bujnych gałęzi dziewiczego lasu, swe marzenia o świecie, ludziach i przyszłości.

Z kobiecą tylko chytrąstką, tym przymiotem słabych, którym Bóg ją dał może umyślnie na obronę przeciw sile, mimo entuzjazmu, jaki w nięj wzbudził, Aneta poczuła, że tego człowieka tak pełnego wiary, tak niedomyślającego się zła, tak pałającego miłością dobra wszelkiego, łatwo będzie wziąć, strojąc się do niego w szatę odświętną.

I stała się inną trochę niż była zwykle: na skórę lwią amazonki narzuciła mgliste obłoki kobiety niepoznanej i zakochanej w niebieskich ziemi zjawiskach; wywołała rumieniec na twarz, i nie tracąc śmiałości, dodała jój za towarzyszki szczerotę dziewczęcą, prostotę dziecinną.

Może to było aż nadto zachodu na chłopca, który nie przywykł był stykać się z kobietami wykształconemi i taką obdarzonymi strategią? Juraś też został podbity, niestety! i jedno tylko uczucie wstrzymało go od zupełnego poddania się: pamięć o Loli — jakaś z tém wspomnieniem łącząca się zgryzota... Twarz anielska dziewczeczki zjawiała się przed jego oczyma w jasnym obłoczku, smętna i przerażona.

Około północy, po muzyce, która się także przyczyniła do rozmarzenia gości, wszyscy a szczególnie Juraś i Aneta uczyli się jakby bardzo dawno znajomi, usposobieni do zwierzeń. Maks tylko, którego opanowała półkownikowa, dając mu zawczasu kosztować słodczy małżeńskiej niewoli, smutny siedział przy niej ze spuszczoną głową na kanapie, mając minę raczej niewolnika, który się nudzi i radby wyrwać się z pęt dźwiganych, niż niecierpliwego kochanka oczekującego jasnej chwili wesela.

Na nieszczęście, im on był tęskniej zamyślony i smutniejszy, tém serce półkownikowej, które się czuło obowiązane podzielać jego strapienia i bólesci, większych dopuszczało się natręctw, w przekonaniu, że ukradkowo narzucane mu pieszczoty, doskonały skutek zrobią.

Pani Anastazyja ziewała okrutnie, ale nie chciała przeszkadzać córce, i oglądała salon nie mogąc się

nim nasycić, aby nie być zmuszoną zwracać uwagi na Anetę, która z Jurasiem już dwudziestą odbywała pielgrzymkę od ganku do drzwi sieni.

Rozmowa coraz się ożywiała,

— Doprawdy, dziwna to rzecz—zawołała Aneta patrząc na zegarek, który nielitościwie wybijał dwunastą:—dwie nieznane sobie istoty z dwóch przeciwnych świata krańców, spotykają się przypadkiem, są z sobą chwilę, zbliżają się, poznają, a potem znowu mogą nie spotkać lat kilkadziesiąt, aż w starości, kiedy zupełnie staną się innemi. Ja przynajmniej—dodała—wspomnienie dnia dzisiejszego poniosę na długo...

Przerwała nagle.

— A jaż, pani? dodał Juraś gorąco: czyżbym mógł zapomnieć tego czarownego wieczoru? Uważałaś pani, że ludzie zawsze wzajemnie są z siebie radzi lub niekontenci?

Spojrzeli sobie w oczy: źrenice Anety pałały, Jurasia zaszyły jakąś łzą wędrowną.

— Ale dla czegożby się to tak smutnie kończyć miało? dodał—kiedy nic łatwiejszego niż widzieć się poznawszy?

Aneta w milczeniu znowu zwróciła nań tylko pytające oko.

— Miałabym i mogłabym się spodziewać?

— Maks zdaje mi się—rzekł Juraś—niewątpliwie znajdzie port w tych stronach: nieraz go pewnie odwiedzę...

— Wówczas i my się pana u siebie spodziewać byśmy mogli? spytała Aneta.

— Dziękuję pani za zaproszenie; będę z niego po chłopsku, po kozacku korzystał, choćbym się miał stać natrętnym.

— Nigdy! szepnęła Aneta cicho. Ojciec mój i matka jak ja będą panu radzi.

Juraś wziął to za dziewczą prostotę i grzeczność, skłonił się wzruszony i zamilkł.

— Ale po co to pan jedziesz zakopać się w tém Polesiu? dorzuciła: tam musi być tak smutno!

— Muszę spróbować tego życia, w którém jest wiele swobody.

— Mnie się zdaje, że człowiek z charakterem wszędzie ją sobie zdobyć może: tylko uginający się łatwo są niewolnikami wszędzie.

— Ale tam potrzeba walczyć: tu można być panem....

— Nietrzeba walki nawet, bo ludzie czują charakter w człowieku i muszą go uszanować, a sami w bój znowu nie rzucają się tak łatwo.

Pani matka ziewnęła, widocznie przedłużoną rozmowę czas było kończyć i pożegnać gospodynię. Maks szczególniej wzrastającą czułością przyszłej żony przelekły, zdawał się coraz niespokojniej wyglądać chwili odejścia.

Nadeszła wreszcie. Juraś pożegnał panią domu, chcąc do dnia odjechać w dalszą drogę; Aneta podała mu rękę namagnetyzowaną pragnieniem, aby go nazad ku niej ściągnęła. Istotnie dotknięcie téj dłoni malutkiej, w której chłodzie i jedwabnej gładkości było coś tajemniczo pociągającego, lekkie ściśnięcie drobnych paluszków, przejęły Jurasia dreszczem. Któż wie czy i Aneta silną dłoń swojego bohatera ścisnąwszy, nie doznała niespodzianego wrażenia?

Juraś z Maksem poszli do oficyn, gdzie im przygotowano posłanie, i długo jeszcze gwarzyli z sobą. Artysta potrzebował się wylać przed przyjacielem —

z kłamstwem tylko, niestety! bo prawdy nie mógł i nie śmiał mu powiedzieć. Nie kochał wcale półkowników, ale rozpieszczony i zepsuty, szedł udając miłość, która go dławiała, dla powszedniego kawałka chleba, dla dostatku, który mu się uśmiechał, dla próżniactwa, które mu pachniało. Muzyka, którą uprawiał tylko dla tego, że z nią było mu dobrze na świecie, choć wcale nie miał zamiłowania, także się ubocznie przyczyniła do rzucenia go w te pęta; mógł się jój bowiem raz na zawsze pozbyć w ten sposób.

Inaczéj wszakże i z właściwą sobie umiejętnością te rzeczy Jurasiowi wystawiał.

Wsparty na rękę, z dłonią w obfitych puklach włosów, zamyślony, począł od wybuchu westchnień.

— Otoż i zamknięta karyera! zawiązana przyszłość! zawołał tragicznie: marzenia moje sławy zabite może na zawszel! Trzeba było, bym ją ujrzał, pokochał, bym w niej wzbudził to uczucie gwałtowne niechcący, mimowoli... uczucie, które na mnie wkłada święte obowiązki... Dzisiaj niewolnik, zmuszony jestem rdzewieć na wsi, drogi Jurasiu... zmuszony gnuśnieć wśród dostatku i pędzić dni wśród nudy.

— Ale ją kochasz? rzekł Juraś.

— Tak! kocham ją, i godna jest tego ta dusza niepoznana, to serce czułe aż do drażliwości, trwożliwe i czyste; ale obok niej równą prawie miłością kocham sztukę!!!

— Któż ci ją broni uprawiać?

— Może samo szczęście, którego doznaję, denerwuje mnie i osłabia; a to zakopanie się na wsi...

— Będiesz miał łatwość podróży.

— Nie wiem czemu... póki dusza bolała—rzekł Maks siląc się na sentymenta—i muzyka z niej jak

kwieć lała się strumieniem; dziś źródło wyschło, nie czuję w sobie zapалу, cały jestem w mojej miłości.

Tu Maks ziewnął mimowolnie, a że świeże kończyły się i Juraś zadumany mało mu odpowiadał, potrzeba było prozaiczném „dobranoc“ skończyć te wykrzykniki boleści, utworzonéj tylko aby się z nią jakoś pięknie pokazać.

Po odjeździe Jurasia z Zarubiniec, wszystko powróciło do dawnego trybu; w sercu tylko Loli pozostało coś, czego w niém przedtém nie było: niepokój jakiś i tęsknota,—a w rozmowach z matką nieustannie powracała do Jurasia, co nawet hrabinę w końcu uderzyło. Miała jednak tyle taktu nieboga, że okazywała, iż tego nie postrzegła, a mówiąc z córką, usiłowała rozmowę zwracać na inne przedmioty.

Tak upłynęło dni kilka, gdy raz przebiegając myślą przeszłe sceny, hrabina porwała się nagle z krzesła, jakby coś sobie przypomniła, pochwyciła za głowę, i silnie dzwonić zaczęła, żądając, aby jéj natychmiast zawołano Żółtowskiego.

Pobiegł chłopak po rządcę do ogrodu, a hrabina zaczęła się niespokojnie przechadzać po swoim pokoju. Twarz jéj wydawała jakiś strach i pomieszanie, zaglądała ciągle ku drzwiom, to przez okna; a gdy się ukazał wreszcie stary, podbiegła ku niemu blada, palec kładąc na ustach.

— Żółtosiu kochany! tyś człowiek dobrej rady: ratuj mnie! Nie uwierzysz, nie pojmujesz, co ta biedna głowa moja od chwili dźwiga na sobie... Radź mi, dopomóż, co ja mam robić!

— Cóż się to stało? czy wierzyciel który...?

— Ale nie! nie! odparła hrabina.

— Słucham, słucham...

— Nic się nie stało, a jednak to rzecz okropna!

Żółtowski na wiarę wyrazów ręce załamał, i siwe swe zaczerwienione oczka wlepił z trwogą w hrabinę.

— Ale cóż? ale cóż? proszę pani...

— Przypominasz sobie, gdy nieboszczyk Herman przybył tu przedostatnim razem?

— A! jakżeby nie!

— Nie mówił ci z czém przyjechał?

— No, odwiedzić! krótko rzekł Żółtowski niespokojny.

— A! miał on i inny powód. Nic jeszcze naówczas nie wiedział o synu, uczucie ojcowskie dla niego nie rozbudziło się w nim jeszcze... powtarzał ciągle, że nie ma dziecka.

— No! tak! ale później wszystko to Pan Bóg szczęśliwie przemienił..

— A! ty nic nie wiesz.... to rzecz okropna!

Żółtowski czekał, ocierając pot z czoła.

— On wówczas zrobił testament jakiś, dodała hrabina po cichu: i złożył go w moje ręce....

— Kiedy?

— Za pierwszą bytnością jeszcze.

— I nie odebrał go potem?

— Nie! wszyscy zapomnieliśmy o nim!

Żółtowski począł żywo trząść głową.

— Testament! jest testament!

— Złożony u mnie, powiadam ci! u mnie!

I pobiegłszy do szkatułki, hrabina wyjęła z niej papier obwarowany pieczęciami.

Żółtowski osłupiały, ręce i głowę opuścił w rozpacz.

— Kto wie co on tam myślał wówczas, dokończyła hrabina: niepodobna odgadnąć. Naówczas dziecka swojego nie znał jeszcze, wyrzekał się go jak niewdzięcznika... mógł je wydziedziczyć!!

Zamilkła, stary powtórzył tylko ponuro:

— Prawda, jest to rzecz wielkiej wagi...

— Ale co ja mam począć?

— Doprawdy... nie wiem.

— Uważałeś, że umierający ciągle się niepokoił i obracał ku mnie; dawał mi jakieś znaki oczyma, których nie mogliśmy zrozumieć... Dziś pewna jestem, najpewniejsza, że chciał, bym mu to pismo zwróciła; ale mnie Pan Bóg zaślepił, żem wówczas nie domyśliła się o co mu chodzi. A! mogę być przyczyną wielkiego nieszczęścia...

— Ale niechże się hrabina nie trwoży tak bardzo, rzekł Żółtowski, którego twarz mimo wyrazów uspokajających, największe wydawała przerażenie. To nie nie pomoże, trzeba się tylko rozmyślić.

— Jedno z dwojga, przerwała Marya: należy albo go złożyć, lub nie czytając spalić!

— A! niechże Bóg bron! to i prawu i zwyczajom się sprzeciwia: tego zrobić nie można. Zapewne u niego w papierach pozostał ślad téj ostatniej woli, mógłby o to być proces kryminalny! Któż wie zresztą co on tam napisał?... W żadnym razie ukryć niepodobna.

— A jeśli testament jest na szkodę Jurasia?

— Jedno z dwojga: w takim razie komużby zapisał majątek, jeśli nie wam?

Tu Żółtowski gwałtownie ruszył ramionami i uciał.

— A mój mąż, żywo dokończyła kobieta: najzaniejszy z ludzi, znasz jego serce, ale może mieć tyle powodów, swój sposób pojmowania, pewne przekonania... ja nie wiem, przewidzieć trudno... On widocznie Jurasia nie lubi... ty mnie rozumiesz...

Żółtowski nic nie mówiąc, coraz niżej spuszczał głowę.

— Bądź co bądź—rzekł—w żadnym razie taić tego nie można.

— A jeżeli...?

Spojrzeni sobie w oczy.

— Niech się dzieje wola boża. Któż wie, zresztą?...

Marya żywo wsunęła papier do szkatułki i usiadła ze łzami w oczach, zadumana.

— Wiesz co? rzekła: zapominałam dotąd; mogę powiedzieć, że nie pamiętam. Bóg mi to kłamstwo przebaczy. Obawiam się krzywdy tego dziecięcia. Jedź i pogadaj z prawnikami.

— Już to, tak dalece nie ma potrzeby, odezwał się Żółtowski. Rzecz jasna: nic nie pozostaje, tylko złożyć testament; to obowiązek.

Hrabina rozplakała się i zakryła oczy.

— A! mój Boże, i mieć potem na sumieniu krzywdę ludzką!... Bo któż wie? któż wie?... A wszystko to z mojej winy!

— Kto tam wie co on napisał! rzekł Żółtowski, choć sam skłopotany.

— Był zażalony, znękany; powtarzał mi, że nie ma dziecięcia: mógł go wydzieścić...

Na tę przykrą naradę wbiegła wesola Lola; ale postrzegłszy matkę pomieszana, Żółtowskiego zgryzionego, oboje nagle zamilkłych i pobladłych, natych-

miast wymknęła się pod jakimś pozorem, niespokoj-ném okiem rzuciwszy tylko na matkę.

Zółtowski myślał długo, wzdychał, kręcił się, nareszcie po wahaniu przystąpił bliżej i rzekł:

— Co obowiązek, to obowiązek... nie ma nikt prawa odrabiać co los zrobił. Bóg to zrządził w ten sposób jak Mu się podobało! Trzeba o testamencie oznajmić hrabiemu i złożyć go w urządzie, a zarazem posłać do Jerzego, jemu o tém dając wiedzieć... To droga jedyna! Nie ma sposobu, nie ma sposobu...

Marya wciąż płakała, tuląc twarz w chustce i modląc się po cichu. Tak ją po chwili jeszcze przybiegłszy zastała Lola, usiłując uśmiechem, szczebiotaniem i pieszczotami pocieszyć, co jój trudniój przyszło niż kiedy, bo powodu tego bolu dowiedzieć się od matki nie mogła.

— Módlmy się, moje dziecko, odezwała się nareszcie całując ją w czoło hrabina: módlmy się, aby Bóg łaskaw serce twój matki od wielkiego uwolnił ciężaru, aby biedną sierotę od przykrego losu zasłonił, aby tchnął w serca ludzkie sprawiedliwości uczucie.

— Ale cóż nam grozi? co się stało, kochana mamciu? przerwała Lola...

— Nic, nic jeszcze... dowiesz się o tem później... a teraz obie Boga prosimy, abyśmy nie płakały całe życie jak w téj chwili płaczemy.

Hrabina, jak widzimy, nie śmiejąc się przyznać do tego, nie ufała mężowi; obawiała się trochę nieubłaganego uporu, a może wrażenia, jakie na nim uczynić mogły miliony nieboszczyka. Zdało jój się, że cała wina przyszłości na jój zapomnieniu ciążyć będzie.

Ponowiła się jeszcze narada z Żółtowskim, który niedowierzając sobie, pojechał do miasteczka, i niewyraźnemi słowy, ostrożnie, nie dając się domyślić o co chodzi, dopytywał się u prawników, jak w danym razie potrzeba było postąpić? Jednomyślnie wszyscy bez wahania uznali konieczność złożenia testamentu, którego nikt utaić nie miał prawa. Nie można było wiedzieć zresztą co on w sobie zawiera, bo nieboszczyk nikomu się z tém nie zwierzał.

Z wiadomością tą gdy Żółtowski pośpieszył do hrabiny, a ona biedna znowu wymodliła się i wypłakała, zesła wreszcie na dół powoli, i z rezygnacją najprzód musiała swój błąd i dotychczasowe zapomnienie wyznać przed mężem. Żadnego nań nie mając wpływu, choć daleko sercem i umysłem wyższa od niego, musiała w razach potrzeby uciekać się prawie do fałszu, by dla niego co pożytecznego zrobić; w innych wypadkach ulegała najszkodliwszym jego zachceniom, bo przemódz ich nie było podobna.

Rzadko się bardzo trafiało, by hrabina schodziła na dół do pracowni męża. Zawsze było to oznaką jakiegoś niezwykłego wypadku, a obudzało jego nieukontentowanie; bo choć mu nikt nie ośmielał się przeszkadzać, i gdyby się dom palił, wchodzić do niego nie śmiano—jeśli raz w pół roku trafiło się, że go ktoś ode-rwał od fantastycznych marzeń, gniewał się jakby szło o życie. Ten gniew należał do oznak powagi i attrbutów geniuszu, wedle pojęć hrabiego.

Zapukawszy wprzód, nieśmiało bardzo, z bijącym sercem, odebrawszy nierychło odpowiedź mrukliwą pozwalającą wniknąć, Marya stanęła przed swoim panem ze smutną, pokorną miną winowajcy.

— Cóż to się stało, że mnie tu odwiedzasz? zapytał hrabia zdumiony: czy istotnie jest co tak ważnego?

— Rzecz największej wagi: posłuchaj mnie chwilę.

— Domyślam się: pewnieście znowu z Żółtowskim jakiego na mnie wymyślili stracha.... Dość, żeście się uwzięli, aby mi nigdy nie dać pokoju!

— Jeżeli tak jesteś zajęty...

— Ale już teraz tok myśli przerwany, nie jestem zajęty; rzecz skończona. Mów, a prędko; pewnie jakieś dzieciństwo.

Hrabia poruszał ramionami z uśmiechem, jakby był pewien swego, i zamilkł z uczuciem wyższości, która litościwie raczy pobłażać daleko od siebie niższej istocie.

— Mój drogi Rajmundzie, tylko nie gniewaj się na mnie...

— Ale bez tych przedmów, chciałbym już wiedzieć o co idzie.

— W tych czasach, odezwała się spuszcżając oczy hrabina: tak byłam strapiona, przygnębiona, nieprzytomna, że mimowoli wielki błąd popełniłam.

— No, spowiadajże się proszę: ja czekam!

To „Ja czekam“ wymówione było zupełnie w rodzaju Ludwikowskiego: „O mało nie czekałam. (1)“

— Gdy pierwszym razem przyjechał do nas Herman....

— Herman? a tak! cóż dalej!

— Nie mówiłam ci nic, bo mi nie pozwolił o tém wspominać; ale żądał odemnie, abym przyjęła do schowania jego testament....

(1) J'ai failli d'attendrel

Spojrzała mu w oczy hrabina i zaczęła drżeć, spodziewając się wybuchu. Rajmund poruszył się bardzo.

— Testament! zrobił więc testament!

— Naówczas jeszcze o synu nie wiedział, był na niego mocno zagniewany...

— A teraz nie odebrał ci tego testamentu? zapytał żywo hrabia.

— Właśnie, winą w tém moja: żem jego wejrzeń i rozpaczliwych ruchów, gdy umierał, zrozumieć nie mogła; żem nie spytała go, czy chce, by się to spełniło. Zdaje się, że pragnął, widocznie domagał się odemnie zwrotu; alem ja tego naówczas nie umiała się domyślić, wszystko to za późno mi się przypomniało.

— I nie zwróciłaś go? tupiąc nogą o podłogę powtórzył hrabia.

— Jest dotąd u mnie.

— Jest dotąd! a ty mi nic nie mówisz!

— Wszakże dopiero teraz przypomniałam to sobie!

Hrabina spuściła oczy; hrabia Rajmund poruszył się gwałtownie.

— Otoż to sprawa z kobietami! krzyknął stukając ręką o jakąś machinę. Rzeczy największej wagi! los familii! Ale gdzież rozum, gdzie zastanowienie! Moja pani! to niepojęta rzecz, zapomnieć o testamencie!

— Mój drogi, nie gniewajże się: nic się przecie nie stało.

— Owszem! skutki mogły, mogą być okropne! Zatajenie! posądzenie nas o nieuczciwe skrycie woli zmarłego, który w naszym domu życie skończył! Zresztą, któż wie? skutki mogą być nieobrachowane... Gdzież jest ten testament?

— Sami go przecie otwierać nie mamy prawa.

— Ale go natychmiast potrzeba odesłać do sądu...

Wołać Żółtowskiego! zakrzyczał hrabia poruszony niezmiernie, tracąc zwykłą sobie powagę.

Malczak, który podsłuchiwał, powrócił żywo do warsztatu, posłyszawszy dzwonek; a z drugiej strony wbiegł służący, którego natychmiast posłano po rządzcę.

Złym dla hrabiny znakiem był już niepokój hrabiego i kilka słów, które mu się wymknęły nieznacznie; widoczna bowiem rzecz była, że się domyślał, iż ostatnia wola zmarłego na korzyść ich wypaść może i wcale zrzekać się jój nie miał ochoty.

Przeczcucie jakieś i niepokój tak nim owładły, że rzucił swe zwykłe zajęcia, sam zaraz porozpisywał listy do sędziego i urzędników, rozdysonował konie, chodził nie mogąc w miejscu usiedzieć.

Nazajutrz przybiegł wezwany pan sędzia Korokotowicz-Mejszagolski (tak się bowiem nazywał, a czasem dopisywał i dwa imiona, i herb Wilcze-Zęby do niekrótkiego i tak nazwiska, które bywało powodem omyłek, bo go dwojako mianowano). Sędzia, maluteczki człowiek, zwinny, brudnawej powierzchowności, w wyszarzanym wice-mundurze, z podtartą do góry czupryną, z mową żywą, niezrozumiałą i płaczącą się co chwila, uniżony, pokorny, a w potrzebie bardzo usłużny, był dosyć lubiony od powiatu, choć niktby był za niego nie dał i trzech groszy.

Służył wszystkim bez wyboru, którzy mieli czém odśłużyć i użyteczni mu być mogli; przeciwnie dla tłumu bez mienia, imienia, stosunków i siły, był ostry, szorstki i szyderski. Trzebaż się na kimś odegrać. Było to jedno z tych narzędzi posłusznych, którego każdy używa wedle swój myśli, a potem usuwa, aby rąk sobie nie walać.

Korokotowicz wezwany, wiedząc, że hrabia zawsze

przez dumę za podróże przedsiębrane dobrze się wywdzięcza, stawił się raniuteńko najętą furką, i wysiadł u Żółtowskiego, gdzie herbaty z rumem się napiwszy, a potem zjadłszy śniadanie skropione parą kieliszków, których droga odbyta dla pokrzepienia wymagała, o godzinie dziesiątej zaproszony został do pana hrabiego.

Rzecz już była wiadoma.

Hrabia Rajmund przyjął sędziego w swoim pokoju. Ten przybywszy, pocałował go w ramię, uklonił mu się dziesięć razy, i siadłszy na rożku kanapy, chustką ocierając czoło, uznał, że co tylko mówi jw. hrabia, jest niezmiernie słuszne, niesłychanie trafne, i nie mógł wydziwić się nadzwyczajnej przenikliwości umysłu pańskiego. Złożony na ręce swe testament, przyjął Korokotowicz w troskliwą opiekę, obiecując zaraz nazajutrz zawiadomić o otwarciu, które w urzędzie nastąpić miało.

Przy tej zręczności pan Korokotowicz-Mejszagolski nie omieszkiał wiele ciekawych rzeczy opowiedzieć hrabiemu: jak horodniczy postąpił sobie z pewnym kupcem, o czem już poszło sekretne doniesienie do gubernatora; jak wielkie było podejrzenie, że podsędek szpakowatego konia nie kupił, chociaż go z jarmarku przyprowadził; jak plotki chodziły o aptekarzu, że kocha się w córce doktora, który ją znowu chciał wydać za urzędnika eleganta do osobnych poruczeń. Hrabia tego wszystkiego nie słuchał, ale nim podano drugie śniadanie, musiał gościa bawić, a ten wywdzięczał mu się jak umiał, tém co go najbliżej obchodziło.

Obszerniej nieco a ciszéj rozwiódł się Korokotowicz nad podaną prośbą osobistą przeciwko pani sędzinie, przez pana marszałka, w rzeczy należnego jéj długu,

z czego miała wypaść bardzo zabawna rezolucya, a później ekstra-fein decyzya rządu gubernialnego, którą sobie jak przysmaczek podawano.

Szczęściem wśród rezolucyi nadeszła taca ze śniadaniem, która trochę te wynurzenia się, już polityki mocarstw dotykające, przerwała... Sędzia w niedostatku innych wiadomostek, dopuszczał się tej niedyskrecyi, że szeptał na ucho hrabiemu, jakoby pewną miał wiadomość, iż względem poddanych pruskich były podejrzenia o fałszowanie monety, co dopiero nastąpiło gdy Prussy zbliżyły się do Anglii, która ich za pośredników użyła do rujnowania kontynentalnych finansów za pomocą fałszywych bankocetli.

Gadatliwy sędzia byłby nawet coś ciekawego o swym naczelniku gubernii i jego passyi do grania w kręgle powiedział, mimo to, że nie wypił nad parę małych kieliszków; ale czasu zabrakło, hrabia go pożegnał sam, i wyprawił, prosząc o jak najrychlejsze oznajmienie, gdy testament otwarty zostanie.

Hrabina tymczasem z dala pożegnała odjeżdżającego sędziego z papierem, który może przyszłość rodzi-ny całej w sobie zawierał. Zdaje się, że i Rajmund niemniej się interesował tém, co on w sobie zawierał, domyślając się, że wedle wszelkiego podobieństwa, ogromne dobra i w pocie czoła uzbierane kapitały przeniesie na Zarubińce, nowego blasku dodając jego domowi, a co lepsza, dostarczając mu środków do zamawiania nowych machin i modeli w Paryżu lub Londynie, zaprowadzenia fabryki na większą i poważniejszą skalę...

W tropy za sędzią pojechał zaraz Żółtowski z poleceniem, aby natychmiast przynosił kopię żądanego papieru.

Tymczasem Juraś jechał dalej, opuściwszy dom półkownikowej, ku Horycy, z zapłakanyim starym Pawłem, który albo milczał zgnębiony albo szlochał i narzekał na to nieszczęście, iż Bóg go skazał, by pana i wychowawcę przeżył. Potrzeba było przez litość nad nim pielegnować go jak dziecko, gdyż widocznie życia mu już niewiele zostawało...

Wszyscy zresztą zarówno starzy domownicy Hermana uderzeni zostali tą wieścią piorunową o śmierci pana, z którym dziwny i na pozór wcale nie serdeczny łączył ich stosunek, ale w istocie z niego jednak wyrobiło się trwałe przywiązanie, nałóg, potrzeba...

Starca tego dziwaka i sknery wszystkim brakło do życia; czuli oni, że bez niego żyć im będzie trudno. I Lacyna, i Radwanowicz, i pomniejsi oficjaliści we dworze, nie wiedzieli co się z nimi stanie, jak się bez niego obejdą. Horyca bardzo osmutniała; schodząc się do izdebki Radwanowicz, Lacyna, klucznica, ekonom, wirtuoz, wzdychali i popłakiwali, nie domyślając się, w jakie przejdą ręce, i gdzie ich nadal losy rozpędzą. Wszyscy oni zależeli od tego kogoś, który miał w Horycy panować. Razem prawie z wieścią o śmierci hrabiego nadeszła niespodzianie i druga o znalezieniu syna i dziedzica, o pojednaniu jego z hrabią, o blizkiem do domu przybyciu.

Duch nieco wstąpił w domowników, choć różnie wnosili, jakim być może ten chłopak, który uciekł od ojca, tyle się czasu po świecie wałęsał i pewnie w biedzie i nędzy wydobrzeć nie mógł?

— A już to, mospanie, *expresse* powiadam, wnioskował Lacyna, który węża podkrecał, czuba zacierał, ale tylko z nałogu, bo mu nawet panna Petronella

z głowy wyleciała,—powiadam, że z młodymi niebezpieczna dla nas sprawa: młody szuka młodego.

— *Similis simili gaudet*, przerwał Radwanowicz, który nawet w smutku nie przestawał bredzić. *Gaudeamus igitur*, czyli „Oda do młodości“ z kąd mówi się przenośnie: szalona pałka, ale nie Herkulesa... co dusił węże w kolebce; za tém idzie, że czego się skorupka napije... Mięczaki, skorupiaki i t. d. Waćpan jesteś mięczak czy skorupiak? spytał nagle Lacyna.

— Ja wpana nigdy zrozumieć nie mogę, co wpan pleciesz?

— Pleciesz! *associatio idearum*; wpan tego nie możesz zrozumieć, odparł Radwanowicz. Z kąd?? ztąd, że *ideae innatae*, wszystkie siostry rodzone, trzymają się za ręce.

— Tfu! rzekł Lacyna: groch z kapustą...

— Bardzo dobrze, odpowiedział Radwanowicz: kapusta, a czemu nie ogórki? Ogórki, jak pisze Pliniusz, do tego stopnia lubił cesarz Tyberyusz, że mu je wożąc w taczkach po słońcu przez cały rok hodowano, aby je miał zawsze. Z kąd widać, że sztuka kwaszenia ogórków nie była jeszcze wynaleziona i jest późniejsza od ery naszej.

— Ale co mają ogórki do naszego nieszczęścia? przerwał gniewnie Lacyna; tu o nas chodzi!

— Tak, i to, dodał Radwanowicz: że jeśli nas przyszły pan tak będzie lubił jak Tyberyusz ogórki, to oczywiście będą nas wozili po słońcu....

— Ale ba! i zje nas jak ogórki!

— Nie zje, gdyż nie jesteśmy jadalni, ani ja, ani wpan, panie Lacyna; raczej sami mięsożerni i wódkopoje....

— A któż wódkę pije! tfu! zakrzyknął oburzając się Lacyna.

— A! nie ja! odparł Radwanowicz: ale nas tu jest kilku.

— To znowu do mnie, z tą głupią potwarzą!... rzekł regentowicz.

— Potwarz, po łacinie *calumnia*, roślina, która się krzewi na bujnych gruntach, *species* łobody i pokrzywy, a żywi się nią nierogaczna i..

— Znowu plecie! przerwał Lacyna: dosyć, że z tobą nawet o tém co nas wszystkich holi, pogadać nie można.. nawet o téj naszej biedzie.

— O biedzie, czemuż nie. Bieda, *miseria*, nędza, prawie synonimy; biedą także zowie się *vehiculum* o dwóch kołach; dalejże co? mogę i więcej o niej ze starożytnych powiedzieć.

— Bóg wie co będzie z nami! Przyjedzie, gotów powypędzać! rzekł Lacyna zadumany.

— Nigdy w świecie, odparł chłodno Radwanowicz, który nie tracił nadziei do ostatka. Młody potrzebuje pomocy, z razu nie pozbywa się nikogo; dopiero gdy cnoty nasze wyjdą na jaśnie i okaże się, że regentowicz Lacyna umie tylko koperczaki stroić, a Radwanowicz bredzić trzy po trzy, to jest ni w pięć ni w dziewięć, naówczas... Ale zkąd pochodzi wyraz koperczaki? wiesz asindziej? nie od kopru zdaje się, nie! ja nie wiem. Wpan to powinienes wiedzieć *intuitive*?

— A! nie ma naszego starego! zawołał Lacyna: pocziwy to był człowiek! O mój Boże! cenić go nie umieliśmy!

— Ale ba! mówże jegomość w liczbie pojedynczej. Ja nie lamentuję, ale wiem co straciłem: erudyta był pierwszego rzędu, *primae classis*, i żeby z nim człowiek jak bałamucił, jak kręcił i skakał od idei do

idei, on go zawsze dogonił, za kark i do kozy. Dla tego on jeden mógł się poznać na Radwanowiczu, a Radwanowicz na nim. Radwan, czyli *vexillum*, z kąd *vexillifer* chorąży; dalej co idzie, panie Lacyna?

— A dyabliż wiedzą co u ciebie idzie! U ludzi po ludzku, można się połapać, ale co z tobą!

— *Homo sum, humani nihil a me alienum puto*, mówi sławny dramatyk rzymski. Rzym, *Roma aeterna*, z kąd zaraz niedaleko *Campania*; z kąd jeszcze państwo wschodnie i państwo zachodnie, barbarzyńcy i Longobardowie; a wpan co na to?

— Wpan sam jesteś barbarzyńcą i tym, jak się zowie? Longobardem.

— El! el dobrze to szaleć za młodu, odparł Radwanowicz wzdychając; ale nie nam. Ztąd szal! Wiadomo bowiem, że Pythonissa szalała, a szal jój był święty... bo dym jój szedł w pięty.

— Panie Radwanowicz! krzyknął Lacyna wściekając się z gniewu: dajże wpan pokój! Czy już nie przestaniesz!

— A! kto staje i odwraca się, ten się w słup soli obraca: z kąd zaraz przychodzą Lot, Sodoma i Gomora, czyli Komora, powiada Dębołęcki; wieża Babel czyli Babel na ziemi wyrosły, jak świadczy tenże etymologista. Wpan nie jesteś etymologiem, panie Lacyna, to może entomologiem, lub...

Lacyna dochodził do rozpacz, a szanowny Radwanowicz choć szczerze żaloszny, nie mógł wytrzymać, by z niego sobie nie żartował i nie bredził.

— A! Pawła pocziwego nawet nie ma! Co się tam z tym nieborakiem stało?

— Co tego to mi żal—odparł Radwanowicz—*ex re* szczególniej tabaki i pocziwości, niewodów na ryby

i przywiązania do starego. Ot ten nie wiem czy go przeżyje.

— Mówią, że go ledwie od trumny oderwali—rzekł Lacyna.

— Rozumiem to bardzo; cóż mu teraz życie? Jak powiada Salomon, który wcale nie był głupi: *vita brevis*, kiedy umrzesz nigdy nie wiesz. To nawet zarywa na wiersz, panie Lacyno?

— Professorze! krzyknął regentowicz.

— A jużci-ć jeśli i teraz powiesz, że ja bredzę...

— Po cóż Salomon?

— Ja tylko Wpanu życzę ćwierć tego rozumu, jaki on miał na powszedni dzień, cóż dopiero na święta! Pewnieby cię ta Petronelka tak za nos nie wodziła, bobyś wiedział co *mulier* i sztuczki niewieście...

— Jest znowu!

— No, to milczę—rzekł Radwanowicz i westchnął.

— Czego mi żal—dodał po chwili—to biblioteki; kto jój teraz użyje jak ja i on? chyba mole. Tak jest, *mól* to *ultima linea rerum*, zkąd mówią, że każdy ma swojego, co go gryzie. Mysz także... to są *bibliofagi*. A no, tak! nie ma nic na świecie, panie Lacyno, tylko mól, ból, i co trzeciego? zgadniej?

— Albo ja tam wiem!

— A no, to i ja nie wiem także! odparł profesor. Jesteśmy w zgodzie, i możemy gadać o czém inném.

— Wystaw sobie asindziój, chłopiec wychowany przez naturę—rzekł Lacyna zamyślony,—to coś osobliwego.

— Ba! trzeba by tylko wiedzieć przez którą?

— Albo ich jest dwie?

— Najmniej! Jeżeli go hodowała *natura naturans*, to bardzo dobrze; ale jeżeli *natura naturata*?

— Oszalał! mruczał Lacyna.

— Wpan nie czytałeś Podolanki? zapytał professor.

— Nie.

— No, to jęj nie czytaj: to wszystko jedno. Natura może z wychowaniem postąpić jak się jęj podoba, bo ma różne fantazyje: albo zje albo nakarmi, wykołysze lub zdusi, zrobi olbrzymą, bohatera lub kłapouchą. Natura wielka, widzisz waść, panie Lacyna: zkąd Lukrecyusz *De natura rerum*, i lukrecya, nie rzymska, ale ta, którą jedzą od kaszlu, nudna jak ty kochany regentowiczu... rozumiesz?

— Kiedy kto ciebie zrozumiał!

— Mniejsza o to, byłem ja siebie rozumiał. A nie zagrasz waćpan w warcaby?

— Nie. Mówią, że nasz przyszły dziedzic ma być bardzo piękny i obiecujący mężczyzna... przerwał Lacyna.

— Obiecujący? jabym wolał dotrzymujący—odparł Radwanowicz — toby było lepiej. Obiecać a dotrzymać dwa bieguny przeciwne...

— Ty bo mnie nie rozumiesz!

— Ale ba! pochlebiasz wpan sobie zdrów! rzekł śmiejąc się professor. Gdybyś zagadał po chińsku, opiwszy się herbaty, i takbym cię jeszcze kiedyś złapał na przesmyku, mój kochany. Spróbuj? Fu-si, dzi-li-kien-fan-pen, dza; rozumiesz?

— Mój professorze, na miłość Boga, ja z tobą zwaryuję.

— *Non bis in idem!* zawołał Radwanowicz — to być

nie może, kochany regentowiczu; zkąd zaraz *bies* alias dyabeł, rzecz dwoista i dla tego dyabelska, etymologia łacińska. Inaczéj szatan od tego, że się szata, szasta i basta. Demon, zkąd na myśl przychodzi Sokrates, Isokrates, Zoroaster i Knaster... A nawet... ale wpan na to nie pozwolisz, panie Lacyno,—plaster?

— Tfu! panie Radwanowicz! coby ludzie powiedzieli, gdyby cię słyszeli?

— Coby powiedzieli? że jeden z nas waryat! ale jabym tego nie wziął do siebie, ręczę! odparł spokojnie professor. Wpan zaraz się burzysz, burza to jest fermentacya, godło zniszczenia, a panna Petronella jest godło pokoju i miłości: zkąd, *si vis pacem para bellum*. Już na to poszło, że ty i tego nie zrozumiesz, regentowiczu Lacyno?

Gdy tak jeden z nich bredził, a drugi się niecierpliwił, w chwili gdy oba najmniej się tego spodziewali, wpadł zdyszany Wicek, donosząc, że od miasteczka dostrzeżono koczobryk starego pana i furę Pawła, i że Jacek, który miał tak dobre oczy, że na staje zająca w kotlinie upatrywał, na furze starego Siermięzkiego nie dostrzegł, zkąd wnioskowano, że albo umarł, albo zachorował.

Lacyna porwał się żywo. Wąs jego wprawdzie był wyszwarcowany, ale jak na dni powszednie, nie zaś na przyjęcie pana; skoczył więc do lusterka, przy zrzeczności zaczesując czuba na przódce, podciągając węgiereki, i poprawiając pół-tygodniowych, ale jeszcze białych kołnierzyków. Inni także nie próżnowali: na folwarku, w domu, oficynie ruszyło się co żyło, biegnąc do ganku witać nowego pana. Nie było już wątpliwości, że to on nadjeżdża... Pawła w istocie na furze nie było, ale dla tego tylko, że jechał z Jurasiem w po-

wozie, gdzie staremu było wygodniej, i miał do kogo zagadać.

Żółty koczobryk zatrzymał się wreszcie przede drzwiami i tłumem gawiedzi, wyskoczył z niego najprzód w żałobę ubrany Juraś; za nim wydobyto powoli Pawła, który rękawem twarz zakrywszy, szlochał biedaczysko, nie mogąc spojrzeć na osieroconą Horycę.

W progu przedstawił się po wojskowemu, jak on to lubił choć kulał, Lacyna.

— Dawny sługa ojca JW. pana, regentowicz Lacyna, poleca się opiece zacnej krwi jego...

— Ex-professor Radwanowicz, quasi bibliotekarz i lektor nieboszczyka jegomości, a w istocie *pondus inutilis*, po polsku, ciężar nieużyteczny... Co tam chcesz, to z nim postanowisz.

— Kto z panów bliżej jest z Siermięzkim, niech się nim zaopiekuje... zawołał Juraś kłaniając się, wchodząc powoli i rozglądając się po pamiętnych mu z dzieciństwa miejscach.

— Jaby mógł, ale będę JW. panu potrzebny może, jako świadomy miejsca, rzekł Lacyna. A może jakie rozkazy?

— Ja jestem dość świadom także, bo pamiętam dobrze dom ojca, rzekł Juraś. Zaopiekujcie się biednym starym, proszę was bardzo, a mnie dziś zostawcie samego. Potrzebuję odpoczynku...

— Dokąd pan każe znosić rzeczy?

— Gdzie chcecie: to mi wszystko jedno...

To mówiąc śmiało, ale nie bez wzruszenia, żegnając się, Juraś przestąpił próg opustoszałego domu, i wszedł do téj siedziby, którą przed laty dobrowolnie opuścił.

Wszystko, co go tu otaczało, było smutne, zateęchłe,

grobowe, ciemną jakąś barwą okryte; a jednak z pod tego całunu wspomnienia dobywały się żywe i świeże, przykre zarazem i miłe.

Juraś przeszedł powoli pokoje, zastanawiając się tu i owdzie, a stanąwszy u kilku wschodów wiodących do ojca, zatrzymał się, nie śmiejąc pójść dalej.

— Nie wiem—rzekł w duchu—czy mi tam wolno, czym już ten cień zagniewany na mnie przebłagał.. Nie! nie pójdę! dodał—zostanę w progu, aż mi czyjaśkolwiek ręka sama te drzwi otworzy...

W chwili prawie gdy słów tych domawiał, domyslny chłopak, który posłyszawszy chód pana skierowany w tę stronę, pobiegł okrążając domowstwo i powoli dłonią dziecięcą rozwarł te drzwi zakłete. Juraś zastanowiwszy się chwilę nad dziwnym zbiegiem okoliczności, jaki często zdumiewa w życiu, z religijném poszanowaniem dla ojca pamięci, powoli wstąpił do izby ostygłej, w której tyle lat jak w klatce zamknięty z myślami, przebył sam, zdziczały starzec, walcząc z sercem, wmawiając sobie nieczułość, bolejąc nad zmarnowanemi chwilami.

Nie wiem, płakał czy modlił się Juraś, stojąc długo w milczeniu. Gdy powieki otworzył i usiadł z boku na ławce, ujrzał chłopaka, który pamiętny obyczaju starego pana, ogień na kominku rozkładał bojaźliwie, z pod oka spoglądając na biednego Jurasia. W drugich drzwiach ukazała się klucznica pani Sereadowicza, w nowym czepku z pomarańczowemi wstążkami i chustce bagdadzkiej, po nieboszczce sędzinie odziedziczonej, która się tylko kładła od wielkiego święta, z zapytaniem, czy pan sobie co kucharzowi zgotować nie każe? Od salki znowu wyskoczył Lacyna, pochrzą-

kując, aby się oznajmić, że stoi na zawołanie. Wszystkich ich Juraś grzeczném skinieniem odprawił.

Chwila przybycia do tego domu, uczucie, którém on go natchnął, były jakby spowiedzią z grzechu młodości. Tu dopiero uczuł, ile sieroctwa i smutku, ile godzin żalu zlał na głowę ojca; tu zrozumiał, ile był winien w obec Boga i ludzi, że się go wyrzekł, potępiwszy przed światem, skazując na wyrzuty i męczarnie. Stały mu przed oczyma dni spędzone przy tém ognisku, o których opowiadał Paweł—lata, które krokami powolnemi wydeptały ślady na posadzce—troski, które gryzły powoli więcéj zdrętwiałe niż zahartowane serce. Jasnowidzeniem odgadł wszystko, i zapłakał nad nim i nad sobą.

Jeśli w téj chwili z wysoka duch ojca spojrział na niego, musiał mu resztę winy przebaczyć.

W milczeniu nieruchomém przesiedział Juraś noc całą; sen dopiero o brzasku skleił jego powieki... Gdy się obudził, ujrzał znowu chłopaka, który cichutko wszedłszy, obowiązku swójego rozniecania ognia o świecie, dopełniał. Tak bywało za starego pana, i zdało mu się, że młody też same upodobania i zwyczaje co ojciec mieć musi.

Tym razem i Lacyna, który nie dając się nikomu uprzedzić, od dawna czatował, stanął na zwykłym swém miejscu z raportem, ofiarując wierne służby. Wstał bardzo rano...

— Czego pan chcesz? zapytał Juraś, pocierając ręką po czole.

— Po rozkazy, JW. panie, *expresse*; może co wypadnie polecić?

— Nie, kochany panie, róbcie coście zwykli; niech

wszystko starym idzie obyczajem. Dajcie mi ochłonać i przyjąć do siebie.

— Właśnie to, wedle tego obyczaju, JW. starego hrabiego, świeć Panie nad jego jasnie wielmożną duszą, *expresse*, przychodzę z raportem jak do JW. nieboszczyka. Wszystko dobrze: w oborze, w owczarni; *item* w stajni. Możeby JW. pan chciał się pofatygować?

— Kiedyś, później, panie Lacyno.

— Także, professor Radwanowicz czeka w bibliotece.

— Są tu konie? spytał nagle Juraś.

— A! a! stadnina paradna! odparł Lacyna.

— Każcie mi tam co młodego osiodłać.

Lacyna spojrział, skłonił się i odszedł powoli, ale co młodego osiodłać nie było łatwo.

— Ujeżdżonych koni—rzekł zwracając się z za progu—prawdę powiedziawszy tak jak nie ma, bo JW. hrabia dla bólu w nogach nie jeździł dawno i jeździć nie pozwalał, a młode, to tyle tylko wsiadane co do wody...

— To mi wszystko jedno, byle koń młody, a nogi miał zdrowe...

Czuł się złamanym Juraś, a jedynym dla niego środkiem było, gwałtownym ruchem do sił powrócić, jak nieraz tego doświadczał.

Zdało mu się, że i teraz kąpiel powietrza, walka ze zwierzęciem, widok okolicy, otrzeźwią go i wleją mu życie nowe.

Ale nieprędko doczekał się konia, którego w sześciu mu dobierali chórem: Paweł, pisarz, Lacyna, Radwanowicz, kucharz i furman, i ledwie zdecydowali się na najpowniejszą szkapę, na której jeździł wirtuoz.

Juraś wyszedłszy, spojrział i poznał, że takie stworzenie go nie rozłamie, ani zamarłych sił w nim obudzi.

— Pokażcie mi stadninę, rzekł po chwili.

— Wypędzić konie w dziedziniec! rozległy się głosy.—I parobcy pobiegli cwałem, a w kwadrans młodzież parskając i bijąc się przyleciała w skokach pod ganek.

— Czy siwy ten jeżdżony? spytał Jerzy, pokazując konika.

— No, tak... do wody—rzekł ekonom.

— Włożyć nań siodło i trzęgę...

Nie bez obawy i nie bez trudności rozkaz spełniono, a siwy choć się rwał i płoszył, musiał być posłuszny. We dwóch go przytrzymywali, gdy Juraś nań siadał, a gdy raz miał go w ręku, oparł się tylko o siodło, zebrał cugle, i z pośrodku stada ze zdumionej gawiedzi, jak strzała groblą w świat poleciał. Koń i jeździec w jedno zda się zrosli ciało, obaj kopnęli niecierpliwie, szybko... tylko że ich widać na grobli, a za nimi kurzu tumanik, i nic już... Tłum stoi przerażony: nikt tu tak, nawet pastuszki na koniach nie jeżdżą. Myślano, że koń go rozniesie.

— Ależ jeździ! zawołał ekonom—to już można powiedzieć, że jeździ!

— A ja panu mówiłem, rzekł Lacyna: jemu ten gniady, to wół; co onby z nim robił! a do tego nieprzyzwoicie kłapouchy...

Radwanowicz stojąc z założonemi w tył rękoma, co żołądek jego sferyczny dobrze uwydatniało, pokiwał głową.

— *Eques*—rzekł—*eques!* dosiadł Bucefała! i... drała... Aleksander Macedoński, z kąd zaraz bierze się Arystoteles, wypływa logika, polityka i inne tyki. Za

czém—spytał—gdyby pójść na śniadanie, co logika wskazuje także gdy żołądek próżny? he?

Lacyna nie był od tego, ani ekonom wirtuoz, i wszyscy zgromadzili się do pokoiku regentowicza, wypili po kieliszku wódki, pozwalając sobie różnych zdań o nowym panu.

— Piękny mężczyzna... rzekł ekonom — a jaka twarz pańska choć ogorzała! Ramiona choć sążniem mierzyć.

— Statua, panie, Aleksandra Macedońskiego—dodał Radwanowicz—jak się to powyżej powiedziało. Że zaś *mens sana in corpore sano*, czego asauństwo naturalnie rozumieć nie możecie, wnioskuje, że panisko będzie dobre z kośćcami...

— Ale młody! gorączka! rzekł Lacyna. Całą noc nie kładł się nawet; z rana nic nie jadł.

— No, to impressya panie, a wpanbyś co jadł?

— Co ma impressya do żołądka? zawołał regentowicz, chleb smarując masłem grubo.

— Jest logika, ale *praemissa* fałszywe. W żołądku, widzisz, wszystko się jednoczy; nawet starożytni niekiedy, nie bez przyczyny, w brzuchu duszę mieścili, gdy ich mocno zabolą; przez co się też dowodzi ta prawda, że smutek nie je, a niestrawność bywa smutna...

Ekonom z przywyknienia ruszył ramionami; Lacyna zajadł argument wędzonką.

— *Expresse*—rzekł—dał rozkaz, aby wszystko było po staremu, gospodarstwo i inne okoliczności domowe. Mam jego dyspozycję autentyczną wpanom to oznajmić, ażebyście na włos ze starych obyczajów nie wykraczali.

— No, to rozumiem—dorzucił ekonom—i to chwalebnie...

— Ja też *laudo*, bo i Radwanowicz przy bibliotece *more antiquo*, śniadanie o swój godzinie, pensya każdego pierwszego miesiąca, pięknie, chwalebnie, godnie... *Nomen tuum laudesque manebunt!* czego asaństwu tłómaczyć nie będę.

— Przecież to się do szkół chodziło! rzekł Lacyna, który przy ekonomie nie lubił, aby mu przytykano nieuctwem.

— A cóż to znaczy *manebunt?* he? juźci-ć tu jest bunt? ha? Zgadłeś, uczony Lacyno, kulą w płot... *Terra est rotunda et globosa...*

— Jadłbyś wpan, kiedy dali jeść.

— Czego nie omieszkać — dodał sapiąc ex-professor.

Rozmowa długo się jeszcze w ten sposób toczyła, ale towarzystwo horyckie w ogóle czuło się bardzo uspokojoném, i oczekując powrotu pana, ekonom zasiadł grać w warcaby, a Lacyna wziął się do fajki, którą lżej jakoś już wzdychając, nałożył zalibockim.

— Ha! ha! rzekł w sobie: i synowi jeszcze służyć będę do zdechu! Nie wypędzi nas przecię, a może choć u niego człek się jakiegś konsyderacyi dobije. Prawdę powiedziawszy — dodał — tamten był niezły człowiek, ale twardy jak ser zawiędły i niczém go rozmoczyć; ten to co innego...

Tymczasem stugębna wieść rozchodziła się znowu po sąsiedztwie Zarubiniec i Robowa, równie dziwna jak te, co ją poprzedzały, o znalezieniu testamentu

nieboszczyka hrabiego, otwarciu i dyspozycjach w nim zawartych.

Sędzia Korokotowicz, jak tylko rozpieczętowano ostatnią wolę i kopię z nięj zdjęto poświadczoną urzędownie dla hrabiego Rajmunda, pobiegł z minką usłużną od komina do komina, zwiastując co testament w sobie zawiera. Opowiadał on, że hrabia pominawszy wszelkie o synu wspomnienie, jak gdyby go nigdy na świecie nie było, zapisał wszystek ruchomy i nieruchomy majątek, bez żadnego wyjątku, bratu swojemu hrabiemu Rajmundowi, z tém tylko, aby on go jak dożywotniego używał, i nienaruszonym zostawił swoim spadkobiercom.

Testament w ten sposób uczyniony wiele miał przeciwko sobie pod względem prawnym: bo najprzód przemilczał syna, którego od successyi milczeniem tém tylko wyłączał, nic o nim i prawach jego nie wyrzekając; powtóre rozporządzał tém, co stanowiło fortunę spadkową, dziedziczną, w sposób nielegalny, bo majątności téj natury nikt rozpisywać nie ma prawa ze szkodą naturalnych sukcesorów; a co się tycze dobrokowego mienia, summ i kapitałów, które schodząc na brata, już przybierały charakter spadkowego majątku, obwarowywał użycie ich, czego nie mógł też, bez osobnego, wyjątkowego na to pozwolenia, uczynić.

Że takie rozporządzenie bardzo łatwo obalone być mogło, nie było najmniejszej wątpliwości. Zjawienie się syna, samo przez się niszczyło testament. Jednakże nie wiadomo było jak obaj, to jest stryj i synowiec, postąpią w obec tego dziwnego aktu.

W Zarubińcach oczekiwano niecierpliwie posłańca z miasteczka, a gdy przybył i doręczył list hrabiemu, uważano, że sam pobiegł z nim do swojego pokoju,

nie wzywając Żółtowskiego, nie oznajmiając o tém żonie, która płacząc modliła się i myślała, jak na to zaradzić, jeśliby testament co niepomyślnego dla Jurasia zawierał. Zastraszało ją usposobienie męża, milczenie przed nią, stan interesów... wszystko.

Gdy kopia nadeszła, na długich parę godzin hrabia zamknął się sam na sam u siebie, jakby się chciał z sobą naradzić co ma czynić. Wrażenie, jakiego doznał, nikt nie wyszedził oprócz Malczaka, który nie wychodząc ze swego obyczaju, nie mogąc podsłuchiwać, starał się podpatrzeć, a znał hrabiego tak dobrze, iż po ruchach i minie czytał co się w nim działo.

Z rękami na przygiętych kolanach wspartemi, z okiem ciekawie w dziurkę od klucza wlepioném, w kaftaniku i pantoflach, Malczak wyglądał na jakąś postać Hofmanowskiej powieści, ze swoją skrzywioną głową i uśmiechem, chwilami dziwne z niego czyniącym straszydło. Stał na palcach razem i złamany we dwoje, opierając się czołem o zamek; odchodził, powracał, w duszy ciekawy prowadząc z sobą monolog.

— O! czytał czytał mówił do siebie,—a brwi mu się jeżą... nic to jeszcze, medytuje... zawsze brwi marszczy, gdy na rozum bierze. O! i usta mu się uśmiechnęły; to dobrze... jest coś dla niego. Położył papier, myśli, pociera czoło, kiwa głową, nadał się: będzie miał pieniądze. Jak tylko ma pieniądze w kieszeni, nadyma się, i jak już ani gronia w domu, także. Więc czego się nadał? trudno dojść; ale mu dobrze z oczu patrzy. Aby on miał, to się i Malczakowi okroi. Z ukosa znowu czyta: widać nie od razu zrozumiał, a summuje, summuje. Coś to będzie u nas nowego! Héj! héj!—zatarł ręce—i Malczakowi się okroi!

W godzinę po odebraniu testamentu, hrabia trzymając go w ręku, szedł powoli zamyślony do pokojów żony; zastał ją bladą, wylekłą i niespokojną. Widok tego papieru dostateczny był do wznowienia jej obawy; musiała usiąść, aby mąż nie postrzegł jak drżała, nie śmiejąc pierwsza zagadnąć go o wielką tajemnicę.

— No! rzekł hrabia ponuro i sucho: nareszcie mamy już wolę nieboszczyka, chociaż nie wiem prawdziwie, czy ją wyraził w sposób dosyć prawomocny.

— Al tam gdzie się rzeczy tyczą stosunków rodzinnych — szepnęła hrabina — czyż potrzeba form i prawa?

— Zawsze, moja pani, zawsze, odparł Rajmund. W tém, zdaje mi się, różnią się wielce nasze pojęcia, jak zresztą w wielu innych rzeczach. A choć w tej sprawie żadnej nie mam potrzeby stosować się do twoich przekonań, bo to całkiem moja rzecz, chcę ci się przecię z moich myśli wytłómaczyć i objaśnić je.

— Słucham, kochany Rajmundzie. Cóż tam znalazłeś?

— To, o czém nie wątpię. Herman o synu, którego nie miał, który jego władzę rodzicielską pogardził i z domu uciekł, ani nawet wspomina... majątek cały mnie zapisał!

Marya zbładła, pochyliła głowę i załamała ręce. Rajmund mówił dalej:

— I tak powinno się stać było. Wy tam się nad nim rozczulacie jak nad bohaterem, a to po prostu awanturnik, który szkoda tylko, że imię nasze nosi.

— Mężu kochany, nie sądzmy!

— Nie sądzmy, gdy nie ma z czego: sądzmy i karzmy surowo gdy jest za co! odparł hrabia.

Żona spojrzała nań błagająco.

— Testament—odparł powoli Rajmund—nie jest dobry, ale mam nadzieję utrzymać go w części; w części obale, bo w nim jest niedorzeczność...

Marya całą nadzieję złożywszy w tej niedorzeczności, słuchała.

— Jest to, że zapisuje mi wprawdzie cały majątek, ale jako dożywocie, nie dając mi nim swobodnie rozporządzać. Za cóż? dla czego to ograniczenie? Z natury rzeczy to upada... Napisał, że ma w całości przejść do moich spadkobierców: to upakarzające dla mnie.

— A! mój drogi — wstając i zbierając się na sił ostatek, odezwała się hrabina — zastanów się! Nie to jedno upokarzającym jest dla ciebie: gorzej, przykrzej, sromotniej, że zabierasz dziecku majątek, który się mu należy. Nie! ja znam ciebie, tyś szlachetny! ty tego nie przyjmiesz! Wiesz kiedy testament był zrobiony; przekonany jesteś jak ja, że umierając wolę odmienił: oddasz wszystko jego synowi. Jakżebyśmy ludziom spojrzeć mogli w oczy, odarłszy prawego spadkobiercę? Mogliżbyśmy spokojnie tego daru, który się nam nie należy, używać? Rajmundzie—dodała błagająco—myśl, zejdź do serca swojego; uczyn to, co ci honor i sumienie podyktują.

— Moja pani—odparł hrabia powoli—bądź wpani pewna, że mi honor i cześć rodziny droższe są może niż jój samój; ale wpani to po kobiecemu, sentymentalnie pojmujesz. Dziecię to nie zasłużyło ani zwać się, ani być jego synem; nie ma o nióm wspomnienia w testamentcie; to jasno! to bardzo jasno! Nie myśl wpani jednak, abym nie mogąc mu odebrać imienia, zmuszony je przy nióm zostawić, rzucił go tak na

pastwę nędzy... Coś mu się da przecię. Herman przytém oczywiście skrzywdził mnie przy podziale ojcowizny; bo dla czegoż on bogaty, gdy ja się zaplątałem! To jasno, zdaje mi się.

— Mój drogi, on pracował i oszczędzał...

— A ja, tom marnotrawił i próżnował? Cóż to znowu za kobiece gadanie! oburzył się hrabia. Biorę to tylko, co mi się należy; a jemu jemu... się coś da!

— Na Boga! mój Rajmundzie drogi, to być nie może!

— Tak będzie, rzekł hrabia. Potrzeba go zmusić, by pracował, złamać jego dumę, upokorzyć. Jeśli chce mieć kawałek chleba, musi mnie słuchać: naówczas coś się mu obmyśli. Musi się poddać mojemu rozporządzeniu.

— Nie przeczę—odezwiała się powoli hrabina, której serce biło żywo, ale wiedziała, że wprost sprzeciwiając się mężowi, tylko go w uporze umocni — nie przeczę, że zamiary twoje względem niego mogą być najlepsze, że myśl może być bardzo szczęśliwa. Ale zważ: to młody człowiek, już dorosły: możnaż się kuścić o przerobienie go? Co ludzie powiedzą, gdy zagarniesz to, co się jemu należy?

— Co ludzie powiedzą? to mi wszystko jedno! Los jest sprawiedliwy: odzyskuję w ten sposób com pokrzywdzony utracił. Niech sobie gadają: ja biorę co moje.

— Co twoje! Rajmundzie ty to swoim nazywasz?

— Nazywam: jest moje! odparł Rajmund dumnie, tego mnie uczyć nie będziesz, co jak mam mianować!

Hrabina spojrzała mu w oczy, a załzawione jej źrenice błysnęły ogniem energii, jakiej nigdy nie okazywała. Ujęła męża za rękę, i zaczęła powoli, ale z siłą

— Znasz mnie—rzekła—nie zwykłam nigdy mieszać się w twoje majątkowe sprawy. Rozporządzałeś niemi, swoim i mojem mieniem, jak ci się podobało; patrzałam na to obojętnie, nie pytam co się z tém stało i co dziecięciu zostawimy. Bóg wielki, pieniądz nie jest duszą życia... Ale w téj chwili, gdy w oczach Boga i świata, korzystając z omyłki, masz zagarnąć nieprawnie cudzą własność, i mój głos z piersi dobyć się musi.

Hrabia cofnął się groźny i drżący od gniewu.

— Wpani się zapominasz! zawołał.

— Nie: dopełniam obowiązku. Uczynisz potem co ci się podoba, ale dziś wysłuchać mnie musisz. Tak być nie może. Testament złożony był na moje ręce; wiem i czuję, że w sercu jego został cofnięty. Co weźmiesz od tego dziecka, nosić będziesz na sumieniu jako krzywdę... Da się to wytłumaczyć, nie daję uniewinnić... Ojczy mój! panie, mężu! nie kalajmy rąk naszych! to cudze! to sieroce!.. Jakiemżem prawem wydzielać mu będziemy część z tego, co całe jest jego własnością? Jakiem prawem oddamy naszemu dziecku to, co cudzemu zostanie wydarte? Jak spojrzymy w oczy ludziom!

— Wpani mnie uczysz! Co to jest? zakrzyczał hrabia. Wpani wiesz, że ja tego nie zniosę! Ja wiem co i dla czego czynię, i czuję co sprawiedliwe. Przecięż i ja chcę wymiaru sprawiedliwości.

— Pojmuję, wierzę, że to sobie tłómaczyć możesz, ale rozumiesz źle... Człowiek jest słaby, ty się mylisz; ludzie potępiając cię ze mną, uczynią to sprawiedliwie.

— Ja nie dbam o ludzi i o takie sądy! odparł Rajmund, ruszając ramionami.

— Mój Rajmundzie, na Boga! idziemy drogą, która nas do przepaści prowadził Ziltuj się, pomyśl, a ręczę, że zrzeczesz się téj ofiary. Nie dotykajmy cudzej własności.

— Kobieta jesteś—rzekł hrabia dumnie—ty tego nie rozumiesz. W każdym razie, podług moich pojęć, jestem głową domu, mam prawo rodzinną rozporządzać fortuną, zrobię jak zechcę... Radzić się nikogo nie myślę...

Hrabina zakryła twarz rękami, i gorzko płakać poczęła.

— Tegom się dożyć nie spodziewała—szepnęła cicho—takiego wstydu i upokorzenia... Ciebie! ciebie-widzieć wydziercą cudzej własności! to gorzej niż opłakać umarłego, niż samęj umrzeć sto razy!..

Energia, z jaką Marya pierwszy raz w życiu występowała, pomimo żelaznego uporu, wzruszyła jednak hrabiego; ale go raczej podrażniła, rozgniewała, niżeli wpłynęła na przekonanie. Stał chwilę, ruszył ramionami, groźnie popatrzał na nią, i odszedł zatrzasnąjąc drzwi za sobą.

Hrabina skłoniła głowę, jakby uderzona toporem, i rozplakała się gorzkiemi łzami. Złamiąc ręce jak do modlitwy, klękała, ale się modlić nie mogła.

W takiej postawie rozpaczy znalazła ją córka, którą smutek ten przeraził; badać jej jednak nie śmiała. Matka pocałowała ją w czoło i silnie przycisnęła do piersi.

— Módlmy się, dziecko moje! szepnęła po cichu: Bóg nam tylko pozostał!



Włożenie w tomie piątym).